

Prolog

Kalifornia, 1888

To była długa droga. Nie tylko kilometry dzieliły San Diego od klifowego wybrzeża koło Monterey, pomyślał Felipe. Ale także lata. Tak wiele lat. Kiedyś, gdy był młody, pewnym krokiem chodził po skałach, wspinał się, a nawet po nich biegał. Wyzywając los, upajając się podmuchami wiatru, grzmotem fal, przyprawiającymi o zawrót głowy wysokościami. Kiedyś, na wiosnę, skały zakwitły dla niego. Pokryły się kwiatami, które zebrał dla Seraphiny. Zachował w pamięci wyraźny obraz, gdy roześmiana, przyciskała do piersi malutkie, szorstkie, dzikie kwiatki, jakby to były drogiecenne róże, zerwane z wypielegnowanego krzewu.

Teraz źle widział, a jego nogi były słabe. Ale nie pamięć. Żywa pamięć w starym ciele stała się jego pokutą. Wszelka radość, jakiej zaznał w życiu, została na zawsze naznaczona dźwięcznym śmiechem Seraphiny, ufnością jej ciemnych oczu. Jej dziewczęcą, bezgraniczną miłością.

Po przeszło czterdziestu latach, odkąd ją stracił, podobnie jak i niewinną część samego siebie, nauczył się akceptować swoje wady. Był tchórzem, uciekającym raczej z pola bitwy niż stawiającym czoło potwornościom wojny, ukrywającym się raczej wśród zabitych niż dobywającym szpady.

Ale był młody, i takie rzeczy powinno się wybaczać młodości.

Pozwolił, by rodzina i przyjaciele uwierzyli, że nie żyje, że poległ jak wojownik, a nawet jak bohater. Duma i wstyd. Drobiazg — duma i wstyd. Życie składa się z tak wielu drobnych elementów. Ale nie mógł nigdy zapomnieć, że ceną za tę dumę i wstyd było życie Seraphiny.

Zmęczony, usiadł na skale, by posłuchać huku fal rozbijających się daleko w dole o skały, przesywającego krzyku mew, smaganych zimowym wichrem traw. Panowało przenikliwe zimno, gdy zamknął oczy i otworzył serce.

Przyszedł, by posłuchać Seraphiny.

Pozostanie zawsze młodą, śliczną, ciemnooką dziewczyną, która nie chciała się zestarzeć, tak jak on teraz. Nie zaczekała, lecz z rozpacz i smutku

rzuciła się do morza. Z miłości do mnie, pomyślał. Popchnęła ją do tego nierozważna młodość. Nie było jej dane żyć na tyle długo, by się mogła przekonać, że nic nie trwa wiecznie.

Wierząc, że on nie żyje, umarła, rzucając się ze skał.

Opłakiwał ją, Bóg mu świadkiem, że ją opłakiwał. Ale nie potrafił pójść za nią i skoczyć w morską toń. Przeniósł się na południe, wyrzekając się nazwiska i domu.

Ponownie spotkał miłość. Nie było już rozkosznych, pierwszych rumieńców miłości, lecz uczucie zbudowane z zaufania i zrozumienia potrzeb obu stron.

Dał z siebie wszystko, co mógł.

Miał dzieci i wnuki. Zaznał w życiu wszystkich radości i smutków, które czynią człowieka. Przeżył, by pokochać kobietę, założyć rodzinę, zbudować dom. Był zadowolony z tego, co zdołał.

Ale nigdy nie zapomniał dziewczyny, którą kochał i którą zabił. Nigdy nie zapomniał ich marzenia o przyszłości, ani też chwili, kiedy mu się oddała. Jak kochali się w ukryciu, oboje tacy młodzi, niewinni, marzący o przyszłym, wspólnym życiu, o domu, który zbudują z jej posagu, o dzieciach, które spłodzą.

Przyszła jednak wojna, on zaś opuścił Seraphinę, by sprawdzić się jako mężczyzna. Okazał się jednak tchórzem. Ukryła swoje wiano, ten pieczołowicie strzeżony przez młodą dziewczynę symbol nadziei, by nie dostał się w ręce Amerykanów.

Felipe nie miał wątpliwości, gdzie ukryła skarb. Rozumiał swoją Seraphinę, jej sposób myślenia, uczucie oraz słabe i silne strony. Choć oznaczało to opuszczenie Monterey bez grosza, nie wziął złota i klejnotów, które schowała.

Teraz, kiedy czas pokrył siwizną jego głowę, osłabił wzrok i dawał o sobie znać bólem kości, Felipe pragnął gorąco, by pewnego dnia skarby zostały znalezione przez zakochanych. Albo przez marzycieli. Jeśli Bóg jest sprawiedliwy, pozwoli Seraphinie dokonać wyboru. Wbrew nauce Kościoła Felipe nie dopuszczał myśli, że Bóg mógłby potępić zrozpaczone dziecko za grzech samobójstwa.

Nie, pozostanie taka, jaką ją zostawił, ponad czterdzieści lat temu, na tych właśnie skałach. Na zawsze młoda, piękna i pełna nadziei.

Wiedział, że już tu nie wróci. Czas jego pokuty dobiegał kresu. Miał nadzieję, że kiedy znów spotka swoją Seraphinę, uśmiechnie się do niego i wybaczy mu jego młodzięcą, idiotyczną dumę.

Wstał, pochylił się na wietrze, oparł na lasce, by utrzymać się na nogach. I pozostawił skaliste wzgórze Seraphinie.

Od morza nadciągała burza. Letnia burza, z całą jej mocą, grą świateł i dzikim wiatrem. Pod tym nierealnym, rozjarzonym niebem Laura Templeton usiadła na skale. Letnie burze były najlepsze.

Wkrótce wróca do Templeton House, aby schować się przed deszczem, ale na razie ona i jej dwie najbliższe przyjaciółki czekają i patrzą. Ta szesnastoletnia dziewczyna, o delikatnej budowie, spokojnych, szarych oczach i jasnobrazowych włosach była tak naładowana energią jak burza.

— Chciałabym, żebyśmy wsiadły do samochodu i wjechały prosto w burzę — zaśmiała się Margo Sullivan. Nieregularne podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. — Prosto w nią.

— Ale nie z tobą za kierownicą — zadrwiła Kate Powell. — Od tygodnia masz prawo jazdy i już zasłużyłaś na opinię lunatyczki.

— Jesteś po prostu zazdrosna. Jeszcze wiele miesięcy upłynie, zanim będziesz mogła prowadzić.

Ponieważ Margo trafiła celnie, Kate wzruszyła ramionami. Potrząsnęła krótko ostrzyżonymi, czarnymi włosami. Otworzyła usta, łykając wiatr.

— Ale ja przynajmniej odkładam pieniądze na samochód, zamiast wycinać obrazki ferrari i jaguarów.

— Jeśli już marzyć, to na całego — powiedziała Margo, wykrzywiając się na widok lekko odpryśniętego, koralowego lakieru na paznokciu. — Któregoś dnia będę miała ferrari albo porsche, lub cokolwiek zechcę. — Jej błękitne oczy zwięzły się, podjęła twarde postanowienie. — W przeciwieństwie do ciebie nie zadowolę się jakimś używanym gruchotem.

Laura nie wtrącała się, choć mogłaby przerwać ten ostrzał. Wiedziała jednak, że jest to tylko zwykłe, przyjacielskie przekomarzanie się. A poza tym nie obchodziły ją samochody. Oczywiście, że fajny, nieduży kabriolet, który dostała od rodziców na szesnaste urodziny, sprawiał jej radość. Ale jej zdaniem jeden samochód nie różni się od drugiego.

Zdawała sobie sprawę ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Była córką Thomasa i Susan Templetonów, właścicieli hotelowego imperium. Z tyłu, na wzgórzu, wznosząc się majestatycznie ku pociemniałemu niebu, stał jej dom. To było coś więcej niż kamień, drewno i szkło, z których został zbudowany. Coś więcej niż ozdobne wieżyczki i balkony czy przepyszne ogrody. Coś więcej niż sztab służby, utrzymującej go w nieskazitelnym stanie.

To był dom.

Wzrastała w poczuciu odpowiedzialności przypisanej osobom uprzywilejowanym. Cechowało ją umiłowanie piękna i dobra, tak samo jak potrzeba sprostania templetonowskim standardom, zasłużenia na to wszystko, co otrzymała z tytułu urodzenia. Nie tylko na bogactwo, z czego dopiero w wieku szesnastu lat zdała sobie sprawę, ale także na miłość rodziny i przyjaciółek.

Wiedziała, że Margo irytowały ograniczenia. Choć razem dorastały w Templeton House, bliskie sobie jak siostry, matka Margo zajmowała się prowadzeniem ich domu.

Gdy rodzice Kate zginęli w wypadku, dziewczynka przybyła do Templeton House. Ośmioletnia sierota. Okazywano jej miłość, stanowiła część rodziny, do której ją przyjęto, tak jak Laura i jej starszy brat Josh.

Laura, Margo i Kate były sobie bliskie, może bliższe niż rodzone siostry.

Ale Laura nigdy nie zapominała, że odpowiedzialność za Templeton House spoczywa na niej.

A pewnego dnia, rozmyślała, zakocha się, wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Będzie kontynuowała tradycje Templetonów. Mężczyzna, który się zjawi, który ją weźmie w ramiona i uczyni swoją żoną, spełni jej pragnienia. Zbudują razem dom, powołają do życia człowieka, nadadzą przyszłości tak doskonały i nieskazitelny kształt jak Templeton House.

Marzenia rozgrzewały jej serce. Delikatny rumieniec zaróżowił policzki dziewczyny, a wiatr rozwiewał jasne loki.

— Laura znowu marzy — skomentowała Margo. Pod wpływem promiennego uśmiechu jej interesująca twarzyczka stała się jeszcze bardziej atrakcyjna.

— Znowu ci chodzi po głowie Seraphina? — zapytała Kate.

— Hmm? — Nie, nie myślała o Seraphinie. — Ciekawe, jak często tu przychodziła, by marzyć o wspólnym życiu z Felipe.

— Umarła podczas takiej burzy, jak ta, która nadciąga. Jestem tego pewna. — Margo uniosła twarz ku niebu. Błyskały pioruny, wiał wiatr.

— Samobójstwo samo w sobie jest wystarczająco dramatyczne. — Kate zerwała dziki kwiatek, okręciła jego łodyżkę wokół palców. — Gdyby dzień był piękny, słoneczny i bezchmurny, rezultat byłby taki sam.

— Zastanawiam się, co się czuje, gdy ma się wszystko utracić — powiedziała półgłosem Laura. — Jeśli kiedykolwiek znajdziemy posag Seraphiny, zbudujemy na jej pamiątkę kapliczkę.

— Ja zamierzam wydać moją część na ubrania, klejnoty i podróże. — Margo uniosła do góry ręce, po czym zaplotła je za głowę.

— A po roku, albo nawet szybciej, wszystko roztrwonisz — orzekła Kate. — Ja ulokuję swoją część w papierach wartościowych.

— Nudna, przezorna Kate. — Margo odwróciła głowę, uśmiechnęła się do Laury. — A ty? Co zrobisz, gdy znajdziemy skarb? Bo znajdziemy go któregoś dnia.

— Nie wiem. — Pomyślała, jak postąpiłaby jej matka i ojciec. — Nie wiem — powtórzyła. — Zaczekałabym i zastanowiłabym się. — Znowu spojrzała na morze. Ściana deszczu była już tuż-tuż. — Tego właśnie nie zrobiła Seraphina. Nie czekała i nie zastanowiła się.

Wzmagający się gwałtownie wicher brzmiał jak płacz kobiety.

Pojawiła się postrzępiona błyskawica. Przecięła roziskrzonym białym światłem ciężkie, niskie niebo. Laura odrzuciła głowę i uśmiechnęła się promiennie. Oto nadchodzi, pomyślała. Siła, niebezpieczeństwo i chwala.

Pragnęła tego. Głęboko, w skrytości serca, pragnęła tego wszystkiego.

Potem załopotały trawy, złowieszczo zadrżała skała. Rozległo się zniecierpliwione wołanie:

— Na Boga, czyście powariowały? — Wychylając się z okna samochodu Joshua Templeton spiorunował wzrokiem całą trójkę. — Wskakujcie natychmiast do środka.

— Jeszcze nie pada. — Laura podniosła się niechętnie. Najpierw

spojrzała na Josha. Był od niej starszy o cztery lata, a w tej chwili, robiąc groźną minę i udając złość, był tak bardzo podobny do ich ojca, że najchętniej roześmiałyby się głośno. Ale nie widziała, kto jest z nim w samochodzie.

Nie pamiętała, skąd się wzięło jej przekonanie, że Michael Fury jest równie niebezpieczny jak letnia burza, ale była tego pewna. Wpłynęło na to nie tylko pomrukiwanie Ann Sullivan na temat chuliganów i typów przysparzających kłopotów. Niemniej matka Margo była nieprzejednana w swojej niechęci do tego osobliwego przyjaciela Josha.

Być może sprawiały to jego ciemne włosy — trochę przydługie i potargane, albo też nieduża, jasna blizna tuż nad lewym łukiem brwiowym, którą, jak powiedział Josh, Michael wyniósł z bójk. A może to jego spojrzenie — ponure i groźne, a nawet trochę złe. Jak zachłanny anioł, pomyślała, czując niepokój w sercu. Prowadzący duszyczkę do piekła z uśmiechem na ustach.

To chyba jednak jego oczy, stwierdziła. Takie niesamowicie niebieskie. Wpatrywały się w nią tak intensywnie, tak bez żenady i natarczywie.

Nie, nie lubiła sposobu, w jaki na nią patrzył.

— Pakujcie się wreszcie do środka — niecierpliwił się Josh. — Mama będzie zła, kiedy się dowie, gdzie byliście. Gdyby któraś z was trafił piorun, oberwałbym po tyłku.

— Ale za to jakim ślicznym — dorzuciła Margo, zawsze skora do zalotów. Mając nadzieję, że Josh poczuje ukłucie zazdrości, otworzyła drzwiczki po stronie Michaela. — Trochę tu ciasno. Może byłoby lepiej, Michael, gdybym usiadła ci na kolanach?

Oderwał wzrok od Laury i uśmiechnął się szeroko do Margo. Błysnęły białe zęby, na opalonych policzkach pojawiły się dołeczki.

— Czuj się jak u siebie w domu, skarbie. — Miał niski, odrobinę chropawy głos.

— Nie wiedziałam, że wróciłeś, Michael. — Kate wślizgnęła się na tylne siedzenie, gdzie, jak stwierdziła rozgoryczona, było dość miejsca dla nich trzech.

— Urlop — odparł. Spojrzał przelotnie na Kate, po czym znowu na Laurę, która zwlekała z wsiadaniem. — Za parę dni znowu wypływam.

— Marynarka handlowa. — Margo zmierzwiła mu włosy. — To brzmi tak... groźnie. I podniecająco. Czy w każdym porcie masz kobietę?

— Staram się jak mogę. — Kiedy pierwsza gruba kropla deszczu uderzyła o szybę, mrugnął zawiadacko do Laury. — Może też chciałybyś usiąść na moich kolanach, skarbie?

Godność była cechą, której ją nauczono, gdy była jeszcze bardzo małą dziewczynką. Nie kwapiąc się z odpowiedzią, Laura zajęła miejsce z tyłu, obok Kate.

Po chwili, gdy drzwi samochodu zostały zamknięte, Josh pomknął szosą pod górę, w stronę domu. Kiedy w odbiciu wstecznego lusterka Laura napotkała spojrzenie Michaela, umknęła przezornie wzrokiem, po czym odwróciła się do tyłu. Ku skałom, ku miejscu swoich niczym nie skrepowanych marzeń.

Rozdział pierwszy

W dniu swoich osiemnastych urodzin Laura była zakochana. Wiedziała, że spotkało ją wielkie szczęście: była pewna swych uczuć i przyszłości oraz mężczyzny, z którym chce je dzielić.

Nazywał się Peter Ridgeway i uosabiał wszystko, o czym zawsze marzyła: wysoki i przystojny, o dobrym, promiennym spojrzeniu i czarującym uśmiechu. Rozumiał piękno i muzykę, a także obowiązki związane z pracą i karierą.

Od czasu, gdy awansował w organizacyjnej sieci Templetonów i został przeniesiony do kalifornijskiej filii, asystował Laurze, zabiegał o jej względy, by podbić romantyczne serce dziewczyny.

Były więc róże doręczane w błyszczących, białych pudełkach, kameralne kolacje w restauracjach przy migoczącym, drżącym świetle świec. Nie kończące się dyskusje o sztuce i literaturze — a także milczące spojrzenia, wyrażające więcej niż słowa.

Spacerowali po ogrodzie przy blasku księżyca, odbywali długie przejażdżki wzdłuż wybrzeża.

Wkrótce się zakochała. To było jak łagodne omdlenie, bez skaleczeń i zadraśnień. A może raczej powolne ześlizgiwanie się w dół wyłożonego jedwabiem tunelu, prosto w oczekujące ramiona.

To nic, że miał dwadzieścia siedem lat i był trochę starszy, niż mogliby tego pragnąć jej rodzice. Wydawał się taki idealny i bez skazy, iż różnica wieku stała się dla Laury nieistotna. Żaden jej rówieśnik nie miał ogłady Petera Ridgewaya, jego wiedzy i zainteresowań, czy łagodnej cierpliwości.

I była w nim tak bardzo zakochana.

Uczynił delikatną aluzję do małżeństwa. Zrozumiała, że daje jej czas do namysłu. Gdyby tylko wiedziała, jak dać mu poznać, że już się zastanowiła, że już zdecydowała, iż jest tym mężczyzną, z którym pragnie spędzić życie.

Ale, zdaniem Laury, Peter należał do tego typu ludzi, którzy sami robią pierwszy krok i podejmują decyzję.

Nie należy się spieszyć, utwierdzała samą siebie. Przed nimi całe życie. A tego wieczoru, na przyjęciu wydanym z okazji jej osiemnastych urodzin, pojawi się tutaj. Będzie z nim tańczyła, i w bladobłękitnej sukni, dobranej specjalnie pod kolor jego oczu, poczuje się jak księżniczka, nawet więcej, jak kobieta.

Ubierała się powoli, pragnąc nasycić się każdą chwilą tych przygotowań. Odtąd wszystko będzie inne, pomyślała. Kiedy rano otworzyła oczy, jej pokój wydawał się taki sam. Na ścianach nadal pyszniła się tapeta w maleńkie, różowe pączki róż. Zimowy promień słońca padał ukośnie przez okno, przenikał przez koronkowe zasłony, tak jak to robił przez tyle innych styczniowych poranków.

A jednak wszystko było inne. Ponieważ ona była inna.

Przyglądała się teraz swojemu pokojowi okiem kobiety. Oceniała elegancie linie mahoniowego, chippendalowskiego sekretarzyka, który miała po babci. Dotknęła ślicznego zestawu srebrnych przyborów toaletowych — urodzinowego prezentu od Margo. Z uwagą przyjrzała się różnokolorowym, frymuśnym flakonom do perfum, które zaczęła kolekcjonować jako podłotek.

Było tu łóżko, w którym spała i śniła — kolejny chippendale z fantazyjnie udrapowanym baldachimem z bretońskiej koronki, wspartym na czterech wysokich tralkach. Przez uchylone balkonowe drzwi docierały wieczorne odgłosy i zapachy. Ławeczka w okiennym wykuszu, na której siadywała i skąd marząc patrzyła na skały, wyroszczone były poduszkami.

W kominku z różowego marmuru palił się równomiernie ogień. Na obudowie stały oprawione w srebrne ramki fotografie i delikatne, srebrne lichtarze z długimi, wąskimi świecami, które lubiła zapalać wieczorem. I długi, rozchylający się ku górze wazon z dreздеńskiej porcelany, z jedną różą przysłaną dziś rano przez Petera.

I biurko, przy którym się uczyła i przy którym zamierza pracować, by zaliczyć ostatni rok college'u.

Dziwne, zadumała się, przesuwając ręką po blacie; nie czuje się jak uczennica. Czuje się znacznie starsza od swoich rówieśników. Znacznie mądrzejsza, o ileż pewniejsza celu, do którego zmierza.

To pokój jej dzieciństwa, rozmyślała, jej młodości i jej serca. Podobnie jak domem jej serca jest Templeton House. Choć wiedziała, że nigdy nie będzie kochać tak mocno żadnego miejsca, była gotowa, a nawet spragniona, aby zbudować nowy dom, z mężczyzną, którego kocha.

Na koniec odwróciła się i przyjrzała swojemu odbiciu w długim lustrze. Uśmiechnęła się do siebie. Dokonała dobrego wyboru. Proste, gładkie linie pasowały do jej drobnej sylwetki. Półokrągły dekol, długie, zwężające się rękawy, spływająca wdzięcznie do kostek prosta szata była klasyczna, dystygowana i doskonała dla kobiety, która ma stanąć u boku Petera Ridgeway.

Może wolałaby rozpuszczone włosy, ale ponieważ miała wrażenie, że jej loki są zbyt frywolne na dzisiejszą okazję, zgarnęła je i podpięła do góry. Taka fryzura dodaje powagi, stwierdziła.

Nigdy nie będzie wyzywająca i seksowna jak Margo ani niedbale intrygująca jak Kate. Musi więc poprzestać na dojrzałości i dystynkcji. W końcu to właśnie te jej cechy pociągały Petera.

Tak bardzo chciała być doskonała. Dla niego. Na ten wieczór. Zwłaszcza na ten wieczór.

Z namaszczeniem ujęła kolczyki — urodzinowy prezent od rodziców. Brylanty i szafiry mrugały do niej załomie. Uśmiechała się do nich, gdy z impetem otworzyły się drzwi.

— Nie zamierzam paćkać sobie twarzy tym gównem. — Zaróżowiona i wzburzona Kate sprzeczała się z Margo. — Masz tego dość za nas obie.

— Postanowiłaś się zdać na osąd Laury — przypomniała jej Margo, po czym stanęła w miejscu. Okiem znawcy obrzuciła przyjaciółkę. — Wyglądasz bajecznie. Dystygowany seks.

— Naprawdę? Jesteś tego pewna? — Z wrażenia, że może wyglądać seksy, uważniej przejrzała się w lustrze. Ale zobaczyła tylko siebie — drobną, młodą kobietę o niespokojnych szarych oczach i niezbyt dobrze trzymającej się fryzurze.

— Absolutnie. Każdy chłopak na przyjęciu będzie cię chciał i będzie się bał cię poprosić.

Kate parsknęła i opadła na łóżko Laury.

— Za to przed tobą z całą pewnością nikt nie będzie miał żadnych obaw. Jesteś chodzącym przykładem wszechmocnej siły reklamy.

Margo uśmiechnęła się z politowaniem i przeciągnęła ręką po biodrze. Krwistoczerwona suknia miała niebezpiecznie głęboki dekolt i przylegała ciasno do wszystkich wypukłości.

— Gdybyś miała co trzeba — a czego nie masz — też byś się z tym obnosiła. I dlatego potrzebny jest ci błyszczek na usta, cień do powiek, tusz do rzęs...

— O Boże!

— Ona ślicznie wygląda, Margo. — Jak zawsze pokojowo nastawiona Laura wkroczyła między przyjaciółki. Uśmiechnęła się do rozciągniętej na łóżku Kate, spoglądając na kanciastą, niepokojąco kuszącą figurę przyjaciółki w cieniutkiej, białej wełnianej sukni okrywającej ją od stóp do głów. — Jak wełniana nimfa. — Roześmiała się, gdy Kate jęknęła. — Ale mogłabyś się trochę podmalować.

— A widzisz? — Margo triumfalnie sięgnęła do torebki po zestaw do makijażu. — Siadaj i pozwól, by mistrz się tobą zajął.

— A tak liczyłam na ciebie. — Nie przestając narzekać, Kate usiadła i poddała się bezceremonialnym torturom pędzli i mazideł Margo. — Robię to wyłącznie ze względu na twoje urodziny.

— Doceniam to.

— Zanosi się na bezchmurną noc. — Margo fachowo podkreśliła kości policzkowe Kate. — Orkiestra już się przygotowuje, a w kuchni panuje chaos. Mama biega w kółko, zaabsorbowana kompozycjami kwiatowymi, tak jakby chodziło o królewskie przyjęcie.

— Powinam jej pomóc — zaczęła Laura.

— Jesteś honorowym gościem. — W odruchu samoobrony Kate zamknęła oko, podczas gdy Margo kładła jej cienie na powieki. — Ciocia Susie sprawuje nad wszystkim kontrolę, nawet nad wujkiem Tommym, który na dworze gra na sakcie.

Śmiejąc się, Laura usiadła na łożku obok Kate.

— Zawsze mówił, że jego skrytym marzeniem było granie na saksofonie tenorowym w jakimś zadymionym klubie.

— Niech więc sobie pogra — powiedziała Margo, rysując precyzyjne kreski pod wielkimi sarnimi oczami Kate. — A kiedy wszyscy Templetonowie wyjdą przed dom, będzie miał swój własny, prywatny klub.

— Drogie panie! — W drzwiach ukazał się Josh, trzymając w ręku małe pudełko z kwaciarni. — Nie chciałbym zakłócać damskich rytuałów, ale ponieważ wszyscy w tym domu trochę powariowali, ja występuję w roli dostawcy.

Wyglądał zabójczo w smokingu. Na jego widok Margo poczuła przypływ gorącej fali w dole brzucha.

— Jaki bierzesz napiwek?

— Nie trzymam się ustalonej stawki. — Walczył ze sobą, by nie zapuścić żurawia za jej odkryty dekolt, i przeklinał każdego mężczyznę, któremu dana będzie możliwość rzucenia okiem na te mlecznobiałe okrągłości. — Wygląda na to, że są to kolejne kwiaty dla solenizantki.

— Dzięki. — Laura wstała, by odebrać pudełko. Pocałowała go. — To mój napiwek.

— Wyglądasz cudownie. — Wziął ją za rękę. — Wydoroślałaś. Zaczyna mi brakować mojej dokuczliwej siostrzyczki.

— Zrobię co w mojej mocy, żeby ci dokuczać tak często, jak to będzie możliwe. — Otworzyła pudełko, westchnęła i zapomniała o bożym świecie. — Od Petera — wyszeptała.

Josh zacisnął zęby. Nie byłoby fair, gdyby jej powiedział, jak bardzo już mu dokuczyła tym swoim wyborem. — Niektórzy faceci uważają, że ofiarowanie jednej róży to szczyt elegancji, dowód ich klasy.

— Ja wołałabym dostawać tuziny — stwierdziła Margo. Wymienili z Joshem pełne porozumienia spojrzenie.

— Jest śliczna — szepnęła Laura, wstawiając różę do wazonu obok jej wcześniejszej towarzyszki. — Podobnie jak ta, którą przysłał dzisiaj rano.

O dziewiątej Templeton House wypełniony był po brzegi ludźmi i dźwiękami. Jedne grupki opuściły rześkie oświetlone salony i przeniosły się na ogrzewane tarasy. Inni przechadzali się po ogrodach, by podziwiać

kwiaty i fontanny, oświetlone białą kulą zimowego księżycy, skapanie w czarownym, bajkowym świetle.

Margo miała rację; noc była jasna, na ciemnym niebie jarzyła się niezliczona ilość gwiazd, a Templeton House zdawał się tonąć w ich świetle.

Pulsujące rytmy muzyki zapraszały do tańca. Olbrzymie, wytwornie nakryte białymi obrusami stoły uginały się od jedzenia ułożonego na niezliczonych półmiskach, salaterkach i paterach. Wyszkoleni w hotelowej służbie kelnerzy krążyli dyskretnie, roznosząc na srebrnych tacach długie wąskie kieliszki z szampanem i maleńkie kunsztowne przekąski. Pół tuzina barków oferowało mieszane lub bezalkoholowe napoje.

Znad basenu, w którym pływały tuziny białych lili wodnych, unosiły się smugi mgły. Na tarasach, pod jedwabnymi markizami, na trawnikach, porozstawiane były dziesiątki przykrytych białymi obrusami stołów, ozdobionych świecami w wianuszkach lśniących gardenii.

Dla tych, którzy pragnęli ciepła i względnego spokoju, przeznaczone było wnętrze domu, także pełne jedzenia i napojów, kelnerów, muzyki i kwiatów. U szczytu schodów stały dwie umundurowane pokojowe, gotowe asystować każdej pani, która pragnęłaby się odświeżyć lub poprawić garderobę.

Jeszcze żadne z wydawanych przez jakikolwiek hotel Templetonów przyjęć nie zostało lepiej zorganizowane, nie miało tak starannej oprawy i nie było bardziej okazałe niż uroczystość osiemnastych urodzin Laury Templeton.

Nigdy nie zapomni tej nocy, jarzących się świateł, muzyki zdającej się wypełniać powietrze i tak bardzo harmonizującej z zapachem kwiatów. Znała swoje powinności: zabawiała rozmową i tańczyła z przyjaciółmi rodziców, ze swoimi rówieśnikami. Ponieważ tego oczekiwano od niej, Laura dwoiła się i troiła w towarzystwie, choć tak naprawdę pragnęła być tylko z Peterem.

Kiedy tańczyła z ojcem, przytuliła się do niego policzkiem.

— To cudowne przyjęcie. Dziękuję.

Westchnął, czując jej delikatny, elegancki, kobiecy zapach.

— Część mnie pragnęłaby, żebyś nadal miała trzy latka i huśtała się na moich kolanach.

Thomas odsunął ją leciutko, by się do niej uśmiechnąć. Był niezwykłym mężczyzną, miał brązowe włosy lekko przyprószone srebrem, oczy, które odziedziczyły po nim dzieci, z delikatną siateczką zmarszczek wokół, świadcząca o jego radości życia i pogodnym, wesołym usposobieniu.

— Wyrosłaś mi, Lauro.

— Nie mogłam temu zaradzić. — Odwzajemniła uśmiech.

— To prawda, myślę, że nie mogłaś. Tak się rozglądam i mam świadomość, że co najmniej tuzin młodych mężczyzn wycelowuje strzały w moje plecy w nadziei, że się zatoczę i padnę, a oni tymczasem zatańczą z tobą.

— Wolę tańczyć z tobą, tato, niż z którymkolwiek z nich.

Kiedy jednak wraz z Susan Templeton na parkiecie pojawił się Peter,

oczy córki stały się nieobecne i rozmarzone. Czy mogłem przewidzieć, zastanawiał się Thomas, że ściągnięty przeze mnie do Kalifornii Peter Ridgeway zabierze mi moją małą dziewczynkę?

Kiedy ucichły dźwięki muzyki, Thomas podziwiał zręczność, z jaką Peter uprzejmie spławił kandydatki do następnego tańca, by dotrzeć do Laury i wymknąć się z nią.

— Patrzysz na niego, jakbyś go chciał wychłostać, Tommy — szepnęła Susan.

— Ona jest jeszcze dzieckiem.

— Ale wie, czego chce. Chyba zawsze wiedziała. — Teraz i ona westchnęła. — Widać miał to być Peter Ridgeway.

Thomas spojrzął żonie w oczy. Były mądre, zawsze były mądre. Drobna, delikatnie zbudowana, jak jej córka, mogła sprawiać wrażenie kruchej i bezbronnej. Ale on wiedział, jaka jest silna.

— Co o nim myślisz?

— Jest zdolny — odrzekła wając słowa. — Z dobrej rodziny, starannie wychowany. I trzeba przyznać, że jest atrakcyjny. — Jej miękkie usta zacisnęły się. — I życzyłabym sobie, żeby znajdował się o tysiąc kilometrów stąd, jak najdalej od niej. Ale to tylko takie matczyne gadanie — przyznała. — Obawa matki przed utratą ukochanej, małej dziewczynki.

— Moglibyśmy go przenieść do Europy. — Zapalił się do pomysłu. — Nie, do Tokio albo do Sydney.

Śmiejąc się pogłaskała męża po policzku.

— Sądząc po tym, jak ona na niego patrzy, pojechałaby za nim. Lepiej już mieć ich blisko. — Wzruszyła ramionami. — Mogła się przecież zakochać w którymś z nieokrzesanych przyjaciół Joshua, w jakimś żigolo, lub w łowcy posagów, albo w recydywiście.

Teraz on się roześmiał.

— Laura? Nigdy!

Susan uniosła tylko brwi. Mężczyzna nigdy tego nie zrozumie. Takie romantyczne natury jak Laura bardzo często pociągają dzikie, nieokiełznane charaktery.

— No cóż, Tommy, nie pozostaje nam nic innego jak czekać i patrzeć na rozwój wydarzeń. I trzymać jej stronę.

— Nie zatańczysz ze mną? — Margo wślizgnęła się w ramiona Joshua, umościła się w nich, zanim jeszcze zdążył wyrazić zgodę, czy zrobić unik. — Wolisz tak stać i pogażać się w złych myślach?

— Nie pogażam się, zastanawiam się tylko.

— Martwisz się o Laurę. — Zalotnie muskała jego kark, patrząc jednocześnie z troską na Laurę. — Oszalała na jego punkcie. Wbiła go sobie do głowy i zdecydowana jest wyjść za niego za mąż.

— Jest za młoda, by myśleć o małżeństwie.

— Marzy o tym już od czwartego roku życia — mruknęła Margo. — A teraz znalazła kogoś, kto wydaje się mężczyzną jej życia. Nikt Laury nie powstrzyma.

— Może mógłbym go zabić — zastanawiał się głośno Josh. — Później można by ukryć ciało.

Parsknęła śmiechem. Spojrzała mu w oczy.

— Kate i ja z radością pomożemy ci zrzucić zwłoki ze skały. Ale, u licha, Josh, może on jest w sam raz dla niej. Jest uprzejmy, inteligentny i wyjątkowo cierpliwy, jeśli chodzi o hormonalne sprawy.

— Och, nie mów mi o tym. — Jego oczy pociemniały. — Nie chcę o tym myśleć.

— Nie martw się. Gwarantuję, że gdy nadejdzie pora, twoja siostrzyczka pójdzie do ołtarza w nieskalanej białej ślubnej sukni. — Parsknęła na myśl, że kobieta może poślubić mężczyznę nie wiedząc, czy odpowiadają sobie w łóżku. — Mają ze sobą wiele wspólnego, naprawdę. I nie nam — dwojgu zdeprawowanym cynikom — ją oceniać.

— Kochamy ją — odparł z prostotą Josh.

— Taa, to prawda. Ale wszystko się zmienia i już wkrótce każde z nas pójdzie własną drogą. Ty już zacząłeś. — Dotknęła go palcem. — Pan Harvard Prawnik. A Kate rwie się do college' u. Laura do małżeństwa.

— A ty do czego się rwiesz, księżniczko?

— Do wszystkiego i jeszcze trochę. — Jej uśmiech stawał się coraz bardziej płomienny. Mogłaby się jeszcze odrobinę posunąć w zalotach, gdyby nie Kate, która wyrosła między nimi, przyglądając się każdemu z osobna.

— Odłóżcie na później wasze seksualne rytuały — mruknęła. — Patrzcie, wychodzą. — Rzuciła posępne spojrzenie w stronę Laury trzymającej się za rękę z Peterem. — Może powinniśmy pójść za nimi. Zrobić coś.

— Na przykład? — Nie lekceważąc sytuacji, Margo objęła wąskie ramiona Kate. — Cokolwiek zrobimy, to i tak niczego nie zmieni.

— W takim razie nie zamierzam tu stać i przyglądać się beczynnemu. — Zawiedziona, spojrzała wymownie na Josha. — Posiedźmy trochę w ogrodzie. Może Josh podkradnie dla nas trochę szampana.

— Jesteś niepełnoletnia — zauważył z przesadną powagą.

— Daj spokój, tak jakbyś nigdy przedtem tego nie robił. — Uśmiechnęła się czarująco. — Tylko po szklaneczce. By wnieść toast za Laurę. Może to jej przyniesie szczęście i spełnią się jej pragnienia.

— No to po szklaneczce.

Margo skrzywiła się, gdy Josh badawczo rozglądał się po sali.

— Wypatrujesz glin?

— Nie, pomyślałem, że Michael mógłby się jednak pokazać.

— Mick? — Kate przechyliła głowę. — Sądziłam, że jest w Ameryce Środkowej lub coś w tym rodzaju i że się zabawia w najemnego żołnierza.

— Jest, a raczej był — poprawił się Josh. — Wrócił, przynajmniej na jakiś czas. Miałem nadzieję, że przyjmie moje zaproszenie. — Wzruszył

ramionami. — Wiem, że nie przepada za takimi imprezami. No to poszkaneczce — powtórzył, dając Kate prztyczka w nos. — Tylko pamiętaj, że nie dostałaś jej ode mnie.

— Oczywiście, że nie. — Biorąc Margo pod rękę, ruszyły w kierunku bajecznie oświetlonych ogrodów. — Możemy przecież za nią wypić, nawet jeśli to się na nic nie zda.

— Wypijemy za nią — przytaknęła Margo. — I nie opuścimy jej, cokolwiek się stanie.

— Ile gwiazd! — Trzymając się za ręce z Peterem, schodząc łagodnym stokiem trawnika, Laura chłoneła nocne powietrze. — Trudno sobie wymarzyć doskonalszy wieczór.

— Zwłaszcza gdy przez chwilę możemy być sami.

Zareagowała żywo. Uśmiechnęła się do niego.

— Przepraszam, ale byłam bardzo zajęta. Z trudem się wyrwałam, by móc z tobą porozmawiać. — I zostać z tobą sam na sam, pomyślała.

— Wiem, że masz obowiązki. Żaden z Templetonów nie lekceważy swoich gości.

— Oczywiście, że nie. Ale dzisiaj są moje urodziny. — Jego dłoń wydawała się Laurze taka ciepła i bezpieczna. Chciałaby iść z Peterem bez ustanku, zejść ze skał i wspólnie marzyć. — Należą mi się jakieś względy.

— Więc skorzystajmy z tej krótkiej chwili. — Poprowadził ją w kierunku białej fantazyjnej altany w kształcie wieżyczki.

Docierały tu stłumione dźwięki przyjęcia, a sączące się przez misterną konstrukcję altany światło księżyca tworzyło na podłodze koronkowy wzór. Zapach kwiatów napełniał powietrze. Było to dokładnie takie miejsce, jakiego pragnął.

Staroświeckie, romantyczne, jak kobieta, którą chciał mieć.

Przyciągnął ją do siebie. Pocałował. Poddaje się tak ochoczo, pomyślał. I tak niewinnie. Jej śliczne usta rozchylające się pod jego wargami i delikatne, oplatające go ramiona. Pociągało go to połączenie młodości i dystynkcji, pożądania i niewinności.

Wiedział, że może ją mieć. Miał wprawę i doświadczenie, lecz szczylił się także umiejętnością samokontroli. Odsunął ją bardzo delikatnie. Nie skala doskonałości, nie zacznie jej ponaglać do fizycznego kontaktu. Chce, aby jego żona była nietknięta, nawet przez niego.

— Nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, jak ślicznie dzisiaj wyglądasz.

— Dziękuję. — Niczym skarb zamknęła w sobie gorący dreszcz przeżywanej rozkoszy. — Zależało mi na tym. Dla ciebie.

Uśmiechnął się, przytulił ją czule, gdy położyła głowę na jego sercu. Jest idealną kobietą dla mnie, pomyślał. Młoda, śliczna, świetnie wychowana. Uległa. Przez kratki altany dostrzegł Margo; rzuciła się w oczy w opiętej czerwonej sukni, zaśmiewała prostacko z jakiegoś dowcipu.

Jeżeli nawet widok Margo działał na jego męskość, obrażał wrażliwość. Córka gospodyni domowej, pomyślał. Obiekt nocnych polucji każdego mężczyzny.

Przeniósł spojrzenie na Kate. Skóra i kości, więcej sprytu niż stylu.

Zdumiewające, że Laura jest do nich przywiązana jak dziecko. Nie wątpił jednak, że z czasem jej to minie. Jest przecież wrażliwa i, jak na swój młody wiek, tak zachwycająco dostojna i godna. Gdy w pełni zrozumie swoją społeczną pozycję i swoje miejsce przy nim, przetnie stopniowo i delikatnie nieodpowiednie dla niej więzi.

Nie wątpił, że jest w nim zakochana. Jest taka niedoświadczona w pieśczościach i taka ufna. Jej rodzice mogą nie popierać w pełni ich związku, wierzył jednak, że ich uczucie do córki przeważy szalę na jego korzyść.

Wiedział, że nie dopatrzą się w nim żadnej skazy. Wykonywał swoją pracę bez zarzutu. Będzie odpowiednim zięciem. Z Laurą u boku, z nazwiskiem Templetonów, osiągnie wszystko, czego pragnie. Wszystko, na co zasłużył. Odpowiednia żona, niezachwiana pozycja społeczna, synowie. Bogactwo i sukces.

— Znamy się od niedawna — zaczął.

— Wydaje się jakby od zawsze.

Uśmiechnął się ponad jej głowę. Jest tak rozkosznie romantyczna.

— A to zaledwie kilka miesięcy, Lauro. I jestem od ciebie starszy prawie o dziesięć lat.

Przytuliła się tylko mocniej do niego.

— Jakie to ma znaczenie?

— Powiniennem dać ci więcej czasu. Boże, jesteś jeszcze w college'u.

— Jeszcze tylko przez kilka miesięcy. — Gdy uniosła głowę, jej serce biło gwałtownie. — Nie jestem dzieckiem, Peter.

— Nie, nie jesteś.

— Wiem, czego chcę. Zawsze wiedziałam.

Wierzył jej. On także wiedział, czego chce. Zawsze wiedział. To także ich łączy, pomyślał.

— Pomimo to powiedziałem sobie, że zaczekam. — Podniósł jej dłonie do ust, zajął w oczy. — Przynajmniej przez ten rok.

O tym śniła, tego właśnie oczekiwała.

— Nie chce, żebyś czekał — wyszeptała. — Kocham cię, Peterze.

— Kocham cię, Lauro. Nawet jedna godzina czekania to za wiele, a cóż dopiero cały rok.

Posadził ją na wyściełanej ławeczce. Drżały jej ręce. Całą sobą chłoneła tę chwilę. Dźwięk muzyki, która w czystym nocnym powietrzu niosła się z oddali cichym spokojnym rytmem. Zapach kwitnących jaśminów i dalekie odgłosy morza. Grę świateł i cieni pomiędzy dającymi schronienie kratkami altany.

Uklęknął na jedno kolano. Wiedziała, że tak zrobi. W delikatnym,

baśniowym świetle miał taką piękną twarz, rozbroił jej serce do reszty. Miała łzy w oczach, gdy wyjął z kieszeni czarne aksamitne pudełeczko i je otworzył. Blask łez odbity od brylantu załamanywał się, tworząc maleńkie tęcze.

— Czy wyjdiesz za mnie, Lauro?

Doznała tego cudownego uczucia. Wiedziała, że tak czuje się każda kobieta w tej jednej, najjaśniejszej chwili swojego życia. Wyciągnęła do niego rękę i powiedziała:

— Tak.

Rozdział drugi

Dwanaście lat później

Kiedy kobieta kończy trzydzieści lat, rozmyślała Laura, pora na refleksje i na podsumowanie. Zamiast się wzdragać na myśl o skradającym się średnim wieku, warto się chyba również przyjrzeć swoim osiągnięciom.

Starła się jak mogła.

Ale efekt był taki, że kiedy obudziła się tego styczniowego poranka w dniu swoich trzydziestych urodzin, szare niebo i zacinający bezlitośnie deszcz najlepiej odzwierciedlały jej nastrój.

Miała trzydzieści lat, była rozwiedziona, straciła lwią część osobistego majątku z powodu własnej naiwności, i walczyła zawzięcie, by sprostać obowiązkom wobec rodzinnego domu, samotnie wychowywać dwie córeczki, utrzymać się na dwóch posadach — w zawodach, do których nie była przygotowana — i nadal godnie nosić nazwisko Templeton.

Martwiło ją nieudane małżeństwo, nieco żenujący fakt, iż w swoim życiu spała tylko z jednym mężczyzną, i że jej dzieci spotyka niezaskłużona kara samotności, ponieważ jej ciągle nie ma w domu. Dręczyła ją też obawa, że jej domek z kart, odbudowywany z taką troską, runie przy pierwszym silniejszym podmuchu wiatru.

Naga, nieubłagana rzeczywistość jej życia niewiele miała wspólnego z młodzieńczymi marzeniami. Nic więc dziwnego, że najchętniej zwinęłaby się w kłębek i nakryła głowę kołdrą.

Tymczasem trzeba się było zmobilizować do codziennych czynności. Wstać, stawić czoło dniowi i jakoś brnąć przez to pogmatwane i zabałaganione życie. Była przecież odpowiedzialna za ludzi.

Nim zdążyła odrzucić pościel, rozległo się krótkie, delikatne pukanie do drzwi. Ann Sullivan wsunęła najpierw głowę, by już po chwili rozpląnąć się w uśmiechu.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, panno Lauro.

Wieloletnia gospodyni domu Templetonów weszła do pokoju, dźwigając na tacy obfite śniadanie oraz wazon z różnokolorowymi astrami.

— Śniadanie do łóżka! — Kombinując pospiesznie, jak pozmieniac harmonogram dnia, w którym co najwyżej był czas na szybką filiżankę porannej kawy, Laura wyprostowała się na łóżku. — Czuję się jak królowa.

— Nie co dzień się zdarza, że kobieta kończy trzydzieści lat.

Próba uśmiechu nie wypadła Laurze najlepiej.

— No właśnie, powiedz mi coś o tym.

— Nie zaczynaj teraz tych głupstw.

Szybko i zręcznie Ann postawiła tacę na kolanach Laury. Przeżyła już własną trzydzistkę i czterdzistkę, i, z bożą pomocą, szybko zbliżała się do pięćdziesiątki. A ponieważ wiedziała, jak te równe rocznice wpływają na nastrój kobiety, skwitowała milczeniem westchnienie Laury.

Od ponad dwudziestu lat troszczyła się o tę dziewczynę, podobnie jak o swoją i o pannę Kate. Wiedziała więc, jak sobie z nimi radzić.

Odwrociła się, poprawiła ogień w kominku. Nie tylko po to, by przegnać styczniowy chłód, lecz by rozjaśnić pokój i umilić atmosferę.

— Jesteś piękną młodą kobietą i najlepsze lata są przed tobą.

— A za mną już trzydzieści lat.

Ann metodycznie naciskała na odpowiednie guziki.

— I nic, czym mogłabyś się poszczycić, oprócz dwójki prześlicznych dzieci, prosperującego biznesu, ślicznego domu, a także rodziny i przyjaciół, którzy cię uwielbiają.

— Przecież to prawda — jęknęła Laura. — Przepraszam, wstyd mi za to, co mówię. — Znowu spróbowała się uśmiechnąć. — To takie patetyczne i banalne. Dziękuję ci, Annie. Jesteś taka kochana.

— Wypij trochę kawy. — Gdy ogień palił się już na dobre, Ann sama nalała Laurze kawę, a następnie poklepała ją po rękę. — Czy wiesz, czego ci trzeba? Jednego wolnego dnia. Całego dnia, wyłącznie dla siebie, żebyś mogła zrobić wszystko, na co ci przyjdzie ochota.

Pokusa była silna, jedna z tych, którym jeszcze nie tak wiele lat temu z chęcią ulegała. Teraz musiała wyprawić dziewczynki do szkoły, spędzić przedpołudnie w biurze Templeton Monterey, a popołudnie w „Pretensjonalnej Galerii”, którą rozkręcili razem z Margo i z Kate.

Oprócz tego trzeba jeszcze wygospodarować czas i pędem zawieźć dziewczynki na lekcje rytmiki, przejrzeć rachunki, popłacić je. Później zaś dopilnować odrabiania lekcji i być przygotowaną na rozwiązanie setek problemów, z jakimi jej córki spotkają się w ciągu dnia.

Musi jeszcze znaleźć czas, by zajrzeć do starego Joe, ich ogrodnika. Martwiła się o niego, ale nie chciała mu tego okazać.

— Nie słuchasz mnie, panno Lauro.

Lekko krytyczny ton Ann sprawił, iż Laura oprzytomniała.

— Przepraszam. Trzeba obudzić dziewczynki i wyprawić je do szkoły.

— Już wstały. A tak naprawdę, to... — Zadowolona z przygotowanej

niespodzianki, Ann podeszła do drzwi. Na dany znak w pokoju zaroilo się od ludzi, zapanował nieopisany zgiełk.

— Mama! — Pierwsze wbiegły dziewczynki, które rzucając się na łóżko, omal nie przewróciły naczyń na tacy. Mając siedem i dziesięć lat nie były już maleńkimi dziećmi, niemniej tuliła je do siebie zawsze w podobny sposób. Młodsza, Kayla, była łąsa na pieszczoty, lecz Allison coraz częściej trzymała się na dystans. Jej nieco dłuższy niż zwykle uścisk był najlepszym prezentem, jaki dostała tego dnia Laura.

— Annie powiedziała, że wszyscy możemy przyjść i od rana świętować twoje urodziny. — Kayla aż podskakiwała z radości. Jej szare, przydymione oczy błyszczały z emocji. — No i wszyscy tu są.

— Ano są. — Obejmując dziewczynki uśmiechnęła się do zebranych. Margo oddała już swojego trzymiesięcznego synka w ręce babci i asystowała Joshowi podczas otwierania butelki szampana. Kate wysunęła się spod ramienia męża, by poczęstować się croissantem z tacy Laury.

— No powiedz, rekordzistko, jakie to uczucie? — dopytywała się z pełnymi ustami. — Sławetna Trójka?!

— Jeszcze przed minutą czułam się ohydnie. Szampan z sokiem pomarańczowym? — Spojrzała porozumiewawczo na Margo.

— A jak! O nie — powiedziała, uprzedzając prośbę Ali. — Dla ciebie i twojej siostry czysty sok pomarańczowy.

— To szczególna okazja — zaprotestowała Ali.

— No to wypijecie go w kieliszkach do szampana. — Uroczyście wręczyła dziewczynkom sok. — Wznosimy toast — dodała, biorąc męża pod rękę. — A więc zaczynaj, Josh.

— Za Laurę Templeton — rozpoczął. — Kobiętę o rozlicznych talentach, nie mówiąc już o wystrzałowym wyglądzie, zwłaszcza jak na młodszą siostrę — wszystkiego najlepszego w poranek twoich trzydziestych urodzin!

— Jeżeli ktoś przyniósł kamerę — odezwała się Laura odgarniając potargane włosy — zabiję go.

— Psiakość, wiedziałam, że o czymś zapomnę. — Kate potrząsnęła głową, wzruszyła ramionami. — Trudno. Przystąpmy więc do wręczenia pierwszego prezentu, Byron.

Byron De Witt, od sześciu tygodni mąż Kate, dyrektor operacyjny kalifornijskiej sieci hoteli Templeton, wysunął się do przodu. Stuknął się delikatnie z Laurą kieliszkami, błyskając zębami w uśmiechu.

— Panno Templeton, jeżeli przypadkiem spotkam panią dzisiaj na terenie hotelu, będę zmuszony wyciągnąć odpowiednie konsekwencje i zwolnić panią.

— Ależ muszę przygotować dwa bardzo ważne kosztorysy...

— Nie dzisiaj. Na dzisiaj zamyka pani swoje biuro. Będą sobie sami musieli poradzić przez dwadzieścia cztery godziny.

— Doceniam twoją szlachetność, Byronie, ale...

— W porządku — westchnął. — A zatem odmawia pani wypełnienia polecenia służbowego, panno Templeton?

Ubawiony sytuacją, Josh postanowił wzmocnić pozycję Byrona.

— Jako wicedyrektor operacyjny sieci Templeton nakazuje, byś wzięła wolny dzień. A jeżeli wbrew temu odmówisz wykonania polecenia, będziesz miała do czynienia z mamą i z tatą. Rozmawiałem już z nimi w tej sprawie. Zadzwoń do ciebie później.

— No cóż, widzę, że nie mam wyjścia. — Już chciała zrobić nadąsaną minę, poprzestała jednak na wzruszeniu ramionami. — A więc skorzystam z okazji i...

— Co to, to nie. — Czytając w jej myślach, Kate potrząsnęła głową. — Twoja noga nie zostanie dzisiaj w sklepie.

— Och, daj spokój. To już nie ma sensu. Mogę...

— Poleżeć w łóżku — dokończyła Margo — pospacerować po klifach, położyć sobie maseczkę, zrobić masaż twarzy. — Złapała ją przez prześcieradło za nogę i potrząsnęła nią. — Poderwij marynarza i... — Spojrzała na dziewczynki i opamiętała się. — I popływaj statkiem. Pani Williamson zaplanowała na wieczór wytworne przyjęcie urodzinowe, na które wszyscy już się wprosililiśmy. Do tego czasu, jeśli będziesz grzeczna, otrzymasz resztę prezentów.

— Mam coś dla ciebie, mamo. Mam coś, i Ali też ma. Annie pomogła nam wybrać. Musisz być grzeczna, żebyś to mogła rozpakować wieczorem.

— Zostałam przegłosowana. — Powoli i z namysłem wypita łyk szampana. — W porządku, poleniuchuję. Ale jeżeli popełnię jakieś głupstwo, to będzie wasza wina. Was wszystkich.

— Zawsze musi się zaasekurować. — Margo odebrała małego, gdy J.T. zaczął się kręcić i marudzić. — Ma mokro — stwierdziła i śmiejąc się wręczyła go ojcu. — Teraz twoja kolej, Josh. Będziemy z powrotem punkt o szóstej. Och, a jeśli zdecydujesz się puścić na szerokie wody, chcę mieć pełne sprawozdanie, z najdrobniejszymi szczegółami.

Wyszli równie szybko i hałaśliwie jak weszli, pozostawiając Laurę samą z butelką szampana i stygnącym śniadaniem.

Sadowiąc się ponownie na poduszkach pomyślała, jaka jest szczęśliwa. Ma rodzinę i przyjaciół, którzy ją kochają. Ma dwie piękne córeczki i dom, który zawsze nazywała swoim własnym.

Więc dlaczego czuję się taka bezużyteczna, pomyślała, a oczy zachodzą mi łzami?

Kłopot z wolnym czasem, stwierdziła Laura, polega na tym, że przypomina jej dni, gdy większą część wolnego czasu spędzała w różnych komitetach. Do niektórych przystąpiła z sympatii dla ludzi, projektów i spraw, do innych włączyła się pod wpływem nacisku Petera.

Zbyt długo uważała, że łatwiej jest się naginać niż stać w pozycji wyprostowanej.

A gdy ponownie zaczęła być sobą, odkryła również, iż mężczyzna, za

którego wyszła za męża, nie kochała ani jej, ani ich dzieci. Poślubił nazwisko Templeton i nigdy nie pragnął życia, o jakim ona marzyła.

Gdzieś pomiędzy urodzeniem się Ali i Kayli przestał nawet udawać, że ją kocha. Robiła jednak dobrą minę do złej gry i zachowywała pozory dobrego małżeństwa. A całe udawanie spadło na nią.

Aż do dnia, kiedy ujrzała ten najbanalniejszy, wstrząsający obrazek — własnego męża w łóżku z inną kobietą.

Wspominając tę scenę, przecięła starannie utrzymany trawnik, minęła południowe ogrody i weszła na ścieżkę w zagajniku obok starych stajni. Deszcz przeszedł w mgłę, która łączyła się z wznoszącymi się od ziemi kłębiastymi oparami. Miała wrażenie, jakby znalazła się w zimnej, płytkiej rzece.

Rzadko tędy chadzała, rzadko miała na to czas. Niemniej zawsze z tą samą przyjemnością obserwowała grę światła i cieni między drzewami, wdychała zapach lasu, nadsłuchiwała odgłosów ucieczki drobnej zwierzyny. Dawniej ten las wydawał się jej zaczarowany, ona zaś była zaklętą księżniczką oczekującą na tę jedyną prawdziwą miłość, która zdejmie z niej urok.

Niewinne i nieszkodliwe marzenia młodej dziewczyny. A może zbyt mocno pragnęła spełnienia się tej bajki, zbyt mocno w nią wierzyła? Wierzyła w Petera.

Zmiażdżył ją, po prostu i dosłownie zmiażdżył jej serce — zwykłym zaniedbaniem, lekceważącą, nie maskowaną obojętnością. Następnie, gdy ją zdradził, roztrzaskał pozostałe, ocalałe jeszcze kawałeczki. I wreszcie, gdy zabrał nie tylko jej, ale i dzieci pieniądze, usunął nawet tę resztkę pyłu, jaka pozostała.

Nigdy mu tego nie wybaczy ani nie zapomni.

Wędrując pod sklepieniem drzew, z których leniwie skapywały krople wody, pomyślała, że to ją uczyniło taką zgorzkniałą.

Pragnęła przełknąć ten gorzki smak, wznieść się ponad to wszystko i ruszyć z miejsca. Może trzydzieste urodziny to dobry moment, by zacząć od nowa?

To miało nawet pewien sens. Peter oświadczył się w dniu jej urodzin, przed dwunastu laty. W gwiazdzistą noc, przypominała sobie, unosząc twarz ku skraplającej się mgłę. Była wtedy taka pewna, taka ufna, wiedziała czego pragnie, czego potrzebuje. Obecnie nadszedł czas, by dokonać przewartościowań.

Skończyło się jej małżeństwo, ale nie życie. W ciągu ostatnich dwóch lat niewiele uczyniła, by tego dowieść.

Czy obchodziła ją praca, którą podjęła, by odbudować swoje życie i własne zasoby finansowe? Praca jako taka nie jest ważna, stwierdziła, unosząc wysoko nogę nad powalonym pniem i zagłębiając się w las. Jej posada w templetonowskich hotelach to kwestia odpowiedzialności, szacunku dla dziedzictwa, które zaniedbywała zbyt długo. A poza tym, przecież, u licha, musiała zarobić na utrzymanie.

A sklep. Uśmiechnęła się do siebie, gdy ugrzęzła butami w kałuży. Uwielbia „Pretensjonalną Galerię”, uwielbia pracę z Margo i z Kate. Cieszą ją klienci i towar, i poczucie spełnienia.

Wspólnie tego dokonały. Dla siebie nawzajem, dla każdej z osobna.

Czy długie godziny pracy i wysiłek mogą ją męczyć i drażnić, skoro dzięki temu może zapewnić dzieciom radosne i dostatnie życie? Są jej szczęściem. Bez względu na koszt, zrekompensuje im utratę domu, do której się w pewnym sensie przyczyniła.

Kayla, jej mała Kayla. Taka pogodna, tak łatwo jej sprawić radość, rozmyślała. Bezgranicznie ufne, beztroskie dziecko.

Natomiast Allison. Biedna Ali rozpaczliwie łaknie ojcowskiej miłości. Ona najboleśniej przeżyła rozwód i żadne wysiłki Laury nie mogły jej wynagrodzić straty. Obecnie jest lepiej, pomyślała Laura, lepiej niż podczas pierwszych miesięcy, niż podczas całego pierwszego roku. Ale zamknęła się w sobie, wycofała się, jej uczucia nie są tak spontaniczne jak kiedyś.

Zachowuje wobec mnie dystans, westchnęła Laura. Nadal obarcza mnie winą za odejście ojca, który nie okazuje przecież zainteresowania córkami.

Usiadła na pieńku, zamknęła oczy, a lekki wietrzyk, ta leśna muzyka, zawładnął nią. Poradzi sobie ze wszystkim — z pracą, pośpiechem, kłopotami, dziećmi. Obiecuje to sobie. Nikt bardziej niż ona nie był zdziwiony faktem, że radzi sobie tak dobrze.

Ale jak, jak na Boga, poradzić sobie z samotnością?

Później poobcinała w ogrodzie martwe pędy, pograbiła, zrobiła trochę porządku. Stary Joe nie dawał już rady. A młody Joe, jego wnuk, mógł pracy w ogrodzie poświęcić nie więcej niż kilka godzin w tygodniu, w przerwach między zajęciami w college'u. Ponieważ zatrudnienie pomocnika nadszarpnęłoby poważnie jej budżet, nie mówiąc o dumie starego Joe, przekonała go, że sama pragnie się zająć niektórymi pracami w ogrodzie.

Po części zresztą tak było. Pielęgnowanie kwiatów, krzewów, pnących roślin w Templeton House sprawiało jej zawsze ogromną radość. Jako dziecko często nie odstępowała Joe, nie dając mu spokoju. Podpatrywała różne jego tajemnice, uczyła się. A on wyciągał z kieszeni tubkę wiśniowych dropsów, wypychał kciukiem jednego dla niej i pokazywał, jak obchodzić się z pnączami, usuwać pasożyty, przycinać herbacianą różę. Uwielbiała go, jego już wtedy starą, zniszczoną słońcem, wichrami i deszczem twarz, jego powolny, pełen namysłu sposób mówienia i duże, cierpliwe ręce. Do pracy w ogrodach Templeton House przybył jako chłopiec, jeszcze za czasów jej dziadków. Po sześćdziesięciu latach służby miał prawo do emerytury, do własnego domu z ogrodem, do odpoczynku w promieniach słońca.

Gdyby mu jednak to zaproponowała, złamałaby mu serce. Była tego pewna.

I tak, pod pretekstem hobby, prace w ogrodzie nabrały dzięki niej tempa.

Gdy był na to czas, choćby nawet chwilka, przystawała obok Joe i dyskutowała z nim o sposobach strzyżenia i przycinania, o nawozach i mierzwie.

Dzisiaj, ponieważ dzień był krótki, postanowiła zrobić jeszcze tylko obchód. Ogrody wokół Templeton House wyglądały tak jak zawsze o tej porze roku. Panowała w nich cisza i wyczekiwanie. Najtrwalsze rośliny kwitły na przekór pogodzie. Pielęgnację i upiększanie domu rodzice powierzyli Laurze. Wywiązywała się z obu tych zadań.

Podeszła do krawędzi basenu, pokiwała głową na znak aprobaty. Sama dbała o basen. W końcu to była jej słałość i zachcianka. Bez względu na pogodę, jeśli tylko znajdowała czas, by przepłynąć kilka długości, oddawała się temu z radością. Nauczyła w nim pływać swoje dzieci, podobnie jak ją nauczył jej ojciec. Dzięki niedawno zainstalowanemu urządzeniu — specjalnej kombinacji pompy i filtru — woda musowała i skrzyła się delikatnym błękitem.

Na dnie basenu żyła rusałka — mozaikowa fantazja o falujących ognistorudych włosach i połyskującym, zielonym tułowiu. Dziewczynki uwielbiały nurkować i dotykać jej uśmiechniętej, wesołej twarzy. Podobnie zresztą jak Laura.

Z przyzwyczajenia sprawdziła czystość szklanych blatów stołów, upewniła się, czy na poduszkach wyściełających fotele i leżaki nie ma kurzu bądź wilgoci. Ann już to na pewno zrobiła przed nią, jednak Laura nie byłaby sobą, gdyby się osobiście nie upewniła, że wszystko jest w najdoskonalszym porządku.

Zadowolona z wyniku inspekcji, wracała wybrukowaną alejką do domu. Skuszona zapachami, na które żywo zareagował jej żołądek, skierowała się ku drzwiom kuchennym. Rozłożysta w biuście i w biodrach pani Williamson stała w kuchni. Jak zawsze, odkąd Laura sięga pamięcią.

— Udziec jagnięcy — westchnęła rozanielona. — Mus jabłeczny z przyprawami. Kartofle z wody z curry.

Na twarzy pani Williamson pojawił się błogi uśmiech. Miała już dobrze po sześćdziesiątce. Jej czarne, mocno połyskujące włosy i kształt głowy przypominały piłkę do kręgli. Ale dobroduszna i łagodna, pełna bruzd i zmarszczek twarz była tak słodka, jak okrągłe śmietankowe ciasteczka jej własnej roboty.

— Masz dobry węch, jak zawsze, panno Lauro, podobnie jak pamięć. To twoje ulubione urodzinowe danie.

— Nikt nie piecze jagnięciny tak świetnie jak pani, droga pani Williamson. — Nie wychodząc z roli, Laura myszkowała po przestronnej kuchni, wtykając nos w różne zakamarki. — Nie widzę jednak tortu.

— Może zapomniałam upiec.

Zgodnie z regułami gry Laura była niepokieszona.

— Och, pani Williamson!

— A może nie — zachichotała kucharka, poruszając drewnianą łyżką. — A teraz zmykaj. Kręcisz się tutaj i przeszkadzasz gotować. Oczyszczyć się, przyniosłaś na sobie śmieci z ogrodu.

— Tak jest, proszę pani, już się robi, proszę pani. — Będąc już w drzwiach, przystanąła na krótko. — Czy to aby nie będzie tort Black Forest? Z podwójną warstwą masy czekoladowej?

— Poczekaj, a zobaczysz. Zjeżdżaj.

Gdy już znalazła się po drugiej stronie korytarza, zaśmiała się. Oczywiście, że to będzie tort Black Forest. Może pani Williamson stała się ostatnio ciut zapominalska, a jej słuch nie jest już taki jak dawniej, ale o najistotniejszych sprawach, takich jak tradycyjne, urodzinowe menu dla Laury, pamiętała w najdrobniejszych szczegółach.

Podśpiewując pod nosem, weszła na górę, by się wykąpać i przebrać się do kolacji. Była w lepszym nastroju, ale gdy usłyszała rozgorzałą na całego sprzeczkę między siostrami, poczuła, jakby ją ktoś zdzielił obuchem.

— Jesteś głupia i już. — Głos Ali był ostry i pełen goryczy. — Nic nie rozumiesz, nienawidzę cię.

— Nie jestem głupia. — W głosie Kayli dawały się wyczuć drżące łzy. — Ja ciebie jeszcze bardziej nienawidzę.

— Nie ma co, ładna scenka. — Nie chcąc sobie psuć nastroju ani perspektywy wieczornej przyjemności, Laura zatrzymała się na progu pokoju Ali.

Obrazek wyglądał na pozór całkiem niewinnie. Ładny dziecięcy pokój, cały w pastelowej zieleni i bieli, na półkach wokół szerokiego okna regionalne lalki z całego świata. Poustawiane od Sweet Valley High po Jane Eyre książki wypełniały oszklony regał. Na toaletce, w otwartej szkatułce, obracała się baletnica.

Jej córki stały naprzeciw siebie, po obu stronach łóżka z baldachimem, niczym śmiertelni wrogowie na polu bitewnym.

— Nie chcę jej widzieć w moim pokoju. — Z zacziśniętymi piąstkami Ali zwróciła się ku matce. — To mój pokój i nie chcę jej tutaj.

— Narysowałam obrazek i chciałam jej pokazać — tłumaczyła Kayla drżącymi wargami, wyciągając papier przed siebie. Był to udany szkic zionącego ogniem smoka i młodego rycerza w srebrnej zbroi, z uniesionym mieczem. Naturalny, nieskażony talent dziecka sprawił, że Laura od razu przypomniała sobie o konieczności znalezienia dla Kayli nauczyciela rysunku.

— Jest wspaniały, Kaylo.

— Powiedziała, że jest brzydki. — Nie wstydząca się okazywać emocji Kayla rozplakała się. — Powiedziała, że jest brzydki i głupi, i że przed wejściem do jej pokoju mam najpierw zapukać.

— Ali?

— Smoki są nieprawdziwe i brzydkie. — Dziewczynka wysunęła wyzywająco podbródek. — A ona nie może wchodzić do mojego pokoju, jeśli ja sobie tego nie życzę.

— Masz prawo do prywatności — powiedziała ostrożnie Laura — ale nie masz prawa być niedobra dla siostry. — Przykucnęła, otarła łzy z policzków Kayli. — To śliczny obrazek. Jeśli chcesz, możemy go oprawić.

Łzy wyschły równie szybko, jak się pojawiły.

— Naprawdę możemy?

— Naturalnie, i możemy go powiesić w twoim pokoju. Chyba że pozwolisz powiesić go u mnie.

Dziewczynka rozkwitła, rozpromieniła się.

— Możesz go powiesić.

— Strasznie się cieszę. A teraz możesz pójść do siebie i podpisać go dla mnie, jak prawdziwy artysta. Aha, Kaylo... — Podniosła się, przytrzymała rękę na ramieniu córki. — Jeśli Ali chce, żebyś pukała do jej pokoju, to przecież możesz to zrobić.

Bunt jeszcze nie wygasł.

— To niech ona też do mnie puka.

— W porządku. A teraz biegnij. Chcę porozmawiać z Ali.

Kayla odmeldowała się z uśmiechem wyższości przesłanym siostrze.

— Gdybym to ja jej powiedziała, nie wyszłaby stąd — zaczęła Ali. — Wpada tu zawsze, kiedy chce.

— Jesteś od niej starsza, Ali — powiedziała spokojnie Laura, próbując zrozumieć prawdziwe podłoże sprzeczki. — Z tym wiążą się przywileje, ale także odpowiedzialność. Nie oczekuję, że nigdy nie będziecie ze sobą walczyć. Josh i ja walczyliśmy. Margo i Kate, i ja walczyłyśmy, ale ty ją ranisz.

— Chciałam tylko, żeby wyszła. Chciałam być sama. Nie obchodzi mnie jej głupi rysunek głupiego smoka.

Tu chodzi o coś więcej, pomyślała Laura, patrząc na zgnębioną twarzączkę córki. Usiadła na brzegu łóżka, na wysokości oczu Ali.

— Powiedz, kochanie, o co naprawdę chodzi?

— Zawsze trzymasz jej stronę.

Laura stłumiła westchnienie.

— Tak nie jest, Ali. — Zdecydowanym ruchem ujęła rękę córki i przyciągnęła ją do siebie. — I wcale nie o to się martwisz.

W duszy tego dziecka toczy się walka, uświadomiła sobie Laura, obserwując rozbiegany wzrok Ali. Z całego serca pragnęła znaleźć właściwą drogę, by ją ukoić.

— To nieważne. Tego i tak się nie zmieni. — Była bliska łez. — Nic na to nie poradzisz.

Zabolało. Ale okazywany od jakiegoś czasu brak zaufania ze strony Ali zawsze bolał.

— Najpierw mi powiedz, a później się przekonamy. Jak mogę coś zrobić, jeśli nawet nie wiem, o co chodzi.

— W szkole urządzają kolację dla ojców i córek — wyrzuciła z siebie pełne złości i bólu słowa. — Każdy ma przyjść ze swoim tatusem.

— Och. — A więc tu tkwi sedno sprawy, zmartwiła się Laura, dotykając policzka córki. — Tak mi przykro, Ali. To rzeczywiście problem. Wujek Josh może pójść z tobą.

— To nie to samo.

— To prawda, to nie to samo.

— Chcę, żeby było tak samo — wyszeptwała zboląta dziewczynka. — Dlaczego nie zrobisz, żeby było tak samo?

— Nie mogę. — Poczwała ulgę, gdy Ali, bez oporu, pozwoliła się przytulić. Poczwała też smutek.

— Dlaczego nie zrobisz czegoś, żeby wrócił? Dlaczego nie zrobisz czegokolwiek, żeby mógł wrócić?

Teraz na warstwę smutku nałożyło się poczucie winy.

— To niemożliwe.

— Nie chcesz, żeby wrócił. — Obrzuciła Laurę błyszczącym, narbrzmiałym od łez spojrzeniem i wyrwała się jej. — Powiedziałaś mu, żeby sobie poszedł, nie chcesz, żeby wrócił.

To było jak chodzenie po cienkiej, rozkołysanej linii.

— Twój ojciec i ja jesteśmy rozwiedzeni. I to się nie zmieni. Już nie możemy i nie chcemy być razem, ale to nie ma nic wspólnego z tobą ani z Kaylą.

— To dlaczego on nie przychodzi? — Znowu polały się łzy, tym razem gorące, przepełnione żalem. — Inne dzieci mają rodziców, którzy nie mieszkają razem, ale ich tatusiowie przychodzą i spędzają z nimi czas, chodzą gdzieś razem.

Lina stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

— Twój ojciec jest bardzo zajęty, a poza tym mieszka obecnie w Palm Springs. — Kłamstwa, pomyślała Laura. Żałosne kłamstwa. — Jestem pewna, że gdy się na dobre zainstaluje, będzie spędzał z tobą więcej czasu. — Ale czy kiedykolwiek to robił?

— Nie przychodzi, bo nie chce się z tobą widzieć. — Dziewczynka spojrzała na nią. — To przez ciebie.

Laura zamknęła oczy. Co z tego jeśli zaprzeczy, będzie się bronić i pozostawi swoje dziecko z wciąż nie zabliźnioną raną?

— Jeśli tak jest, zrobię, co mogę, by mu to ułatwić, tak jak i tobie. — Laura podniosła się. Nie czuła się pewnie na nogach. — Są sprawy, których nie mogę zmienić, których nie mogę załatwić. Nie mogę cię powstrzymać przed oskarżaniem mnie o to, co się stało.

Chcąc jak najszybciej opanować zarówno smutek jak i złość, odetchnęła głęboko.

— Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa, Ali. Kocham cię. Kocham ciebie i Kaylę bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Napięte ramiona Ali rozluźniły się.

— Zapytasz go, czy będzie mógł pójść na tę kolację? W przyszłym miesiącu, w sobotę.

— Tak, zapytam go.

Do złości i rozpacz doszedł wstyd. Ali nie musiała patrzeć na twarz matki, by wiedzieć, jak bardzo jest zraniona.

— Jest mi przykro, mamó.

- Mnie również.
- Powiem też Kayli, że jest mi przykro. Ona naprawdę dobrze rysuje. A ja... ja nie potrafię.
- Ty umiesz inne rzeczy. — Delikatnie odwróciła Ali ku sobie, wzięła ją za ramiona. — Tak pięknie tańczysz. I grasz tak dobrze na fortepianie, bez porównania lepiej niż ja w twoim wieku. A nawet lepiej niż gram teraz.
- Już nigdy nie grasz.
- Jest wiele rzeczy, których już nie robi.
- A co byś powiedziała na grę na cztery ręce dzisiaj wieczorem? Kayla mogłaby śpiewać.
- Skrzeczy jak ropucha.
- Wiem, ale to nie szkodzi.
- Kiedy Ali podniosła wzrok, uśmiechnęły się szeroko do siebie.

Kolejny kryzys zażegnany, pomyślała Laura siadając wygodnie w fotelu po rodzinnej kolacji. W kominku wesoło trzaskał ogień, a ogromny, bogato udekorowany tort zapowiadał rozkosze podniebienia. Przez odsłonięte okna widać było rozgwieżdżone niebo. Oświetlenie nadawało wnętrzu ciepłą atmosferę.

Prezenty urodzinowe zostały rozpakowane i obejrzone wśród okrzyków podziwu. Na górze spało niemowlę. Josh i Byron palili cygara, a córki Laury, chwilowo pogodzone, popisywały się przy fortepianie. Skrzeczący głosik Kayli z trudem nadażał za biegłą grą Ali.

— No więc przysłała po chanelowską torebkę — opowiadała wygodnie zwinęta na sofie Margo. — Zajęło jej to ponad godzinę. Dosłownie splądrowała sklep. Trzy garsonki, suknia wieczorowa — ta twoja, biała, od Diora, Lauro — cztery pary pantofli. Wyobraź sobie, cztery! Sześć bluzek, trzy swetry, dwie pary jedwabnych spodni. I to wszystko, zanim jeszcze zaczęła dobierać dodatki i biżuterię.

— Ten dzień przejdzie do historii sklepu. — Kate opierała bose stopy o blat stolika w stylu Ludwika XIV. — Coś mnie tknęło, kiedy ta kobieta podjechała białą, ogromną limuzyną. Przyjechała z Los Angeles, ponieważ jedna z jej przyjaciółek opowiadała jej o „Pretensjonalnej Galerii”.

Kate upiła łyk ziołowej herbaty, rozglądając się tęsknym wzrokiem za mocną kawą.

— Mówię wam — dodała — ta kobieta zna się na rzeczy. Powiedziała, że kupuje dom na wsi i że wróci, i wybierze meble i Bóg wie co jeszcze ze sklepu. Wygląda na to, że jest żoną jakiegoś ważnego producenta. Ma zamiar rozpowiedzieć wszystkim swoim przyjaciółkom o wyjątkowym, sympatycznym sklepiku z używanymi rzeczami w Monterey.

— To cudownie. — Tak cudownie, iż Laura z trudem przełknęła fakt, że jej tam wtedy nie było.

— Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinniśmy pomyśleć o rozwinięciu interesu. Raczej w Los Angeles niż w Carmel.

— Masz tobie, jesteś w gorącej wodzie kąpana. — Kate zmierzyła Margo wzrokiem, z politowaniem mrużąc oczy. — Dopóki nie przepracujemy w biznesie pełnych dwóch lat, nie mamy podstaw do otwarcia nowej filii. Dopiero wtedy będę mogła sporządzić miarodajną kalkulację.

— Tobie tylko księgowość w głowie — mruknęła Margo.

— A co! Chyba wolisz nie zastawiać własnego tyłka. Powiedz, jak spędziłaś wolny dzień, Lauro?

— Och, zajmowałam się trochę ogrodem. — Nie mówiąc o zapłaceniu rachunków, uporządkowaniu szafy i drobnych zajęciach domowych.

— Czy to nie J.T.? — Kierując się szóstym, matczynym zmysłem, Margo nastawiła głośniejszy znajdujący się obok niej odbiornik monitorujący, z którego dobiegało ledwo słyszalne kwilenie. — Pójdę sprawdzić.

— Nie, pozwól, że ja to zrobię. — Laura podniosła się błyskawicznie. — Proszę. Masz go stale przy sobie. Pobawię się z nim.

— Oczywiście. Ale gdyby był... — Spojrzała na dwie dziewczynki przy fortepianie i urwała zdanie. — Przypuszczam, że w razie czego poradzisz sobie.

— Chyba coś wymyślę. — W obawie, by Margo nie zmieniła zdania, Laura wybiegła pospiesznie.

To zabawne i wzruszające oglądać impulsywną, zawsze błyszczącą przyjaciółkę, przejętą swym macierzyństwem. Jeszcze dwa lata temu nikt by nie uwierzył, że Margo Sullivan, supermodelka, obiekt pożądania Europy, osiadła w rodzinnym mieście, będzie prowadziła sklep z używanymi rzeczami i wychowywała dziecko. Samej Margo z pewnością najtrudniej jest w to uwierzyć, zadumała się Laura.

A los obszedł się z nią surowo. Ale zamiast się poddać, wycofać, zebrała się w sobie. Z determinacją i sprytem obróciła los na swoją korzyść.

Teraz ma Josha i Johna Thomasa, a także dobrze prosperujący interes. Ma dom, który kocha.

Laura pomyślała z nadzieją, że może i ona któregoś dnia złapie szczęśliwy wiatr w żagle.

— A kogo my tu mamy! — zaszcebiotała, podchodząc do zabytkowej kołyski, którą wraz z Ann przytaszczyły z piwnicy. — Tu jest mój skarb. Aleś ty przystojny. Mój maleńki John Thomas Templeton.

Nic nie przesadzała. Malec mógł wybierać z bogatej palety genów i wybrał dobrze. Złociste, gęste włoski okalały śliczną twarzyczkę. Rozkosznie okrągłutką, jak to u niemowlęcia, z olśniewającymi niebieskimi oczami matki i przesłonicznie zarysowanymi usteczkami po ojcu.

Niecierpliwie kwilenie ustało na chwilę. Gdy go podniosła, ogarnęło ją uczucie, jakie dane może być tylko kobiecie. To noworodek — początek życia i piękno.

— No co, malutki, smutno ci? Zostawili cię samego? — Nosiła go, by zaspokoić własną potrzebę, a także, by uspokoić małego. Pragnęła mieć więcej dzieci. Wiedziała, że to egoizm. Ma przecież takie śliczne córeczki. Ale... och, chciała mieć więcej dzieci.

Teraz może rozpieszczać bratanka. Pofolguje sobie. Kate i Byron będą mieli dzieci, rozmyślała, kładąc J.T. na stole do przewijania. A zatem urodzi się więcej dzieci do przytulania.

Przewinęła go, przesypała talkiem, połaskotała. Zaśmiał się rozkosznie, pomachał nóżkami, pokazał w uśmiechu bezzębne dziąsła. Okręcił sobie wokół paluszka pukiel jej włosów i lekko szarpnął. Idąc za pociąganiem Laura wtuliła twarz w jego karczek.

— Nawrót wspomnień? — zapytał Josh, wchodząc do dzieciennego pokoju.

— Niezmiennie. Kiedy przygotowywałyśmy z Annie ten pokój na jego przybycie, pławiłyśmy się we wspomnieniach. — Uniosła J.T. wysoko, ponad swoją głowę, przyprowadzając go o zabawne gruchanie. — Obie dziewczynki spały w tej kołysce.

— Podobnie jak ty i ja. — Zanim podszedł do syna, przeciągnął ręką po rzeźbionych balaskach. Rwał się, by wziąć małego na ręce, powstrzymał się jednak, pozwalając Laurze nacieszyć się malcem.

— To co powiem zabrzmi banalnie, niemniej muszę to powiedzieć. Czas szybko mija, Josh. Ciesz się jak najcenniejszym skarbem każdą chwilą spędzoną z synem.

— Tak jak ty to robiłaś. — Dotknął jej włosów. — Byłaś i jesteś najwspanialszą matką. Podziwiam cię za to.

— Przestań, bo się rozbeczę — wyszeptła, chowając twarz w ciepłutkiej fałdce szyki J.T.

— Mieliśmy idealne wzorce do naśladowania. Jesteśmy szczęściarzami, Lauro, mając takich rodziców jak nasi.

— Myślisz, że o tym nie wiem! Nawet teraz, gdy prowadzą poważne pertraktacje w sprawie budowy nowego hotelu na Bimini, zatelefonowali dzisiaj, by życzyć mi wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

— A tatuś na pewno opowiedział historię, jak to podczas najsurowszej zimy, jaka nawiedziła środkową Kalifornię, przedzierał się autem, a mama zaczynała cię właśnie rodzić.

— Oczywiście. — Podniosła twarz i uśmiechnęła się szeroko. — Uwielbia opowiadać tę historię. Deszcz, strumienie wody, obsuwające się pobocza, błyskawice i pioruny. Brakowało tylko Anioła wzywającego na Sąd Ostateczny i siedmiu plag egipskich.

— „Ale ją dowiozłem” — cytował dalej Josh. — „Z zapasem trzech kwadransów”. — Położył rękę na głowce syna. — Nie każdy ma takie szczęście. Przypominasz sobie Michaela Fury?

Posępny, niebezpieczny mężczyzna o gorącym spojrzeniu. Kto mógłby nie pamiętać Michaela Fury?

— Miałeś zwyczaj włóczyć się z nim, rozglądać się za dziewczynami i kłopotami. Zaciągnął się do marynarki handlowej, czy coś w tym rodzaju.

— Zajmował się także wieloma innymi rzeczami. Miał również jakieś rodzinne problemy — wyjątkowo paskudny rozwód. A właściwie to dwa.

Jego matka wyszła po raz trzeci za męża, gdy miał dwadzieścia pięć lat. Teraz, zdaje się, spokojnie zapanuje na dłuższej. W każdym razie Michael wrócił w te strony parę tygodni temu.

— Ach tak, nie wiedziałam.

— Ty i Michael nigdy nie poruszaliście się po tej samej orbicie — skomentował oschle Josh. — Wrócił tam, gdzie się wychowywał. Matka z ojczymem przenieśli się do Boca, a on odkupił od nich gospodarstwo. Hoduje teraz konie.

— Konie. Hmm. — Nie bardzo zainteresowana szczegółami, zaczęła znowu nosić małego. Wiedziała, że trzeba poczekać, aż Josh przejdzie do sedna sprawy. W pewnych sytuacjach potrafił kluczyć jak prawnik.

— Pamiętasz te burze sprzed paru tygodni?

— Och, jeszcze jak. Było prawie tak strasznie, jak w noc, podczas której urodziła się Laura Templeton.

— Taa, tyle że było jeszcze więcej obsunięć ziemi. Jedno z nich zniszczyło posiadłość Michaela.

— Och, to przykre. — Przestała chodzić, wczuła się w sytuację. — Naprawdę bardzo przykre. Czy coś mu się stało?

— Nie. Wyszedł z tego cało, razem z inwentarzem. Ale stracił dom. Sporo czasu upłynie, zanim go odbuduje, jeśli w ogóle ma taki zamiar. Na razie potrzebne mu jest tymczasowe lokum. Dla niego i dla koni. Rozumiesz, coś, co mogłoby wynająć na krótki okres. Pomyślałem, że stajnie i mieszkanie stajennego stoją nie używane.

Postęsyła dzwonek alarmowy.

— Josh.

— Posłuchaj mnie tylko. Wiem, że mama i tata zawsze mieli wobec niego pewne zastrzeżenia.

— Delikatnie powiedziane.

— To stary przyjaciel — zmienił taktykę Josh. — Dobry przyjaciel. Ma także smykałkę do różnych robót. Tych budynków nie remontowano od lat, od czasu... — Urwał, zakasłał.

— Od czasu, gdy sprzedawałam korne — dokończyła Laura. — Ponieważ Peter nie interesował się nimi i prawie wszystkie prace spadały na mnie.

— Chodzi o to, że trzeba się zająć budynkiem. Po co ma stać pusty! Skoro odmawiasz przyjęcia pomocy od rodziców, mogłabyś przeznaczyć pieniądze z czynszu na prowadzenie domu.

— Nie wracajmy do tego tematu.

— W porządku. — Dobrze znał ten jej nieprzejednany wyraz twarzy, próbował jednak dalej. — Pieniądze z domu, którego nie używasz, pomogłyby ci załatać dziury w budżecie. Czy nie mam racji?

— Tak, ale...

Podniósł rękę, by jej przerwać. Teraz przede wszystkim musi odwołać się do logiki i do praktycznych stron propozycji.

— Mogłabyś kogoś zatrudnić do cięższych prac porządkowych, kogoś, kto przywróciłby stajniom ich dawny wygląd. Sama nie dasz rady.

— To prawda, ale...

A teraz, pomyślaj Josh, koronny argument.

— A ja mam dawnego przyjaciela, który stracił dom. Wyświadczyłabyś mi ogromną przysługę.

— To chwyć poniżej pasa.

— Takie są najskuteczniejsze. — Wiedział, że osiągnął cel. Pociągnął ją lekko, z uczuciem za włosy. — W końcu przecież takie rozwiązanie urządzi wszystkich, ale przemyśl to jeszcze. Jeśli w ciągu paru najbliższych tygodni dojdiesz do wniosku, że ci nie odpowiada, poszukam innego.

— Już dobrze. Ale jeżeli on zacznie urządzać pijackie przyjęcia z pokerem albo orgie...

— Postaramy się to jakoś zatuszować — dokończył Josh z figlarnym uśmiechem. — Dzięki. — Pocałował ją, wziął dziecko. — To dobry człowiek, Lauro. Taki, na którego można liczyć w podbramkowych sytuacjach.

Zmarszczyła nos za plecami brata, wynoszącego z pokoju J.T.

— Nie zamierzam liczyć na Michaela Fury, zwłaszcza w podbramkowych sytuacjach.

Rozdział trzeci

Ostatnim miejscem, jakie Michael Fury spodziewał się obrać za rezydencję — choćby tymczasową — była wielka posiadłość Templetonów. Och, bywał tu często w przeszłości. Obserwowany subtelnie przez Thomasa i Susan Templetonów. I bynajmniej nie tak subtelnie przez Ann Sullivan.

Miał pełną świadomość, że gospodyni z Templeton House ma go za kundla, który przyplątał się do jej rasowego stadka. Przypuszczał również, że niepokoily ją intencje Michaela wobec Margo.

Jeśli o to chodzi, nie miała powodu do obaw. Bez względu na to, jak bardzo namiętne były jej olśniewające usta, bo przecież były, on i Margo nigdy nie przekroczyli granicy zwyczajnej przyjaźni.

Być może pocałował ją kilka razy. Który popędliwy mężczyzna mógłby się oprzeć takim ustom? Ale od tego się zaczęło i na tym też skończyło. To dziewczyna dla Josha. Już dawno temu, nawet mimo młodzieńczej krótkowzroczności, widział to.

Michael Fury nie kłusuje na terenie kumpla.

Mimo różnicy pochodzenia pozostali przyjaciółmi. Prawdziwymi przyjaciółmi. A do tego grona Michael zaliczał bardzo niewiele osób. Gotów był się poświęcić dla Josha, dowiódł tego, wiedział też, że z drugiej strony może liczyć na to samo.

Niemniej, nigdy by się nie zwrócił o pomoc, nigdy by też jej nie przyjął. Ale w grę wchodziły jego konie. Nie chciał ich trzymać w publicznych stajniach dłużej, niż to było konieczne. Darzył je uczuciem i nie wstydził się tego. Na przestrzeni ostatnich lat stały się jedynymi żywymi istotami, które kochał.

Imał się rozmaitych prac. Wielu zajęć. Płynął pod prąd. Lubił dryfować. Zaciągnięcie się do marynarki handlowej było ucieczką, jedną z tych, w której znalazł upodobanie. Obejrzał kawał świata. Spodobało mu się tu i ówdzie.

Przez jakiś czas były samochody. Nadal miał do nich słabość, zwłaszcza gdy przyduszał gaz do dechy. Odnosił pewne sukcesy na europejskich torach wyścigowych, ale nie sprawiło mu to na dłuższą metę satysfakcji.

Między morzem a samochodami była krótka przerwa. Jako najemnik nauczył się zbyt wiele o zabijaniu i pogoni za zyskiem. Może przestraszył się, że zacznie mu to dawać zbyt wielką satysfakcję? Odszedł z wypchanym portfelem i z niepokojem w sercu.

Raz był żonaty, także bardzo krótko, i nie oczekiwał sukcesu po tego typu doświadczeniu.

Pracował również jako dubler w filmie. Właśnie wtedy rozmiłował się w koniach. Nauczył się tego fachu, zdobył reputację, często łamał kości. Wyskakiwał z budynków, urządzał burdy, bił się w filmowych dekoracjach barów, był zestrzeliwany z dachów, przypalany „żywcem”. I niezliczoną ilość razy spadał z koni.

Michael Fury umiał się pozbierać po upadku. Ale odkąd zakochał się w koniach, nie mógł się od nich wyzwolić.

Więc kupił je, hodował i trenował. Zastrzelił chorego konia, uczestniczył w porodzie źrebaka.

Choć wiedział, że na sukces trzeba długo czekać, uważał, że znalazł to, czego szukał.

Kiedy zadzwonił ojczym i oznajmił, że zamierzają wraz z matką sprzedać posiadłość na wzgórzach, uznał to za pomyślnie zrzędnienie losu. Wprawdzie nie darzył tego miejsca szczególnym uczuciem, wyraził jednak gotowość odkupienia gospodarstwa od zaraz.

Okolica była dobra dla koni.

Wrócił więc, a przyroda zgotowała mu brutalne powitanie. Mniejsza o dom. Ale jego konie. Ratując je, omal nie zginął: był zbyt blisko krawędzi, gdy akry błota zaczęły się niebezpiecznie obsuwać.

Wyszedł z tego cało. Brudny, wyczerpany, samotny, widząc przed sobą ruinę, zamiast posiadłości, w której miał zacząć wszystko od nowa.

Był czas, kiedy rzuciłby to po prostu i przeniósł się gdzieś indziej. Tym razem czuł się związany.

Josh wyciągnął do niego pomocną dłoń. Zastanawiając się, co jest dla niego ważniejsze, duma czy konie, wybrał konie i przyjął wsparcie Josha.

Skracając na podjazd do Templeton House, miał nadzieję, że dokonuje dobrego wyboru. Zawsze podziwiał to miejsce. To było silniejsze od niego. Zatrzymał się więc w połowie drogi, wysiadł z samochodu i objął spojrzeniem rozległą okolicę.

Wciągnął w płuca łagodne, zimowe powietrze. Był zwinny mężczyzną, o silnej, wysportowanej sylwetce. Ubierał się na czarno. Ten kolor uwalniał go od myślenia, gdy sięgał po garderobę. Obcisłe czarne dżinsy i sweter pod popękana skórzaną lotniczą kurtką nadawały mu wygląd *desperado*.

Nie jest to zresztą dalekie od prawdy, pomyślał.

Czarne włosy tańczyły na wietrze. Były dłuższe niż potrzeba, błyszczące i gęste z natury. Kiedy pracował, ściągał je często do tyłu i wiązał w gruby koński ogon. Nie znosił fryzjera i cierpiałby piekielne katusze, gdyby musiał chodzić do kogoś, kogo określano obecnie mianem stylisty.

Zapomniał się ogolić. Nawet pomyślał o tym, ale zaaferowany był końmi. Zarost sprawiał, że jego koścista twarz wydawała się surowa i zarazem interesująca. Miał zadziwiająco delikatne usta. Wiele kobiet mogłoby zaświadczyć, jakie są wprawne i szczodre. Ale postronny obserwator, przygwożdżony twardym spojrzeniem zimnych oczu, na ogół nie dostrzegał tego łagodnego szczegółu.

Miał silnie zaznaczone łuki brwiowe, na lewym widniała niewielka, wyblakła blizna.

Było ich więcej na ciele — od wypadków na torach samochodowych, od bójek, od kaskaderskiej pracy. Nauczył się żyć z nimi, podobnie jak żył z bliznami na duszy.

Przyglądając się połyskującej, kamiennej bryle, ostro zakończonym wieżyczkom i lśniącym oknom Templeton House, uśmiechnął się. Chryste, co za miejsce, pomyślał. Zamczysko nowoczesnej arystokracji.

Zadumał się chwilę. I tutaj przybywa Michael Fury! Czego ty tu szukasz, chłopie, do jasnej cholery!?

Zaśmiał się pod nosem i ruszył pod górę, przecinając falujące na wietrze trawniki, na których rosły gdzieś tam stare, majestatyczne drzewa i oczekujące na kwitnienie krzewy. Nie łudził się, że panująca tutaj księżniczka z radością wypatruje jego przybycia. Josh musiał użyć niezłych chwytów, żeby nakłonić swoją światową siostrę, by otworzyła choćby stajenne podwoje dla kogoś takiego jak Michael Fury.

Oboje będą musieli się jakoś do tego przyzwyczaić, pomyślał. Nie, nie potrwa to długo, był pewien, że postarają się nie wchodzić sobie w drogę. Jak dawniej.

Wykrojenie wolnej godziny w środku dnia stanowiło nie lada problem dla Laury, było jednak konieczne. Grubsze sprzątanie mieszkania nad stajnią powierzyła pokojówce. Trudno nawet opisać, jaki tam panował bałagan, ile było kurzu, brudu i pajęczyn. I myszy, wzdrygnęła się Laura, dźwigając wiadro z mydlinami.

Nie oczekiwała, że dziewczyna dokona cudu. A czasu było niewiele. Pomoc Ann nie wchodziła w grę. Na sam dźwięk imienia Michaela Fury gospodyni parsknęła pogardliwie i odeszła z kamienną twarzą.

Chcąc nie chcąc Laura sama musiała dokończyć sprzątanie. Nie umiałaby powitać kogoś w domu, w jakiegokolwiek jego części, gdyby wszystko nie było dopięte na ostatni guzik.

Pomyślała, że zamiast bitej godziny przeznaczonej na lunch w „Pretens-

jonalnej Galerii" czeka ją błyskawiczna zmiana ubrania i nielicha porcja ostrej, fizycznej pracy. Stan łazienki w mieszkaniu nad stacją sprawił, że młoda Jenny oniemiała z wrażenia.

Trudno się jej dziwić. Ze związanymi do tyłu włosami, z podwiniętymi rękawami Laura wdrapała się na brzeg wanny i wzięła się do usuwania grubej warstwy brudu. Jej gość — lokator, który nie wiadomo po jakie лихо ma tu jutro przybyć, nie dopatrzy się śladu nieczystości na kafelkach.

Natomiast stajnie, na które rzuciła okiem, pozostawi Michaelowi Fury — to jego domena.

Szorując i pucując układała pośpiesznie plan zajęć na resztę dnia. O trzeciej musi być z powrotem w „Pretensjonalnej Galerii”. Zamknięcie sklepu o wpół do siódmej. Następnie odebranie galopem dzieci z lekcji muzyki.

Do licha, zapomniała rozejrzeć się za dobrym nauczycielem rysunku dla Kayli.

O wpół do ósmej kolacja. Sprawdzenie i upewnienie się, że obie dziewczynki odrobiły lekcje na następny dzień.

Czy to na jutro Kayla musi się przygotować z ortografii, czy Ali z matematyki? A może jedno i drugie. Dobry Boże, nie chciałyby teraz wracać do szkoły. Dobiłyby ją ułamki.

Zdyszana nieco, lekko już obolała, westchnęła, zachlapując policzki mieszanką mydlin i kurzu.

Musi wreszcie przestudiować ten raport na temat zaplanowanego na przyszły miesiąc seminarium poświęconego kosmetyce. Zrobi to w łóżku, gdy tylko położy dziewczynki. Ali potrzebne są nowe baletki. Tym już się zajmą jutro.

— No, no, wcale niezły widok. — Michael wszedł przez wąskie drzwi i ujrzał na powitanie powabną pupę w opiętych, spłowiałych dżinsach. Jak sądził, sprzątała tu któraś z młodocianych pokojowych z Templeton House. — Jeśli to należy do wyposażenia, będę chyba płacił cholernie wysoki czynsz.

Wydała krótki ostry dźwięk, podskoczyła, uderzyła głową o rączkę prysznica, oblała nogi brudną wodą. Trudno powiedzieć, kto z nich był w tym momencie bardziej zaskoczony.

Michael aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że przechował w pamięci jej obraz. Doskonały. Doskonale uroczy, cały w złocie, różu i bieli, jak błyszczący obrazek z książeczki o królownie z bajki.

Ale stojąca przed nim kobieta, o ogromnych, ciemnoszarych oczach, miała pobrudzone policzki, była rozczochrana, a w wypięgnowanych dłoniach trzymała szczotkę do szorowania.

Pierwszy ochłonał. Człowiek żyjący w stałym napięciu musi mieć szybki refleks. Uśmiechnął się więc od ucha do ucha.

— Laura Templeton, jeśli mnie wzrok nie myli?

— Nie spodziewałam się... nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj.

No tak, pomyślał. Ten sam głos. Chłodny, opanowany, kulturalny.

— Lubię znać topografię terenu. Frontowe drzwi były otwarte na oścież.

— Wietrzę mieszkanie.

— No cóż. Cieszę się, że znowu cię widzę, Lauro. Nie pamiętam, żeby ktoś tak atrakcyjny szorował mój sracz.

Upokorzona, czując, że się czerwieni, pokiwała głową.

— Josh chyba ci wspomniał, że nie używamy tego budynku. Nie byłam w stanie ściągnąć nikogo z personelu, by zaprowadzić tak szybko porządek.

Zdziwiło go, że potrafi posługiwać się szczotką do szorowania.

— Nie przejmuj się mną. Dam sobie radę.

Teraz, patrząc z bliska, stwierdził, iż pod warstwą brudu jest śliczna jak zawsze. Delikatne rysy, zniewalające usta, arystokratyczny rysunek kości policzkowych i te rozmarzone, szare oczy.

Czyżby zapomniał, jaka jest drobna? Jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu, i szczupła jak czarodziejka o włosach w kolorze złota w przyćmionych promieniach słońca. Krucha i kształtna jak niegdyś.

Przypomniała sobie, iż często wpatrywał się w nią tak jak teraz, bez słowa, tylko patrzył i patrzył, aż chciała się zapaść pod ziemię.

— Przykro mi z powodu twojego domu.

— Hmm? — Uniósł brew, tę z blizną, ściągając ją wzrokiem. — Och, to był tylko budynek mieszkalny. Zawsze mogę zbudować inny. Doceniam, że zgodziłaś się udzielić schronienia mnie i moim koniom.

Kiedy wyciągnął do niej rękę, automatycznie podała mu swoją. Miał mocne, stwardniałe od pracy dłonie. Przedłużył ceremonię powitania bardziej, niżby wypadało.

Uśmiechnął się ponownie.

— Nie zamierzasz chyba tkwić w wannie, skarbie?

— Nie. — Odchrząknęła, przyjęła jego pomoc wychodząc z wanny. — Oprowadzę cię — zaczęła, po czym, gdy sobie przypomniała, z kim ma do czynienia, jej oczy zrobiły się zimne. — Oprowadzę cię — powtórzyła.

— Dzięki. — Odwrócił się i z przyjemnością wciągnął w nozdrza smugę subtelnego zapachu, który unosił się za nią.

— Pewnie wiesz od Josha, że to było mieszkanie stajennego. — Mówiła teraz opanowanym głosem uprzejmej pani domu. — Sądzę, że jest samowystarczalne. Z wyposażeniem kuchennym. — Wykonała ruch w kierunku przylegającej do głównego pomieszczenia wnęki, w której Jenny sumiennie doczyściła białą kuchenkę, nierdzewny stalowy zlew i proste, białe blaty.

— Doskonale. Niewiele gotuję.

— Josh wspomniał także, że straciłaś umeblowanie. Wstawiłam więc parę niezbędnych sprzętów.

Podczas gdy rozglądał się po pokoju, czekała z założonymi rękoma. Zniosła ze strychu sofę wymagającą nowego obicia. Niemniej był to solidny mebel firmy Duncan Phyfe. Ktoś z Templetonów lub jakiś gość wypalił kiedyś przez nieuwagę dziurę w stoliku firmy Sheridan, który także tu postawiła.

Dodała jeszcze proste mosiężne lampy, pasujące, jej zdaniem, do mieszkania mężczyzny, a także wygodny fotel, parę okolicznościowych

stolików, a nawet wazon z zimową odmianą anemonów. Nie byłaby prawdziwą córką hotelarzy, gdyby nie zadbała o estetykę i funkcjonalność tego tymczasowego mieszkania.

— Zadałaś sobie sporo trudu. — Zaskoczyło go to i upokorzyło. — Sam miałem zamiar to uporządkować na tych parę miesięcy.

— Może to nie jest paryski Templeton. — Wysiliła się na uśmiech. — Tu jest sypialnia. — Wskazała ruchem ręki w stronę niewielkiego holu. — Nie jest zbyt duża, ale przy wyborze łóżka kierowałam się instynktem. Wiem, że Josh lubi dużą przestrzeń do... — urwała, gdy Michael wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Więc wstawiliśmy największe łożo, jakie mogło się tu zmieścić. Na strychu zostały jeszcze oba metalowe oparcia. Zawsze lubiłam te łożka. Jeśli chodzi o szafę, to miejsca jest niewiele, ale...

— Mam mało rzeczy.

— No to w porządku. — Podeszła zakłopotana do frontowego okna. — Widok — powiedziała i na tym poprzestała.

— Taa. — Podeszła do niej. Sięgała mu równo do brody. Ten fakt go dziwnie zaintrygował. Gdy spojrzął przed siebie, zobaczył klify, lazurowe morze, postrzępione, wystające z wody skały i wzburzoną falę uderzającą o nie. — Przesiadywałaś tam często.

— Nadal robie.

— I nadal szukasz skarbu?

— Oczywiście.

— Jak miała na imię dziewczyna, która rzuciła się ze skały?

— Seraphina.

— No właśnie, Seraphina. Co za romantyczna historia.

— Smutna.

— Na jedno wychodzi. Josh wyśmiewał się z was, gdy z Margo i z Kate przesiadywałyście na klifach i szukałyście zagubionego posagu Seraphiny. Ale odniosłem wrażenie, jakby po cichu sam liczył na to, że znajdzie ten skarb.

— Chodzimy tam teraz w każdą niedzielę. Margo, Kate, ja i moje córeczki.

Zadumał się. Przez chwilę zapomniał, że ta nieduża, delikatna kobietka urodziła dwoje dzieci.

— Masz własne dzieci. Dziewczynki.

— Tak. — Z dumnie uniesionym podbródkiem odwróciła się w jego stronę. — Córci. Moje córci.

Pomyślał, że trafił na czuły punkt.

— Ile mają lat?

Nie spodziewała się, że o to zapyta, nawet przez grzeczność. I znowu się rozpogodziła, rozczuliła.

— Ali ma dziesięć, a Kayla siedem lat.

— Wcześniej zaczęłaś. Dziewczynki w tym wieku interesują się końmi. Jeśli tylko będą chciały, mogą do mnie zajrzeć i obejrzeć konie.

Tego się już zupełnie po nim nie spodziewała.

— To miło z twojej strony, Michael. Nie chcę, żeby ci zwracały głowę.

— Lubię dzieci.

Powiedział to w tak naturalny sposób, że mu uwierzyła.

— Muszę cię więc przestrzec, że już się rwa, żeby je obejrzeć. A ty, jak sądzę, niecierpliwisz się, by zobaczyć stajnie. — Z przyzwyczajenia rzuciła okiem na zegarek, skrzywiła się.

— Jakieś spotkanie?

— No właśnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, obejrzyj resztę beze mnie. Muszę się przebrać.

Zrobić fryzurę, manicure, wyobraził sobie. Albo też udać się na pięćdziesięciminutowe spotkanie z jakimś modnym psychoanalitykiem.

— Oczywiście — odparł.

— Zostawiłam klucze w kuchni — kontynuowała, przerzucając się od szczegółu do szczegółu. — Nie ma tu telefonu. Nie wiedziałam, czy będzie ci potrzebny. Ale gdzieś tu powinno być gniazdko. Gdybyś czegoś potrzebował, wystarczy, że...

— Niczego mi tu nie brak. — Wyciągnął z kieszeni czek. Wręczył jej. — Czysz.

— Och. — Wsunęła go do kieszeni, żałując, że nie może gościć jednego z najdawniejszych przyjaciół brata. — Dziękuję. Witaj w Templeton House, Michael.

Gdy wyszła, podszedł do okna i patrzył, jak biegnie przez trawnik i podąża ku Templeton House.

— No i tak mnie zastał — zachnęła się Laura. — W wannie — westchnęła, wdzięczna, iż dzięki krótkiej przerwie w nieustannym niemal ruchu w „Pretensjonalnej Galerii” może odreagować emocje, dzieląc się nimi z przyjaciółkami. — W starych łachach. Ze szczotką w ręku. Przestańcie się śmiać.

— Już, już — obiecała Kate, trzymając się za obolały ze śmiechu brzuch. — Próbuję to sobie dokładnie wyobrazić. Elegancka Laura Templeton przyłapaną na zdrapywaniu brudu z wanny.

— Cholernego brudu. Istna zaraza. Może za rok czy dwa wyda mi się to śmieszne, ale w tamtej chwili byłam załamana i upokorzona. A on tak stał i szczyrzył do mnie zęby.

— Hmm. — Koniuszkiem języka Margo dotknęła górnej wargi. — Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, Michael Fury ma pioruńsko uwodzicielski uśmiech. Czy nadal jest równie demoniczny i niebezpiecznie przystojny?

— Nie zwróciłam uwagi — skomentowała obojętnym tonem Laura i oddała się ścieraniu śladu palca ze szklanej gąbki.

— Kłamczucha. — Margo przysunęła się bliżej. — No, Lauro. Opowiedz.

— Taki Heathcliff* w dwudziestowiecznym wydaniu. Ciemny, posepny, chyba porywczy i nieokrzesany. — Wzruszyła ramionami. — Jeśli to cię właśnie pociąga...

— Nie wysilaj się, i tak nie zmienię o nim zdania — stwierdziła kategorycznie Margo. — Josh mówił, że przez jakiś czas Michael zatrudnił się jako najemnik.

— Jako najemnik? — Przypomniała sobie teraz o tym, pokiwała głową. — Dla pieniędzy.

— A ja wpadłam kiedyś do niego we Francji. Brał udział w wyścigach samochodowych. — Wspominając te czasy zadumała się. — Spędziliśmy razem niezapomniane wieczór.

— Och, naprawdę? — Laura uniosła brew.

— Niezapomniane — powtórzyła Margo, poprzestając na tym komentarzu. — Potem ta szaleńcza praca w Hollywoodzie. A teraz konie. Ciekawe, czy to koniec zmian. W każdym razie Josh ma taką nadzieję.

— Tak czy owak, sytuacja zmusiła mnie, aby doprowadzić stajnie do porządku. — Pragnąc się czymś zająć, Laura podeszła do półek i zaczęła porządkować szklane przedmioty. — Zbyt długo je zaniedbywałam. Prawdę mówiąc warto by pomyśleć o własnym koniu, gdy tylko będzie mnie na to stać. Dziewczynki byłyby zachwycone.

— Więc jakie on konie hoduje? Jednej rasy? Swoje własne? — rozważała Kate.

— Nie pytałam go o to. Pokazałam mu tylko mieszkanie i dałam klucze. Przypuszczam, że zna się na tym, co robi. Tak uważa Josh. A jeśli jego czek ma pokrycie w banku, będę musiała uznać, że jest solidnym człowiekiem. Nie sądzę, że należy oczekiwać czegoś więcej po lokatorze. Konie zabierają dużo czasu i pracy. — A to oznacza, pomyślała Laura, że przez najbliższych dziesięć lat nie będzie sobie mogła na nie pozwolić. — Będzie więc zajęty. Wątpię, żebyśmy go miały często widywać.

Otworzyły się drzwi. W sklepie pojawiły się dwie osoby, ich stałe klientki. Laura uśmiechnęła się, wyszła im naprzeciw.

— Zajmę się nimi — szepnęła do współpracownic. — Miło mi panie widzieć, pani Myers i pani Lomax. Czym mogę paniom dzisiaj służyć?

Kiedy Laura odeszła z klientkami w kierunku ubrań, Margo stwierdziła w zadumie:

— Stara się nie okazywać zainteresowania.

— Hmm?

— Laura. Wygląda, jakby była zaintrygowana, a jednocześnie udaje, że tak nie jest. — Po chwili wahania na twarzy Margo pojawił się szeroki uśmiech. — To bardzo dobrze.

— A cóż w tym dobrego?

* Bohater słynnej powieści Emily Bronte „Wichrowe Wzgórze”, postać wyalienowana, skłócona z życiem — przyp. tłum.

___Najwyższy czas na małą zmianę w jej życiu. Jakaś damsko-męską rozrywkę.

___Czy tobie kiedykolwiek przychodzą do głowy innego rodzaju rozrywki?

___Kate. — Ubawiona Margo poklepała przyjaciółkę po ręku. — Kobieta która wyszła świeżo za mąż za niekwestionowanego samca, nie zadaje takich głupich pytań. Laura nigdy nie poluzowała sobie, jeśli chodzi o mężczyzn. Myślę, że Michael Fury może się okazać doskonałym prezentem na jej trzydzieste urodziny.

— On jest mężczyzną, Margo, a nie parą kolczyków.

— Och, kochana, to nie zmienia faktu, że może na niej wyglądać wspaniale, jeśli mogę się tak wyrazić.

— Już z góry wyklucasz, że mogą nie być sobą zainteresowani. Mam na myśli seks. Prawda. — Uniosła ręce do góry. — Zapomniałam z kim mam do czynienia.

— Po co ten fałsz! — Margo zastukała palcami o kontuar. — Mamy kobietę i mężczyznę. Oboje są wolni i szalenie atrakcyjni. Josh ulokował ich w bliskim sąsiedztwie. Choć wątpię, by taki był jego zamiar, zaaranżował bardzo interesującą sytuację.

— Skoro tak uważasz... — Zaintrygowana Kate rzuciła okiem w kierunku działu z garderobą. — Wiesz, ja zawsze lubiłam Micka, ale on był takim dzikim dzieckiem. Może tu dojść do klasycznej sytuacji wilka i owcy.

— Obyś miała rację. Każda kobieta musi choć raz z bliska zetknąć się z wilkiem. Ale... — Rozmawiały przecież o Laurze. — Zaproszę Michaela na kolację, aby wy badać go osobiście.

— I jak sądzę, wszyscy złożymy pokłon przed twoim wielkim doświadczeniem i trafnością osądu.

— Oczywiście. — Zabrzęczał dzwoneczek. Ponownie otworzyły się drzwi. — Wracamy do pracy, współpracownicy.

W dziale z ubraniami Laura cierpliwie pokazywała kolekcję kaszmirowych swetrów. Gdyby była świadoma konszachców, jakie za jej plecami układały przyjaciółki, byłaby tym zarówno ubawiona jak i zatrwożona.

Generalnie nie interesowała się mężczyznami. Nie nienawidziła ich. Doświadczenie z Peterem nie uczyniło z niej jędry, nie stała się oziębłą, nie zawężyły się też jej horyzonty, nakazując jej widzieć we wszystkich mężczyznach wrogów. Zbyt wielu dobrych mężczyzn wywarło wpływ na jej życie. Najlepszym wzorem był ojciec. Następnie brat. W ostatnich miesiącach Polubiła bardzo Byrona De Witta.

Rodzina to jedno. Intymne, nawet niezobowiązujące kontakty to coś innego. Nie miała na nie czasu, chęci ani energii. Przez ostatnie dwa lata, od definitywnego rozpadu małżeństwa, walczyła o odbudowanie swojego życia

na wszystkich jego płaszczyznach. Dzieci, dom, praca w sieci Templetonów. I w „Pretensjonalnej Galerii”.

W trakcie gdy klientki zastanawiały się nad wyborem, usunęła się, by dać im większą swobodę. Otworzenie sklepu to był impuls, krok, który w równym stopniu okazał się ważny dla niej, jak dla Margo.

Po powrocie z Europy do Monterey kariera i finanse Margo znajdowały się w opłakanym stanie. Pomysł upłynnienia majątku Margo i stworzenia atrakcyjnego, dochodowego sklepu był ryzykiem. Jednym z tych, które zwracają się prawie natychmiast.

Nie tylko w dolarach, myślała Laura, przechodząc do głównego salonu. Dodatkowo, niepomierne ważniejsze korzyści to dumna i wiara we własne możliwości. A także przyjaźń i zabawa.

Kiedy kupiły budynek, była to pusta, odrapana, śmierzcząca przestrzeń. Dzięki ich wizji i wysiłkowi przeobraziła się w przyciągający uwagę obiekt. Duża witryna lśniła w promieniach słońca, kusiła przechodniów sprytnie dobranymi elementami dekoracyjnymi — przedsmakiem tego, co znajduje się wewnątrz.

Wyzywająca suknia koktajlowa w kolorze szmaragdowej zieleni z dodatkiem pawich piór leżała udrapowana na eleganckim stołeczku do damskiej toaletki. Na jej lśniącym blacie, obok kosztownego naszyjnika, stały różnokolorowe flakony. Z otwartej szuflady pobłyskiwał kryształ górski, wysuwały się połyskujące jedwabie. Lampa w kształcie łabędzia, a obok niej długi, wąski kryształowy kieliszek i pusta butelka po szampanie. Męskie spinki do mankietów i wieczorowy czarny krawat rzucony jakby od niechcenia obok damskich świecidełek. Pośrodku, w artystycznym nieładzie, jakby przed chwilą zrzucona z kobiecych stóp, zaplątała się para czerwonych pantofli na bardzo wysokich szpilkach.

Małe winiетки na wystawie stanowiły domenę Margo, ale tę jedną namalowała Laura. Była z niej bardzo dumna. Podobnie jak i z całego sklepu, którego duża przestrzeń miała niepowtarzalny, pełen fantazji charakter. Ciepły róż ścian stanowił dobre tło dla szklanych półek z precjozami. Porcelanowe puzderka, srebrne przedmioty użytkowe, pucharki z połączanymi brzegami. Pokryta aksamitem kanapka—już trzecia, którą tu zainstalowały — stwarzała klientom możliwość posiedzenia, wypicia w miłej atmosferze filiżanki herbaty, kieliszka szampana.

Połączane wąskie schody wznosiły się spiralnie ku otwartej galerii obiegającej całe wnętrze, prowadząc do buduaru, gdzie we wspaniałej szafie z różanego drewna porozwieszane były dezabile, peniuary i nocne stroje. Wszystko na sprzedaż, od rokokowego łoża po najmniejsze srebrne puzderko. A każda rzecz była unikatowa.

Sklep, bez cienia przesady, uratował je wszystkie trzy. I, choć mogłoby się to już wydawać niemożliwe, jeszcze bardziej zbliżył je do siebie.

Przechadzając się obok przymierzalni, Laura widziała Margo, która pokazywała klientce bransoletkę z szafirami. Kate prowadziła ożywioną

dyskusję na temat secesyjnej lampy. Nowa klientka z uwagą przyglądała się opalizowanemu flakonowi na perfumy, podczas gdy jej towarzyszka szperała wśród wieczorowych torebek.

Z odtwarzacza dochodziły ciche dźwięki muzyki Mozarta. Za oknem Laura widziała w przelocie ożywiony ruch na Cannery Row. Samochody warczały, ciągnęły jeden za drugim, lub próbowały wymusić pierwszeństwo. Mignął jej mężczyzna z roześmianym chłopczykiem na barana. Przed wystawą przystanąła trzymająca się za ręce para, która po chwili weszła do środka.

— Panno Templeton?

Odrywając się od okna, Laura wróciła do przymierzami.

— Słucham panią, pani Myers, znalazła coś pani dla siebie?

Kobieta uśmiechnęła się, pokazując co wybrała.

— Zawsze wychodzę z „Pretensjonalnej Galerii” usatysfakcjonowana.

Uczucie dumy nie kazało na siebie długo czekać. Laura pochwaliła wybór kaszmirowego swetra.

— Jesteśmy tu po to, by nigdy nie sprawić zawodu.

Rozdział czwarty

C ałkiem niezła meta, prawda, chłopie? — Michael oporządzał potężnego płowożółtego Tennessee Walkera, swoją radość i dumę, podczas gdy Max parskał z aprobatą.

Templetonowski pałac dla koni stanowił odległe echo prostych, funkcjonalnych stajni, które Michael wybudował na wzgórzach, a które wkrótce runęły pod lawiną błota. Gdy wszedł tu po raz pierwszy, budynek bynajmniej nie przypominał pałacu. Podobny był raczej do baśniowej chatki zaklętej przed wiekami i opuszczonej przez wszystkich jej mieszkańców.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, jak i na myśl, iż wszystko na terenie posiadłości Templetonów kojarzy mu się z bajkami z książki o pozłaczanych brzegach.

W stajniach zastał brud, kurz i zniszczenie.

Doprowadzenie budynku do porządku zajęło mu znaczną część tygodnia. Nie była to lekka praca dla samotnego człowieka i jednej pary rąk, ale nie chciał wprowadzać koni do ich tymczasowego lokum przed wyczyszczeniem go i dostosowaniem do potrzeb.

Alternatywą były publiczne stajnie, niebagatelne koszty utrzymania i dzielące go od stada kilometry. W sumie więc praca po szesnaście godzin na dobę i obolałe mięśnie warte były końcowego rezultatu.

To był dobry, solidny budynek, ze stylowymi akcentami, w których lubowali się Templetonowie. Przestronne, dobrze oświetlone i przewiewne boksy znaczyły dla Michaela znacznie więcej, niż ułożona w misterny wzór ceglana posadzka, dekoracyjne kafelki wokół żłobów, czy umieszczone nad nimi metalowe ornamenty ze stylizowanym „T” pośrodku błyszczących mosiężnych plakierek.

Choć musiał przyznać, że fantazyjne akcenty były miłe dla oka.

Budynek okazał się funkcjonalny. Po jego jednej stronie znajdowało się pomieszczenie na sprzęt, po drugiej zaś na pokarm. Choć rzucające się w oczy

zaniedbanie niemile go zaskoczyło, zakasał rękawy i wziął się ostro do pracy. Tak długo nosił, dźwigał, walił młotkiem, wymiatał i szorował, aż wszystkie przegrody były gotowe na przyjęcie jego dzieci.

Tak bowiem o nich myślał w skrytości ducha.

Rano dostarczono mu świeże siano i słomę; był wdzięczny chłopcu, który je przywiózł, iż za kilka dodatkowych dolarów pomógł mu je złożyć w pryzmy.

Teraz każda przegroda wymoszczona była pszeniczną słomą — drogą i trudną do zdobycia, ale to były przecież jego dzieci. Dzięki odpowiednim narzędziom i własnej pomysłowości uruchomił, zepsute od lat, automatyczne naczynia na wodę. Naoliwił zawiasy w drzwiach przegród, wymienił przerdzewiałe haki.

Ponieważ błoto zabrało wszystko oprócz koni, odnowił zapas ziarna, elektrolitów, witamin, leków. Zdołał jedynie ocalić trochę narzędzi i gwoździ. Wszystko zostało oczyszczone, wypolerowane, a to, co nie nadawało się do użytku, wymienione.

Ulokował swoich piętnaście koni w łące królewskich warunkach. Dla siebie miał miejsce do spania nad stajnią.

— Wysoko zaszedłeś, Max. Może jeszcze nie wiesz, ale jesteś obecnie dzierżawcą posiadłości Templetonów. To cholernie wiele znaczy, przyjacielu, możesz mi wierzyć na słowo.

Poklepał serdecznie konia po boku, wyjął z przywiązanego w pasie worka marchewkę.

— Już zacząłem szkicować twój nowy dom, nie martw się. Może nawet dorzucimy tam parę takich fikuśnych ozdóbek. Ale na razie musisz się zadowolić tym, co masz.

Wyszedł z boksu, zaryglował dolną część drzwi. Być może fantazyjna posadzka nadawałaby się bardziej na garden party, musiał jednak przyznać, że miała idealną pochyłość. Obcasy jego butów wybijały na niej doniosły rytm. Z przyległego boksu, jakby w oczekiwaniu na swoją kolej, wychyliła łeb kasztanka.

— Czekasz na mnie, dziecinko? — To było jego najśłodsze dziecko; z tak rozumną i łagodną klaczą nigdy jeszcze dotąd nie pracował. Kupił ją jeszcze jako źrebaka, a teraz była w zaawansowanej ciąży, więc ulokował ją w porodowym boksie. Nazwał ją Darling.

— Jak się dzisiaj czujemy? Będzie ci tutaj bardzo dobrze. — Wszedł do środka, przeciągnął rękoma po jej olbrzymich bokach. Zachowywał się niczym oczekujący dziecka ojciec. Wybiegał myślami naprzód, niepokoił się. Jest nieduża, jak sobie poradzi, kiedy przyjdzie jej czas?

Darling lubiła być głaskana po brzuchu, parsknęła więc z zadowolenia, gdy spełnił jej zachciankę.

Jesteś piękna. — Jak mężczyzna pieszczący kobietę, ujął w dłonie jej Pysk. — Nigdy w życiu nie miałem niczego piękniejszego od ciebie.

Uszczęśliwiona, że poświęca jej tyle uwagi, parsknęła ponownie, po

czym opuściła łeb, by coś skubnąć z jego worka. Śmiejąc się wyjął jabłko — jej ulubiony przysmak.

— Masz, Darling, należy ci się. Musisz jeść za dwoje.

Posłyszał głosy — młode, podniecone, prawie piskliwe. Wyszedł z boksu.

— Mama powiedziała, żebyśmy nie przeszkadzały.

— Nie będziemy przeszkadzały. Popatrzymy sobie tylko. No chodź, Kayla. Nie chcesz zobaczyć koni?

— Taa, ale... A jeśli on tam jest? A jeśli na nas nakrzyczy?

— To uciekniemy, ale najpierw zobaczymy konie.

Rozbawiony, zastanawiał się, jak Laura go odmalowała, czy jako wilkołaka, czy też może jako pustelnika. Wyłonił się z cienia stajni, wyszedł na pełne słońce. Gdyby miał skłonności poetyckie, powiedziała by, że ujrzał dwa anioły.

Pomyślały, że spotkały się z samym diabłem. Był cały czarny, a za jego plecami panował mrok. Sroga, przystojna twarz pozbawiona była uśmiechu i miała ciemny zarost. Włosy sięgały mu prawie do ramion, a wokół czoła miał przewiazaną czarną chustę, jak dziki Indianin albo jakiś pirat.

Zdawał się być wielki, masywny i groźny.

Z duszą na ramieniu Ali objęła Kaylę. By ją chronić, a także, by uspokoić samą siebie.

— My tutaj mieszkamy — wydukała. — Wolno nam tutaj być.

Nie mógł się oprzeć pokusie, by się trochę zabawić.

— Czy aby na pewno? No cóż, ja tutaj mieszkam. I patrzę niechętnym okiem na tych, którzy naruszają cudzy teren. Nie jesteście przypadkiem koniokradami? Należy wieszać koniokradów.

Przeżoną, wstrząśniętą, zaszokowaną Ali stać było jedynie na energiczne potrząśnięcie głową. Ale zafascynowana Kayla postąpiła kilka kroków naprzód.

— Masz ładne oczy — powiedziała pokazując dołeczki w uśmiechu. — Czy naprawdę jesteś chuliganem, z którym są same kłopoty? Annie tak powiedziała.

Śmiertelnie przeżona Ali zdołała tylko wyszeptać imię siostry.

Aha, pomyślał, daje o sobie znać moja młodzieńcza reputacja, którą Ann Sullivan odmalowuje w najgorszych kolorach.

— Zdarzało mi się. Ale dałem już sobie z tym spokój. — Chryste, pomyślał, dzieciak jest jak z obrazka. Aż serce topnieje. — Nazywasz się Kayla, i masz oczy swojej mamy.

— Aha, a to jest Ali. Ma dziesięć lat. Ja mam siedem i pół i wypadł mi ząb. — Uśmiechnęła się szeroko, by mu to zademonstrować.

— Wspaniale. Szukałaś go?

Zachichotała.

— Nie. Zabrała go Czarodziejka. Wzięła go aż do nieba, żeby zrobić z niego gwiazdę. A czy ty masz wszystkie zęby?

— Kiedy ostatnio sprawdzałem, jeszcze były.

— Ty jesteś pan Fury. Mama mówi, że tak mamy się do ciebie zwracać. Podoba mi się twoje imię, jest jak z książki z powiastkami.

- Zła postać?

— Być może. — Mrugnęła do niego. — Czy możemy obejrzeć konie, panie Fury? Nie ukradniemy ich, ani nie skaleczymy, czy coś w tym rodzaju.

— Sądzę, że chciałyby was zobaczyć. — Podał rękę, którą Kayla przyjęła bez chwili wahania. — No chodź, Ali — powiedział bez nacisku. — Nie nakręcysz na was, jeśli na to nie zasłużycie.

Przygryzając wargi Ali ruszyła za nimi do stajni.

— Och! — Odskoczyła do tyłu, a gdy Max wysunął swój potężny łeb przez drzwi przegrody, zachichotała. — Jest taki wielki. Ale ładny! — Zaczęła wyciągać rękę, po czym natychmiast schowała ją za plecami.

— Możesz go popieścić — powiedział Michael. Starsza dziewczynka jest trochę nieśmiała, stwierdził, a słiczna jak obrazek. — Nie gryzie. Chyba że na to zasłużysz. — By je ośmielić, podsadził sobie Kaylę na biodro. — No, poznaj Maxa. To dżentelmen z południa.

— Nasz wujek jest dżentelmenem z południa — oznajmiła Kayla. — Ale nie jest podobny do Maxa. — Uszczęśliwiona, poklepała miękkie chrapy konia. — Gładziutkie — szepnęła. — Cześć, Max. Cześć.

Żeby nie okazać się gorszą od młodszej siostry, Ali zrobiła kilka kolejnych kroków do przodu, także dotknęła chrapów Maxa.

— Czy on panu pozwala się dosiadać i robić ze sobą wszystko co pan chce?

— Tak. Razem z Maxem walczyliśmy z dzikimi Indianami, sami graliśmy Indian, rabowaliśmy dyliżanse, przeskakiwaliśmy parowy. — Obserwując dwie pary szeroko rozwartych oczu, uśmiechnął się od ucha do ucha. — Max jest hollywoodzką gwiazdą.

— Naprawdę? — Olsniona Kayla dotknęła jedno aksamitne ucho, zaśmiewając się, gdy drgnęło pod jej palcami.

— Naprawdę. Później pokażę wam wycinki prasowe. Przywitaj się, Darling. Wkrótce będzie miała dziecko.

— Ciocia Margo właśnie niedawno urodziła — trąkotała wesoło Kayla, zawierając nową znajomość. — Ma na imię John Thomas, ale nazywamy go J.T. Czy konie mają dzieci w taki sam sposób jak ludzie?

— Bardzo podobnie — mruknął Michael, nie wdając się w dalsze szczegóły i zabawianie dziewczynek opowiadaniem o klaczy.

Po drodze zapoznały się z Jackiem — imponującym wałachem, z Lulu — swawolną klaczą, a na końcu z Zipem — najszybszym koniem na zachodzie, jak twierdził Michael.

— Po co ci tyle? — Rozkosz obcowania z końmi może okazać się silniejsza niż nieufność wobec człowieka. Pokonując nieśmiałość, Ali z zainteresowaniem śledziła każdy ruch Michaela, w końcu zaczęła go zasypywać gradem pytań.

— Trenuję je. Kupuję. I sprzedaję.

— Sprzedajesz je? — Na samą myśl o tym buzia Kayli ułożyła się w podkówkę.

Wszystkie z wyjątkiem Maxa i Darling. Ich nigdy nie sprzedam. Ale

inne pójdą do ludzi, którzy potrafią docenić ich talenty, potrafią się nimi opiekować. Wszystkie mają swoje przeznaczenie. Na przykład Jack — będzie dobrym wierzchowcem. Popędzi wszędzie, jeśli go poprosisz. A Flash stanie się najlepszym cyrkowym kucykiem, kiedy zakończę z nim pracę.

— Chcesz powiedzieć, że potrafi wykonywać numery?

— A jak. — Michael uśmiechnął się szeroko do Kayli. — Już teraz ma ich kilka w rękawie. Ale Max, no Max, ty znasz je wszystkie. Chcecie, żebym wam pokazał?

— Naprawdę, możemy?

— Za drobną opłatą.

— Za ile? — spytała Kayla. — Mam pieniądze w banku.

— Nie za pieniądze — odparł Michael, prowadząc je z powrotem do Maxa. — Jeśli chcecie mieć widowisko, musicie tu wrócić i opracować.

— A jaka to praca? — dopytywała się Ali.

— Jeszcze o tym porozmawiamy. No chodź, Max. — Wziął uzdę i nałożył mu ją. — Masz przed sobą dwie damy, na których musisz wywrzeć dobre wrażenie.

Jak na pięciolatka Max był już doświadczonym aktorem. Zachwycony, że ma widownię, wyszedł z boksu unosząc wysoko kopyta. Michael poprowadził go na niewielki padok w pobliżu stajni.

— Dziewczynki, stańcie za ogrodzeniem. Będą tu się działy rzeczy mrozące krew w żyłach. Max, ukłoń się.

Max z wdziękiem zgiął przednie nogi, pochylił się. Kiedy dziewczynki rozplęwały się w podziwie i nagradzały go oklaskami, Michael mógłby przysiąc, iż koń odwzajemnił się im szerokim uśmiechem.

— Wstań — wydał polecenie.

Posługując się tylko głosem i ręcznymi sygnałami, Michael demonstrował cały repertuar umiejętności Maxa. Ogromny koń szedł tyłem, wyrzucał nogi do przodu, rżał cienkim głosem. Stawał dęba, odskakiwał na boki, tańczył, zataczał koła. A kiedy Michael podciągnął się na jego nie osiodłany grzbiet, Max powtórzył program, wprowadzając do niego szereg nowych elementów.

— A teraz numer pod tytułem „Marsz przez pustynię przez trzy doby bez wycchnienia i bez wody”. — Na dany znak Max opadł z siłą, zwiesił bezwładnie łeb i posuwał się z takim trudem, jakby każdy jego krok miał być ostatni. — A teraz uwaga, grzechotnik. — Max odskoczył, skulił się, przypadł do ziemi. — Boże wszechmogący, człowiek szeryfa zabija pode mną mojego konia. Martwy koń, Max.

Na swój finał Max zakołysał się, przechylił na lewo i runął na ziemię. Michael zwałił się z niego, poturlał się. Kiedy wstał, pochwycił wzrok Laury, pędzącej w skórzanych pantofelkach przez podwórze.

— O Boże, czy nic ci się nie stało? Jak do tego doszło? Ojej, twój koń.

Choć Michael już właśnie otwierał usta, by przemówić, nazbyt był pochłonięty podziwianiem długiej, gołej nogi Laury, która przesadzała płót w swoim nieskazitelnym, eleganckim kostiumiku.

Max leżał martwy. Z wielkim trudem uniósł powiekę, gdy Laura przyklekła przy jego łbie.

— Biedactwo. Czy to noga? Trzeba wezwać weterynarza.

Widząc, jak koń mości łeb na kolanach Laury i jej ślicznej błękitnej spódnicy, Michael z trudem powstrzymał się od śmiechu.

— Wygląda na to, że wybiła ostatnia godzina Maxa.

— Nie mów tak — warknęła Laura. — Mógł sobie tylko coś stłuc. — A jeśli nie? Odrzuciła wijące się zalotnie koło ust włosy. — Dziewczynki, wracajcie do domu.

— Ale mamoo...

— Bez dyskusji. — Nie dopuszczała nawet myśli, by któraś z nich mogła być świadkiem tego, co może się tutaj wydarzyć.

— Lauro — zaczął Michael.

— Dlaczego tak stoisz i nic nie robisz? — W jej oczach malowały się współczucie i złość. — Dlaczego stoisz beczynnie? Ten biedak cierpi. Czy nic cię nie obchodzi twój własny koń?

— Tak jest, proszę pani, obchodzi. Max, przerwa.

Na dany znak, ku wielkiemu zdumieniu Laury, ogromny koń przeturlał się ponownie, a następnie podniósł się na nogi.

— To była sztuczka, mamoo — roześmiała się Kayla, uszczęśliwiona z powodu wspólnego, udanego kawału. — Max umie robić sztuczki. Teraz udawał martwego. Psy też tak robią. Czy to nie cudowne? Jaki on zdolny!

— Tak. — Starając się dość nieudolnie opanować i przybrać dostojną minę, Laura otrząpywała spódnice. — Rzeczywiście jest utalentowany.

— Przepraszam. — Rozsądny człowiek wie, kiedy należy stłumić uśmiech od ucha do ucha. Michael rzadko jednak kierował się wyrachowaniem. — Uprzedziłbym cię, gdybym wiedział, że przyjdiesz. Ale byłaś już w drodze, biegłaś. — Podrapał się po policzku. — Odniosłem wrażenie, że bardziej zmartwiłaś się koniem niż mną. A przecież mogłem skrócić kark.

— Koń leżał — odpowiedziała najpierw. — Ty nie. — Ale już po chwili wszystko rozplynęło się w zachwycie, gdy Max pochylił przed nią łeb. — Och, jaki on piękny. Jesteś naprawdę wspaniała! A jaki zdolny!

— Max brał udział w wielu filmach. — Ali podeszła bliżej. — Podobnie jak pan Fury.

— Ach tak?

— Popisy kaskaderskie — wyjaśnił Michael. Wyjął z worka marchewkę i podał ją Laurze. — Daj mu ją, jest twoim dozgonnym niewolnikiem.

— Któż mógłby się oprzeć podobnej propozycji? — Częstując Maxa zwróciła się do dziewczynek. Mówiła wyraźnie i powoli: — Czy nie umawialiśmy się, że nie będziecie przeszkadzały panu Fury?

— Tak, ale on powiedział, że mu nie przeszkadzamy. — Z nadzieją w głosie Kayla uśmiechnęła się do Michaela. Stając na poręczy ogrodzenia uniosła ufnie ręce do góry.

Bo nie przeszkadzałyście. — Zdjął ją stamtąd najnaturalniej w świecie

i posadził ją sobie na biodrze. Laura zmarszczyła czoło. — Lubię towarzystwo — wyjaśnił jej. — Konie także lubią. Męczy je oglądanie przez cały dzień mojej twarzy. Dzieci są tu mile widziane, ilekroć zechcą. Jeśli będą mi wchodzić w drogę, powiem im.

Ku radości Kayli i chwilowemu przerażeniu Laury podrzucił małą na szeroki grzbiet Maxa.

— Jak wysoko! Zobaczcie, jak wysoko!

— Wolę na to nie patrzeć — odpowiedziała Laura i automatycznie sięgnęła po lejcę. — To koń do akrobatycznych wyczynów, a nie żaden osiodłany kucyk.

— Łagodny jak owieczka — zapewnił ją Michael, po czym przeniósł nad ogrodzeniem Ali i posadził ją za siostrą. — Jeżeli chcecie, uniesie całą waszą trójkę. Jest silny jak byk.

— Nie, dziękuję. — Gdy spojrzała Maxowi w oczy, uspokoiła się. Były naprawdę łagodne. — Nie jestem odpowiednio ubrana.

— Właśnie zauważyłem. Bardzo ładnie pani wygląda, panno Templeton. A gdy przesadzała pani płot, wyglądała pani bombowo.

Odwróciła się, spojrzała Michaelowi w oczy. Łagodne. Może nie do końca, pomyślała, ale zniewalające.

— Wyobrażam sobie! To musiał być niezły widok!

— Nie wyobrażasz sobie nawet połowy tego, skarbie.

Cofnęła się.

— No, dziewczynki, przyjęcie skończone. Musicie się umyć przed kolacją.

Ali zaczęła narzekać. Szybko jednak pogodziła się z losem. Przewornie wolała nie ryzykować i nie narażać się na zakaz powrotu tutaj.

— Czy pan Fury może zjeść z nami kolację?

— Och. — Dyskomfort i dobre maniery. Te ostatnie zawsze zwyciężały. — Oczywiście, Michael, będziesz mile widziany.

Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek otrzymał równie chłodne i pozbawione entuzjazmu zaproszenie.

— Dziękuję, ale mam już plany. Właśnie wybieram się do Joshua, by powitać jego synka.

— No cóż. — Wyciągnęła ręce, zdjęła Kaylę, a następnie Ali, i postawiła je na ziemi. — Nie będziemy więc się narzucać.

— Jest parę spraw, które chciałbym z tobą omówić. Jeżeli masz jeszcze minutkę.

— Oczywiście. — Bolały ją nieprzytomnie nogi. Marzyła tylko o tym, by zdjąć te przekłete szpilki i usiąść. — Dziewczynki, powiedzcie Annie, że wkrótce przyjdę.

— Dziękuję panu, panie Fury. — Ali, nieodrodne dziecko swojej matki, podała mu na pożegnanie rękę.

— Jesteś tu mile widziana.

— Dziękuję, panie Fury, za przedstawienie nas koniom, i za sztuczki,

i za wszystko. Chcę opowiedzieć Annie. — Ruszyła pędem, zatrzymała się przy ogrodzeniu. — Panie Furry?

— Tak jest, proszę pani?

Roześmiała się na to, po chwili spowaźniała.

— Czy umiałby pan nauczyć także psa? Gdyby pan albo ktoś inny miał szczeniaka, czy mógłby go pan nauczyć sztuczek tak jak Maxa?

— Przypuszczam, że tak, jeśli byłby to pojętny pies.

Ponownie się uśmiechnęła, zadumała, po czym pognała za siostrą.

— Ona chce mieć psa — powiedziała półgłosem Laura. — Nie wiedziałam. Nigdy nie mówiła. Prosiła przed laty, ale Peter... Do licha! Powinna się była domyślić.

Zaintrygowany Michael obserwował różnorodne emocje na jej twarzy. Najmocniejszą była wina.

— Czy zawsze biczujesz się w ten sposób?

— Powinna wiedzieć. Jest moim dzieckiem. Powinna wiedzieć, że chce mieć szczeniaka. — Czując nagły przypływ zmęczenia, przeciągnęła rękoma po włosach.

— Więc spraw jej go.

Ożywiła się.

— Zrobię tak. Przepraszam. — Otrząsając się z poczucia winy, spojrzała ponownie na Michaela. — Czy nie brak ci czegoś?

— Och, bardzo wielu rzeczy. — Odruchowo przełożył ramię przez szyję Maxa. — Gorącego posiłku, szybkiego auta, miłości dobrej kobiety, ale to czego oboje potrzebujemy, to pary kotów na myszy.

— Co takiego?

— Potrzebne ci są stajenne koty, Lauro. Dorobiłaś się gryzoni.

— O Boże! — Wzdrygnęła się, westchnęła ciężko. — O tym także powinna wiedzieć. Sami trzymaliśmy koty, kiedy były konie, ale Peter... — Urwała, zamknęła oczy. Nie, nie zamierza ponownie odbyć tej samej drogi. — Wydaje się, że będę musiała zrobić wypad do schroniska. Sprowadzę parę kotów.

— Masz zamiar wziąć dla małej psa ze schroniska?

— Dlaczego nie?

— Tak sobie, po prostu pytam. — Poprowadził Maxa do ogrodzenia. — Sądziłem, że zechcesz rasowego psa, to wszystko. Podobnie niektórzy ludzie podchodzą do koni. Chcą araba, thoroughbreda*. Mam w tej stajni jedną z najpiękniejszych klaczy, o jakiej można marzyć. Szybka jak z bicia strzelił, zwinna jak wąż. Niemniej nazywałabyś ją kundlem. Zawsze lubiłem kundle.

— Przedkładam charakter nad wygląd.

— To cenne. — Pochylił się odruchowo, wyrwał opornego jaskra z trawnika i podał go jej. — Powiedziałbym, że twoje córki mają obie te

Rasowy koń, hodowany głównie w USA — przyp. tłum.

cechy. To piękności. Podbijają serce. Młodsza już owinęła mnie sobie wokół małego palca. I wie o tym.

— Zadziewasz mnie. — Zbita z tropu, spuściła wzrok na promiennie żółty kwiatek. Pomimo zmęczenia i obolałych nóg, poszła za nim do stajni. — Nie wyglądasz na męczycynę, który zwraca uwagę na dzieci.

— Kundle potrafia zaskoczyć.

— Nie miałam na myśli...

— Wiem, że nie miałas. — Ulokował Maxa w przegrodzie, zamknął zasuwę w drzwiach. — Młodsza ma twoje oczy — dym i huragan. Ali ma twoje usta. Miękkie, delikatne, silące się na zawziętość. Dobrze je hodujesz, Lauro.

— Choć jeszcze tego nikt nie ujął w ten sposób, przypuszczam, że powinnam ci podziękować. Doceniam też, że się nimi zajmujesz, ale nie chciałabym, żebyś się czuł do czegośkolwiek zobowiązany.

— Nie czuję się. Powiedziałem, że je lubię. Mówię poważnie. Poza tym, winne mi są za pokaz. Nie pracujemy z Maxem za darmo. Będę potrzebował ich pomocy.

— Pomocy?

— Wywożenie nawozu, noszenie siana. Chyba że masz obiekcje i nie chcesz, by twoja progenitura zajmowała się usuwaniem gnoju.

Sama w swoim czasie nie mało go usunęła.

— Nie. To im dobrze zrobi. — Machinalnie podniosła rękę, by położyć ją na pysku Maxa. — Zdziałałeś tutaj cuda — zauważyła, rozglądając się po lśniącem od czystości pomieszczeniu.

— Okrzepłem i mam dalekosiężne plany.

— Na przykład?

— Chcę coś zwojować w tej dziedzinie. Wierzchowce, kucyki do popisów, konie skaczące przez przeszkody. Mam na nie swój sposób.

— Jeśli Max jest tego przykładem, powiedziałabym, że masz na nie świetny sposób. Czy naprawdę byłeś najemnikiem?

— Między innymi, także chuliganem, o co posądzają mnie pani Sullivan.

— Och. — Przeniosła spojrzenie na Maxa, chrząknęła. — Przypuszczam, że Annie zapamiętała cię jako chłopca, który dał Joshowi pierwszego papierosa.

— Jedno z moich najłżejszych przestępstw. Rzuciłem palenie pół roku temu. To łatwiejsze niż ciążyć niepokój, że podpalę siano.

— Albo umrzesz na raka płuc.

— Od czegoś trzeba umrzeć.

Odwróciła się w momencie, gdy sięgnął, by zdjąć uzdę z Maxa. Zderzyli się nagle. Kierował się nie tylko ciekawością, chciał też pomóc jej w utrzymaniu równowagi, ujął ją za ramiona.

Delikatne. Kruche, tak jak sobie wyobrażał. A gdy odrobinę się przysunął, poczuł subtelną wypukłość jej piersi. Smagnęła go wzrokiem. Stali tak, podczas gdy jej serce biło jak młotem.

— Zastanawiałem się zawsze, co z ciebie wyrośnie. — Uśmiechnął się,

przesunął rękoma w górę i w dół po tych ślicznych ramionach. — Nigdy przedtem nie miałem okazji przekonać się o tym. Oczywiście byłaś wtedy dla mnie za młoda. Ale od tamtego czasu zdążyłaś nadrobić.

— Przepraszam cię. Puść mnie, proszę. — To był jej głos, opanowany ' chłodny. Zdobyła się na to, mimo że w środku wszystko w niej wrzało, nie czuła się pewnie.

— Nie wchodzisz mi w drogę. — Nie krępując się, podniósł dłoń, by pobawić się lokiem na jej policzku.

— Ale ty mi wchodzisz. — Nie umiała postępować z mężczyznami. Nigdy też nie potrzebowała tej umiejętności. Była jednak na tyle przytomna, by wiedzieć, że wkracza na śliski teren. — Nie interesują mnie flirty.

— Ani mnie.

Przyjęła taktykę Margo, przybrała obojętny wyraz twarzy.

— Michael. Jestem pewna, że dziesiątki kobiet czułyby się zaszczycone. Gdybym miała czas, też może czułabym się zaszczycona. Ale nie mam czasu. Moje dzieci czekają na kolację.

— Zrezygnowałaś z tego — stwierdził. — Damo tego dworu! Byłaś do tego stworzona. — Odsunął się. — Jeśli znajdziesz trochę czasu, wiesz gdzie mnie szukać.

— Pozdrów ode mnie Josha i Margo — powiedziała, oddalając się na miękkich nogach.

— Oczywiście. Hej, skarbie?

Jeżąc się trochę na ten zwrot, obejrzała się za siebie.

— Pamiętaj o kocurach. Nie przywieź tu jakichś puszystych kociaków. To mają być duże wygłodzone kocury.

— Zobaczę, co da się zrobić.

— Nie wątpię — mruknął, gdy odeszła. — Chryste, ale sztuka — powiedział do Maxa. Rozbawiony własną reakcją potarł nadgarstkiem okolice serca. Musiał je uciszyć. — Przy niej mężczyzna czuje się jak wielki, głodny kocur. I jest mu z tym niezręcznie.

Potrząsając głową opuścił stajnię, udał się na górę, by zmyć z siebie stajenny brud.

— A więc Margo jest mamusią. — Michael uśmiechnął się od ucha do ucha do pani domu, która, nawiasem mówiąc, ubrana w brzoskwiniowy kombinezon wspaniale podkreślający jej kształty, wcale nie miała wyglądu mamusi.

Jeszcze jaką! — Ucałowała go w oba policzki, po europejsku. — Uwielbiam być mamusią. — Cofnęła się. Uważnie mu się przyjrzała. Nie rozczarowała się. — Kiedy to było, Michael? Sześć, siedem lat temu?

Więcej. Próbowałem wtedy podbić europejskie tory wyścigowe, a ty zdobywałaś szturmem kontynent.

To były czasy — powiedziała lekko i biorąc go pod rękę poprowadziła do środka.

— Wspaniałe miejsce. — Nie zaskoczyła go elegancja kalifornijskiej wersji hiszpańskiego wnętrza, lecz jego przytulność.

— Kate namówiła nas na ten dom. Pamiętasz Kate Powell?

— Jasne. — Z wyłożonego ceramicznymi płytkami holu przeszli do przestronnego salonu z pałacym się kominkiem i bliźniaczymi sofami obitymi ciemnobrązową tapicerką. — Co u niej słychać? Słyszałem, że jest już mężatka.

— Świeżo po ślubie. Sądzę, że polubisz Byrona. Kiedy już się zagospodarujesz urządzimy party. Wprowadzimy cię w świat.

— Mammy ze mnie światowiec.

— Więc urządzimy kameralne przyjęcie. Co ci podać do picia? — Wślizgnęła się za bogato rzeźbiony bar. — Josh wkrótce tu będzie. Wypadło mu jakieś spotkanie.

— Masz piwo?

— Myślę, że się znajdzie. — Wyjęła butelkę z małej lodówki pod barem. — Więc teraz są konie.

— Na to wygląda.

Przyglądał się jej, jak otwiera butelkę, nalewa zręcznie piwo do kufła. Na trzecim palcu lewej ręki iskrzyły się brylanty i złoto. Jej włosy stały się bardziej złociste, miękkie i falujące. Więcej brylantów było w jej uszach. Ale najjaśniejszy błyszczały jej oczy.

— Dobrze wyglądasz, Margo. Jesteś szczęśliwa. Miło jest patrzeć na twoje szczęście.

Nieco zdziwiona, podniosła wzrok.

— Naprawdę?

— Nigdy nie byłeś tak do końca szczęśliwa.

— Chyba masz rację. — Postawiła szklanekę na barze, zdjęła srebrny kapturek z butelki szampana. — Ale teraz jest inaczej.

— Żona, mamusia i współwłaścicielka sklepu. — Uniósł swój kufel w toaście. — Kto by to pomyślał?

— I ze wszystkich trzech ról wywiążę się znakomicie. — Po nalaniu sobie kieliszka szampana, ona z kolei wzniosła toast. — Musisz przyjść do „Pretensjonalnej Galerii”, Michael. Jesteśmy na Cannery Row.

— Ja przyjdę obejrzeć wasz sklep, a ty moje konie.

— Umowa stoi. Tak mi przykro z powodu twoich koni.

Wzruszył ramionami.

— Nie ma sprawy. I tak nie lubiłem tamtego miejsca. Bardziej zmartwiłem się stajniami. Dopiero co je ukończyłem, i natychmiast straciłem. Ale to przecież tylko drewno i gwoździe. To zawsze można odkupić.

— Musiało być strasznie. Widziałam reportaż o tej walącej lawinie błota, a także o następstwach katastrofy. Nie potrafię sobie wyobrazić siebie pośrodku czegoś takiego.

— Nie musisz, na szczęście.

Wciąż jeszcze zdarzały się chwile, kiedy obraz szalejącej ulewy, osuwającej się ziemi i dzikich porywów wichru powracał z całą gwałtownością.

Jak również towarzysząca kataklizmowi panika; że nie zdąży, że zabraknie sił że sobie nie poradzi, nie potrafi uratować tego, co tak wiele dla niego

W każdym razie pracuję nad planami odbudowy, przeprowadziłem już wstępne rozmowy z przedsiębiorcą budowlanym. Teraz to tylko kwestia czasu i pieniędzy.

— Jestem pewna, że dopóki nie odbudujesz swoich stajni, będzie ci dobrze i wygodnie w Templeton House.

— Trudno żeby było inaczej. Spotkałem dziś dzieciaki Laury. Są piękne. Starsza zachowuje się wobec mnie z rezerwą, ale Kayla... — zachichotał. — Od razu chwyta za serce.

— To wspiające dziewczynki. Laura odwaliła fantastyczną robotę.

— Niewiele się zmieniła.

— Bardziej niż przypuszczasz. Bardzo ciężko przeżyła rozwód. Ale pochodzi z silnego, niezniszczalnego pnia Templetonów. Nigdy nie spotkałeś Petera Ridgewaya?

— Nie.

— Możesz mi wierzyć — powiedziała Margo i upiła sporą porcję szampana. — To bydlak.

— Skarbie, nienawidzisz go, a zatem ja też go nienawidzę.

Śmiejąc się, wzięła go za rękę.

— Dobrze jest mieć cię z powrotem, Michael.

— Już się dobierasz do mojej żony, Fury? — Wszedł Josh z zaspanym niemowlęciem na biodrze. — Odbijemy ci ją z małym.

— Mam wrażenie, że da sobie ze mną radę. — Michael odstawił piwo i z zainteresowaniem podszedł, by przyjrzeć się dziecku. J.T. przyjrzał mu się równie uważnie, po czym wyciągnął rączkę i złapał pełną garść włosów Michaela. — No chodź, zawodniku. — Margo nie zdążyła nawet otworzyć ust. Miała na końcu języka dziesiątki matczynych uwag i przestróg. Tymczasem Michael jednym wprawnym ruchem odebrał J.T. z rąk Josha i posadził sobie małego na biodrze. Ten naturalny odruch zaskoczył Margo, zmrużyła tylko oczy i oddała się spekulacjom.

Zachwycony nieznanym, J.T. radośnie gruchał.

— Świetna robota, Harvard. — Michael trącił J.T. nosem. — Moje gratulacje.

— Dzięki. — Josh uśmiechnął się szeroko do żony. — Nie odbyło się to bez drobnej pomocy.

Rozdział piąty

A jednak Laura przywiozła do domu puszystego kociaka. W istocie przywiozła dwa. A także parę chudych, bystrookich kocurów, jak również ochoczo poszczekującego, nieporadnego w ruchach szczeniaka o nakrapianej sierści.

To małe zoo przysporzyło jej w samochodzie trochę kłopotu i wiele radości. Podczas jazdy zamknięte w pudełkach koty miauczały przejmująco, kocięta spały na pokrowcu, a rozkoszny szczeniak rozwalił się na jej kolanach.

— Zobaczysz, co będzie, kiedy dobią się do ciebie dziewczynki. — Już rozkochana, położyła dłoń na jego mięciutkim łebku. — Podejrzewam, że jeśli zaczną się o ciebie kłócić, wrócę i sprowadzę ci siostrę albo braciszka.

Śmiejąc się, skręciła na podjazd do Templeton House. Co za idiotyzm, że nie zdecydowała się na to wcześniej. Dawny odruch, pomyślała. Peter nie życzył sobie zwierząt w domu. Więc ich nie było. Ale przecież Peter odszedł prawie dwa lata temu. Dwa lata to za dużo, żeby nie dokonać pewnych prostych przewartościowań!

Kiedy zaparkowała samochód, ogarnęła wzrokiem całą swoją menażerię. Jęknęła.

— Jak, do licha, przetransportować to towarzystwo do środka?

Dla szczeniaka miała smycz, którą przypięła mu do nowiutkiej obroży. Nie łudziła się, że będzie wiedział, do czego to służy. Przez chwilę pomyślała, by dać sobie spokój i poczekać, aż ktoś się pokaże i pomoże jej. Co sprawi, uświadomiła sobie szybko, że cała menażeria rozszaleje się na dobre.

Musiała więc sobie radzić sama.

— Najpierw ty — zdecydowała i otworzyła drzwiczki. Szczeniak cofnął się bojaźliwie, wsadził nos w pustą przestrzeń po drugiej stronie jej kolan. Zbierając się na odwagę, przekoziołkował. Gdyby się nie roześmiała, utrzymałaby smycz. Ale szczeniak wylądował na grzbiecie i był tak tym zdziwiony, że wybuchnęła śmiechem, a smycz wyslizgnęła się z jej rąk.

Wyskoczył z samochodu i zaczął biegać.

— A niech to! — Zaśmiewając się wypadła za nim. — Wracaj do nogi,

Zamiast tego pies zaczął zataczać koła, wpadł na wychuchany przez starego Joe klomb z narcyzami i ujadał radośnie.

— No i masz babo placek. — Zaaferowana, obeszła samochód, by sięgnąć po śpiące kocięta. Z tyłu, na cały głos, darły się kocury. — Już dobrze, dobrze. Dajcie mi choć minutkę.

Wpadła na pomysł, by wsadzić kociaki do kieszeni żakietu, a następnie wyciągnąć pudełka z dużymi kotami.

— Wami zajmie się Michael. — Kierując się radosnym, podekscytowanym szczekaniem, ruszyła w stronę stajni.

Widok, jaki ukazał się jej oczom, gdy wypadła zza krzaków glicynii, wart był całego dotychczasowego zachodu. Na odległym dziedzińcu, przycupnięte na ziemi, jej córki tuliły do siebie oblizującego je i oszalałego z radości łaciatego kundla.

Obrazek zapadł jej głęboko w serce.

— Mamo, zobacz — wołała z daleka Kayla. — Chodź szybko, zobacz, jaki malutki piesek. Musiał się zgubić.

— Tak na oko nie wygląda na zgubę.

— Ma smycz. — Gdy pies gramolił się jej na kolana, Ali zachichotała. Laurze nieczęsto zdarzało się słyszeć w ostatnich czasach ten radosny dźwięk. — Może uciekł z domu.

— Nie sędzę. On już jest w domu. Jest nasz.

Ali spojrzała na nią bez słowa.

— Przecież nie wolno nam mieć zwierząt w domu — odezwała się po chwili.

Uśmiechając się, Laura poprawiła w rękach trzymane pudełka.

— Nie wydaje mi się, żeby podzielał twoje zdanie.

— Mówisz poważnie? — Kayla podniosła się z ziemi. Widok jej zdziwionej i radosnej buzi zachwyił Laurę. — Chcesz powiedzieć, że może być nasz i że możemy go zatrzymać? Na zawsze?

— Dokładnie to chciałam powiedzieć.

— Mamo! — Jednym susem Kayla wskoczyła na nią, obejmując ją mocno nogami w pasie. Przywarła mocno, całą swoją siłą. — Mamo, dziękuję. Będę się nim opiekowała! Zobaczysz!

Wiem, że będziesz, kochanie. — Spojrzała na Ali. Stała nieruchomo, patrząc przed siebie. — Wszystkie będziemy się nim opiekowały. Potrzebny jest mu dobry dom i dużo miłości. Dostanie to od nas, prawda, Ali?

Dziewczynka wahała się, próbując rozstrzygnąć wewnętrzny konflikt,

Ojciec powiedział, że zwierzęta domowe to dopust, kłopot i bałagan. Że zostawiają pełno sierści na dywanach. Ale szczeniak węszył przy jej nodze, wymachiwał ogonem i próbował jej wskoczyć na rękę.

~ Będę się nim dobrze opiekowała — oznajmiła z powagą. Chciała

zrobić krok, zatrzymała się. Jej usta opadły z wrażenia. — Mamo, ruszają ci się kieszenie.

— Och. — Laura ze śmiechem odstawiła pudełka, sięgnęła do zakietu i wyjęła dwie puszyste kulki — jedną jedwabście szarą, drugą ostro pomarańczową. — One także potrzebują domu.

— Czy to na pewno jest w porządku? — W obawie, by czar nie prysnął, Ali spojrzała matce w oczy. — Czy naprawdę uważasz, że możemy je wszystkie zatrzymać?

— Naprawdę wszystko jest w porządku.

— To nie wszystko! — Przysłuchując się dźwiękom dochodzącym z kartonowych pudełek, Kayla rzuciła się do nich.

— Nie, te nie są nasze. To koty stajenne, dla Michaela.

— Zaniosę mu je. — Pragnąc za wszelką cenę podzielić się fantastyczną nowiną z każdym, kto zechce jej wysłuchać, Kayla wręczyła swojego kota Ali i porwała oba pudełka. Posapując z lekka, ruszyła w stronę stajni. — Zaczekajcie, koty. Zaczekajcie, zaniósę was do domu.

— Czy już się jakoś nazywają?

— Hmm. — Laura odruchowo pogłaskała córkę po włosach, po czym z trudem oderwała wzrok od komicznie wyglądającej Kayli, kołyszącej się na boki pod ciężarem zniecierpliwionych kotów i płaczącego się nieporadnie pod jej nogami psa. — Nazwiemy je, kiedy coś wymyślimy.

— Czy mogę sama nazwać jednego? Sama wybrać mu imię? — Ali przytuliła kociaka do policzka.

— Oczywiście, że możesz. Jak byś go chciała nazwać?

— Czy to chłopiec, czy dziewczynka?

— To jest... nie wiem — uświadomiła sobie Laura. — Zapomniałam zapytać. Pewnie jest to gdzieś zapisane w papierach, które musiałam wypełnić. — Obejmując ramieniem Ali ruszyły w ślad za Kaylą. — Szczeniak jest chłopcem, duże koty także, bo tak chciał Michael.

— Bo on woli chłopców?

— Och nie, kochanie. Przypuszczam, że woli samce, ponieważ uważa, że będą mu bardziej pomocne w łowieniu myszy.

Ali zrobiła wielkie oczy.

— Pozwoli im zjadać myszy?

— Dziecinko, obawiam się, że koty są do tego stworzone.

Ali przycisnęła do buzi małą puszystą kulkę.

— Ale nie mój.

Już z daleka było słychać piskliwy, podniecony głos Kayli, któremu wtórowało ujadanie i skomlenie szczeniaka. Kiedy Laura weszła do stajni i przystosowała wzrok do zmiany oświetlenia, ujrzała ich wszystkich razem przycupniętych na ceglanej podłodze. Dokonywali oględzin nowego nabytku Templeton House.

— Wygląda mi na dobrego psa — orzekł Michael, drapiąc szczeniaka za uchem.

— A więc nauczysz go sztuczek? Prawda, panie Fury? Nauczysz go siadać i udawać nieżywego, i podawać łapę?

— Mam nadzieję.

Szczeniak z wielkim zainteresowaniem obwąchał jedno z kocich pudełek, za co został wynagrodzony pogardliwym prychnięciem.

Już się czegoś nauczył. — Uśmiechając się, Michael otworzył pierwsze pudełko. — Nie zadawaj się z przypartym do muru kocurem. Nie, kochanie. — Złapał rączkę Kayli, zanim zdążyła ją wsunąć do środka, by Dopieścić kota. — Nie wydaje mi się, aby był przyjacielsko usposobiony. Nie lubisz siedzieć w zamknięciu, prawda, chłopie? No to cię wypuścimy. Twojego kumpla także.

Odsuwając Kaylę, otworzył drugie pudełko.

— Niech zapoznają się z terenem. Gdy tylko znajdą sobie partnerkę, zadamowią się. — Jego wzrok musnął Laure, zatrzymał się na niej, powędrował dalej — A co ty tu masz, Ali?

— Kotki. — Dłonie i serce Ali były nimi wypełnione po brzegi. — Mama przywiozła nam kotki.

— Puszyste kociaki. — Podchodząc do nich, przeciągnął językiem po zębach. — Sprytnie.

— Mama powiedziała, że mogę sama ochrzcić szarego.

— To ja nazwę pomarańczowego. — Wyznaczając swój teren Kayla odebrała z rąk Ali pomarańczowego kociaka i przytuliła go do policzka. — Prawda, mamó?

— To uczciwe rozwiązanie. Urządzimy sobie po kolacji maraton nadawania imion. A teraz zejdźmy panu Fury z drogi.

— Czy możemy pokazać kotki Maxowi? Możemy?

— Oczywiście, że możecie. — Michael zrobił oko do Kayli. — On jest naprawdę bardzo uczuciowy. — Kiedy ze szczeniakiem przy nodze dziewczynki odbiegły, Michael pokiwał głową. — Co ty, u licha, wyprawiasz, Lauro?

— Uszczęśliwiłam moje dzieci. — Odrzuciła do tyłu włosy. — Uratowałam życie pięciorga zwierząt. Czy masz coś przeciwko małym kotom i szczeniakom?

— Nie. — Koty powyskakiwały z pudełek. Rozbiegły się, pomrukując cicho. Michael sięgnął ręką i pogłaskał po pysku statecznego wałacha. — Czy ty zawsze robisz wszystko na całego?

Jestem z tego znana. — Była na tyle rozluźniona, iż zdobyła się na uśmiech. — Nie mogłam się powstrzymać. A gdybyś widział ich buzie, kiedy powiedziałam, że ten mały głuptas jest ich... Do końca życia tego nie zapomnę.

Pogłaskał Laure po policzku równie naturalnie i serdecznie, jak przed chwilą dotykał wałacha. Kiedy odskoczyła do tyłu jak sprężyna, nie wiedział czy się śmiać, czy czuć się zakłopotanym.

~~ Tobie także przydałby się trening.

Słuchając, robiła notatki, które, wbrew jej intencji, upodobniały się do bezmyślnych bazgrołów.

— Tak, ja także nie mogę się doczekać naszego ponownego spotkania. Będziemy się kontaktować.

Odetchnęła głęboko, odczekała, aż jej się rozjaśni w mózgu, i powróciła do swojego harmonogramu.

— Lauro.

Najchętniej by warknęła.

— Byronie, czyżbyśmy byli umówieni?

— Nie. — Wszedł do środka, wypełniając sobą jej nieduże biuro. — Nie zamierzasz zjeść lunchu?

— Lunchu? Jeszcze nie ma południa.

— To prawda, jest w poł do pierwszej — odparł spokojnie, podczas gdy Laura rzuciła okiem na zegarek.

— Czas szybko leci. Za godzinę muszę być w sklepie. A chcę jeszcze to skończyć. Czy masz coś bardzo pilnego?

Zmierzył ją wzrokiem, zamykając za sobą drzwi.

— Zrób przerwę.

— Kiedy naprawdę nie mogę. Muszę...

— Zrobić przerwę... — powtórzył. — To rozkaz. — By mieć pewność, że go posłucha, usiadł. — A teraz, panno Templeton, porozmawiajmy o zastępstwie.

— Byron, przecież to ja zastępuję. Fritz goni już w piętę, mając na głowie ślubne przyjęcie pary Milhouse-Drury, a Robyn jest zavalony pracą — obsługuje zjazd farmaceutyczny i ma dzieciaka chorego na wietrzną ospę. A...

— A wszystko spada na ciebie — dokończył zdanie. — Jesteś wyczerpana, kochanie.

Zrobiła zabawną minkę.

— Czy rozmawiasz ze mną jako szwagier, czy jako dyrektor operacyjny?

— Jako jeden i drugi. Jeśli nie zajmiesz się sobą...

— Zajmuję się sobą. — Stłumiła uśmiech. Nastawienie Byrona do zdrowia i teźny fizycznej było powszechnie znane. — Po prostu za mało spałam tej nocy. Pojechałam wczoraj do schroniska dla zwierząt.

Twarz mu się rozjaśniła. Spodziewała się takiego efektu. Przed rokiem sam przyhołubił dwa psy.

— Taa? I co wzięłaś?

— Szczeniaka i dwa małe kociaki. Dziewczynki są wniebowzięte. A rano przyłapałam Annie na noszeniu szczeniaka na rękach, jakby był noworodkiem. Pouczała go, że dobrze wychowane psy nie siusiąją na perski dywan.

— Rozkładaj mu gazety. Musimy wpaść i obejrzeć twój nowy przychówek.

— Wpadnijcie wieczorem.

___Przed czy po tańcach w Country Clubie?

___Walentynki! — Zamknęła oczy. — Zapomniałam.

___Nie wymigasz się, Lauro. Jesteś jedną z Templetonów. Czekają na

___Wiem, wiem. — A więc zegnaj długa beztroska kąpieli i wczesne spanie, o których snuła fantazje. — Będę tam. Powinam pamiętać.

- Nie martw się, Kate i Margo nie dałyby ci zapomnieć. Czekaj, czy nie mogłabyś zostawić sklepu na dzisiejsze popołudnie twoim współpracownikom? Idź i prześpij się trochę.

J.T. ma po południu badania kontrolne. Nie mogę zrzucić wszystkiego na Kate. Podczas wyprzedaży, jaką urządzamy na Walentynki, mamy tłum ludzi.

— Dobrze, że sobie przypominałem...

Wiedząc, o co chodzi, uśmiechnęła się.

— Dopiero dziesiąty, Byronie. Jeszcze masz czas, żeby zdobyć ten dobrze przemyślany prezent. I bez względu na to, co powie Kate, nie kupuj jej oprogramowania do komputera. W moim przypadku, kwiaty zawsze zdawały egzamin.

A od dawien dawna nikt nie przysyłał mi kwiatów, pomyślała. Kiedy jej myśl powędrowała ku małąńkiemu dzikiemu kwiatkowi, przestała się rozczulać i stwierdziła, że jest idiotką.

— Nie dostanie również tego nowego kalkulatora, do którego czyniła aluzję. — Podniósł się. — Czy chcesz, żeby cię podrzucił wieczorem do klubu?

Tak wygląda życie samotnej kobiety, zadumała się Laura. Zawsze przyczepiona do par.

— Nie, dziękuję. Spotkamy się na miejscu.

— Nie nadają się na takie imprezy jak przyjęcia w Country Clubie, Josh. — Michael skulił się w ramionach, jak gdyby ktoś próbował na siłę wbić go w garnitur.

— Wyświadczyłyś mi przysługę.

Patrząc spode łba, Michael odmierzał ziarno.

— Nie znoszę takich chwytów.

Mógłbym cię przedstawić wielu potencjalnym nabywcom koni. Tak się składa, że znam kogoś, kto posiada niezłą stadninę. Mówiłeś, że masz klacz, po której chętnie dochowałbyś się żrebaka.

— Tak. — I pragnął dla niej odpowiedniego partnera. — Daj mi nazwisko tego hodowcy, porozmawiam z nim. Nie muszę w tym celu iść na jakieś pokraczne tańce. Jestem ostatnią osobą, z którą twoja siostra chciałaby pójść na te łamańce.

- To przecież nie jest randka. — Tak powiedziała Margo, wbijając mu głowy argumenty, które by przekonały Michaela. — Chodzi o to, że Laura

czuje się jak piąte koło u wozu. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale Margo mi to uświadomiła.

I sprawiła, że poczułem się jak niższa forma życia, pomyślał Josh, przyglądając się, jak Michael rozdziela ziarna.

— Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak często Laura wymiguje się od przyjęć, albo też opuszcza je przed wszystkimi. Dobrze by było, gdyby jej ktoś towarzyszył, to wszystko.

— Taka kobieta jak twoja siostra może mieć cały pluton towarzyszy na zawołanie, ustawionych w szeregu i czekających na jej skiniecie. — I wszystkich z odpowiednim rodowodem, pomyślał Michael.

— Niby tak, ale wygląda na to, że pływanie z rekinami w jednym basenie, w celach matrymonialnych, nie interesuje jej. — Czy oczekiwano od niego, że zaradzi temu? — zastanawiał się Josh, wzdragając się nieomal na tę myśl. — Zna ciebie, Mick. Czuje się z tobą bezpiecznie. A ty zyskasz okazję, by nawiązać pewne kontakty. Wszyscy będą szczęśliwi.

— Nie jestem szczęśliwy, kiedy muszę założyć krawat. — Spojrzał przez ramię, uśmiechnął się szeroko. — Nie to, co ty, Harvard, przebrany w szykowny włoski garnitur. Zjeżdżaj do cholery z mojej stodoły.

— Daj spokój, Mick. To tylko jedna noc wyrwana z twojego fascynującego, wypełnionego radością życia. Zajrzemy do sali bilardowej, pogramy sobie. Poopowiadamy różne kłamstewka.

To już było coś, pomyślał Michael. Alternatywą był sandwich i wieczór spędzony nad projektem nowego domu.

— Jeszcze ci złożę tyłek w bilard.

— Pożyczę ci krawat.

— Odpieprz się. — Przemknął kot, rzucił się w ciemny ką. Po chwili rozległ się krótki pisk.

— Chryste, to ohydne.

— To jest życie, Harvard. — Michael cofnął się, by zająć się posiłkiem dla Darling. Odmierzył dokładnie niezbędne dla niej odżywki.

— Ty chyba naprawdę wiesz, co robisz?

— Podobno każdy z nas ma gdzieś swój kącik.

Ile to już kącików odkrył i porzucił Michael, zastanawiał się Josh. Ale tym razem wydaje się, że jest inaczej. Znali się zbyt długo i za dobrze, by Josh nie dostrzegł autentycznego zadowolenia w ruchach przyjaciela. Takiego zadowolenia, jakiego nigdy przedtem u niego nie widział.

— To jest to, prawda?

Michael tylko na niego spojrzał. Nie potrzebował tłumaczyć. Nie Joshowi. Wystarczyło powiedzieć tylko jedno słowo:

— Tak.

— Znając ciebie, domyślam się, że chcesz tutaj dokonać wielkich rzeczy. Pragnął tego.

— W swoim czasie.

Josh odczekał chwilę, podczas gdy Michael nakarmił przyszłą matkę,

sprawdzał jej worek z obrokiem, popieścił ją. — Coś w rodzaju Akademii Jeździectwa w Monterey? Jej właściciele są przyjaciółmi rodziny.

— I co z tego?

— Będą dzisiaj w klubie. Kate była ich księgową. Dużo kupują i sprzedają. Podobnie jak ich wychowankowie.

Ambicja to skuteczna pułapka, przyznał Michael.

— Przebiegły z ciebie sukinsyn, Harvard. Zawsze taki byłeś.

Josh tylko się uśmiechnął.

— Każdy ma swój kącik.

— Laurze mogą się nie spodobać te konszachty za jej plecami.

— Pozostaw to mnie — odparł porozumiewawczo Josh i spojrzął na zegarek. — Zdążę akurat zajrzeć do sklepu. Tańce zaczynają się o dziewiątej. Powiem jej, że podjedziesz po nią o wpół do dziewiątej — ubrany w krawat.

— Postaraj się, żebym nie zmarnował czasu, bracie, jeśli nie chcesz zarobić kopniaka. — Otrząsnął zakurzone od ziarna ręce. — Nie przepadam za tym, ale będę to musiał zrobić.

— Zrozumiałem. — Zadowolony ze spełnionej misji, Josh skierował się w stronę drzwi. — Aha, znasz drogę do klubu?

Doceniając sarkazm Michael przekrzywił głowę.

— Niewykluczone, że może mi się to spodoba!?

Była wściekła, oburzona. Zastawiono na nią sidła. Stworzyli wspólny front za jej plecami. Laura gotowała się ze złości, wyszarpując z szafy perłowo-szarą koktajlową suknię. Josh i Margo, i Kate przycisnęli ją do muru w „Pretensjonalnej Galerii”, stawiając przed faktem dokonanym.

Michael Fury towarzyszący jej do Country Clubu! Takie rozwiązanie urzędu wszystkich. Spada im z głowy troska o jej samotny dojazd i powrót, o jej podławe samopoczucie na imprezie przeznaczony dla par. A dzięki temu Michael zyskuje wstęp do klubu i możliwość zawarcia znajomości wśród koniarzy.

Oczywiście, to dla wszystkich świetne rozwiązanie. Tylko nie dla niej.

To poniżające, pomyślała, szarpiąc do góry zamek błyskawiczny. Wspaniały brat organizuje prywatne życie trzydziestoletniej kobiecie. Co gorsza, teraz i Michael wie, że jest żalostną rozwódką, która nie potrafi się sama umówić na randkę. Tak jakby jej w ogóle na tym zależało!

— Otóż nie — odezwała się do psa, który wszedł do pokoju i z uwielbieniem obserwował każdy jej ruch. — Nie mam najmniejszej ochoty na te tańce. Jestem zmęczona.

Merdał ze współczuciem ogonem, gdy przypuściła szturm do szafy w poszukiwaniu pantofli i naszywanego perełkami żakietu. Nie musi wisieć u męskiego ramienia, żeby poczuć się kimś. Nie musi się na nikim i na niczym opierać. Dlaczego nie miałyby się po prostu wsunąć do łóżka i poczytać książkę? Zjeść prażoną kukurydzę i obejrzeć stary film w telewizji, aż by usnęła, z nie wyłączonym aparatem?

Dlaczego musi się ubierać, iść między ludzi i być Laurą Templeton?

Westchnęła i dała spokój kolejnym rozważaniom. Tak ma być, ponieważ jest Laurą Templeton. I o tym nie wolno jej zapominać. Laura Templeton ma obowiązki, które musi z godnością spełniać.

A więc zachowa się jak należy, powiedziała sobie i sięgnęła po szminkę, pomalowała wargi. Przetrwa ten wieczór, zamieni właściwe zdania z właściwymi ludźmi. Wobec Michaela będzie na tyle uprzejma i przyjazna, na ile potrzeba. A kiedy przekłeta impreza dobiegnie końca, padnie twarzą na poduszkę i zapomni o wszystkim. Aż do następnego razu.

Spojrzała na włosy. Boże, co za nieład. Jeszcze i to? Odwróciła się po torebkę i ze zgrozą ujrzała, jak szczeniak siusia na jej cenny francuski dywan.

— Bongo, jak ci nie wstyd!

Podniósł radosny pyszczek, spojrzał na nią i kłapnął pupą w sam środek kałuży.

Nie był to wyraz wielkiego buntu, ale Michael pojawił się bez krawata. Nie wyobrażał sobie, by, mając Laurę Templeton u boku, mógł zostać wykopany za to, że założył czarny golf pod marynarkę. Zatrzymał samochód między wysepką kwiatów a wielkim, frontowym wejściem. Gdyby miał na sobie krawat, szarpnąłby teraz za niego.

Nerwy. Zdumiewało go to, napawało niesmakiem. I choć za wszelką cenę próbował temu zaprzeczyć, czuł się jak pryszczaty nastolatek na pierwszej randce.

Nie zwracając uwagi na niebo pokryte stalowymi, zimnymi gwiazdami, na srebrzystą poświatę księżyca, na zapach morza i kwiatów, szedł w stronę drzwi, jak człowiek w kajdanach na nogach pokonujący swój ostatni kilometr.

Jak to się stało, u licha, że dał się w to zrobić?

Nigdy nie wchodził frontowymi drzwiami do Templeton House. Kiedy jako chłopiec odwiedzał Josha bądź wypuszczali się gdzieś razem, zawsze korzystał z bocznych lub tylnych drzwi. Frontowe wejście było tak cholernie okazałe, wyniosłe, wtopione w półkolistą wnękę obramowaną ceramicznymi płytkami. Potężna, mosiężna antaba miała kształt stylizowanej litery „T”. Nad głową wisiła staroświecka powozowa latarnia.

Czuł się nieswojo.

Kiedy na pukanie drzwi otworzyła Ann Sullivan, jeszcze bardziej odczuł, że nie jest tu mile widziany. Stała sztywna, z zaciśniętymi wargami, groźna w swojej wykrochmalonej czarnej sukni. Na pierwszy rzut oka dostrzegł, że czas nie odcisnął na niej swojego piętna. Gdyby go było stać, by spojrzeć na nią przychylnym okiem, musiałyby przyznać, iż jest piękną kobietą. Oczywiście, Margo po niej odziedziczyła urodę.

— Pan Fury. — Szczypta irlandzkiego akcentu w jej głosie mogłaby się wydawać czarująca, gdyby ton nie był aż tak potępiający.

Choć z nieznanых sobie powodów zawsze pragnął jej aprobaty,

zachowywała się wobec niego obraźliwie. Stąd też jego uśmiech był wyniosły. Podobnie jak ton głosu

— Pani Sullivan. Kawał czasu.

— Zgadza się. — Nie pozostała dłużna, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że to i tak o wiele za krótko. — Mam cię poprosić do środka.

Przyjął to jakże mało zachęcające zaproszenie i wszedł do niebotycznie wysokiego holu. Rozpoznał te same płytki w kolorze kości słoniowej i pawiego błękitu. Bogato zdobiony wiszący świecznik rzucał rozproszone światło. W przeciwieństwie do Ann Sullivan, miejsce było przyjazne. Witało gości miłymi zapachami, bogactwem kolorów, ciepłym, kameralnym oświetleniem.

— Powiem panie Laurze, że jesteś.

Gdy się odwróciła, Laura schodziła właśnie po szerokich, kręconych schodach. Choć Michael uznał to później za idiotyzm, jednak na moment zamarało mu serce.

Perełki na żakiecie mieniły się w blasku światła. Pod spodem miała suknię w kolorze gwiazdznego pyłu. Kolczyki z szafirów i brylantów pasowały do stroju, a ściągnięte do tyłu włosy podkreślały piękno i szlachetność jej rysów.

Była doskonała, prześliczna. Z ręką na lśniącej poręczy zstępowała niczym zjawą.

— Przepraszam, że kazałam ci czekać. — Jej głos był chłodny, niczym nie zdradziła paniki, jaka ją ogarnęła, gdy dostrzegła wpatrzony w nią oczy, ani też wzburzenia z powodu szorowania dywanu po psie na moment przed wyjściem.

— Właśnie przyjechałem — odparł równie chłodnym głosem. Uderzył go absurd sytuacji. Oto on, Michael Fury, wyciągający dłoń ku księżniczce. — Chyba nie miałem przynieść bukietu do sukni, prawda?

Zdobyła się na nikły uśmiech.

— Nie, to nie jest szkolna zabawa.

— Amen.

— Bądź ostrożna, panno Lauro. — Ann rzuciła ostrzegawcze spojrzenie w kierunku Michaela. — A ty, chłopcze, zachowuj się odpowiedzialnie. Niech ci się nie wydaje, że bierzesz udział w wyścigach samochodowych.

— Annie, pies jest z dziewczynkami, ale...

— Nie zwracaj sobie tym głowy. — Ruchem ręki pokazała drzwi, wychodząc z filozoficznego założenia, że im wcześniej wyjdą, tym wcześniej będzie miała swoją dziewczynkę z powrotem. — Zajmę się nim także. Postaraj się dobrze spędzić czas.

— A ja postaram się odwieźć Laurę całą i zdrową — lichy wie w jakim celu dodał Michael, otwierając drzwi.

— Nie wątpię, że dotrzymasz słowa — burknęła Ann. Jeszcze nie zdążyły się zamknąć za nimi drzwi, a już zaczęła się niepokoić.

— Miło z twojej strony, że odwozisz mnie do klubu. — Postanowiła,

że sytuacja musi być klarowna od samego początku. I że tego należy się trzymać. — Nie jesteś zobowiązany dotrzymywać mi towarzystwa, gdy już będziemy na miejscu.

Zamierzał jej właśnie powiedzieć to samo. Był zły, że go uprzedziła. Otworzył drzwiczki, oparł się o nie.

— Na kogo się wściekasz, Lauro, na mnie czy na cały świat?

— Nie jestem zła ani na ciebie, ani na kogokolwiek. — Wsunęła się z wdziękiem na miejsce pasażera w jego porsche. — Wyjaśniam po prostu sprawy, tak żebyśmy mogli przyjemnie spędzić ten wieczór.

— I kto to mówił, że lubi kundle!?

Zamrugęła powiekami.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

— W porządku. — Opanował się, zatrzasnął z całej siły drzwi. Obchodząc maskę samochodu pomyślał, że wieczór nieźle się zaczyna.

Rozdział szósty

Mogło być gorzej, pomyślał Michael. Mogłby się teraz znajdować gdzieś w dżungli Ameryki Środkowej i uchylać się przed gradem kul. Mogłby mieć rozbitą głowę, jak kiedyś, gdy wykonywał trudną kaskaderską sztuczkę i chybił o centymetr.

Tymczasem stał sobie pośród nieznajomych ludzi i nie zamierzał ich poznać.

Wolałby już raczej cios w czaszkę.

Stwierdził, że sala jest przeładowana błyszczącymi czerwonymi serduszkami, zawieszonymi na papierowych taśmach. Chyba ładne są kwiaty, pomyślał. Nie miał nic przeciwko kwiatom, uznał jednak, że ich czerwień i biel zbyt natrętnie ilustrują istotę dzisiejszego święta.

Na wszystkich przykrytych różowymi obrusami stołach poustawiane były stożki białych świec otoczone pierścieniem dorodnych, czerwonych i białych goździków. Pomyślał, że jakkolwiek by było, są to w końcu goździki. I ta muzyka. Szczyt zacofania — omdlewające instrumenty smyczkowe i nie powiązane z resztą dźwięki fortepianu, a wszystko razem grane przez ubranych w białe garnitury mężczyzn w średnim wieku.

Pokaże im któregoś dnia, co to znaczy blues czy prawdziwy rock.

Za to z okien przeszklonej ściany rozciągał się fantastyczny widok na morski brzeg. Zafrapowała go walka wzburzonych fal z najeżonymi skałami, stanowiła ciekawy kontrast ze spokojną, zastygłą grupą ludzi wewnątrz wytwornego, przegrzanego klubu.

Zauważył, że kobiety były wystrojone w jedwabie i koronki, obwieszone wprost biżuterią: bransolety, naszyjniki, kolczyki. W powietrzu unosił się ciężki zapach perfum. Przeładowane, pomyślał, podobnie jak cały wystrój wnętrza. Wolał prosty wybór Laury. Była poza konkursem. Prawdopodobnie to sprawa klasy, stwierdził. Ma to we krwi. Mogłby jej to powiedzieć, gdyby nie oddaliła się szybko, by odbyć, jak sądził, swą templetonowską rundę.

Większość mężczyzn była w smokingach. Drobnym fakcie, o którym Josh przezornie nie napomknął. Co za różnica, i tak by się w ten sposób ubrał. Nawet gdyby miał smoking.

Niemniej był to kolejny powód, by porachować się ze starym przyjacielem. Jeśli ten szczywany sukinsyn w ogóle się pokaże.

Do jasnych stron imprezy mógł zaliczyć dobrze schłodzone piwo, które trzymał w ręku. Ułożone artystycznie na bufetowych stołach przekąski wyglądały ładnie, a smakowały bosko. Wdał się w niezobowiązujący flirt z kobietą, która go pomyliła z jakimś młodym hollywoodzkim waśniakiem. Nie zadał sobie fatygi, by ją wyprowadzić z błędu.

Zastanawiał się, czy się nie poszwendać, może wyjść na świeże powietrze, lub rzucić okiem na inne pomieszczenia, albo też znaleźć ten stół bilardowy i ogrzać paru naiwniaków. Wtedy wróciła Laura.

— Przepraszam. Musiałam porozmawiać z paroma osobami. — Automatycznym, prawie nieobecny ruchem przyjęła kieliszek szampana od przechodzącego kelnera, wybałała podziękowanie.

— Nie ma sprawy.

Ale to był jej problem. Miała czas, by to sobie przemyśleć.

— Przepraszam, Michael. Byłam zła na Josha za manipulowanie mną, a tobie się dostało. — Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, wysiliła się na uśmiech. — A o czym to rozmawialiście z Kitty Bennett?

— Z kim? Och, z tą egzaltowaną brunetką z końskimi zębami!?

Niewiele brakowało, a Laura udławiłaby się szampanem. Jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś w podobny sposób opisał przewodniczącą Rady Sztuki w Monterey. I do tego tak bezbłędnie.

— Tak — powiedziała z trudem.

— Przydusiła mnie w związku z moim ostatnim filmem.

— O, to ciekawe!

Postanowił być przyjacielski. Uśmiechnął się.

— Nie o „Waleczne Serce”, choć miałem w nim parę niezłych numerów. Myślała, że reżyseruje artystyczne filmy. Mówiła coś na temat fetyszyzowania nóg.

— Aha. Dyskutowaliście także o metaforycznych skrzywieniach naszego opętanego seksem społeczeństwa, jak również o wyrażającej moralny rozkład wielowarstwowości symbolizmu.

Od razu poczuł się lepiej.

— Coś w tym rodzaju. Uważa, że jestem błyskotliwy i niedoceniony. Sądzę, że mógłbym dostać od niej grant.

— Moje gratulacje.

— Prawdę mówiąc, zależało jej tylko na moim ciele.

— No cóż, artysta musi być przygotowany na poświęcenia. O, a oto Byron i Kate.

Michael spojrział przelotnie. Zdziwił się na widok brunetki o nieskazitelnej sylwetce w opływowej czarnej sukni. Figlarna buzia, duże czarne oczy

i krótko obcięte ciemne włosy zbiły go z tropu. Dziewczyna, którą zapamiętał, była chuda, trzpiotowata — prawie nijaka.

— To Kate? Kate Powell?

— Pracuje nad sobą — szepnęła Laura. — Ma obsesję na punkcie sprawności fizycznej, więc nie poruszaj tego tematu.

— A to jej trener? — odszepnął Michael, mierząc wzrokiem barczystego, długonogiego mężczyznę u jej boku.

— I mąż w jednej osobie. Jest również moim szefem. Byron. - Wyciągnęła rękę, podczas gdy para przedzierała się do nich przez tłum. Szybko pocałowała Byrona, po czym zwróciła się do Kate. — Margo jak zwykle miała rację. Ta suknia od Karana jest dla ciebie idealna. Byron De Witt, Michael Fury.

— Miło mi. Kate opowiadała mi masę historii o tobie.

— I nawet wcale nie musiałam przesadzać. — Śmiejąc się szeroko, Kate postąpiła naprzód i szybkim, przyjacielskim ruchem uściśnięła Michaela.

Może jej ramiona są szczupłe, zauważył Michael, ale dobrze umięśnione. Ciesząc się ze spotkania, odsunął ją lekko od siebie.

— Niech ci się przyjrzy, Kate Powell. Wspaniale wyglądasz.

Ponieważ go zawsze lubiła, mrugnęła do niego.

— Ty także, Mick.

— Przynieść coś do picia?

— Ja poproszę o to co Laura — postanowiła Kate.

— Michael?

— Dla mnie ciemne piwo.

— To niezły pomysł — stwierdził Byron. — Chyba wezmę to samo. Przepraszam was na chwilę.

— To południowiec — powiedziała Kate, patrząc rozmarzonym okiem posiadaczki, jak mąż podchodzi do baru. — Po prostu jest dżentelmenem.

— Wygląda na to, że nie tylko ta suknia ci pasuje — skostatował Michael.

— To prawda. — Kate odwróciła się i uśmiechnęła się ciepło. — I w przeciwieństwie do sukni, która jutro wróci do sklepu, on cały należy do mnie. No, a co u ciebie, do licha? Kiedy będziemy mogli obejrzeć twoje konie?

Dla Kate wszystko jest takie łatwe i proste, myślała Laura, przysłuchując się rozmowie i wtrącając od czasu do czasu odpowiednie komentarze. Od razu nawiązała swobodną rozmowę z Michaeliem. Czy nie odczuwa żadnych — och, niechętnie użyła tego określenia — wibracji, ale to było wszystko, co przyszło jej do głowy. Mroczne, niepokojące, niebezpieczne wibracje. To przez nie drżała, gdy stała obok Michaela, dotykając przypadkowo jego ramienia, wychwytyując błysk w namiętnych błękitnych oczach.

Sytuację poprawiło pojawienie się Josha i Margo. Rozmowa stała się żywsza, więcej się śmiali. Byron wdał się z Michaeliem w fachową rozmowę o koniach. Nim przeszli do samochodów — kolejnego interesującego ich tematu — Byron już się umówił na obejrzenie inwentarza Michaela.

Bez trudu mogła się oddalić, pociągając za sobą Margo.

— No jak? — zaczęła Margo. — Dobrze się bawisz? Przyglądają się wam i kombinują.

Nic bardziej nie mogło rozwścieczyć Laury. Dopiero teraz przejrzała ich mistrzowski plan, dziwiąc się, że nie domyśliła się wcześniej.

Wrzało w niej, choć starała się panować nad sobą.

— Czy to część waszego małego spisku? Zgromadzić ludzi w klubie i wystawić na pokaz biedną Laurę i jej towarzysza?

— Jeśli towarzysz wygląda tak jak Michael? Czemu nie? — Margo machnęła niecierpliwie ręką. — Och, rozchmurz się, Lauro. To tylko jeden wieczór twojego życia. Dlaczego nie mogłabyś go spędzić z doskonale prezentującym się mężczyzną? Bóg wie od jak dawna się ukrywasz.

— Ukrywam się? — Znowu podskoczyła. — Tak to nazywacie?

— Daj spokój. — Chcąc przeprosić za to niezbyt zręczne sformułowanie, Margo położyła rękę na ramieniu Laury. — Chciałam po prostu powiedzieć, że zanadto skoncentrowałaś się na pracy i na obowiązkach, tak że nie dopuszczasz do siebie myśli o rozrywce. Zabaw się trochę. Zaproś go do tańca, pójďte na spacer, zrób cokolwiek, zanim on i Byron nie przylgną do siebie jak syjamskie bliźnięta i nie pogrążą się w rozmowie na temat siłników.

— Nie chcę tańczyć ani spacerować z Michaelem — wycedziła Laura. Wiedziała, że brzmi to patetycznie. Młodsza siostra — domatorka z konieczności, zaniechana i wstydliva, godna ubolewania eks-żona. — Ulżyło mi, że znalazłam coś, dzięki czemu nie straci całego wieczoru. Bo dotąd potwornie się nudziłam.

— A więc nie wywiązałaś się z zadania, czy tak? — Zirytowana Margo przechyliła głowę. — Korona by ci spadła z głowy, gdybyś zachowała się przyjaźnie wobec mężczyzny? Prawdę mówiąc, uważam, że tobie i najbliższemu otoczeniu wyszłoby na dobre, gdybyś zrobiła małą przerwę na seks i dała upust swoim frustracjom.

Spokojne szare oczy Laury zrobiły się zimne jak stal.

— Ach tak? Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że moje najbliższe otoczenie tak bardzo się przejmuję moim trybem życia.

— Hej. — Dostrzegając oznaki nadchodzącej burzy, Kate dołączyła do nich dyskretnie. — Znosi się na walkę?

— Laura się wścieka, że zaaranżowaliśmy jej spotkanie z Michaelem.

— Lubię Micka. — Kate wybrała oliwkę ze swojego mikroskopijnego talerzyka, połknęła ją. — O co chodzi?

— Jestem wściekła — odparowała Laura, specjalnie podkreślając słowo — ponieważ Margo najwyraźniej sugeruje, żebym poszła z nim do łóżka, po to, aby ona i pozostali przyjaciele nie musieli cierpieć z powodu moich seksualnych frustracji.

Kate rzuciła okiem w stronę panów.

— Co w tym złego? — zdziwiła się, wzruszając ramionami. — Gdybym nie była szczęśliwą mężatką, sama bym się nad tym zastanowiła.

— Może to dobre dla ciebie. Dla was obu. Szczęśliwe mężatki! Chryste,

mam nadzieję, że nigdy nie byłam tak pełna samouwielbienia jak wy. — Na tyle opanowała złość, że udało się jej odejść spokojnie, jakby nic się nie stało.

— Niewłaściwe guziki — mruknęła Kate. — Okazało się, że nacisnęłyśmy na niewłaściwe guziki.

— Co się stało, to się nie odstanie — westchnęła Margo, upijając łyk wina. — Niech sobie będzie zła, ale przecież nie miałam zamiaru jej unieszczęśliwić. Sądziłam, że się zabawi, że pozwoli Michaelowi zająć się sobą. A przy okazji przedmuchałby trochę jej umysł.

Kate zachichotała.

— Troskliwa z ciebie przyjaciółka, Margo. Do licha, czy naprawdę jesteście pełne samouwielbienia?

— Obawiam się, że tak.

Kilka minut później, w damskiej garderobie, Laura dochodziła do siebie. Siedziała na jednym z filigranowych, gustownie obitych stołeczków przed pulpitem z długim lustrem i skrupulatnie malowała usta.

Czy jest sfrustrowana? Czy stała się trudna dla otoczenia? Chyba nie. To prawda, że stale jest zajęta, skoncentrowana, oddana rodzinie i pracy.

I co w tym złego? Westchnęła, wsparła łokcie o pulpit, a głowę na dłoniach. Nie, to jednak ona nieproporcjonalnie rozdmuchała problem dzisiejszego wieczoru. Ponieważ od dawna nie uczestniczyła w zwykłej towarzyskiej imprezie.

A także, jeśli już ma być szczerą, ponieważ nie wie, jak się zachować wobec mężczyzny, zwłaszcza takiego jak Michael.

Miała siedemnaście lat, kiedy zakochała się w Peterze. Osiemnaście, gdy wyszła za niego za mąż. Jej dotychczasowy rekord randek z mężczyzną był bardzo mizerny i nieskomplikowany.

Była mężatką przez dziesięć lat i nie przywiązywała większej wagi do flirtów. Mężczyźni wokół niej to byli krewni albo starzy przyjaciele rodziny. Zdarzały się też okazjonalne znajomości, mężowie kobiet, które znała, albo po prostu klienci.

Mam trzydzieści lat, pomyślała z przykrością, i nie potrafię umówić się na randkę. Nawet jeśli to nie jest prawdziwa randka.

Kiedy otworzyły się drzwi, wyprostowała się błyskawicznie i wyjęła grzebień.

— Cześć, Lauro.

— Judy. — Uśmiechnęła się ciepło. Judy Prentise była przyjaciółką i stałą klientką „Pretensjonalnej Galerii”. — Cieszę się, że cię widzę. Wspaniale wyglądasz.

— Trzymam się jakoś. — Zawsze skora do pogaduszek i ploteczek Judy usiadła obok niej. — Czy widziałas Maddie Greene? W zeszłym miesiącu sprawiła sobie nowe cycki.

Przy Judy nie sposób się było zachowywać zbyt dostojnie.

— Trudno jej nie zauważyć i tych jej stojących na baczność bliźniaczych żołnierzyków.

— Ostrzegam cię. Kiedy poruszyła ten temat, powiedziałam, że wyglądają bardzo zuchwale, czy coś w tym rodzaju. — Gdy Laura parsknęła śmiechem, Judy rozpromieniła się cała. — Skończyło się na tym, że zaciągnęła mnie tutaj na siłę i rozebrała się do pasa, by mi je pokazać. Zbytńia poufałość, moja droga. Przecież to bardzo osobista sprawa!

— O Boże, dziękuję za ostrzeżenie.

— Muszę przyznać, że są prześliczne. Skoro już o tym mowa. — Judy wyjęła wysadzaną szlachetnymi kamieniami puderniczkę. — Nie mogę zidentyfikować tego niewiarygodnie wspaniałego okazu, z którym tu jesteś. Czy on jest z tych okolic?

— To stary przyjaciel.

Judy zaiskrzyły się oczy.

— Każdej z nas przydałby się taki stary przyjaciel.

— Właśnie wrócił w te strony. — Nagle ją olśniło. — Twoja córka bierze lekcje konnej jazdy, prawda, Judy?

— Jest nieprzytomna na punkcie koni. Sama przeszłam tę chorobę, ale u Mandy, jak sądzę, to stan chroniczny.

— Michael hoduje konie, trenuje je. Zatrzymał się w Templeton House, dopóki się nie pobuduje. Jego posiadłość została zniszczona przez te lawiny błota.

— O Boże, to było straszne. Jedna z moich przyjaciółek stała bezradnie, patrząc, jak jej dom zjeżdża z klifu. Po prostu oddała się, oddała i znikła. Przerazające. — Judy uperfumowała nadgarstki. — Dlaczego my właściwie mieszkamy w Kalifornii?

— Słyszałam, że z powodu pogody — zażartowała Laura z poważną miną. — W każdym razie, jeśli postanowisz sprawić Mandy konia, możesz się skontaktować z Michałem.

— Właśnie się nad tym zastanawiamy. Zbliżają się urodziny Mandy, a ona niczego bardziej nie pragnie niż własnego wierzchowca. — Zadumała się ściągając usta. Schowała perfumy. — Dzięki za cenną informację. Porozmawiam o tym z mężem. A na razie, dobrej zabawy ze starym przyjacielem.

Laura opuściła garderobę w lepszym nastroju. Wieczór upływał powoli. Wszystko wskazywało na to, że uda się go jakoś przeżyć do końca. Zdobędzie się jeszcze na drobny wysiłek i postara się miło spędzić resztę czasu.

— Ochłoneñas?

Podskoczyła nieznacznie, przeżuła przekleństwo. Czy ten człowiek musi się tak skradać za plecami?

— Przepraszam?

— Po opuszczeniu pokoju dla pań wyglądałaś tak bojowo, jakbyś była gotowa odgryźć i przeżuć kawałek stali. — Michael wręczył jej nowy kieliszek szampana.

- Może to była niestrawność. Wpadłam tam na przyjaciółkę.
- Kobiety uwielbiają spotkania na szczycie w sraczu, prawda? Czy nie dlatego chodzą tam na ogół całą paczką?
- To prawda, gramy w pokera i palimy cygara, ale mnie chodzi o to, że moja przyjaciółka ma córkę, która się pasjonuje konną jazdą. Mają dość pieniędzy, żeby jej kupić konia. Podałam Judy twoje nazwisko. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.
- O rany, ilekroć zechcesz mi coś nagrać, nie kępuj się. Polubiłem twójego szwagra.
- To było widać. Spodziewałam się, że spędzicie interesująco czas.
- Czy w ten subtelny sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że zaniedbałem ciebie?
- Nie — odparła. Zbyt szybko. Próbowала to teraz naprawić. — Wcale nie. Cieszę się, że przypadliście sobie z Byronem do gustu. — Dostrzegła go na parkiecie razem z Kate. Oczy jej się rozjaśniły. — Są tacy szczęśliwi! Dopiero od niedawna są małżeństwem, ale po sposobie, w jaki niektórzy ludzie patrzą na siebie, można już z góry przewidzieć, że to się nie zmieni.
- Odślaniasz romantyczną stronę swojej natury!
- Nie potraktowała tego jako obrazę.
- Chyba mam do tego prawo.
- W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak poprosić cię do tańca. Przyjrzała mu się. Pał sześć, czemu nie?
- Sądzę, że w tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak przyjęcie zaproszenie.
- Nagle, nim ujął rękę Laury, jej uśmiech zamarł, zgasł, zbladła jak kreda. Wyciągnięta ku niemu dłoń opadła.
- Co się stało?
- Oddychała płytko i szybko.
- Cześć, Peter. Candy.
- Laura.
- Michael przysunął się, instynktownie położył rękę na talii Laury, by ją wesprzeć. Uświadomił sobie, że to zapewne jej były mąż razem z rudowłosą, wyzywającą narzeczoną o kocim spojrzeniu, przyklejoną do jego ramienia.
- A więc to jest typ mężczyzny Laury. Postawny, nieskazitelny, dystyngowany, znakomicie prezentujący się w szytym na miarę smokingu, z brylantowymi spinkami połyskującymi dyskretnie u mankietów.
- Nie wiedziałam, że jesteś w mieście — zagaiła Laura. Zdawała sobie sprawę, że choć rozmowy nie ustały, cała uwaga ludzi skierowana jest na tę ośmieszającą, pełną komicznego napięcia scenę. — Kiedy rozmawialiśmy na temat szkolnego przyjęcia Ali, dałeś mi do zrozumienia, że wyjeżdżasz.
- Zmieniłem nieco plany, ale będę nieosiągalny — powiedział tak kategorycznie, jakby chodziło o wykręcenie się od zaproszenia na mecz polo.
- Dla niej to jest bardzo ważne, Peter. To tylko kilka godzin...

— A dla mnie ważne są moje plany. — Rzucił okiem na Michaela, zastanawiał się chwilę. — Nie sądzę, bym znał twojego towarzysza.

— Michael Fury. — Michael nie wyciągnął ręki na powitanie.

— Oczywiście. Wydałeś mi się znajomy. — Głos Candy Litchfield wyraźnie się ożywił. — Michael jest starym przyjacielem Josha Templetona, kochanie. Pływałeś po morzach, czy coś w tym rodzaju, prawda?

— Czy coś w tym rodzaju — odparł Michael, rzucając jej krótkie spojrzenie. Zawsze go drażnił ten typ kobiet. Narzucające się, uszczypliwe. — A ja nie przypominam sobie ciebie.

Powiedział to specjalnie. Chciał ją zbić z tropu, osadzić na miejscu. Zwykle trafiał bezbłędnie. Najeżyła się nieco, a następnie wycodziła:

— No cóż, w końcu nie obracaliśmy się w tych samych kręgach, prawda? Twoja matka była kelnerką, jeśli się nie mylę?

— Zgadza się. W Templeton Monterey. A mój ojciec zwiął od nas z taką jedną rudowłosą. Nie przypuszczam, żeby to była twoja krewna.

— Nie sądzę! — Zmarszczyła pogardliwie nos, po czym zwróciła się ku Laurze. — Nie gań Petera, Lauro, byliśmy ogromnie zajęci. Od rana nie mieliśmy nawet czasu, żeby złapać oddech. Byliśmy w St Thomas.

— Niemniej są pewne uciążliwe domowe sprawy, które wymagają porozumienia. Gdybyś...

Urwała. Jej wzrok padł na pierścionek zaręczynowy, który Candy celowo demonstrowała, postukując palcami o pierś Petera. Był to kamień wielkości kurzego jaja, osadzony w platynowej oprawie od Tiffaniego.

Zadowolona, że wreszcie zwróciła uwagę Laury na to, na co chciała, Candy zachichotała.

— Mój Boże, nakryłaś nas. Chcieliśmy to ogłosić w wąskim gronie, ale jestem pewna, że mogę polegać na twojej dyskrecji. — I że ją tym dobiję, pomyślała z nadzieją. Nienawidziła Laury, odkąd pamięta, i napawała się tą chwilą triumfu.

Laura miała ściśnięty żołądek, gdy spojrzała w oczy Peterowi. Jakże były rozbawione. Zimne i rozbawione.

— Wszystkiego najlepszego. Jestem pewna, że będziecie bardzo ze sobą szczęśliwi.

— Nie wątpię w to. — Candace jest dla mnie idealną partnerką, pomyślał. Idealną na tym nowym etapie życia, tak jak Laura była idealna na innym etapie. — Planujemy małą uroczystość w maju w Palm Springs.

— Nie taką małą — nadała się wdzięcznie Candy, nie spuszczać z Laury rozpromienionych i triumfujących oczu. — Maj jest cudownym miesiącem na wesele, nie uważasz? Zorganizujemy coś uroczego, w ładnej oprawie. Ale nie aż tak małego i kameralnego. W końcu panna młoda musi się zaprezentować.

— Masz już w tym doświadczenie. — Laura bała się, że zaczną jej drzeć dłonie. Nie mogła do tego dopuścić. — Czy zamierzasz powiadomić dziewczynki o ślubie, Peter, czy ja mam to zrobić?

— Pozostawiam to tobie.

— Jestem pewna, że będą zachwycone — zamruczała Candy i zdjęła szklanek z tacy stojącego w pobliżu kelnera. — Tak jak moje dzieci. Mały Charles uwielbia Petera, a Adrianna aż drży ze szczęścia na myśl o uroczystości.

— Cieszę się za ciebie — powiedziała Laura oziębło. — Sądzę, że Charles i Adrianna zdążyli się już przyzwyczaić do twoich ślubów.

— Nie bądź złośliwa, Lauro. — Głos Petera był uprzejmy i stonowany. — Nigdy ci z tym nie było do twarzy. Musimy was teraz przeprosić i dołączyć do towarzystwa.

— Sama rozkosz! — mruknął Michael po ich odejściu.

— Co za suka. Czy mam tolerować tę sukę jako macochę moich dzieci?

Jak ja to zniosę?

Zaskoczyła go jej pierwsza myśl. Zdał sobie jednak szybko sprawę, że nie ma racji.

— To są bystre dziewczyny, Lauro, a ona nie wydaje się przejawiać macierzyńskich instynktów.

— Nie mogę tu zostać.

Nim zdążyła umknąć, ujął ją mocno za ramię. Sposób, w jaki ją do siebie przyciągnął, sprawiał wrażenie, jakby powierzali sobie jakieś tajemnice.

— Jeśli uciekniesz, będzie to wyglądało na rejteradę. Chyba nie o to ci chodzi.

— Nie chcę tu zostać. — Czuła, że ogarnia ją panika, a jednocześnie gotowała się ze złości. — Jak on może? Jak on im może robić coś podobnego?

To dziwne, pomyślał, iż nie dostrzega roli obojga. Działają z premedytacją i bardzo skutecznie.

— Jeśli się nie mylę, cała sala zastanawia się teraz, jak Laura Templeton zachowa się po tym małym spotkaniu ze swoim byłym mężem i jego cycatą laluchną. Sądzę, że jednak powinniśmy zatańczyć.

Miał oczywiście rację. Miał absolutną, cholerną rację. Bez względu na ból i szok, nie wolno zapominać, że istnieje jeszcze duma. Nie da Candy powodu do kpiny i nie wycofa się teraz.

— Zgoda.

Poszła z nim na parkiet, jakby o niczym innym nie marzyła. Grali wolną muzykę — jakiś nastrojowy kawałek z lat czterdziestych. Ma być romantycznie, pomyślała. A tymczasem muzyka ogłuszała ją niczym wojenna wrzawa.

— Nie dorwie się tymi szponiastymi paluszkami do moich dzieci — wycodziła przez zęby.

— Nie sądź, by jej się to mogło udać, nawet gdyby chciała osiągnąć taki cel. Byłoby dobrze, gdybyś na mnie patrzyła. — Objął ją, stwierdził, że pasują do siebie, że jej kroki bez trudu dostosowują się do jego. — A nawet się uśmiechała.

— Przyszli tu tylko po to, by mnie publicznie spoliczkować. Żadne z nich nawet przez chwilę nie myśli o dzieciach. Przecież sama jest matką, Michael. Jak to możliwe, że nie troszczy się o nie?

— To się nazywa samouwielbienie. Przestań się martwić. W jej kalendarzu nie znajdzie się miejsce na rolę dobrej macochy. Uśmiechaj się — szepnął i ręką musnął jej policzek. — Wszyscy muszą być przekonani, że myślisz nie tylko o mnie, ale i o tym, co będziemy robili po wyjściu stąd. Dopiczemy im jak cholera!

Znowu miał rację. Uśmiechnęła się.

— Przepraszam. Znalazłam się w ogniu krzyżowym.

— Do licha, to jeszcze świeża rana. — Wynagrodziła go krótkim, szczerym śmiechem.

— Jesteś miłszy, niż cię zapamiętałam, Michael. A ja jestem wstrętna.

— Dla mnie wyglądasz ślicznie i nieskazitelnie. Zawsze tak wyglądałaś. A teraz wprawimy ich w osłupienie. — Pochylił głowę, musnęli się policzkami, zbliżył wargi do jej ucha. — Kim jest ten facet, którego obejmuje Laura Templeton? Od jak dawna to trwa?

— Sama już zaczynała się nad tym zastanawiać.

— Sądysz, że ludzi aż tak bardzo interesują moje sprawy?

Czuł jej gorący oddech na szyi.

— Jeszcze jak, skarbie. Fascynujesz ich. Spokojna, opanowana Laura.

— Zbyt długo byłam biedną Laurą. — Jej głos znowu zadrzżał. — Biedną Laurą, zdradzaną przez męża z jego sekretarką. Biedną Laurą, która musi wysoko trzymać głowę, teraz, gdy jej dawny mąż żeni się w Garden Clubie z jej szkolną koleżanką.

— Chryste, olej tego irytującego rudzielca. — Potrząsnął głową. — Sprawiasz mi zawód. Pomyśl, teraz kiedy już ich zaintrygowaliśmy, dlaczego nie mielibyśmy im ofiarować tematu do rozmów przy jutrzejszym śniadaniu?

Zbliżył usta, leciutko musnął jej policzek. Nim pozbiierała się z wrażenia, jego ciepłe wargi przywarły do jej ust. Pocałunek był długi i namiętny. Zawirowało jej w głowie.

Odsunął się o kilka centymetrów. Widziała teraz jego oczy.

— Spróbujmy jeszcze raz — powiedział cicho. — Sądzę, że wczujesz się w rolę.

Powinna zaprotestować. Nie należy do kobiet, które na oczach tłumu ochoczo oddają się namiętym pocałunkom. Ani żarliwym pocałunkom na osobności, jeśli ma być szczerą. Ale on już ją całował; wprawnie, przekonująco. Gorąco. Więc się poddała.

Czuła smak jego ust, twarde, namiętne wargi, śmiało poczynający sobie język i dotyk zębów. Jeszcze nikt przedtem nie całował jej w ten sposób. Jak gdyby jej usta stanowiły źródło wszelkich przyjemności. Coś w niej jęknęło, coś, co mogło być wyrazem oburzenia, choć najprawdopodobniej wyrażało zdumienie.

On także był ciekaw. Jak Laura smakuje, jak reaguje, jaka jest. To, co odkrył, było swoistą ucztą kontrastów. Spod pancerza chłodu sączył się żar. Wstyd i nieśmiałość trzepotały pod warstwą opanowania. Drżała, delikatne erotyczne wibracje wyrażały jej pragnienie, pobudzając jego męskość.

Ten ze wszech miar ekscytujący eksperyment uświadomił mu, że nie są sami i że w tych okolicznościach nie mogliby swobodnie analizować jego rezultatów.

— To powinno wystarczyć — wyszeptał. — Do licha, przekonałaś mnie.

Nie była zdolna do niczego. Zapatrzyła się w niego. Nadal tańczyli. Wiedziała jedynie, że jej nogi, choć nieswoje, poruszają się jednak.

— Skarbie. — Starając się nie okazywać, jak bardzo pragnęły ją pochłonać kilkoma łapczywymi kęsami, podniósł jej dłoń, ujął za nadgarstek. — Patrząc na mnie w taki sposób, dostarczasz im znacznie więcej powodów do rozmów, niż tych kilka pocałunków.

Błyskawicznie przeniosła wzrok ponad jego ramię.

— Zaskoczyłaś mnie.

— Mogę to samo powiedzieć o sobie. Jeśli chcesz, możemy już wyjść. Teraz nikt nie pomyśli, że rejterujesz.

— Dobrze. — Kroczyła sztywno, próbując zignorować poufały i uwodzicielski sposób, w jaki ją gładził po plecach. — Chciałabym wrócić do domu.

Odezwała się dopiero, gdy znaleźli się na przestronnej werandzie przed wyjściem z klubu. Stali tam, podczas gdy jeden z lokajów pospieszył, by sprowadzić z parkingu samochód Michaela. Za nimi było światło i muzyka, przed nimi zaś noc, blask księżycy i mrok.

— Czy mam ci podziękować?

— Chryste! — Wsunął ręce do kieszeni. Była teraz taka niedostępna, jak wypolerowany marmur. — Czy wyglądam na kogoś, kto się poświęca? Całowałem cię w określonym celu, i gdybyś zechciała zstąpić ze swego cholernego piedestału, przyznałabyś, że przyłożyłem się do tego.

— Nie chciałam cię rozgniewać.

— Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Lauro... — Nie wiedząc jeszcze, jaki będzie jego kolejny ruch, odwrócił się ku niej, po czym zaklął, gdy z piskiem opon lokaj zajechał jego samochodem pod same schody.

— Prawdziwe cacko, proszę pana — powiedział chłopak, po czym rozpromienił się na widok napiwku. — Dziękuję panu. Szczęśliwej drogi.

Gdy oddalali się od klubu, Michael odetchnął głęboko. Napięcie stopniowo opadło.

• — Zastanów się, skarbie, to był dla ciebie potężny cios. Przykro mi z tego powodu. Ale moim zdaniem ten pajac, którego miałas nieszczęście poślubić, nie wart jest nawet jednej minuty twojej uwagi i nerwów.

Czy ktoś go pyta o zdanie? — pomyślała ze złością.

— Chodzi o dziewczynki, a nie o mnie.

— Rodzice się rozwodzą. Takie jest życie. Ojcowie wynoszą się i nie interesują się dziećmi. To także jest życie.

— Łatwo tak mówić, kiedy się nie ma dzieci.

Smutek przemknął po jego twarzy.

— Nie, nie mam dzieci. Ale sam doświadczyłem rozvodu rodziców i zaniedbania. Czas jednak robi swoje.

Zamknęła oczy. Zapomniała, że ojciec porzucił jego i matkę.

— Przykro mi, ale to nie rozwiązuje sprawy. Allison potrzebuje jego troski, boli ją obojętność ojca.

— A ty? Wciąż go kochasz?

— Nie. Na Boga, nie. Candy jest dobra dla niego, ale nie dla moich dzieci.

— Nie sądzę, żeby miały jej do zaoferowania coś więcej niż opanowaną do perfekcji przez Templetonów odprawę. Błady, uprzejmy uśmiech.

— Wcale się tak nie zachowujemy.

— Ależ tak, skarbie, właśnie tak.

Odsunęła się, zmierzyła go wzrokiem.

— Czy wiesz, dlaczego zwracasz się do kobiet per „skarbie”, Michael? W ten sposób, kiedy zsuwasz się z którejś w środku nocy, nie musisz sobie zaprzątać głowy tak nieistotnym szczegółem, jak jej imię.

Skrzywił się. Było to coś pośredniego między grymasem a uśmiechem.

— Prawie trafiłaś. Gwarantuje ci, że zapamiętam twoje... Lauro. Jeśli tylko pozwolisz mi się zsunąć z siebie tej nocy.

Nie była pewna, czy ją to oświadczenie zaszokowało, oburzyło, czy rozbawiło. Wiedziała natomiast, że znaczna część pozostawionego przez Petera jadu wyparowała.

— Twoja propozycja niewiarygodnie mi pochlebia. Nie przypominam sobie drugiej, tak...

— Uczciwej — zasugerował.

— Prosto z mostu — dokończyła. — Obawiam się, że będę musiała odmówić.

— Decyzja należy do ciebie. A co byś powiedziała o spacerze po klifach, zamiast tego? — Pod wpływem impulsu skręcił nad skały.

Ich ostre wyciągnięte ku górze ramiona, skąpane w świetle księżyca i aż nazbyt romantyczne, przyciągały magnetyczną siłą. Oczy i duszy ujrzała, jak spacerują razem, trzymając się mocno za ręce. Potrząsnęła głową.

— Nie mam odpowiednich butów.

— Posiedźmy więc tu chwilę.

— Nie sądzę...

— Chcę ci coś powiedzieć.

Znowu dały znać o sobie nerwy. Zacisnęła dłonie na podołku. Siedziała w samochodzie, na nie oświetlonej drodze, przy blasku księżyca. Zdarzyło jej się coś, czego nie robiła od Bóg wie ilu lat.

— Zgoda.

— Jesteś piękną, atrakcyjną kobietą. — Kiedy szybkim ruchem odwróciła głowę, i kiedy zobaczył jej wielkie, zakłopotane oczy, nieomal się roześmiał. — Przypuszczam, że słyszysz o tym na każdym kroku.

Oczywiście, że nie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Pochlebia mi, że tak uważasz.

— Pragnę cię.

Wpadła w panikę, zapieniła się jak szampan w zbyt mocno poruszonej butelce.

— Ja... jakiej oczekujesz ode mnie odpowiedzi? O Boże! — Pomimo nieodpowiednich butów, popchnęła z całej siły drzwi i szybkim krokiem ruszyła w ciemność.

— Nie oczekuję odpowiedzi. Mówię, co czuję. — Podszedł do niej, obrócił ją w swoją stronę. — Prawdopodobnie popełniam błąd, niemniej chcę, żebyś wiedziała. Zachowałem cię we wspomnieniach. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki cię nie ujrzałem po latach. Nagle odżyły w mojej pamięci. Miałem zwyczaj myśleć o tobie. Cholernie nie na miejscu są takie niecenzuralne myśli, jeśli dotyczą młodszej siostry najlepszego przyjaciela. Oberwałbym za nie kopniaka od Josha. I nie mógłbym mu mieć tego za złe.

— Nie jestem w tym dobra. — Zawróciła, wycofując się co prędzej. — Nie jestem dobra w tych sprawach. Lepiej, gdybyś przerwał.

— Dopiero, gdy skończę. Nie zatrzymuję się w pół drogi. Cofaj się tak, cofaj, skarbie... Lauro — poprawił się i chwycił ją za ramię. — Złamiesz sobie nogę. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się mnie bała. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. — Błysnął zębami w uśmiechu. — Do licha, czułym się znieważony. Wytrzymaj jeszcze chwilkę.

Przytrzymał jej ręce, zbliżył się.

— Nie zamierzam cię zranić — wyszeptał, zniżając usta.

To nie raniło. Bezradność wyprzedziła ból. Delikatnym, długim pocałunkiem rozbroił ją. A później przyszedł kolejny — mocniejszy, bardziej niecierpliwy, aż wreszcie jego zuchwałe, nieustępliwe wargi rozkruszyły mur powściągliwości.

Wiedziała już, że małżeństwo nie przygotowało jej na ten rodzaj pożądania, które atakowało z taką siłą, domagało się zaspokojenia.

Kiedy się poddała, pragnął więcej. Pragnął jej tutaj, na szczycie omiatanego wichrem klifu, w blasku księżyca, pośród szumu wzburzonych fal, tak pasujących do jego wyobrażenia o wzięciu jej szturmem. Wiedział, iż żądza może się stać dla niego zgubą.

— Chcę, żebyś to przemyślała — odezwał się. — Nauczyłem się cierpliwości przy koniach, potrafię być cierpliwy także dla ciebie. Uważam, iż mówiąc, że cię pragnę, postępuję uczciwie. To nie ma nic wspólnego z ratowaniem twojej twarzy przed towarzystwem w klubie, ani z chęcią dokuczenia temu idiotcie — twojemu byłemu mężowi. To dotyczy ciebie i mnie. A gdy to się stanie, nie sądzę, żebyś musiała pytać, czy masz mi dziękować.

— Mam dzieci.

Śmiech, jak stwierdził, może rozładować nawet największe napięcie.

— Chryste Wszchemogący. Masz wspaniałe dzieci, Lauro. Ale to dotyczy tylko ciebie i mnie.

— Ja... odsuń się i pozwól mi złapać oddech, dobrze?

Odkoczyła, przeczesła rękami włosy, które zmierzwił wiatr. Czuła, że bez względu na wzburzenie, najwłaściwszą drogą będzie szczerłość.

— Nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia. — Choć głos jej był znowu spokojny, nie przestawała nerwowo splatać dłoni. — Byłam mężatką przez dziesięć lat, i byłam wierna.

— Od jak dawna jesteś rozwiedziona?

Kiedy nie odpowiedziała, przyjrzał się jej uważnie. Dopiero teraz zrozumiał, co mu chce powiedzieć. Był tylko jeden mężczyzna w jej życiu, co, zdaniem Michaela, czyniło jej męża jeszcze większym idiotą.

— Czy dlatego miałbym cię mniej pragnąć? Wiesz, co bym najchętniej zrobił, Lauro? Przerzuciłbym cię przez ramię i sprawdził, czy potrafisz jeszcze zadowolić kobietę na tylnym siedzeniu.

Zerknęła w stronę porsche. Przez chwilę był pewny, iż dostrzeża w jej oczach wahanie.

— Skarbie, miałbym ochotę spróbować.

Kiedy zrobił krok naprzód, wymknęła się ryzykując skruceniem nogi.

— Nie. Po prostu nie.

Odwróciła się, ogarnęła spojrzeniem morze. Białe grzywy fal chłostały rozczapierzone palce skał. To było długie spadanie, pomyślała. Lekkomysłne skoki kończą się zawsze długim spadaniem.

Nigdy nie podjęła ryzyka.

— Nie potrafisz przewidzieć swojej reakcji. Nie wiedziałabym, co począć z tym dalej.

— Przemyśl to — poddał jej myśl. — Będę tu jeszcze przez jakiś czas. Czy chcesz popieścić się w samochodzie, czy wolisz, żebym cię odwiózł do domu?

Teraz się uśmiechnęła. Nie mogła się powstrzymać.

— Kolejna z twoich intrygujących propozycji. Pojadę do domu, dzięki.

— Twoja strata, skarbie.

Rozdział siódmy

A wtedy pani Hannah powiedziała, że kto skończył wszystkie zadania, może popracować przy komputerze. Wybrałam Studio Artystyczne, narysowałam obrazek i wydrukowałam go. A wtedy ona umieściła go na tablicy, bo, jak powiedziała, jest świetny.

Podczas gdy Kayla świergotała o szkole, Michael szczotkował na mokro grzywę klaczy. Kayla odwiedzała go regularnie. Jeśli w ciągu dnia nie widział jej główki wsuwającej się do stajni, czuł, jakby go czegoś pozbawiono.

Za to jej matka trzymała się od niego z daleka. Nie widział jej od trzech dni — od czasu tańców w Country Clubie.

— Mama chce mnie zapisać na lekcje rysunku. To fajnie, bo strasznie lubię rysować obrazki. Jeśli chcesz, mogę ci coś narysować.

— Bardzo chcę. — Rzucił jej krótki uśmiech. — A co dla mnie narysujesz?

— To niespodzianka. — Była rozpromieniona. Wiedziała, że dorośli zazwyczaj nie potrafią słuchać. Pan Fury zawsze słuchał, nawet kiedy był zajęty. — Czy masz czas, żeby nauczyć Binga sztuczek?

— Może. — Uderzając wilgotną szczotką o wewnętrzną stronę dłoni, przyjrzał się szczeniakowi, który właśnie leżał rozkraczony na ceglanej posadzce i wpatrywał się w jednego z kotów. — Najpierw muszę doprowadzić do porządku tę damę. Czekam na kogoś, kto ma ją obejrzeć, musi więc się świetnie prezentować.

Reakcja Kayli była żywa i natychmiastowa.

— Chcesz ją sprzedać? — zapytała, głaszcząc lśniący bok klaczy.

— Być może. — Rozumiejąc rozterkę Kayli, przykucnął obok niej. — Potrzebny jest jej dobry dom. Tak jak Bongowi.

— Twój dom jest dobry.

Nie zamierzał wdawać się w wyjaśnianie zawiłości biznesu, rubryk przychodów i strat w rejestrach księgowych, od których sam dostawał zeza. Spróbował uprościć sprawę.

— Nie mogę ich wszystkich zatrzymać, kochanie. Do mnie należy zapewnienie im opieki na miejscu i znalezienie ludzi, którzy się nimi zajmą. A tych ludzi znalazła twoja mama. Znasz panią Prentise?

— Jest miła. — Zastanawiając się, przygryzała wargi. Lubiła panią Prentise — potrafi się tak zabawnie śmiać. — Jej córka jeździ konno. Mandy ma czternaście lat i ma przyjaciela.

— Naprawdę? — Rozbawiony Michael zwichrzył czuprynkę Kayli. — Jeśli przypadniemy sobie wszyscy do gustu, klacz będzie ich. Jak sądzisz, czy Mandy potrafi o nią zadbać?

— Myślę, że tak.

— Wyprowadźmy więc ją razem na padok, ty i ja.

— Wezmę jej czaprak. Poczekaj.

Kiedy Kayla wybiegła, dokonał ostatnich oględzin swojej damy. Była ładną kasztanką. Po uczesaniu zgrzebłem i starannym wyszczotkowaniu, jej sierść lśniła. Miała mądre, łagodne oczy i waleczne serce. Posmarowane olejem zgrabne kopyta ładnie się prezentowały. Była proporcjonalnym, zgrabnym, chętnym do współpracy, dobrze się sprawującym zwierzęciem. Mogła mu przynieść niezły zysk.

Położył rękę na jej szyi. Wiedział, jak cholernie będzie mu jej brakowało.

Choć udział Kayli ograniczył się raczej do bacznej obserwacji jego ruchów, razem osiodłali klacz. Dziewczynka miała nadzieję, iż pewnego dnia pan Fury pozwoli jej umocować popręg, ale go o to nie zapytała. Jeszcze nie.

— A gdzie jest Ali?

— Och, u siebie w pokoju. Ma go posprzątać i dokończyć lekcje na jutro. Nie może wyjść, bo została ukarana.

— Cóż takiego zrobiła?

— Znowu się kłóciła z mamą. — Z psem przy nodze, Kayla podskakiwała obok wyprowadzającego klacz Michaela. — Jest wściekła, ponieważ nasz tata żeni się z panią Litchfield i nie weźmie udziału w szkolnej kolacji ojców z córkami. Uważa, że to wina mamy.

— Skąd ten pomysł?

— Nie wiem. — Kayla wzruszyła ramionami. — Jest niemądra. Pójdź z nią wujek Josh, a przecież on jest o wiele zabawniejszy. Nasz tata nas nie lubi.

Beztroski ton sprawił, iż Michael zatrzymał się, spojrzał na małą.

— Naprawdę?

— Tak... ale to nic, bo... — zamilkła, zagryzła wargi. — To nieładnie.

— Co takiego, kochanie?

Obejrzała się za siebie, w stronę domu, po czym spojrzała Michaelowi w oczy.

— Ja też go nie lubię. Cieszę się, że odszedł i że nie wraca. Ale nie mów mamie.

Posłyszał w jej głosie obawę, spod której przebijał dźwięk samoobrony.

— Kochanie. — Przykucnął obok niej, ujmując delikatnie jej dziecięce ramionka. — On cię nie krzywdził, prawda? Nie uderzył ciebie ani twojej

siostry? — Na samą myśl o tym skurczył mu się żołądek. — Ani waszej mamy?

— Nie. — Wydała się tak bardzo zaskoczona tym pomysłem, że Michael poczuł ulgę. — Ale nigdy nie słuchał, co się do niego mówi, nigdy się z nami nie bawił, przez niego mama płakała, i za to go nie lubię. Ale nie mów nikomu.

— Nie powiem. — Skrzyżował ręce na piersi na znak przysięgi, a następnie przyłożył palec do jej ust. Jak ktoś, a zwłaszcza ojciec, mógłby nie uwielbiać tego fascynującego dziecka, które miał przed sobą. — Co byś powiedziała na małą przejażdżkę?

Zrobiła wielkie oczy.

— Mogę? Naprawdę mogę?

— No cóż, przekonajmy się. — Podniósł ją, posadził na siodle. — Musimy się upewnić, że nasza dama lubi dziewczynki, zgoda? — powiedział, dopasowując strzemiona. — To jest angielskie siodło, bo takiego używa Mandy. Ujmij lejce. Nie tak, skarbie — odezwał się i poprawił jej uchwyt. — Teraz jest dobrze.

Cierpliwie wyjaśniał jej prawidłowy sposób prowadzenia konia. Niemal z namaszczeniem wsłuchiwała się w każde jego słowo.

— Teraz pięty do dołu. Dobrze. Zweryj kolana. Wyprostuj się. — Trzymając klacz za uzdę, poprowadził ją stępą. — Jak się tam czujesz na górze, panno Ridgeway?

Zachichotała, podskoczyła na siodle.

— Jadę konno.

— Teraz ściągnij lejce w lewo, ostrożnie, tak jak ci pokazywałem. Zobaczysz, jak ona ładnie zakręci. To dobra dziewczynka.

Miał dużo pracy, musiał zatelefonować w parę miejsc. Ale o wszystkim zapomniał. Przez następnych dwadzieścia minut pofolgował sobie, ucząc Kaylę podstaw jazdy, podskakując obok niej, biorąc od czasu do czasu klacz do krótkiego galopu wokół padoku, przyprowadzając tym małą o radosny pisk.

Może dzień był pochmurny, może w powietrzu wisił deszcz, ale tutaj świeciło słońce.

Gdy ją zdejmował, a jej ramiona zacisnęły się wokół jego szyi, po raz pierwszy w życiu czuł się jak bohater.

— Czy będę mogła to jeszcze kiedyś zrobić, panie Fury?

— Oczywiście, że tak.

Śmiejąc się do niego od ucha do ucha, ufnie i serdecznie oplótła go nogami w pasie.

— Ale mama się zdziwi, gdy wróci do domu. Sama jechałam konno, kierowałam nią i wszystko.

— Zgadza się. Wiemy teraz, że lubi dziewczynki.

— Polubi Mandy, więc będzie szczęśliwa. Zaraz opowiem Annie, jak jechałam konno. Dziękuję, panie Fury.

Odwróciła się, pognąła przed siebie, a za nią, nieco pokracznie, biegł pies. Michael przyglądał się jej, poklepując klacz po karku.

— Stało się, Fury — wyszeptał. — Zadurzyłeś się i zakochałeś w tej ślicznej blondynecze. — Zajrzał klaczy w oczy, pocałował ją. Westchnął. — Nie zakochuj się, jeśli nie masz szans.

Dwie godziny później powtórzył to samo ostrzeżenie sobie. Matka i córka Prentise od pierwszego wejrzenia zakochały się w klaczy, prawie nie targowały się o cenę. Teraz miał czek w kieszeni, a jego dama już do niego nie należała.

Z mieszanymi uczuciami zbliżał się do Templeton House. Dokonał aktu sprzedaży, co stanowiło część interesu, jaki prowadził. Nie wątpił, że klacz będzie rozpieszczana i uwielbiana do końca swojego życia. Mógł też pójść o zakład, że Prentisowie rozpowiedzą dokoła, iż Michael Fury ma dobry towar na sprzedaż.

Zawdzięczał to Laurze i zamierzał jej za to podziękować.

Nadarzała się okazja, by ją ujrzeć, sprawdzić jej reakcję, kiedy go zobaczy. Z nawyku, a także z zadawnionej obawy przed spotkaniem z Ann Sullivan, wytarł nogi pod kuchennymi drzwiami. Zapukał. Usłyszał zniecierpliwiony głos, zapraszający go do środka. Kiedy wszedł, obawa ustąpiła miejsca przyjemności.

Pani Williamson wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Szerokie plecy, duże, wprawne ręce mieszające coś wysmienitego na potężnej, sześciopalnikowej kuchni. Kruczoczarne koczka na czubku jej głowy nie ruszyłyby nawet trzęsienie ziemi.

Pachniało ziołami i kwiatami oraz czymś, od czego ciekła ślinka, a co piekło się w piekarniku.

— Czy nie pachną tu jakieś ciasteczka?

Odwrociła się z drewnianą łyżką w ręku. Jej szeroka twarz zmarszczyła się w jednym wielkim powitalnym uśmiechu. Zawsze miała słabość do zagubionych chłopców. Do niegrzecznych także.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie Michael Fury we własnej osobie. Zastanawiałam się, kiedy zastukasz do moich drzwi.

— Czy już się zdecydowałaś i wyjdiesz za mnie?

— Niewykluczone. — Mrugnęła wesoło okiem. — Wyrosłeś na całkiem przystojnego chłopca.

Ponieważ przy niej zawsze czuł się jak w domu, przeszedł przez kuchnię, ujął jej wielką dłoń i podniósł ją do ust.

— Wyznacz czas i miejsce.

— Och, ale z ciebie numer. — Wydała niepodobny do niczego dźwięk, który można by określić mianem chichotu. — Siadaj tutaj, chłopcze, i opowiadaj o wszystkich swoich przygodach. — Jak zawsze, gdy któreś z jej dzieci przychodziło z wizytą, wyjęła z pojemnika ciasteczka i ułożyła na talerzu. — Sprzedajemy teraz konie, prawda?

— Tak jest, psze pani. Dokładnie tak. — Gdy nalewała mu kawę, poklepał się po kieszeni.

— No to świetnie. A nie znalazłeś odpowiedniej kobiety, kiedy podróżowałeś?

— Liczyłem na ciebie. — Ugryzł ciastko wywracając dramatycznie oczy. — Nikt nie piecze tak jak pani Williamson. Dlaczego miałbym się zadawałać czymś dalekim od ideału?

Zaśmiała się ponownie, klepnęła go tak potężnie w plecy, iż o mało nie wyładował nosem w kawie.

— Och, Michael, jesteś niepoprawny.

— Nie pierwszy raz to słyszę. Czy nadal robisz taką wspaniałą szarlotkę? Taką, od której oczy mężczyzny zachodzą łzami szczęścia?

— Jeżeli będziesz grzeczny, mogę ci przysłać kawałek. — Odwróciła się do swojego pieca i swojego mieszkania. — Nasza mała Kayla spędza ostatnio dużo czasu w stajni.

— Ożenię się z nią, jeśli mnie odrzucisz.

— To aniołek, istny aniołek, prawda? — Westchnęła głęboko. — Allison także. Kochane dziecko, słodkie jak marzenie, promienne jak słońce. Panna Laura spisała się na medal. Sama, samiutka. On się nimi nigdy nie zajmował.

Jeśli się szuka informacji, pomyślał Michael biorąc kolejne ciasteczko, najlepiej jest się udać prosto do źródła. Pani Williamson była kopalnią domowych płoteczek.

— On nie cieszy się tutaj zbyt wielką popularnością, jeśli dobrze rozumiem.

Parsknęła na cały głos.

— A niby dlaczego miałyby się cieszyć, jestem ciekawa? Nadęty, sztywny, zbyt ważny, żeby zapytać, co u ciebie słychać. Nigdy też nie poświęcił minuty swojego drogiego czasu tym pięknym dziewczynkom. A na boku zabawiał się ze swoją sekretarką i Bóg wie z kim jeszcze. — Przycisnęła rękę do nabrzmiałego oburzeniem serca. — Nie powinnam tak mówić. Nie wypada.

Wiedział, że wystarczy odrobina zachęty, by znowu rozpuściła język.

— A zatem Ridgeway nie mógłby zdobyć tytułu ojca roku?

— Ha! Nawet tytułu ojca jednej chwili. A jako mąż, no cóż, traktował naszą pannę Laurę bardziej jak dodatek niż jak żonę. Napuszony także wobec służby, przekonany o własnej doskonałości.

Michael przeciągnął językiem po zębach.

— Laura trwała w tym związku przez długie lata.

— Traktuje poważnie swoje obietnice i obowiązki. Ta dziewczyna została dobrze wychowana. O mało jej serce nie pękło, kiedy wystąpiła o rozwód, a była to przecież jedyna słuszna decyzja. W każdym razie Przyjęliśmy ją bez żalu i bez zmruczenia oka. To prawdziwa ulga. Powiedziałam to prosto w oczy pani Sullivan. A teraz on się żeni z tą rudowłosą kocicą. No cóż, uważam, że w sam raz do siebie pasują.

Dla udokumentowania swojego stanowiska stuknęła łyżką o brzeg rondla.

— Mogę się założyć, że Ridgeway nigdy nie zachodził do kuchni po żadne ciasteczka.

— Też mi! To zbyt poniżające. On? Pan tego domu? Dobrze sobie!! Może nie słyszę już tak jak dawniej, ale to co trzeba jeszcze usłyszę i wiem że namawiał pannę Laurę, żeby mnie zwolniła, zostawiając mi skromną pensję, a na moje miejsce sam chciał zatrudnić jakiegoś cudacznego kucharza francuskiego, który by im przygotowywał posiłki.

Miała wypogodzoną twarz, gdy się odwróciła.

— Nasza panna Laura wie, co to jest lojalność i co jest słuszne. Jest Templetonówną, i takie są jej dziewczynki, bez względu na nazwisko, jakie noszą.

Przerwała, zmrużyła oczy.

— Więc mówisz, że ci się udało. Pozwalasz mi paplać, nawet nie dopuściłam cię do głosu. Pod tym względem się nie zmieniłeś.

— Niewiele mam do powiedzenia. — Nadal parzy najlepszą kawę w środkowej Kalifornii, pomyślał, wypijając łyżeczek. A kuchnia Templetonów, bez względu na to jak wielka i wypucowana, jest nadal najprzytulniejszym miejscem na ziemi. — Było się tu i ówdzie. A teraz wróciłem.

Mogła sobie wyobrazić, gdzie był i co robił. Nadal postrzegą go jak niegdyś — ciemny, o zamyślonych oczach chłopiec, naładowany energią, pełen nieprzewidzianych możliwości.

— Wróciłeś, bo tutaj pasujesz, takie jest moje zdanie. Już dość się wyszalałeś.

— Też tak sądzę — przyznał i wziął następne ciasteczko.

— Chcesz sobie wyrobić pozycję, prawda?

— Taki mam zamiar. Proszę zająć do stajni, pani Williamson, kiedy tam będę. — Uśmiechnął się figlarnie. — Przewiozę panią konno.

Odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. W tym momencie otworzyły się drzwi i do kuchni wkroczyła Ann Sullivan. Na widok rozwalonego przy stole Michaela, pojadającego ciasteczka i popijającego kawę, zacisnęła wargi.

— Widzę, że podejmuje pani gościa, pani Williamson.

— Chłopak właśnie wpadł z wizytą. — Zbyt długo razem pracowały, by pani Williamson nie dostrzegła lodowatej dezaprobaty, którą, wiedziała z doświadczenia, nie należy się zbyt przejmować. — Kawy, pani Sullivan?

— Nie, dziękuję. Panna Laura jest w solarium i prosi o kawę.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do kuchni wpadła Kayla.

— Mama powiedziała... Cześć! — Zawahała się przez ułamek sekundy, rzuciła się w stronę Michaela i wskoczyła mu na kolana. — Przyszedłeś zobaczyć się z nami?

— Przyszedłem przedyskutować z panią Williamson problem pewnych ciasteczek. Chciałbym też na chwilę zobaczyć się z twoją mamą.

— Jest w solarium. Możesz tam pójść. Narysowałam ci obrazek. Chcesz go zobaczyć?

— Jeszcze jak! — Pocałował czubek jej nosa, uśmiechnął się szeroko. — A co na nim jest?

—Niespodzianka. — Zeskoczyła pospiesznie z kolan. — Zaraz przyniosę. Powiem Ali, że przyszedłeś. Tylko nie odchodź.

Gdy Kayla pomknęła jak strzała, Ann nie ruszyła się z miejsca. Musiałaby być ślepa, żeby nie dostrzec spontanicznej więzi łączącej mężczyznę i dziewczynką. W jej oczach pojawiła się zaduma. Nie zmiękła bynajmniej, pomyślała jednak, że jest się nad czym zastanowić.

—Możesz pójść do solarium, jeżeli pamiętasz drogę — powiedziała sztywno. — Ja przyniosę kawę.

—Świetnie. Dziękuję. — Wstał, równie sztywno, dopóki nie zwrócił się ku pani Williamson. — Dziękuję za ciasteczka. A moja propozycja pozostaje nadal aktualna.

— Nie wierzę ci!

Poszedł. Pamiętał drogę do solarium. Uświadomił sobie, że pamięta wszystko, co dotyczy Templeton House. Przejście przez wytworne korytarze, rzut oka na eleganckie pokoje były jak cofnięcie się w czasie. W jego czasie.

To jest trwały element, pomyślał. Strzeliste sufity, ozdobne sztukaterie, starannie dobrane i świetnie utrzymane meble. Spirala schodów w głównym holu, czara z kwiatami ustawiona, ot tak sobie, na kredensie. Lichtarze z wypalonymi na różnych wysokościach świecami.

Mijając salonik dostrzegł łagodny płomień w kominku. Przypomniawszy sobie, że palenisko jest z lapisu. Wiedział o tym od Josha, który objaśnił mu cechy tego ciemnobłękitnego kamienia. Na fortepianie stała duża kryształowa patera, wypastowaną woskiem podłogę przykrywał nieomal w całości lekko spłowiały dywan.

Wszędzie pełno kwiatów, zauważył, świeżych, prosto z ogrodu lub ze szklarni. Nie tylko cieplarnianych róż, ale i zwykłych stokrotek, a także wesołych tulipanów. Miały subtelny zapach, który stanowił naturalny element tego domu.

Wiedział, że Templetonowie wydawali tutaj wytworne przyjęcia — w kilku z nich pozwolono mu nawet uczestniczyć. Olśniewający niczym bogowie ludzie przechadzali się po pokojach, pod sklepieniami łukami drzwi, wysypywali się na udekorowane kwiatami tarasy.

Dom, w którym wzrastał, bez trudu mógłby się pomieścić w jednym tylko tutejszym skrzydle i jeszcze pozostałaby wolna przestrzeń. Ale to nie ta ogromna przestrzeń budziła w nim nostalgię. W każdym razie nie taką, jak piękno tego miejsca: widok na klify, wzgórze, klomby kwiatów, strzelistość wieży, sięgającej aż do nieba, iskrzące się od światła okna, w dzień i w nocy. Zachwycały go także wnętrza — niezliczona ilość pokoi, następujących jeden po drugim, salon z salonem — ich otwartość i gościnność, których istoty nigdy nie umiał określić.

To była trwałość, niezmienność. Wartości, które, jak się domyślał, wynikały z więzi międzyludzkich i stanowiły o ważności rodziny. Przynajmniej dla Templetonów. Pomimo całej swojej majestatycznej wielkości, Templeton House był domem. A to było coś, czego nigdy nie miał.

Otrząsnął się, skierował się ku krótkiemu krytemu przejściu prowadzącemu do solarium. Powinna się tam panoszyć soczysta zieleń, zwisające z donic kwiaty. Miękkie fotele i leżaki, stoły o szklanych blatach, kolorowe maty. Deszcz, który zaczął właśnie padać, będzie uderzać o szklane ściany, przez które zobaczy unoszącą się nad klifami mgłę.

Było dokładnie tak, jak zapamiętał. Szklane ściany, zaparowane mgłą i deszczem, nadawały pomieszczeniu magiczną intymność. Pałaca się lampa rozsiewała łagodne, złociste światło. Muzyka — jakiś utwór skrzypcowy, którego nie rozpoznawał — płynęła z ukrytych głośników niczym pełne smutku łzy.

I Laura. Zwinięta wśród pastelowych poduszek na wiklinowym leżaku o wysokim oparciu. Spała.

Niewykłuczone, że to za sprawą atmosfery, oświetlenia, mgły, muzyki, kwiatów poczuł się, jakby stał na progu zaczarowanej altany. Rzadko zdarzało mu się fantazjować, ale widok śpiącej Laury skojarzył mu się z zaczarowaną księżniczką, z zamkami i czarodziejską magią pocałunku.

Pochylił się nad nią, odsunął jej włosy z policzka i musnął wargami jej usta.

Budziła się powoli, jak prawdziwa zaczarowana księżniczka. Zatrzepotała rzęsami, bładym rumieniem ożywił jej policzki. Zamruczała miękko i rozkosznie.

— Nie wydaje się, jakby to było sto lat — wyszeptał.

Spojrzała na niego ociężałym, zamglonym, rozkojarzonym wzrokiem.

— Michael?

— Odtąd będziemy żyli szczęśliwi, albo ja zamienię się w żabę. Nigdy nie mogłem dokładnie zapamiętać bajek.

Uniosła dłoń do jego twarzy. Prawdziwa, pomyślała. Nie śni. Dochodząc do siebie nabierała rumieńców, pośpiesznie starała się usiąść.

— Zasnęłam.

— Domyśliłem się. — Miała podkrążone oczy. Myśl, iż spędza bezsenne noce, zamartwiając się o córkę, sprawiła mu przykrość. — Długi dzień?

— Tak. — Troska o Allison przysporzyła jej paru przykrych chwil tego popołudnia. Podobnie jak obserwujący ją obecnie mężczyzna. Miała też za sobą codzienne, rutynowe obowiązki w hotelu, nieporozumienie z dostawcą towaru do sklepu, a także przygotowującą o ból głowy naukę rozbioru zdań w ramach szkolnej pracy domowej.

— Przepraszam...

Gdy jego usta ponownie powędrowały ku jej wargom, słowa uwięzły jej w gardle.

— Kiedy tu wszedłem, miałem wrażenie, że przeniosłem się w krainę baśni. Śpiąca piękność.

— To była Śpiąca Królowna.

— Wiem. — Skrzywił się. — Nie jestem dobry w baśniach, ale wydaje mi się, że gdzieś widziałem kawałek w wersji Disneya. Przekonajmy się, czy dobrze zapamiętałem.

Nie zdążył jej pocałować, kiedy poderwała się na nogi.

— Już się obudziłam. — Aż zanadto, pomyślała, czując, jak dudni jej serce. Zanadto rozbudzona. Zanadto spragniona.

— To chyba najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić. Byłem w kuchni i czarowałem panią Williamson na temat jej ciasteczek. Prawdę mówiąc, przyszedłem do ciebie, ale słaby ze mnie człowiek, więc jej uległem. •

— Nikt nie może się oprzeć jej ciasteczkom. — Czując, że jest nieźle potargana, próbowała przygładzić włosy.

— Zostaw. Podoba mi się, kiedy są w nieładzie. To chyba nadzwyczaj rzadki przypadek.

— Powinieneś mnie widzieć po wszystkich utarczkach, kiedy udaje mi się wreszcie zagonić dziewczynki do łóżek. — Przystała się jednak nerwowo kręcić. — Kayla powiedziała, że Judy Prentise ma przyjść wieczorem.

— Była, razem z córką i mężem, który, nota bene, jest niezłym koniarzem. Kupili dobrą klacz. Sądzę, że współpraca między nami ułoży się pomyślnie.

— Och, Michael, to wspaniale. — Ciesząc się za niego, wróciła, usiadła. — Moje gratulacje.

Zerwał z krzaka kremowobiałą chińską różę i wręczył jej.

— Przyszedłem ci podziękować.

Nieoczekiwanie wzruszona i zdenerwowana, zapatrzyła się w kwiat.

— To nie moja zasługa, wspomniałam jej tylko o tobie, ale przyjmuję podziękowanie. Judy ma rozliczne kontakty wśród koniarzy. Jestem pewna, że przekaze dalej wiadomość.

— Liczę na to. Chciałbym cię zaprosić na kolację.

Zesztywniała, odsunęła się o całe ćwierć centymetra.

— Co takiego?

— Jestem nadziany — powiedział, poklepując się po kieszeni. — I mam wobec ciebie dług.

— Nie, nie masz. To była po prostu...

— Chciałbym cię zaprosić na kolację, Lauro. Chciałbym i już, ale widzę, że będziemy musieli do tego podejść w bardziej konwencjonalny sposób. Unikasz mnie.

— Nie. Nic podobnego. Naprawdę. — Albo tylko trochę. — Byłam zajęta.

Wyobraził sobie jej kalendarz, wypełniony po brzegi. Komitety, damskie zebrania, prace, których się podjęła, by wypełnić czas.

— Nie przypuszczałem, by ktoś z rodziny Templetonów mógł stchórzyć tak łatwo.

To było dobre posunięcie.

— To nie ma żadnego związku z tchórzostwem. Mam masę roboty.

— Poproś więc o kolejną prolongatę zaproszenia. Dasz mi znać, kiedy będziesz miała trochę czasu dla mnie.

Zamierzał wstać, kiedy dotknęła jego ręki.

— Nie chciałam, żeby to zabrzmiało nieuprzejmie.

— Ty i nieuprzejmie? — Uśmiechnął się półgębkiem. — Nigdy.

— Nie oczekiwałam, że będziesz...

— Napierać na ciebie? — zasugerował. — Kiedy po raz ostatni sprawdzałem, w moich żyłach płynęła jeszcze krew. Jeśli to cię nie interesuje, po prostu powiedz. Prawdopodobnie pogodzę się z odmową.

— Nie wiem, co czuję, ale to nie jest brak zainteresowania. — Zawahała się, przesunęła różą po policzku. — A nie jestem chyba przygotowana, by sobie radzić z tym błyskiem w twoich oczach. Prawdę mówiąc wiem, że nie jestem. Chciałabym zmienić temat.

Wzięła głęboki oddech, próbując się pogodzić z zakłopotaniem, o jakie przyprowadził ją uśmiech Michaela.

— Kayla opowiadała, że uczysz ją jeździć.

— Czy masz coś przeciwko temu? Sądzę, że powinienem cię o to zapytać.

— Nie. — Znowu przeciągnęła ręką po włosach. — Nie, nie mam nic przeciwko temu. Jestem ci bardzo wdzięczna, że poświęcasz swój czas i zadajesz sobie trud. Nie chciałabym, żeby ci się naprzykrzała.

— Nie naprzykrza się. Prawdę mówiąc, zamierzam odczekać dziesięć, piętnaście lat i poprosić ją o rękę.

Jej uśmiech stał się od razu ciepły.

— Łatwo ją pokochać. Jest taka otwarta i ufna. Nie przestaje o tobie mówić. Pan Fury to, pan Fury tamto. Jest święcie przekonana, że potrafisz uczynić z Bonga coś w rodzaju psiego geniusza.

— Będę musiał nad tym popracować.

— Właśnie chciałam porozmawiać z tobą na ten temat. Chciałabym ci zrekompensować czas, który poświęcasz Kayli. Ja...

— Milcz. — Wypowiedział to spokojnie, głosem ostrym jak brzytwa. — Nie jestem służącym.

— Nie miałam tego na myśli. — Przerażona, że go obraziła, ponownie wstała. — Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli będziesz poświęcał tyle czasu na...

— To jest mój czas, i robię z nim, co mi się podoba. Nie potrzebuję twoich chranianych pieniędzy. Nie jestem do wynajęcia ani jako towarzysz dla twoich dzieci, ani jako tymczasowy, zastępczy tatuś, ani w żadnym innym pieprzonym charakterze.

Pobladła, bardzo pobladła.

— Oczywiście, że nie. Tak mi przykro.

— Chryste, oszczędź mi tej zranionej miny. Wrabiasz mnie w poczucie winy. Czuję się tak, jakbym dał kopniaka szczeniakowi. — Zdenerwowany, wsunął ręce do kieszeni. Zrekompensować jego czas! Na litość boską! W ten sposób nagradza się kelnera za dobrą obsługę. Powinien się tego spodziewać. — Daj już temu spokój.

Podszedł do okna, zapatrzył się na kłębiącą się, gęstą mgłę. Z kamienna

twarzą niosąc kawę na tacy, weszła Ann. Nawet jednym zmrużeniem oka nie dała po sobie poznać, jak wiele usłyszała z tej wymiany zdań.

Twoja kawa, panno Lauro. Dziewczynki zaraz tu będą. — Gdyby nie one Ann, uciszając sumienie, mogłaby podsłuchać trochę więcej.

O, dziękuję ci Annie. — Laura zdobyła się na uśmiech i dotrwała z nim do przyjścia dzieci. — Zdaje się, że Kayla ma coś dla ciebie, Michael.

Kayla trzymała rysunek za plecami.

Jeśli ci się spodoba, możesz go powiesić na ścianie.

— Najpierw pokaż. — Odebrał od niej gruby rysunkowy papier i zapatrzył się. — Tam do licha!

Buzia Kayli przybrała komicznie smutny wyraz. Odruchowo, w geście pocieszenia, Laura położyła na jej ramieniu rękę.

— Nie podoba ci się. — Kayla spuściła głowę. — Nie powinnam się tak spieszyć, ale chciałam to narysować, póki jeszcze pamiętałam.

— Ależ to jest wspaniałe. — Kiedy uniósł znad rysunku głowę, uśmiechał się na całego. — Jestem zaskoczony, tak jak przewidziałś. To wykapano Lady, Kaylo.

— Naprawdę? — Z językiem między zębami Kayla spojrzała krytycznym okiem na swoją pracę. — Zwykle rysuję z książek i wtedy mi dobrze wychodzi. Ale pomyślałam, że skoro masz sprzedać klacz, powinieneś mieć taki obrazek, żeby o niej zawsze pamiętać.

— To piękne. — I wcale nie jak rysunek dziecka. Uchwyciła ruch klaczy, jej sprężystość, dumną głowę. Domyślał się, że wprawne oko dokonałoby tutaj ulepszeń, na przykład w proporcjach czy w perspektywie, na czym się nie znał. Mógł tylko powiedzieć, że jest pod wrażeniem i że jest wzruszony. — To mój pierwszy oryginalny Templeton.

Jeśli ktokolwiek dostrzegł, że nie posłużył się jej formalnym nazwiskiem, nikt tego nie skomentował. Kayla wypięta się tylko dumnie i wsunęła rączkę do jego ręki.

— Jeśli chcesz, narysuję ci więcej.

— Bardzo chcę. — Posadził ją sobie na kolanach i spojrzał na Allison. Starsza dziewczynka wpatrywała się w swoje buciki z nie ukrywanym smutkiem. — Czy już posprzątałaś swój pokój, Blondi?

Podniosła głowę, powróciły także rumieńce. Spojrzała lekceważąco na siostrę i jej nie zamykającą się buzię.

— Tak, proszę pana.

— Świetnie. Pomyślałem sobie, że gdy skończysz żyć o chlebie i wodzie, może zechcesz dołączyć do Kayli na lekcje konnej jazdy.

Zapominając o dobrych manierach, otworzyła szeroko usta.

— Chciałabym się uczyć jeździć. — Choć wiele ją to kosztowało, zwróciła się do matki: — Czy mogę?

— Uważam, że to wspaniały pomysł. Sama będę musiała przypomnieć sobie co nieco, póki jeszcze obydwie nie prześcignęłyście mnie. — Położyła rękę na ramieniu Ali. Jej sztywność ustępowała opornie, niemniej jednak po

chwili zniknęła. — Dziękuję ci, Michael. Spróbujemy coś zrobić, żeby poprzestawić trochę nasz rozkład zajęć.

— Jestem do dyspozycji. — Szybkim podrzutem postawił Kaylę na podłodze i wstał. — Ale teraz muszę już wracać.

— Twoja kawa — zaczęła Laura.

— Proszę o prolongatę zaproszenia. — Powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Czy to coś ci mówi, Lauro?

— Tak. — Jak powstrzymać erotyczne drżenie, kiedy przyglądają się jej dwie córki? Laura nie miała na to recepty. — Dziękuję za odwiedzin.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Odprowadzę cię — powiedziała dystygownie Ali.

Dając wyraz aprobachie, Michael skinął poważnie głową.

— Dziękuję ci.

— Ja też idę. Panie Fury, czy potrafi pan tak zrobić, żeby Bongo się trząsał? Pies wujka Byrona umie się trząść.

Kiedy Laura została sama, a radosne głosy jej córek rozbrzmiewały dalekim echem, znowu usiadła. Tytułem próby położyła rękę na żołądku. Tak, wszystko się w nim przewracało. I na sercu. Tak, waliło jak szalone.

W jaki sposób nie posiadająca absolutnie żadnego punktu odniesienia kobieta może myśleć o dotrzymaniu obietnicy w sprawie prolongaty zaproszenia na miłosną schadzke?

Na to również nie miała żadnej recepty.

Rozdział ósmy

Słońce przegnało chmury, mgłę i chłód nadmorskiej zimy. Wiadomości informowały o burzach śnieżnych na środkowym zachodzie, a w Monterey radowano się pogodnym błękitem nieba i bryzą, w której czuło się przedsmak wiosny.

Na klifach wiatr był ostrzejszy, chłostał od morza, a dla Laury, jak zawsze, rozsiewał zapach przygody i romantycznych przeżyć.

Szeleściły zimowe trawy, grzmiące fale wzbijały do góry wodę, jak pianę z butelki szampana. Kiedyś, z własnej woli, umarła tutaj młodziutka dziewczyna. Stary człowiek opłakiwał ją tutaj, przywołując wspomnienia. Ukryte gdzieś przed ponad stu laty złoto czekało na znalazcę.

Laura cieszyła się towarzystwem i wolnym czasem w równym stopniu jak poszukiwaniami. Przychodziła tutaj z przyjaciółkami i z córkami prawie w każdą niedzielę, by w cieniu Templeton House wypatrywać posagu Seraphiny.

— Kiedy go znajdziemy, będziemy mogły kupić konia, prawda? — Wymachująca z zapałem ogrodową łopatą Kayla uniosła głowę. — Od pana Fury. Wiem już, jak należy opiekować się koniem. Pokazywał nam. Trzeba go karmić, pić, szczotkować i czyścić mu nogi...

— Kopyta — wtrąciła z wyższością Ali. — Czyści się kopyta. Musisz go także trenować. I uprzętać z gnoju końskie boksy.

— Uprzętałyście już boksy, Ali?

Ali potrząsnęła ramionami. Miała nadzieję, że z najlepszej strony zademonstruje nowe kolczyki w świeżo przekłutych uszach.

— Pan Fury mówi, że to stanowi część pracy. Nie można tylko dosiadać koni i jeździć na nich, trzeba się nimi również zajmować.

~~ To prawda. — Kolację dla ojców i córek miały już za sobą i Ali jakoś to przeżyła. Laura dotknęła włosów córki. — Kiedy byłam dziewczynką mieliśmy konie, czyściłam z gnoju moją część boksov. To nie stanowiło żadnego problemu.

— Czy nie mogłybyśmy mieć konia? — Ali wołała nie wdawać się w rozmowę. Nie miała jeszcze ochoty wybaczyć matce, że pozwoliła odejść ojcu i poślubić inną kobietę. — Pan Fury zamierza zbudować własne stajnie i dom. Kiedy odejdzie, zabierze konie.

— Porozmawiamy o tym.

— Zawsze tak mówisz, kiedy się nie zgadzasz. — Ali podniosła się z kucek.

— Mówię tak — obruszyła się Laura, modląc się o cierpliwość — kiedy mam na myśli, że porozmawiamy o tym. Na razie pan Fury wynajmuje stajnie i to nie jest odpowiednia pora na jeszcze jednego konia.

— Gdybyś chciała, sprzedałby nam jednego ze swoich. Gdybyś naprawdę chciała. — Odwróciła się i odeszła do Margo i Kate, które przeszukiwały teren wykrywaczem metalu.

— Ciagle się wścieka, że on się wkrótce żeni — odezwała się Kayla.

— Hmm?

— No wiesz, mamo. Żeni się z panią Litchfield.

— Spróbuję z nią jeszcze porozmawiać. — Choć, prawdę mówiąc, niewiele już miała do powiedzenia. — A ty jesteś wściekła, dziecko?

— Nie, dla mnie może się żenić. Tylko nie wiem po co, skoro ona ma taki chytry uśmieszek. A kiedy się śmieje, bolał mnie uszy.

Laura z wielkim trudem opanowała wesołość. Trzeba było Kayli, pomyślała, żeby tak trafnie podsumować Candy.

— Ludzie pobierają się, ponieważ się kochają. — Przynajmniej kiedyś w to wierzyłam, zadumała się Laura patrząc na morze. Kiedyś o tym marzyłam.

— Zakochasz się w kimś i wyjdiesz za męża?

— Nie wiem. — Marzenia się zmieniają, przypomniała sobie. — Takich rzeczy się nie planuje.

— Słyszałam, jak pani Williamson mówiła do Annie, że pani Litchfield postanowiła złapać tatę w sidła, i że on na to zasłużył.

— No wiesz! — Odchrząknęła. — Miała na myśli, że będą ze sobą bardzo szczęśliwi.

— Przypuszczam. — Kayla wcale tak nie myślała, była jednak na tyle mądra, by nie rozwijać tematu. — Wezmę sobie lemoniady z termosu. Napiłabyś się?

— Z przyjemnością. — Podniosła się również i ruszyła w kierunku przyjaciółek.

— Wcale tego nie olewam, do jasnej cholery! — Zdmuchując z twarzy włosy, Margo kontynuowała pracę. — Robię to zawsze tak samo.

— No właśnie, stale się opieprzasz. — Słyszac chichot Ali, Kate zrobiła niewinną minę. — Przepraszam.

— Koncentruje się wyłącznie na sprawności fizycznej — wyjaśniła Margo Ali. — Ciagle wypaca się w saunie, a lepiej by było, gdyby wyparzyła sobie gębę.

— Masz na sobie za dużo biżuterii — jęknęła Kate. — Przez ciebie detektor dostaje świra.

— Dziwka i zrzęda. — Margo skrzywiła się. — Przepraszam cię, Ali. Słuchaj, może byś ponosiła trochę moją bransoletkę?

— Mogę? — Przeszczepując z nogi na nogę Ali przyglądała się, jak jej ołsniewająca ciotka zdejmując ciężki złoty łańcuch, następnie podnosi rękę i przygląda się odbijającym się od jego ogniw promieniom słońca. — Jakie to piękne. I jak błyszczą.

— Gdyby nie błyszcząco, nie byłoby sensu tego nosić! — Mrugnęła okiem i trąciła palcem ucho Ali. — Masz bardzo ładne kolczyki.

— To od mamy. Dostałam je za piątkę z wypracowania z przyrody. — Spojrzała w stronę matki i z pewnym wahaniem uśmiechnęła się. — Powiedziała, że ciężko pracowałam i że zasłużyłam na nagrodę.

— Wszystko się zgadza — potwierdziła Laura. — Czy mogłabyś pomóc Kayli przynieść lemoniadę? Sądzę, że wszyscy chętnie się napijemy.

— W porządku. — Zrobiła krok naprzód, zatrzymała się. — A może chcesz sandwicza?

To jest forma przeprosin, stwierdziła Laura, i choć nie była głodna, uśmiechnęła się.

— Och, z radością. Gdybyście rozłożyły z Kaylą koc, mogłybyśmy zrobić krótką przerwę na lunch. Stara się — powiedziała półgłosem Laura, gdy Ali ruszyła w stronę skał. — Trudno jest się jej z tym pogodzić.

— Gdybym miała w perspektywie słodziutką Candy jako macochę, uznałabym to za szczególnie trudny przypadek — mruknęła Kate.

Margo wrzuciła jedynie ramionami.

— Candy jest znaną zakochaną w Candy, by zamienić z nimi choć parę słów. A dziewczynki są zbyt rozzębione, by nie odpłacić jej tym samym.

— Byłoby lepiej, gdyby ją polubiły, troszeczkę. — Laura westchnęła, poddała się. — To pewnie egoizm, ale prawdę mówiąc wolę, że jej nie lubią.

— Wszyscy się zakładają, ile czasu potrwa ten popis Petera i Candy. Ja stawiam... — Czując lekki zawrót głowy, Kate przysiadła prędko na skale. — Znowu to samo.

— Co ci jest? — Kate miała kiedyś wrzody żołądka czy dwunastnicy. Laura przypadła do niej — Gorzej się czujesz?

— Nie. — Kate oddychała spokojnie, czekając, aż wszystko wróci do normy. Tak, jest niebo, przepięknie błękitne i z powrotem na swoim miejscu. — Wiecie co? Myślę, że jestem w ciąży.

— W ciąży? — Margo z łoskotem porzuciła wykrywacz, przykucnęła. — Od kiedy? Zrobiłaś test?

Nie. — Kate przymknęła powieki, próbując zanalizować rodzaj swoich odczuć. — Kupiłam w aptece jeden z tych szybkich preparatów. Ale nie użyłam go. Bałam się, że nie potwierdzi mojego przypuszczenia.

Pierwsza rzecz, jaką jutro zrobisz, to ten test — zawyrokowała Margo. Ujęła twarz Kate, i przyglądała się jej długą chwilę. — A poranne wymioty?

Nie bardzo. Trochę mnie mdli po wstaniu z łóżka, ale to mija. —

Odwróciła wzrok. — Przestańcie na mnie patrzeć z tym rozanielonym wszechwiedzącym uśmieszkim.

— Nie licz na to. — Laura usiadła obok niej. — Co na to Byron?

— Nie wspominałam mu o tym. Na wypadek, gdybym się myliła. Nie chciałam się omylić — powiedziała drżącym głosem. — Wiem, że jesteśmy małżeństwem od kilku miesięcy i że mamy przed sobą masę czasu, nie chciałam się jednak mylić.

— Kolejny typowy objaw — oświadczyła Laura. — Niezrównoważone emocje i skłonność do płaczu.

Nagle Laura usłyszała głos, opanowany, niski, męski głos. Stwierdziła, że nie tylko ciąża może być przyczyną chwiejności i wzburzonych emocji. Pożądanie zajmuje także ważne miejsce na tej liście.

Nie zdejmując rąk z ramion Kate, podniosła się.

— Czy to wyłącznie damski klub?

— To zależy. — Margo automatycznie wydała pomruk zadowolenia. — Od mężczyzny. Chcesz nam pomóc w szukaniu skarbu, Michael?

— Byłybyście wszystkie nieźle wkurzone, gdybym miał szczęście i znalazł go przy pierwszym podejściu. Po tylu waszych wysiłkach.

— Stawia jasno sprawę. — Kate pogłaskała Laurę po rękę, sygnalizując w ten sposób, że czuje się dobrze. — A zresztą mężczyzn nie interesuje posag Seraphiny. Prawda, Mick?

— Uważam, że gdyby go miała, mogłaby z niego zrobić lepszy użytek, zamiast go zakopać i rzucić się ze skały.

— A widzicie? — Utwierdzona w swoim przekonaniu Kate wstała. — Idę zobaczyć, co z naszym lunchem. Chodzą słuchy, że pani Williamson przygotowała sałatkę kartoflaną.

— Idę z tobą. — Delektując się napięciem, od którego zrobiło się nagle gęsto w powietrzu, Margo postanowiła pozwolić mu się rozładować. Zanim ruszyła za Kate, rzuciła jeszcze Michaelowi szybkie, porozumiewawcze spojrzenie.

— Byłem na górze, musiałem zatelefonować w parę miejsc — zaczął Michael, zanim Laura zdążyła się wycofać. — Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem pięć ślicznych dziewczyn biegających po klifach. Ciężko byłoby wracać do pracy nie przyjrzawszy się im z bliska.

— Staramy się spędzać tutaj choć kilka godzin w każdą niedzielę. Dotąd udało nam się znaleźć dwie monety. To znaczy jedną znalazła Margo, a jedna Kate. Dziewczynki i ja przegrywamy do zera.

— Czy to takie ważne dla ciebie? Znalezienie złota?

— Ważne jest polowanie. I atmosfera. — Przeniosła wzrok na morze. — Szanse. Wyobrażam sobie tę młodziutką dziewczynę stojącą tutaj na krawędzi klifu, przekonaną, że nie zostawia za sobą niczego, dla czego warto by żyć.

— Zawsze jest coś, dla czego warto żyć.

— Tak, to prawda. — Wyciągnął rękę ku jej twarzy. Cofnęła się na tyle,

ile pozwalały skały. — Powinnam pomóc przy lunchu. Jesteś mile widziany, jeśli tylko zechcesz.

— Jeżeli masz chwilę, chciałbym porozmawiać na temat dziewczynek.

— Ach tak? — W jej czujnym spojrzeniu dojrzał zatroskanie. — Jeśli wchodzą ci w drogę...

— Lauro. — Ton jego głosu był spokojny i cierpliwy. — Czy naprawdę uważasz, że tylko ty jedna umiesz docenić ich towarzystwo?

— Nie, oczywiście, że nie. — Zła na siebie, że wzburzone, rozedrgane emocje biorą górę nad logicznym myśleniem, opuściła ręce. — A o co chodzi?

— Dałem im kilka wskazówek, jak siedzieć w siodle. Kayla... — Spojrzał za siebie, uśmiechając się radośnie na widok krótko ostrzyżonej blond główki. — Jest jak pistolet. Gdybym jej pozwolił, jeździłaby na klepek.

— Proszę cię. — Wzdrygnęła się Laura. — Moje serce.

— Dzieciaki lubią galopować na pełnym gazie, wszystko jedno jak. Chcą wszystko robić na pełnym gazie. To godne podziwu. Ale ona słucha. Uczy się. Oszalałem na jej punkcie.

Laura zmrużyła oczy. Ze zdziwienia i z powodu światła słonecznego.

— Ona... ona, ilekroć wraca ze stajni, jest naładowana po brzegi panem Fury i jego końmi. — Chcąc się odprężyć, usiadła na skale. Gdy przysiadł obok niej, lekko drgnęła. — Traci zainteresowanie lekcjami tańca.

— Nie chciałbym pokrzyżować twoich planów.

— Nie. — Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. — Zależało jej, ponieważ Ali na nie chodzi. To cała Kayla, zawsze musi dotrzymać kroku.

Ze szczeliny skalnej przebijały się dzielnie ku słońcu malutkie błękitne kwiatuszki. Michael zerwał odruchowo jeden z nich i podał jej.

— Zdobyłaś dla niej nauczyciela rysunku?

Kolejny raz w jej oczach zagościło zdumienie. Jakie to dziwne, że pamięta o takich drobnych szczegółach.

— Właśnie kogoś znalazłam. — Spojrzała w dół, na trzymany w rękę kwiatek, życząc sobie, by móc się nauczyć przyjmować ofiarowywane kwiaty z taką samą łatwością, z jaką on je dawał. — Zaczyna w przyszłym tygodniu.

— Dzieciak ma prawdziwy talent. Jeśli chodzi o mnie, nie potrafię niczego narysować bez linijki. A co się dzieje z Ali?

— Przeżywa trudny okres. Nie jest taka elastyczna jak Kayla, ani taka odporna. Łatwo ją zranić.

— To się zmieni. — Ujął jej rękę, bawił się jej palcami. — A propos lekcji konnej jazdy. Nie wiem, na ile pozwolisz mi się posunąć.

Z westchnieniem spojrzała na starszą córkę, która siedziała na ziemi, obok Margo, wyprostowana niczym dama.

Jeżeli nie chce współpracować, nie ma powodu, żebyś się trudił.

— Lauro, ona ma to we krwi.

— Co takiego?

• Dzieciak siedzi na koniu, jakby to robił przez całe życie. Ma ten

zduńmiewający rodzaj gracji. A słuca wszytkiego, co mówię, tak jakby to było warte wyrzycia w kamieniu. To wręcz zatrważające. Jeśli chcesz, żeby kontynuowała jazdy, może się rozejrzysz za kimś, kto ma większe doświadczenie w dawaniu lekcji.

Laura była oszołomiona.

— Ona nigdy nic nie mówi. Kiedy Kayla wraca, wyrzuca z siebie milion słów w ciągu minuty, natomiast Ali wzrusza tylko ramionami i mówi, że było fajnie.

— Kayla to pocisk, Ali to pieśń. Zaśpiewa, kiedy będzie gotowa.

Skąd on tak dobrze zna jej dzieci? — zastanawiała się. Jak to możliwe, że tak świetnie i szybko poznał ich psychikę, zrozumiał serca?

— Ona ci ufa — powiedziała wyraźnie i powoli. — A w ostatnim okresie rzadko jej się to zdarza. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żebyś niczego nie zmieniał. Ona bardzo czegoś potrzebuje, właśnie teraz. Cokolwiek to jest, nie sądzę, żebyśmy mogła jej to dać.

Zakłopotany, ujął podbródek Laury, odwrócił jej twarz ku sobie.

— Mylisz się. Możesz. Właśnie, że możesz. Jak najbardziej. Oskarża cię tylko dlatego, że wie, iż się tym przejmujesz. I jesteś przy niej.

Opuścił rękę, najchętniej by wstał i pospacerował. Nie trzeba być żadnym pieprzonym psychologiem, gołym okiem widać, że ta kobieta czegoś potrzebuje.

— Miałem taki okres, kiedy oskarżałem moją matkę o bardzo wiele spraw. Ale nigdy jej o tym nie mówiłem. Ponieważ nie wiedziałem, czy się tym przejmie. Nie wiedziałem, czy będzie przy mnie.

Może tak to widział, zamyśliła się. Tak to rozumiał.

— Może tobie łatwiej jest ją zrozumieć. Mnie nigdy nikt nie zawiódł. Moi rodzice byli, są, jak opoka. Niezłomni, niezachwiani. Niezawodni.

Za to ja zawiódłam na całej linii, pomyślała Laura. Załamalam się, jestem chwiejna. I zawiódłam. Niełatwo jest odzyskać równowagę po przeżytych wstrząsach.

— Poza tym — mówił obserwując jej twarz — niewykluczone również, że cię oskarża, ponieważ ty sama się oskarżasz. Pomyśl o tym, Lauro.

— Nigdy nie byłeś żonaty — warknęła.

— Taa. Byłem. Przez pół roku. — Zamyślił się. Wstał. — I bynajmniej sam tego nie rozpieprzyłem. — Ponieważ nie odzywała się, kontynuował. — Popracuję z nimi jeszcze, ale pod jednym warunkiem.

Był żonaty? Odbiegła myślami, wróciła, próbowała się skoncentrować.

— Tak? Pod jakim warunkiem?

— Nie chowaj się w domu, wyjdź od czasu do czasu i poprzyglądaj się temu, co robimy. — Bawiła go ta sytuacja. Wyjął kwiatek z jej ręki i włożył go we włosy Laury. — Nie przelecę cię na oczach dzieci.

— Nie chowam się i nawet nie podejrzewam, byś mógł się zachować niewłaściwie w ich obecności.

— Chryste, ależ ty się zmieniasz, kiedy się przestawiasz na damę

orskich manierach. Nie wiem, czy mam związać żagle, czy jednak cię przelecieć. Zimna jak roztopiony śnieg, przechyliła głowę.

— Wolałabym, żebyś zrezygnował z obu możliwości. A wracając do — oczywiście, że przyjdę i chętnie popatrzę na postępy dziewczynek. Doceniam, że wyjaśniłeś mi wszystko.

Tak jest, proszę pani, do usług, panno Templeton.

— Do twarzy ci z sarkazmem, Michael.

Nim zdążyła go wyminąć, chwycił ją za ramię.

— Tobie również — powiedział miękko, pochylając twarz do jej twarzy. — Na Boga, tobie również. Starasz się być uważna, odgrywając rolę łaskawej księżniczki wobec wieśniaka, Lauro. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Miałbym ochotę coś ci udowodnić.

— Nie musisz mi niczego udowadniać. A teraz mnie puść.

— Jeszcze nie skończyłem. — Wolał ją taką, prowokującą, przyglądającą mu się lodowatym wzrokiem. Wobec słabych, skrzywdzonych kobiet był bezbronny, spętany, skory do uległości.

— Pozwól, że na wszelki wypadek przypomnę ci, z kim masz do czynienia — ciągnął. — Uwielbiam łamać reguły, a jeśli ktoś wyznacza mi granice, przekraczam je z największą przyjemnością, tak sobie, bez powodu. Kiedy jestem przyciskany, odpycham. Mocniej. I brutalniej.

Nie wątpiła, że stać go na wszystko. Mężczyzna, którego miała przed sobą, wyglądał jak człowiek zdolny do wszystkiego — do grzechu, zbrodni, okrucieństw. W wolnej chwili dokładnie przeanalizuje wynaturzenie, które ją ciągnie do tej właśnie ciemnej strony jego charakteru. A na razie najlepszym rozwiązaniem będzie ucieczka.

— Doceniam twoją szczerość. Nie chciałabym cię odrywać od twojej pracy.

— Wcale mnie nie odrywasz. — W przypływie dobrego nastroju, wprawiając ją w osłupienie, podniósł jej zaciśniętą pięść do ust. Zaglądając jej w oczy, otworzył ją na siłę i przywarł wargami do wnętrza dłoni. — Pamiętaj, skarbie, o wciąż aktualnym zaproszeniu.

Odszedł wolnym krokiem, zatrzymał się przy piknikowym kocu, by podkraść sandwicza i rozśmieszyć dziewczynki. Kiedy się oddalił, a ona była pewna, że rumieniec zniknął z jej policzków, dołączyła do rodziny.

— Pan Fury pocałował cię w rękę, mamó — oznajmiła Kayla. — Zupełnie jak w kinie.

Wygłupiał się. — Laura wzięła szklanekę lemoniady. Musiała natychmiast zwilżyć wyschnięte gardło. — Opowiadał, jak świetnie spisujecie się na lekcjach. — Choć wciąż miała ściśnięty żołądek, sięgnęła niedbałym ruchem po kawałek jabłka. — Mam wrażenie, że sprawiają mu nie mniejszą Przyjemność niż wam.

~- Są normalne. — Wprawdzie Ali udawała brak zainteresowania, niemniej przyjrzała się uważnie matce spod rzęs. Pocałunek w rękę nie wyglądał wcale na wygłup. A matka miała we włosach kwiatek.

- Michael zdaje się uważać, że dajecie z siebie dużo więcej.
- Powinnaś znowu zacząć jeździć, Lauro. — Zachwycona z rozwoju sytuacji Margo zatopiła zęby w kawałku sera. Nie, pocałunek w wewnętrzna stronę dłoni nie wyglądał bynajmniej na wygłup. Był doskonały.
- Pomyślę o tym. — Ponieważ chciała zobaczyć, jak w drodze powrotnej do Templeton House Michael wspina się na wzgórze, odwróciła się powoli na wschód, plecami do morza.

Nie mogła spać. Choć padała ze zmęczenia. Chciała wierzyć, że przyczyną bezsenności jest jasna, rozgwieżdżona noc i że grzechem byłoby ją przegapić. Wiedziała jednak, że to sny wyganiają ją z łóżka.

Zacząła o nim śnić, a treść i szczegóły tych snów szokowały ją, wprawiając jednocześnie w zdumienie.

Podczas dnia, przy pewnej koncentracji, była w stanie kontrolować myśli. Ale jak kontrolować coś, co zakrada się podczas snu?

Były takie... seksualne. Określenie ich mianem erotycznych wydawało się za słabym, zbyt grzecznym słowem jak na to, co działo się w jej głowie, gdy śniła.

Powinna je zaakceptować, pośmiać się z nich. A nawet podzielić się nimi z przyjaciółkami. Tymczasem nie stać jej było ani na jedno, ani na drugie. Po prostu dlatego — rozważała, przemierzając pogrążony we śnie ogród — że nigdy nie robiła takich r z e c z y, jakie kreowała jej podświadomość.

Ten nieokrzesany, wilgotny, żywiołowy seks stanowił odległe echo jej dziewczęcych snów — tych kilku szokujących snów, jakie miała w związku z Michaeliem będąc dziewczynką. To nie mogą być ukryte pragnienia, tylko zwykłe zaburzenia hormonalne, zapewniała samą siebie Laura. W większości przypadków w jej łagodnych, delikatnych, błogich snach miłość przybierała wszelkie możliwe formy czułości i zadowolenia. W jej niewinnych fantazjach nie było rozrywania ubrań, posiniaczonych ramion, czy dzikich okrzyków spełnienia.

Nie miały też nic wspólnego z rzeczywistością jej małżeństwa, pomyślała, wykrzywiając się z niesmakiem. Peter nigdy nie podarł na niej ubrania, nie powalił na ziemię, nie przyprowadził jej o krzyki. Dawno, dawno temu okazywał jej czułość i słodycz. Potem stracił zainteresowanie. Była skłonna wziąć na siebie winę, przypisać wszystko swej nadmiernej powściągliwości, naiwności. Może była zbyt sztywna, by wzbudzić w nim niekontrolowane pożądanie. To wydawało jej się łatwiejsze do zaakceptowania. Teraz, kiedy zrozumiała te mroczne żądze, może potrafi stopniowo wybaczyć mu jego wiarołomstwo.

Teraz, kiedy w niej przebudziły się te mroczne żądze.

Ale sen o dzikim seksie i spełnieniu go na jawie to były nadal dwa odrębne zagadnienia. Wsunęła ręce do kieszeni kurtki, zaczerpnęła nocnego powietrza, mając nadzieję, że ostudzi myśli przed snem.

Nie pójdzie do Michaela. Czy to z tchórzostwa, czy z rozsądku — nie pójdzie do niego. Jest poza moim zasięgiem, stwierdziła i weszła do zagajnika, przyglądając się pograżonym w ciemnościach stajniom i kłębiącej się wokół nich mgle. Jest zanadto niebezpieczny jak i nieobliczalny dla kobiety spełniającej tak wiele odpowiedzialnych funkcji.

Pomimo wieloletniej przyjaźni Michaela z Joshem, nie znała go. Z całą pewnością nie rozumiała go. Nie stać jej na ryzyko.

Pozostanie więc przy tym, do czego została wychowana. Silna kobieta, znająca swoje miejsce, wychodząca naprzeciw wszystkim powinnościom. Jej życie wypełni to, czym tak szczerze obdarował ją los — dzieci, dom, rodzina, przyjaciele, praca.

Niczego więcej nie pragnie. Nawet w snach.

Dostrzegła światło w mieszkaniu nad stajnią. Poczuli się jak przyłapani na gorącym uczynku podglądacz, ukryła się w cieniu. Czy on także śni? — pomyślała. O niej? Czy nie może z tego powodu zasnąć, czuje się rozbity i obolały?

Gdy się nad tym zastanawiała, zobaczyła go, jak z rozwianymi włosami wypada z domu. Odgłos jego kroków niósł się głośnym echem, gdy zbiegał na dół i wpadał do stajni.

Przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Nie wiedziała, co robić. Ale działo się coś złego. Taki człowiek jak Michael Fury nie wpada w panikę z byle powodu. Jest lokatorem Templeton House, przypomniała sobie. A ona jest Templetonówną.

Nie powinno się przedkładać osobistych względów nad powinności. Przeszła przez trawnik i w ścigającym ją świetle księżyca pobiegła do stajni.

Paliło się tam teraz światło. Osłoniła oczy, by lepiej widzieć, ale nie dostrzegła go. Jeszcze się wahała, jeszcze mogła się wycofać. Wtedy usłyszała jego głos — ciche, niezrozumiałe słowa. Ale zawarty w nich niepokój nie budził wątpliwości. Przemknęła między rzędami boksów, zatrzymała się przy otwartej przegrodzie porodowej.

Kłęczał przy kłaczy. Włosy, niczym czarne skrzydło, przykrywały mu twarz. Ciemny wygnieciony podkoszulek odsłaniał mocno umięśnione ramiona, a także niewyraźny ślad blizny powyżej lewego łokcia. Widziała jego dłonie — szerokie, opalone, poruszające się delikatnie po unoszących się i opadających bokach kłaczy.

Pomyślała, że żadna rodząca kobieta nie mogłaby pragnąć czulszej opieki. Weszła do środka, przyklękła obok niego.

— Będzie się żrebić. No dobrze, dobrze, kochanie. — Instynktownie płożyła rękę na łbie kłaczy. — Wszystko będzie dobrze.

Zawsze w środku nocy. — Michael odgarnął włosy z oczu. — Usłyszałem ją z góry. Pewnie nadśłuchiwałem.

— Wezwałś weterynarza?

Nie będzie potrzebny. Kiedy ostatnio ją badał, powiedział, że wszystko pójdzie gładko. — Niecierpliwym ruchem wyciągnął chustę z tylnej kieszeni. — Co ty tu robisz?

— Byłam w ogrodzie. Wszystko w porządku, dziecinko — powiedziała cichym głosem, kładąc łeb kłaczy na swoich kolanach. — Zobaczyłam u ciebie światło, a po chwili wybiegłeś. Przestraszyłam się, że stało się coś złego.

— Spisz się znakomicie. — Ale to był pierwszy poród Darling, więc Michael czuł zdenerwowanie, niczym krążący po poczekalni, oczekujący dziecka tatuś. — Wracaj do łóżka. Na ogół to nie są skomplikowane sprawy, ale pełno przy nich zamieszania i nieczystości.

Uniosła brwi, spod których wyjrzały najwyraźniej rozbawione oczy.

— Czyżby? Nic mi o tym nie wiadomo, ponieważ rodziłam tylko dwa razy. A kiedy przyfrunął bocian, był czyściutki i niesłychanie grzeczny.

Kiedy zaczęły się nowe skurcze, zajęła się kłaczą.

— Wszystko w porządku, w porządku. Przebrniemy przez to, kochanie. On się na niczym nie zna, prawda? — szeptała, podczas gdy przepełnione bólem oczy kłaczy patrzyły na nią. — Po prostu jest mężczyzną. Niechby się choć raz przekonał jak to jest, tak, choć jeden raz, wtedy dopiero byśmy zobaczyły.

— Zdaje się, że jestem w mniejszości. — Nie wiedział, czy ma się martwić, czy śmiać, potarł więc podbródek. — Czy mam wyjść i zacząć krążyć nerwowo? Zagotować wodę, kupić papierosy?

— Możesz zaparzyć kawę. To jeszcze trochę potrwa.

— Dam sobie z tym radę, Lauro. Robiłem to już przedtem. Nie musisz zostawać.

— Zostanę — powiedziała zwyczajnie. — I chciałabym się napić kawy.

— W porządku.

Kiedy się podniósł, zauważyła, że zdążył podciągnąć ekler swoich dżinsów, ale ich nie zapiął. Przy czekającym ich porodzie nie było czasu na robienie sobie apetytu. Trochę na oślep odwróciła się w stronę zwierzęcia.

— Poproszę bez mleka.

— Zaraz wracam. — Zatrzymał się przy drzwiach boksu. — Dziękuję. Skorzystam z pomocy i z towarzystwa. Ona jest... specjalna.

— Wiem o tym. — Spojrzała na niego i roztkliwiła się. — To widać. Nie martw się, tatusiu, jeszcze się naczęstujesz cygarami do rana. Och, Michael, jak ona się nazywa?

— Darling. — Nie było mu do twarzy z zakłopotaniem. Wzruszył tylko ramionami. — To jest Darling.

— To prawda, pasuje do niej. — Nie przestała się uśmiechać, gdy obcasy jego butów wybijały takt na ceglanej posadzce. — Do ciebie także, o dziwo! — powiedziała cichym głosem.

Rozdział dziewiąty

Nie tak sobie wyobrażał ich wspólną noc. Gdy dopuszczał do siebie tę myśl, a czynił to często, sceneria przedstawiała się zupełnie inaczej. A jednak tutaj byli — spoceni, wyczerpani, połączeni.

Była wytrwalsza, niż się spodziewał. Przebywali tu prawie od czterech godzin. Klacz podnosiła się i niecierpliwie krążyła, kładła się z powrotem, pocąc się i stękając.

Laura nie opadała z sił. A kiedy on, po kolejnej kawie, zaczął odczuwać drżenie, ona pozostała spokojna jak tafla wody.

— Dlaczego nie pospacerujesz? — zasugerowała. Siedziała wygodnie na sianie, obejmując ramionami kolana i wpatrując się w przyszłą matkę.

— Mam się dobrze. — Obmacując boki klaczy zmarszczył czoło. Ponieważ zdążył związać włosy, widziała jego oczy.

— Jesteś kłębkim nerwów, Fury.

W porządku. I co z tego? Przecież wie o tym. Ale nie ma ochoty, by mu to wytykano. Spojrzał na nią ponurym wzrokiem.

— Robiłem to dziesiątki razy.

— Ale nie z nią. Zresztą ona trzyma się lepiej od ciebie.

Do diabła z tym! Odsuścił na chwilę, by rozprostować kości.

— Nigdy nie zrozumiem, dlaczego coś tak elementarnego trwa aż tak długo. Jak wy to wytrzymujecie?

— Kobieta w tym położeniu nie ma wielkiego wyboru — odparła zwięźle. — Koncentrujesz się po prostu na tym, co dzieje się z twoim ciałem. Wewnątrz niego. Poza tym nic nie istnieje. Wojny, głód, trzęsienie ziemi. Do ucha! Nie istnieje nic, co można by z tym porównać.

Tak sędzę. — Starał się za wszelką cenę rozluźnić, powtarzał sobie, że

Natura na ogół wie, co czyni. — Kiedy odbierałem pierwszy poród, myślałem o mojej matce. Uznałem, że gdyby to było możliwe, powinienem ją bardziej oszczędzać. Wolałbym już dać sobie uciąć język, niż przez to przejść.

— Prawdę mówiąc, to raczej przypomina wrywanie dolnej wargi i naciąganie jej na głowę, aż do karku. — Roześmiała się, gdy zbladł.

— Dzięki za obrazową prezentację.

Uznała, że rozmowa dobrze mu zrobi. A do odejścia wód płodowych mają jeszcze czas.

— Twoja matka przeniosła się na Florydę, prawda?

— Taa, ona i Frank. To facet, za którego wyszła jakieś dziesięć lat temu

— Lubisz go?

— Trudno nie lubić Franka. Płynie z prądem i próbuje zmienić bieg rzeki nie robiąc fal. Pasują do siebie. Według niego pociąg mojej matki do mężczyzn już się wyczerpał.

— Czy ciężko przeżyłeś rozwód?

— Ja nie, ale ona to bardzo przeżyła. — Odruchowo sięgnął po skrawek siana, owinał go sobie wokół palców. Po czym, ku zdumieniu Laury, wręczył go jej, jak kwiat.

— Nie sądzę, aby rozwód był kiedykolwiek łatwy.

— Nie rozumiem dlaczego. Jeśli coś nie gra, to znaczy, że nie gra. Ojciec oszukiwał ją na każdym kroku, nawet nie ukrywał tego przed nią. Ona jednak by nie odeszła. Tego też nigdy nie mogłem zrozumieć.

— W chęci utrzymania małżeństwa nie ma nic tajemniczego.

— Pod warunkiem, że nie jest ono tylko grą pozorów. Zdarzało się, że nie pokazywał się w domu przez parę nocy z rzędu, i nagle się pojawiał. Krzyczała, rzucała w niego różnymi przedmiotami, a on wzruszał ramionami i zasiadał przed telewizorem. Pewnego dnia wcale nie wrócił.

— Wcale?

— Nigdy więcej go nie ujrzeliśmy.

— Michael, przepraszam cię, nie wiedziałam o tym. — Nadal głaskała klacz, ale patrzyła na niego.

— To nie ma dla mnie znaczenia. W każdym razie niewielkie. — Wzruszył ramionami. — Ale ona była nieszczęśliwa, i niezdolna, i stała się trudna dla otoczenia. Przez parę lat byłem rzadkim gościem w domu. Większość czasu spędzałem z Joshem, doprowadzając tym do szaleństwa panią Sullivan. Okropnie się bała, że sprowadzę go na złą drogę.

Pamiętała go. Teraz, gdy sobie na to pozwoliła, odtworzyła w pamięci obraz tych zamysłonych, niebezpiecznych oczu. Pamiętała też swoją reakcję.

— Moi rodzice zawsze cię lubili.

— Byli bardzo dobrzy. Obserwowałem ich, ciebie, wszystko, co dzieje się w Templeton House. To było dla mnie odkrycie. Całkowicie odmienny świat dla takiego klifowego szczura jak ja.

Jej także nieznany był świat, w którym wzrastał.

— Twoja matka ponownie wyszła za męża.

— Związała się z Lado, kiedy miałem około szesnastu lat. Nienawidziłem skurwysyna. Zawsze uważałem, że go wybrała, ponieważ był przeciwieństwem

mojego starego. Rozlażły i małostkowy, i zazdrosny. Dostarczał jej wielu *atrakcji* - mruknął, patrząc posępnie. — Bardzo wielu. Lubił ją poszturchiwać.

- Boże. Bił ją?

- Zawsze się wypierała. Wraciałem do domu, a ona miała podbite oko lub pękniętą wargę i na poczekaniu wymyślała jakieś marne tłumaczenie — że się potknęła albo uderzyła o drzwi. Nie przeciwstawiłem się temu.

___Byłeś jeszcze dzieckiem.

___Nie, nie byłem. — W jego spojrzeniu pojawiła się gorycz. — Nigdy nie byłem dzieckiem. Nim skończyłem szesnaście lat, napatrzyłem się i zrobiłem więcej, niż tobie uda się przez całe życie, skarbie. Czułem się z tym bardzo dobrze.

___Czyżby? — Patrzyła mu prosto w oczy. — A może dzięki temu nie miałeś poczucia bezsilności?

Pokiwał głową.

— Niewykluczone, że w grę wchodziło i jedno, i drugie. Faktem jest, że pani Sullivan miała rację. Byłem złym towarzyszem, i gdyby Josh okazał się inny, wyładowałibyśmy obaj w poprawczaku. Albo jeszcze gorzej. Faktem jest, że on miał motywację, której ja nie miałem.

— Nie wątpię, że doceni zeznanie świadka, sądzę jednak, że i ty mogłeś kierować własnym losem.

Po raz pierwszy od miesiący poczuł silną, nagłą potrzebę zapalenia papierosa, nawet poklepał się po kieszeni, nim sobie uświadomił, że robił to przecież przez większą część życia.

— Czy wiesz, dlaczego zaciągnąłem się do marynarki handlowej?

— Nie.

— No to ci powiem. Kiedyś wróciłem późno do domu. Piliśmy trochę z Joshem i z paroma innymi chłopakami na klifach. Mieliśmy po osiemnaście lat i byliśmy głupi, a ja podwędziłem Lado sześć butelek piwa. No więc wszedłem do domu. Czułem się dobrze, na luzie, byłem trochę na gazie. A on, ten wielki, tłusty sukinsyn, okładał matkę pięściami. Poszło chyba o źle odgrzaną kolację, czy o jakieś inne gówno. Postanowiłem nie puścić mu tego płazem. Uznałem, że mam obowiązek się za nią ująć. No więc dopadłem go.

Odruchowo przesunął palcem po bliźnie nad okiem.

— Miał nade mną fizyczną przewagę, ale byłem młodszy i szybszy, nie mówiąc o zaprawie w bójkach. Cholernie mu dołożyłem. Nie przestawałem go tłuc, kiedy już leżał i krwawił, i był nieprzytomny. Nie czułem rąk, którymi okładałem go po łbie. Byłbym go zabił, Lauro, nie mam co do tego złudzeń. Biłbym go i pewnie bym go zatłukł, nie zważając na konsekwencje.

Nie mogła przed tym uciec, nie miała podobnych doświadczeń. Ale, jak sądziła, mogła to zrozumieć.

~- Wystąpiłeś w obronie matki.

- Od tego się zaczęło, ale później chciałem tylko jego śmierci.

ciałem go zabić. To było ode mnie silniejsze. Wykończyłbym go, gdyby

mnie nie powstrzymała. A kiedy klęczałem nad nim, a ona dotykała ręką jego zakrwawionej i potłuczonej twarzy, kazała mi się wynosić.

— Michael.

— Powiedziała, że nie mam prawa się wtrącać. Powiedziała jeszcze wiele innych rzeczy między wierszami. Więc wstałem i zostawiłem ją tam.

— Nie miała tego na myśli. — Czyż matka, jakakolwiek matka, może się zwrócić przeciwko własnemu dziecku? To nie mieściło się w głowie. — Była zdenerwowana, przestraszona i obolała.

— To miała na myśli, Lauro. W tamtej chwili wypowiadała świadomie każde słowo. Później zmieniła zdanie, pozbyła się go i pozbierała. Zeszła się z Frankiem. Ale wtedy mnie już nie było. Nigdy tam nie wróciłem. Czy wiesz, dokąd poszedłem tej nocy, kiedy opuściłem dom?

— Nie.

— Do Templeton House. Nawet nie wiem dlaczego. Po prostu poszedłem. Pani Williamson była w kuchni. Zajęła się mną, obmyła. Rozmawiała ze mną, a ja słuchałem, co mówi. Nakarmiła mnie ciasteczkami. — Westchnął głęboko, potarł rękoma twarz. Nie spodziewał się, że tak wiele z tamtej nocy jeszcze w nim tkwi. — Chyba uratowała mi życie. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym jej tam nie zastał. Powiedziała, że muszę coś ze sobą zrobić. Nie powiedziała, że wybór należy do mnie, ani jakie mam szanse, tylko zwyczajnie: „Chłopcze, musisz coś ze sobą zrobić”.

— Zawsze miała do ciebie słabość, Michael. — Pomyślała, że zasługiwał na to. Zasługiwał na słowa otuchy, troskę i zrozumienie. Biedny, zagubiony chłopiec.

— Była pierwszą kobietą, którą kochałem. — Wyciągnął następne żdźbło siana. Pragnąc zaspokoić głód papierosa, żuł jego koniec. Gdyby mógł teraz przeniknąć myśli Laury i ujrzeć w nich swój obraz, nie byłoby mu do śmiechu. Przeraziłby się.

— Może ostatnią kobietą — dodał. — Kazała mi iść do stajni. Sama poszła na górę i sprowadziła Josha. Przesiedzieliśmy i przegadaliśmy z nim tutaj całą noc. Ilekroć mówiłem o popełnieniu jakiegoś głupstwa, odwodził mnie od tego z tą swoją spokojną prawniczą logiką. Następnego dnia zaciągnąłem się na statek. Pozostawałem tu aż do wypłynięcia.

— Tutaj? Byłeś tutaj? Josh nigdy o tym nie wspominał.

— Może już wtedy rozumiał znaczenie tajemnicy zawodowej. Zawsze był lojalnym przyjacielem. Pani Williamson przynosiła mi jedzenie. Ona i Josh byli jedynymi osobami, do których pisałem po wyjeździe. To od niej się dowiedziałem, że matka wykopała Lado. Przypuszczam, że pani Williamson ją odwiedzała. Nigdy jej o to nie prosiłem.

Otrząsnął się, rozpromienił.

— Czy wiesz, że jej ciasteczka były dla mnie powodem do dumy na statku? Raz na miesiąc otrzymywałem pełne pudełko. Pewnej nocy przegrywałem w pokera. Poratowałem się czymś, co nazywacie orzechowymi pałeczkami. Odszedłem od stolika z kupą forsy.

— Będzie uszczęśliwiona, kiedy to usłyszysz. — Zaryzykowała. Sięgnęła ręką ponad szyją klaczy i dotknęła jego dłoni. — Każdy, kogo pani Williamson bierze pod swoje skrzydła, zasługuje na to. Jesteś dobrym człowiekiem,

- Przyjrzał się jej uważnie. Dojrzał w jej wzroku, że ma nad nią przewagę.

— Powiniennem cię o tym przekonać i zaciągnąć cię szybciej do łóżka. - Uśmiechnął się. — Nie jestem dobrym człowiekiem, Lauro, ale jestem uczciwy. Opowiedziałem ci o tym, o czym nie rozmawiałem z nikim poza dwoma osobami, ponieważ uważam, że powinnaś wiedzieć, w co wchodzisz.

—, Postanowiłam już, że w nic nie wchodzę, i to z wielu powodów.

— Zmienisz zdanie. — Przesunął się, mrugnął zawadiacko. — Wszystkie zmieniają.

W tym momencie, zalewając ściółkę, trysnęły wody płodowe.

— Godzina zero — powiedział drżącym głosem. — Przesuń się w stronę jej głowy.

Laura ocknęła się, zmęczenie, półsen, w jaki prawie zapadła na chwilę, zniknęły jak ręką odjął.

Wody płodowe nie postawiły jej w stan alarmu. To był naturalny proces, podobnie jak nabrzmiałe skargą rzenie klaczy stanowiło część całości. Proces, przez który przeszła, którego, pomimo strachu i bólu, pragnęłaby jeszcze raz doświadczyć.

Zabrała się ostro do pracy. Bez sprzeciwu wykonywała związane polecenia Michaela, dodawała też własne pomysły.

— Wychodzi. Trzymaj się dzielnie, Darling. Już prawie po wszystkim. — Klęczał we krwi, pracował równie ciężko jak jego klacz, dopóki nie ukazały się długie, cienkie przednie nogi. — Muszę jej pomóc, przekręcić go trochę. Gdzie jest ten cholerny łeb? Jak ona się ma?

— W porządku. — Pot zalewał Laurze oczy. — Ale pomóż jej. Jest wyzerpana.

— Już idzie. — Chwycił za śliskie, połyskujące kończyny, sięgnął do dróg rodnych, by obrócić żrebaka i ulżyć klaczy. Tutaj, między przednimi nogami, ułożony był łebek. — No, postaraj się Darling, jeszcze trochę. Jeszcze tylko troszeczkę.

O Boże. — Gdy żrebak wyslizgnął się na zewnątrz, pot na twarzy Laury zmieszał się ze łzami. — Jest.

Kiedy już było widać barki żrebaka, Michael usunął mu z nosa błonę płodową. Żrebak był wilgotny i nadal połączony pępowiną. Michael nie mógł się już doczekać, by go obejrzeć, poczekał jednak, aż zwierzę samo uwolni się z błony płodowej, a pępowina oderwie zgodnie z prawami natury.

Przez chwilę w boksie słychać było tylko powracający do równowagi

oddech klaczy i jej pierwsze cieniutki, zachwycone rzenie, kiedy zrozumiała, że ma dziecko.

- Jest piękny — wyszeptła Laura. — Po prostu piękny.

— Ona. — Z radosnym uśmiechem Michael otarł Laurze twarz z potu - Postaraliśmy się o dziewczynkę, Lauro. Piękną dziewczynkę. To niewiarygodne, Darling, spójrz na swoje dziecko.

Spojrzała i kierując się macierzyńskim instynktem podniosła się na nogi by zacząć obmywać swoje dziecko.

— To zawsze jest piękne — wyszeptała Laura, odsuwając się do tyłu by nie zakłócać nawiązującej się więzi matki z dzieckiem. — Nie jesteś rozczarowany? — zapytała. — Nie wolałbyś ogiera?

— Ma cztery nogi i ogon? I maść matki?

— Widzę, że się nie martwisz. — Roześmiała się, zachwycona malującą się na jego twarzy radością. Wyciągnęła rękę. — Moje gratulacje, tatusiu.

— A niech to kule biją! — Porwał ją, rzucił sobie na kolana i zgniółł ustami jej wargi.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Czuła się oszołomiona. I słaba. Byli spoceni, poplamieni krwią, nieprzytomni i naelektryzowani energią po nieprzespanej nocy. Pod nimi kłębiło się mokre, pobrudzone siano, a powietrze wisiało gęste i ciężkie.

Pragnął tylko podzielić się z nią tym przyprawiającym o zawrót głowy uniesieniem. Podziękować jej, na swój sposób, iż stała się częścią tej chwili. Ale zatopił się w niej, w pragnieniu, w gorączkowym zapamiętaniu. Laura oplotła go rękami i przywarła do niego, jak gdyby zawisła na klifie i w nim szukała wybawienia.

Szeptał coś. Była to płatanina dzikich, oszalałych myśli, jakie cisnęły mu się do głowy. Dłonie przesuwają się wzdłuż jej bioder, przywarły władczo do piersi. Zareagowała żywo, wygięła się, jęknęła.

— Spokojnie. — Użył tego samego cierpliwego, kojącego tonu, jakim przemawiał do rodzącej kłaczki. Ale zębami skubał jej podbródek, jak oszalały kąsał jej pulsującą szyję, jakby na przekór wypowiedzianemu przed chwilą poleceniu.

— Nie mogę. — Oddychać. Myśleć. Odejść. — Michael. — Oszołomiona, przycisnęła twarz do jego szyi. — Nie mogę.

Ja mogę, pomyślał, ogarnięty tęsknotą. Mógł, pragnął coraz bardziej. Ale marnie wybrał miejsce i chwilę. Przypomniał sobie, że była przy nim przez całą noc. Gdyby wykorzystał sytuację, co właśnie robił, dowiódłby tylko, iż nawet uczciwy człowiek może zatracić granice przyzwoitości.

— Nie poluję na łatwą zdobycz. — Stać go na lekkość, bez względu na koszt. — Zrelaksuj się. — Odsunął ją delikatnie. — Patrz, nasza dziewczynka rośnie w oczach.

Gdy zobaczyła, jak żrebak próbuje stanąć na nogi, jej zacisnięte na podołku ręce powoli się rozluźniły. Po kilku komicznych upadkach kolejna próba samodzielności powiodła się wreszcie.

— Czy wybrałeś... — By ulżyć zdrętwiałym, mrowiejącym kościom, pocierała kolana wewnętrzną stroną dłoni. — Czy wybrałeś dla niej imię?

— Nie. Zapach włosów Laury jeszcze drażnił jego zmysły. —
A może ty wybierzesz?

— Jest twoja, Michael.

- Przyszła na świat dzięki nam trojgu. Jak byś chciała ją nazwać?

Oparła się o niego. Uśmiechnęła się. Żrebak już się nauczył ssać.

— Gdy byłam dziewczynką, miałam klacz. Nazywała się Lulu.

— Lulu? — Zaśmiał się cicho i skrył w jej włosach twarz.

Zamknęła oczy, a serce jej drżało.

— Przemierzałam na niej wzgórze, oddawałam się marzeniom.

— A więc Lulu. — Podniósł się, przytulił Laurę do siebie. — Jesteś blada. — Przeciagnał kciukiem po jej policzku, odniósł niemal wrażenie, iż dotyka mgiełki. — Im bliżej poranka, tym bardziej wydajesz się krucha. I tym bardziej pragnę cię dotykać.

— Nie będę ci w stanie dać tego, czego pragniesz.

— Nie masz klucza, by rozszyfrować moje pragnienia. Gdybyś miała, nie trzymałabyś mnie na dystans od Templeton House. Ale jesteśmy zanadto zmęczeni, by to sobie teraz wyjaśniać, będzie lepiej, jeśli się trochę prześpisz.

— Pomogę ci posprzątać.

— Nie, dam sobie radę. Nie czuję się aż tak zmęczony, Lauro, a poza tym mam na ciebie cholerną ochotę. Uciekaj.

— Niech będzie. — Wyszła z boksu, odwróciła głowę. Stał wyprostowany — wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany na czarno, w luźnych, nie dopiętych w pasie dżinsach. Cała jej kobiecość była rozbudzona. Westchnęła z tęsknotą. — Michael?

— Taa?

Zauważyła, że ma ociężałe oczy. Wyczerpane. Ale sposób, w jaki się w nią wpatrywał, ciągle przyprawiał ją o drżenie.

— Nikt mnie nigdy nie pragnął tak jak ty zdajesz się mnie pragnąć. Nie wiem, jak określić moje uczucia i co mam z tym począć.

Jego zmęczone oczy ożywiły się.

— Nie oczekuj, że po takim oświadczeniu będę cię mniej pragnął. — Zwinnie jak wąż i drapieżnie sięgnął po nią, przyciągnął do siebie. Wolną ręką dotykał szyi Laury, muskał delikatnie, podczas gdy ustami przywarł do jej warg. Kiedy ją puścił, zatoczyła się, pociemniało jej w oczach. Poczowała falę podniecenia i paniki.

Uciekaj stąd, Lauro — powtórzył. — Tutaj nie jesteś bezpieczna.

Nieprzytomna opuściła stajnię. Znalazła się w białym blasku poranka. Była obolała, dudniło jej w głowie.

Kiedy zbliżała się do Templeton House, obejrzała się za siebie. zastanowiła, czy rzeczywiście chce się czuć bezpieczna? Czyż przez całe swoje życie nie była bezpieczna? Czy przez to może pochwalić się jakimś porównywalnym sukcesem? I znowu powróciła niespokojna myśl, że może zamiast kierować się rozsądkiem, poddaje się działaniu hormonów. Tylko jeden Bóg wie, czy to, co teraz czuje, nie jest jednym potężnym, pulsującym pożądaniami.

To było nowe doświadczenie. Nie miała pewności, czy pragnie je zgłębić. Nie zdążyła udzielić sobie odpowiedzi, weszła do kuchni, gdzie natychmiast rozpałało się piekło.

— Panno Lauro! Na Boga! — Ann doskoczyła do niej. Podczas gdy Laura wytrzeszczała zdumione oczy, gospodyni przytrzymała ją w żelaznym uścisku i poklepując popychała w stronę kuchennego krzesła. — Co on ci zrobił? Ten potwór, to diabelskie nasienie! Gdzie cię skaleczył, dziecinko? — Patrząc złowrogo, Ann gładziła potargane włosy Laury, klepała jej blade policzki. — Wiedziałam, że z takimi jak on będą kłopoty, ale nigdy nie przypuszczałam... Zabiję go, zabiję go własnymi rękami. Przekonasz się.

— Kogo? Za co?

— Ona jest w szoku, pani Williamson. Biedna owieczka. Przynies brandy.

— Ależ pani Sullivan, proszę się uspokoić.

— Mam się uspokoić? Uspokoić się? Może zechcesz spojrzeć na to, co zrobił naszej pannie Laurze?

Wytańczy ręce w fartuch, kucharka wyprostowała się szybkim ruchem znad pieca.

— Co się stało, kochanie?

— Właśnie...

— Wobec tego powiem ci, co się stało — przerwała Ann z błyskiem zemsty w oczach. — Ten człowiek wykorzystał sytuację, oto co się stało. Gołym okiem widać, że się broniła. Och, zapłaci mi za to, zapłaci. Kiedy się porachuję z Michaeliem Fury, nie będzie czego zdrapywać z podeszwy.

— Michael? — Może to zmęczenie, pomyślała jak przez mgłę Laura. Czy nie rozstała się z nim przed chwilą? — A co on zrobił?

Zaciskając wargi, z groźną miną, Ann usiadła, ujęła ręce Laury.

— Nie musisz się wstydzić i martwić. To nie twoja wina.

— W porządku, co nie jest moją winą? — powoli zapytała Laura.

— Skarbie. — Najwyraźniej biedactwo próbuje uciec przed okropnym wspomnieniem, pomyślała Ann. — Zdejmujemy teraz twoje ubranie i zobaczymy, jak bardzo cię skrzywdził. Zaklinam się, że to jego krew na twoim ubraniu.

— Krew? — Laura pochyliła głowę. Bawełniana koszula i spodnie były w opłakanym stanie. — O Boże! — Wszystko stało się jasne. — O Boże! powtórzyła, zanosząc się długim, szalonym śmiechem.

— Brandy, pani Williamson. Proszę podać brandy.

— Nie, nie, nie. — Próbując się opanować, Laura złapała Ann, zanim gospodyni zdołała umknąć, by dopełnić zemsty. — To nie moja krew, Annie, ani Michaela. Żrebaka. — Dostała czkawki, starała się wziąć w garść. — Pomagałam Michaelowi tej nocy przy narodzinach żrebaka.

— No i właśnie. — Zadowolona pani Williamson powróciła do swojego gotowania.

— Żrebaka? — Oczy Ann nadal patrzyły podejrzliwie. — Byłaś w stajni przy porodzie żrebaka?

— Tak, klaczki. Istne чудо. — Westchnęła i z trudem oparła się pokusie

złożenia głowy na stole i zaśnięcia. Wyparowała z niej cała adrenalina, pozostało jedynie wszechogarniające znużenie. — To brudna robota, Annie. Sądzę, że oboje z Michaeliem wyglądamy jak po jakiejś bójce w barze.

— Och. — Wstrząśnięta i zawstydzona Ann wstała z miejsca. — Więc przyniosę ci trochę kawy.

— Wypiłam tyle kawy, ile zdołał wchłonać mój organizm. Sądzę, że starczy tego na najbliższych parę lat. — Ożywiła się, wzięła Ann za rękę. — Annie, dziwię ci się, Michael nigdy by mnie nie skrzywdził.

— Mówiłam jej, że to złoty chłopak — wtrąciła pani Williamson. — Ale czy ona mnie słucha?

— Z daleka poznam łobuza.

— Ten łobuz — powiedziała spokojnym tonem Laura — spędził całą noc opiekując się koniem. Poświęca czas moim dzieciom ucząc je konnej jazdy. Jest dla nich miły i troskliwy. A sądząc po tym, jak utrzymuje stajnię i magazyn, pracuje ciężiej niż dwóch mężczyzn razem wziętych.

Ann przypomniała sobie sposób, w jaki mała Kayla podbiegła do niego i jak lekko i bezpośrednio zareagował na to. Ale zaciskała szczęki. Ona swoje wie.

— Uważam, że natura ciągnie wilka do lasu.

— Niewykluczone. Ale człowiek może się zmienić. Jeżeli dana mu będzie szansa. Cokolwiek do niego czujesz, w tej chwili stanowi część Templeton House. — Podnosząc się z trudem, Laura potarła rękami oczy. Szczypały ją, jakby miała pod powiekami piasek. — Teraz muszę wziąć prysznic i choć trochę... — Kiedy opuściła ręce, jej wzrok padł na zegar wiszący nad kuchnią. — O mój Boże, wpół do ósmej? Czy to możliwe? Mam o dziewiątej spotkanie. A dziewczynki? Już wstały?

— Nie przejmuj się nimi — powiedziała Ann. — Dopilnuję, żeby się ubrały i pojechały do szkoły. Odwołaj to spotkanie, panno Lauro, i idź spać.

— Nie mogę. To ważne. Sprawdzę, czy się ubierają, i wskoczę na chwilę pod prysznic. Jadąc do pracy podrzucę je do szkoły. Przypilnuj proszę, Annie, żeby zjadły śniadanie.

— A co z twoim śniadaniem, panienko?

Laura była już prawie za drzwiami.

— Tylko kawa, dziękuję. Nie mam czasu — rzuciła.

— Za dużo na siebie bierze — cmoknęła pani Williamson, zwiększając obroty miksera i ubijając ciasto na naleśniki. — Jeszcze trochę wytrzyma, a potem padnie. Wspomnicie moje słowa.

Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby jakiś młody łobuz złapał ją, gdyby padała. Ani trochę.

Powinna spać, a nie przesiedzieć całą noc, zajmując się cudzymi sprawami.

— Pani Sullivan, jest pani złą kobietą, ale w pewnych sprawach jest pani uparta jak pół tuzina mułów. Niech pani zapamięta moje słowa — zakładam się o całą moją pensję, że wkrótce wycofa pani to, co pani powiedziała.

— Jeszcze się przekonamy — zachnęła się Ann. Nalała Laurze kawę i szkowała się, by zanieść ją na górę. — Tylko kłopot z tym chłopakiem

— A jeśli nawet — odezwała się pojednawczym tonem pani Williamson — to o tego rodzaju kłopotcie marzy każda sensowna dziewczyna. Życzyłabym sobie więcej takich kłopotów w życiu.

Gdy Ann mijała ją szybkim, dostojnym krokiem, pani Williamson nuciła wesołą melodię.

Nie chodzi o to, że pani Sullivan nie wierzyła, czy tej nocy naprawdę urodził się żrebak. Po prostu chciała się o tym przekonać na własne oczy. Pomaszerowała więc do stajni, niechętnie niosąc koszyk z domowymi bułeczkami, który przed wyjściem wcisnęła jej pani Williamson. Gdyby to od niej zależało, Michael Fury nie zakosztowałby nigdy kuchni Templeton House.

Najpierw popatrzyła na mieszkanie na piętrze. Skrzywiła się nieco na widok świeżo pomalowanych framug. Pomyślała, że najzwyczajniej się podlizuje, nic więcej. Stara się być pomocny i uprzejmy, ale prędzej czy później wyjdzie szydło z worka. Może wszystkim mydlić oczy, tylko nie jej!

Od czasu wprowadzenia się Michaela obchodziła stajnię z daleka. Dużo ją kosztowała decyzja, by tam teraz wejść. Pierwszym wrażeniem było zdumienie. W pomieszczeniu panowała czystość jak w salonie, nie czuć też było przykrych zapachów mierzwy. Podskoczyła, gdy Max wysunął łeb i stuknął ją chrapami na powitanie.

— Chryste, uchowaj, jesteś wielki jak szafa. — Pomimo to, uśmiechnęła się na widok jego łagodnych oczu i, upewniając się, że nikt na nią nie patrzy, pogłaskała jego jedwabiste chrapy. — Ładny z ciebie chłopak. To ty pewnie robisz te wszystkie sztuczki, o których bez przerwy opowiadają dziewczynki?

— Jest jednym z nich. — Kiedy Michael wyszedł z porodowego boksu i siedł w jej stronę, Ann pospiesznie opuściła rękę, klnąc w duchu, że nie rozejrzała się uważnie. — Może by go pani chciała wypróbować?

— Dziękuję, nie. — Sztynna jak kij, postąpiła do przodu. — Pani Williamson przysłała ci trochę bułeczek.

— Taak? — Odebrał koszyk, wyjął jedną. Była jeszcze gorąca, gdy ją ugryzł. Chciało mu się wyć z wdzięczności. — To święta kobieta — powiedział z pełnymi ustami. — Nie sądzę, żeby przyszła tu pani w charakterze Czerwonego Kapturka z darami dla wilka, pani Sullivan.

— Dużo wiesz na temat bajek! To niewinne dziecko było w drodze do babci, kiedy zostało zaczepione przez wilka.

— Uwzględnię tę poprawkę. — Ponieważ mogliby sobie dogadywać w nieskończoność, wrócił do boksu, by podać resztę lekarstw karmiącej klaczy i jej dziecku.

— Ten koń nieźle wygląda.

— Ma się dobrze. Obie są w dobrej formie. To była długa noc, prawda Darling?

W boksie nie znalazła śladów długiego, pozostawiającego nieczystości porodu. Leżała tam nieskazitelnie świeża słoma, zarówno zaś matka, jak córka zostały starannie wyczyszczone. Ponieważ od pojawienia się Laury w kuchni upłynęła dopiero godzina, widać było, że chłopak nie tracił czasu.

— Z tego, co słyszałam, panie Fury, też się nieźle narobiłeś. Dziwię się, że jeszcze nie chrapiesz w łóżku.

— Liczę na to, ale dopiero kiedy tutaj skończę. Najpierw trzeba skarmić i napoić konie. — Wiedząc, że może jej tym dokuczyć, odwrócił się przez ramię i uśmiechnął się od ucha do ucha. — Nie zechciałaby mi pani pomóc?

— Mam swoje obowiązki. Sam się zajmij swoim domem. — Musiała zresztą przyznać, że robi to dobrze. Ann szanowała zamiłowanie do porządku. Ale... — Nie miałeś najmniejszych skrupułów, żeby namówić pannę Laurę i przetrzymać ją przez całą noc.

Zadowolony, iż zaspokoił potrzeby matki i dziecka, opuścił boks, obszedł Ann i zabrał się do przygotowywania jedzenia.

- Nie, nie miałem.
- Dziewczynie potrzebny jest sen.
- Może przecież teraz odespać.
- Jest w drodze do Monterey.

Wstrzymał ruch szufelki, a kiedy odwrócił się, odrobina ziarna posypała się na ziemię.

- To absurd. Była na nogach przez całą noc.
- Ma rano spotkanie.
- Była wyczerpana.
- Przecież wiem. — Zdziwiło ją, że to zauważył i że zdawał się być tym zaniepokojony.

— To absurd. — Zanurzył szufelkę w worku z ziarnem. — Mogła przełożyć na później wizytę u fryzjera i manikiurzystki.

— Wizytę u fryzjera i manikiurzystki? — Oburzona Ann wzięła się pod boki. — Jeżeli w ten sposób myślisz o pannie Laurze, to jesteś głupi. I zawsze cię za takiego miałam. Pojechała do pracy, ty pawianie, do hotelu. A po południu pracuje w sklepie. A potem, jeśli dotrwa do końca po nocy spędzonej przy twoim koniu, wpadnie jeszcze po dzieci, a następnie...

Jest właścicielką tego cholernego hotelu — uciał krótko. — Podobnie jak i tego sklepu. Nie sądzę, by świat się zawalił, gdyby wzięła sobie wolne.

— Traktuje poważnie swoje obowiązki. Ma na utrzymaniu dzieci. Musi opłacać szkołę, mieć za co kupić ubrania i jedzenie, spłacać rachunki.

Templetonowie nie są na pensji.

Laura Templeton jest. Czy sądzisz, że potrafiłaby żyć na koszt rodziny? Czy uważasz, że gdy ten pozbawiony serca drań oskubał ją ze wszystkich pieniędzy, poleciała z płaczem do rodziców?

- O czym pani mówi, co to znaczy oskubał ze wszystkich pieniędzy?

Tak jakbyś o tym nie wiedział! — Teraz ona sobie kpiła. — Tak

jakby wszyscy w Big Sur i w Monterey, i aż po Carmel nie wiedzieli, że ten człowiek przed rozwodem wyczyścił jej całe konto bankowe, a także ogołocił z obligacji, papierów wartościowych i należącego do niej majątku.

— Ridgeway. — Zapłonęły mu oczy; były jak ostre sztylety gotowe do walki. — Dlaczego on jeszcze żyje?

Ann westchnęła. Przynajmniej w tej jednej sprawie jest zgodna z tym łobuzem. Ale już i tak za wiele powiedziała.

— Nie moja jest rzeczą plotkować ze stajennym,

— Nie jestem stajennym, a pani, przy swojej pozycji, nigdy nie hamowała się w okazywaniu mi niechęci. Dlaczego pozwolili Ridgewayowi odejść i zabrać jej wszystko? Josh mógł go powstrzymać, Templetonowie mogli go ukrzyżować.

— To sprawa panny Laury i jej decyzja. — Ann założyła ręce, zacisnęła wargi.

— To się nie trzyma kupy. — Wziął ziarno dla cierpliwie oczekującego Maxa. — Powinna zrobić użytek z rodzinnych pieniędzy. Ma ten dom, służbę. Nikt, kto żyje w takich warunkach, nie martwi się o drobne sumy.

Zaśmiała się szyderczo.

— Finansowe sprawy panny Laury nie dotyczą ciebie, Michaelu Fury. A jeśli przypuszczałaś, że rozczulisz ją i namówisz, żeby straciła dla ciebie trochę swoich pieniędzy, rozejrzyj się lepiej za kimś innym.

Dostrzegła w nim dziką wściekłość i szalone opanowanie, by nie bluznąć przekleństwem. Spodziewała się, że usłyszy najgorsze słowa, i zdumiała ją reakcja Michaela:

— Zostałem ostrzeżony — powiedział i powrócił do karmienia koni.

Zamierzała coś jeszcze powiedzieć. Czy za tym kipiącym temperamentem kryła się jakaś rana? Nie, wszystko tylko nie to. Nie u tego typu ludzi. Zagryzła wargę. Zastanawiała się, jaki smak mogłyby mieć jej słowa, gdyby się pomyliła, gdyby naprawdę nie powinny wyjść z jej ust.

— Zostawiam cię w spokoju.

Kiedy wyszła, nadal precyzyjnie odmierzał ziarno. Po czym łopatka pofunęła mu z rąk, uderzyła o ścianę z taką siłą, że urwała się rączka. W boksach nerwowo poruszyły się konie. Max przerwał jedzenie i przyglądał się swojemu panu.

— Kurwa! — warknął Michael i potarł rękami twarz. — Dosyć się narobiłem. Ta cholerna kobieta powinna być w łożku. — Podniósł łopatkę i znowu nią rzucił. Po czym udał się po nową.

Rozdział dziesiąty

Około drugiej po południu kolejny raz poczuła, że padnie z wyczerpania. To nawet było przyjemne — miała wrażenie, jakby unosiła się tuż nad ziemią, a powietrze wokół niej zdawało się miękkie i płynne.

Poprowadziła spotkanie z „głównym sztabem” zjazdu pisarzy, odbyła ostatnią, krótką odprawę z personelem w związku z przyjmowaniem dużej liczby gości w ciągu najbliższych dwóch dni, uzgodniła i jeszcze raz przedyskutowała szczegóły bankietu, sprawy związane z utrzymaniem porządku, z transportem, obsługą pokoi, zaopatrzeniem i z zarządzaniem domem.

O pierwszej wzmocniła się kawą, zjadła batonik, a następnie udała się do „Pretensjonalnej Galerii”. Jedyne jasnym punktem dnia był na wpół historyczny telefon od Kate, kiedy rano Laura wyskoczyła spod prysznicza.

— Jest różowy. Zaróżowił się. Jestem w ciąży. Byron się postarał. Słyszysz, Lauro? Będę miała dziecko!

Oczywiście, że słyszała. Pośmiały się razem, popłakały trochę. A teraz zmarzona Kate kręciła się po sklepie.

— Co powiecie o Guinivere, gdyby to była dziewczynka? — zastanawiała się Kate. — W rodzinie Byrona nadawanie literackich imion należy do tradycji.

Guinivere była mocno na bakier z moralnością — zauważyła Margo. — Zabawiała się z najlepszym przyjacielem swojego męża. Ale skoro ci to nie przeszkadza...

Zawsze lubiłam Ariela — wtrąciła Laura. — Z „Burzy” Szekspira.

— Ariel De Witt. — Kate wyjęła z kieszeni kalendarzyk i pospiesznie zanotowała. Imiona to poważna sprawa, pomyślała, i należy je rozpatrywać

pod wieloma kątami. Muszą odpowiednio brzmieć, dobrze pasować. Sprawiać odpowiednie wrażenie. — Hmm. — W tym imieniu tkwił potencjał Niezłe. — Zdjęła okulary do czytania i rozejrzała się dookoła. — Laura znowu drzemie.

— Wcale nie. — Przyłapaną, szybkim ruchem podniosła opadająca bezwładnie głowę, próbując się skoncentrować. O czym, u licha, one rozmawiały? — Imiona — powiedziała szybko, tak jakby to był teleturniej. — Żeńskie imiona dla dzieci z literatury. Hester, Julia, Dalila.

— Za prawidłową odpowiedź otrzymujesz kompletne wyposażenie stereofoniczne. — Kate uniosła brew. — Czy decydujesz się przystąpić do drugiego etapu, którego główną wygraną jest podróż do Honolulu?

— Co ty robiłaś w nocy, Lauro, że jesteś taka nieprzytomna? — zapytała Margo.

— Pomagałam się urodzić żrebakowi Michaela i...

— Co takiego?

— Michael powiedział, że mnie pragnie i nie jestem bezpieczna w jego obecności. Jak byś zareagowała na coś takiego?

— Jest wiele różnych sposobów. Niech pomyślę. Jestem pewna, że próbowałabym wszystkich. — Margo postukała palcem po policzku. — Który z chwytów Margo wybierasz?

— Nie potrzebuję chwytów — odparła Laura. Ponieważ z trudem trzymała się na nogach, usiadła na stołku za kontuarem. — Margo, w swoim życiu spałam z jednym mężczyzną. Byłam jego żoną przez dziesięć lat. Nie mam na podorędziu żadnych chwytów, sposobów czy odpowiedzi.

— Może nie stosujesz chwytów, tym lepiej dla ciebie. Ale każda kobieta ma swoje sposoby i, jak sądzę, odpowiedzi. Spróbuj odpowiedzieć na to pytanie. Czy on cię pociąga?

— Tak, ale...

— Odpowiedź brzmi tak — przerwała Margo i rzuciła okiem na parę klientów oglądających z zainteresowaniem biżuterię w gablocie na bocznej ścianie. — Jesteś odpowiedzialną, wolną, dorosłą kobietą, do której czuje pociąg wolny dorosły mężczyzna, a ty nie masz nic przeciwko temu.

— Takie rozumowanie zdaje egzamin w przypadku królików.

— Równie dobrze może dotyczyć ludzi. Lauro, nie istnieją żadne gwarancje. Nie muszę ci zresztą o tym mówić. Tak, możesz się poczuć zraniona. Ale możesz być również szczęśliwa. Albo zwyczajnie dać sobie sprawdzić poziom oleju.

Laura parsknęła śmiechem, potrząsnęła głową.

— Dla ciebie seks był zawsze łatwiejszym problemem niż dla mnie.

— Nie będę się sprzeczać, poza tym nie uważam, żeby to miał być dla mnie szczególnie powód do dumy.

— Nie chciałam...

Wiem, że nie chciałaś. Spałam z więcej niż jednym mężczyzną. Niektórzy z nich byli żonaci. Czasami to miało znaczenie, czasami nie. — Bez trudu mogła to teraz rzucić z siebie, bez żalu i bez poczucia winy, ponieważ rozumiała, że wszystko, co robiła, prowadziło ją do miejsca, którym znalazła się obecnie. — Josh jest jedyny, który naprawdę się liczy.

— Ponieważ się kochacie — powiedziała spokojnie Laura. — Między Michaeliem a mną nie ma mowy o miłości. To zwykła namiętność.

— A cóż w tym złego?

— Dopóki mnie nie obejmuje albo nie całuje, na ogół wiem, co jest w tym złego.

Dobry znak, pomyślała Margo.

— I co dalej?

— Dalej? Po prostu chcę. Przedtem nigdy tak nie chciałam. Wszystko jest za gorące, za szybkie. — Na samą o tym myśl czuła, jak w środku coś się w niej przewraca. Musiała zmienić pozycję. — Niewygodnie mi.

— Alleluja! — Chichocząc, Margo przysunęła się bliżej. — Zaskocz samą siebie, Lauro. Pójdź któreś nocy do stajni i przeleć go.

— Doskonale. Właśnie tak sobie zaplanowałam. Naprawdę, Margo, myślałam, że mi poradzisz coś rozsądnego.

— Rozsądek odłóż na później.

— Proszę pani — odezwała się jedna z klientek. — Czy mogłabym obejrzeć tę broszkę?

— Oczywiście. — Margo oddaliła się z kluczami do gabloty. — Och, czy pani również uwielbia Art Deco? To znakomita rzecz. Wypatrzyłam ją na wyprzedazy nieruchomości w Los Angeles. Powiedziano mi, że kiedyś należała do Marleny Dietrich.

Z trudem opanowując ziewanie, Laura szybko zlustrowała sklep. Dziewczyny są zajęte, ale nie zawałone pracą. Może by tak się wyrwać na krótką drzemkę? Zsunęła się z wysokiego stołka, podeszła do klientki, by sprawdzić, czy w czymś jej nie pomóc.

Modliła się o negatywną odpowiedź. Otworzyły się drzwi.

— Peter. — Stała jak wryta.

— Telefonowałem do biura w hotelu. Powiedzieli, że cię tu zastaną.

— Tak, zawsze po południu jestem w „Pretensjonalnej Galerii”.

Interesujące. — Nie był tu nigdy, celowo nie okazując zainteresowania handlową, dość ryzykowną przygodą swojej eks-małżonki. Teraz, skoro już tu się znalazł, rozejrzyał się powoli i uważnie.

Relacja Candy, która opisała sklep jako rozbebeszony śmietnik używanych rzeczy, nie bardzo pasowała do tego, co zastał. Był w stanie zrozumieć uczucia, jakie żywiła jego narzeczona wobec Laury i jej współpracowników, niemniej widok sklepu przeszedł nawet jego oczekiwania. Było to bowiem uroczne miejsce, klientela zaś i punkt wyborne. Nie spodziewał się, że zainteresują go gabloty, a tym bardziej wyeksponowany w nich towar.

— No i co? — Widziała, że mu się podoba. — Co o tym sądzisz?
— To coś innego niż przypuszczałem, to także nowy krok w twoim życiu. — Spojrzał na nią ponownie. Nadal jest taka opanowana i śliczna. pomyślał. To dziwne, ale nigdy nie przypuszczał, że Laura czy któraś z jej przyjaciółek będą miały głowę, środki, a także wyobraźnię, by stworzyć coś równie przyciągającego i udanego.

— To już nie jest kolejny krok. — Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. — To zasadniczy krok naprzód.

— Przypuszczam, że cię to bawi.

— To jest biznes, Peter, a nie rozrywka. — Czy można się po nim spodziewać, że zrozumie, czym jest „Pretensjonalna Galeria”? Nigdy nie rozumiał nawet własnej żony. Pomyślała, że będzie miał więcej wspólnego z nowo wybraną żoną. — Nie sądzę, żebyś tu przyszedł, by wybrać prezent dla Candy. Z reguły nie interesuje się czymś takim, jak nasz towar.

— Nie, przyszedłem, by z tobą porozmawiać.

Znowu się rozejrzył, zauważył kręcone schody, otwartą galerię na górze. Dostrzegł też przyglądającą mu się z wyraźnym niesmakiem Margo. Na pewno nie będzie tolerował milczącej obelgi ze strony córki służącej.

— Czy jest tu jakieś biuro, prywatne biuro, z którego moglibyśmy skorzystać?

— Prawie całą przestrzeń wykorzystujemy na ekspozycję towaru. — Biuro też jest, oczywiście, nie zamierza jednak rozmawiać z nim w sklepie. To jest jej miejsce i nie chce go kalać osobistymi sprawami. — Może wyjdziemy i porozmawiamy na zewnątrz? — zaproponowała. — Wrócę niedługo — powiedziała do Margo.

— Skoro taka twoja wola! — Margo uśmiechnęła się blade do Petera. — Koniecznie przekaż nasze najlepsze życzenia swojej narzeczonej, Peter. Właśnie mówiliśmy z Kate, jak bardzo się cieszymy, że znalazłeś odpowiednią dla siebie partnerkę.

— Nie wątpię, że Candy uzna waszą troskę... za zabawną.

Laura potrząsnęła głową w kierunku Margo, by ją powstrzymać przed kolejnym, bardziej dosadnym komentarzem.

— To nie potrwa długo. — Otworzyła drzwi, poczekała, aż Peter wyjdzie na werandę.

Nie zwracał uwagi na Cannery Row ani na panującą tu jego zdaniem karnawałową atmosferę: trudny do zniesienia ścisk i zgiełk.

— Takie warunki nie sprzyjają rozmowie, Lauro.

Uśmiechnęła się na widok mijanych na chodniku ludzi, zaabsorbowanych rodzin, ulicznego gwaru.

— W tłumie najlepiej się rozmawia. — Nie pytając go o zdanie, ruszyła w dół ulicy, doszła do krawężnika, by zaczekać na zmianę światła. Uważamy, że ta lokalizacja stanowi nasz dodatkowy atut. Przyciągamy

przygodnych przechodniów spacerujących po nabrzeżu, a także zwiedzających

akwarium. Bezskutecznie przyglądając rozwiewane przez bryzę włosy, ruszyła przed siebie, pragnąc być jak najbliższej morza.

— A poza tym, miło jest jak odetchnąć od czasu do czasu świeżym powietrzem, popatrzeć na wodę, pokarmić mewy.

- Od patrzenia i snucia marzeń nad brzegiem morza nie zbijecie majątku.

— Jakoś sobie radzimy. — Oparła się o metalową balustradę, rzuciła szybkie spojrzenie na fale i łodzie. Zatrzepotały mewy, rozległ się radosny śmiech siedzącej młodej dziewczyny, gdy jedna po drugiej lądowały na jej kolanie, zaglądając do trzymanej przez nią torebki z krakersami. — Jaką masz sprawę, Peterze?

— Chcę porozmawiać o Allison i Kayli.

— W porządku. — Odwróciła się ku niemu, przechyliła do tyłu głowę. — Allison bardzo dobrze radzi sobie w szkole. Ma doskonałe stopnie. Jestem pewna, że byś ją pochwalił. Kayla ma pewne kłopoty z matematyką, ale jakoś staramy się temu zaradzić.

— Chciałem...

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłam. — Wiedziała, że go to nie interesuje, ale była na wysokich obrotach. — W grudniu Ali zagrała Carlę w wystawionym przez jej sekcję baletową „Dziadku do Orzechów”. Wyglądała prześlicznie, a po przedstawieniu popłakała się, ponieważ jej ojciec, choć obiecał, nie przyszedł.

— Wyjaśniłem już, że wyniknęło małe nieporozumienie.

— Tak, wyjaśniłeś. Kayla grała jedną z myszek, i nie przejmowała się znaną tym, czy przyjdiesz, czy nie. Sądzę, że Ali nadal będzie chodziła na lekcje tańca i że w przyszłym roku zacnie już tańczyć na puentach. Kaylę coraz mniej interesuje taniec, za to jej rysunki są z dnia na dzień coraz lepsze. Biorą także lekcje konnej jazdy u Michaela Fury. Uważa, że obie są świetne. Kilka tygodni temu Kayla miała katar, ale nie zwolniła na długo tempa. O, sprawiłam im szczeniaka i dwa małe koty.

Odczekał chwilę.

— Czy skończyłaś?

Miałabym jeszcze co nieco do dorzucenia. To są bardzo żywe, szybko dorastające dzieci. Ale z grubsza to już chyba wszystko.

- Przeszedłem tutaj, mając nadzieję na spokojną, cywilizowaną rozmowę, a musiałem wysłuchać twojego kolejnego, krytycznego przemówienia,

~ To nie była żadna krytyka, Peterze, ale mogę się powstrzymać.

Odsunął się, zirytowany, gdy jakiś przechodzień potrącił go w ramię.

- Dokładnie za osiem tygodni bierzemy z Candy ślub w Palm Springs. Allison i Kayla powinny być przy tym obecne.

— Czy to rozkaz, czy zaproszenie?

— Ludzie spodziewają się obecności dzieci. Candy załatwia przyjazd swoich. Opiekunka przywiezie je w przeddzień ślubu. Allison i Kayla mogłyby przyjechać razem z nimi.

Jakie to cywilizowane, pomyślała. I jakim to wieje chłodem.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, chcesz je sprowadzić, korzystając z pomocy opiekunki do dzieci Candy, i odesłać je w ten sam sposób.

— To ma sens i tak będzie wygodnie.

— I nie zabierze ci czasu. — Nim zdążył odpowiedzieć, podniosła do góry rękę. — Przepraszam. Jestem zmęczona i najwyraźniej wytrącona z równowagi. Sądzę, że dziewczynki docenią fakt, iż nie zostały pominięte. Gdybyś mógł zadzwonić wieczorem...

— Będę zajęty. Nie widzę zresztą potrzeby kolejnego omawiania szczegółów.

Odwróciła się, jeszcze raz spojrzała na morze. Powinna odrzucić własne urazy i po raz kolejny dać swoim dzieciom to, czego potrzebują.

— Peter, Ali czuje się zraniona, zdezorientowana i przestraszona. Tak rzadko ją odwiedzasz czy dzwonisz do niej. Ona czuje się odrzucona.

— Już to przerabialiśmy wcześniej, Lauro. — Podziwiał swoją bezgraniczną cierpliwość wysłuchując kolejny raz tego samego. — Chciałaś rozvodu. Stało się po twojej myśli, wszystko się jakoś ułożyło, miała wystarczająco dużo czasu, żeby się dostosować. Muszę myśleć o własnym życiu.

— A czy kiedykolwiek myślałaś o dzieciach?

Westchnął, spojrzął na rolexa. Może jeszcze odżałować dziesięć minut, nie więcej.

— W tej sprawie zawsze oczekiwałaś ode mnie więcej, niż uważałem za stosowne.

— One nie są sprawą, one są twoimi dziećmi.

Odwróciła się błyskawicznie, powstrzymała się, by nie wylać z siebie całej goryczy, wszystkich urazów. I po prostu spojrzała mu w twarz. Taką przystojną, pomyślała. Taką zimną i opanowaną. Taką doskonałą.

— Ty ich nie kochasz, Peterze, prawda? Nigdy ich nie kochałaś.

— To że ich nie rozpieszczęm, nie psuję jak ty, nie znaczy wcale, że nie znam swoich obowiązków.

— Nie pytam cię o to. — Zaskoczona swoim odruchem, położyła rękę na jego ramieniu. — Peter, jesteśmy tu tylko we dwoje. Żadne z nas nie ma nic do stracenia, bądźmy więc szczerzy. Postawmy sprawę jasno. Żeby już do niej nie wracać, żeby nie kręcić się w kółko i jałowo wokół tego samego tematu.

— To ty nalegasz, żeby stale do tego powracać — przypomniał jej.

— Zgoda, zwrócę na to uwagę. — Argumenty stały się bezużyteczne, musiała to przyznać, a także nazbyt wyczerpujące. — Chcę tylko zrozumieć.

Potrzebuję tego. Tu już nie chodzi o to, co czułeś albo czego nie czułeś do mnie, czy ja do ciebie. Ale one są dziećmi. Naszymi dziećmi. Pomóż mi zrozumieć, dlaczego ich nie chcesz.

Przez moment zatrzymał wzrok na ręce, którą położyła na jego ramieniu. Delikatna. Zawsze go pociągała jej kruchość. Fakt, iż pod spodem okazała się ze stali, pokrzyżował jego plany i rozczarował go.

Niewykluczone, że gdy wyjaśnia sobie tę sprawę, skończą się jej nieustanne próby, by nagiąć swój rozkład zajęć i wychodził naprzeciw jej oczekiwaniom.

— Nie jestem materiałem na ojca, Lauro. Nie uważam tego za wadę, stwierdzam po prostu fakt.

— W porządku. — Choć zabolęło ją serce, skinęła głową. — Przyjmuję to do wiadomości. Ale, Peterze, ty jesteś ojcem.

— Nasze definicje w tej sprawie są diametralnie różne. Wywiązuję się ze swoich zobowiązań — powiedział ozięble. — Co miesiąc otrzymujesz pieniądze na utrzymanie dzieci.

Pieniądze, które idą na fundusz uczelniany, z jakiego je ogołocił przed rozwodem, pomyślała.

— Czy tylko o to chodzi? Obciążenie finansowe, zobowiązania? Czy dla ciebie to wszystko?

— Nie jestem zaślepionym rodzicem, nigdy też nim nie byłem. Pomyślałem kiedyś, że byłbym lepszy dla synów. Chciałem mieć synów. — Rozłożył wypielęgowane ręce. — Ale teraz to nie ma znaczenia. Nie mamy synów i nie chcę mieć więcej dzieci. Dzieci Candy są dobrze ułożone, grzeczne i nie potrzebują mojej troski. Nie sądzę również, żeby Allison i Kayla potrzebowały jej ode mnie. Zostały dobrze wychowane, w dobrych warunkach i w odpowiednim domu.

Jak pudle, pomyślała z narastającym smutkiem.

— Odpowiedź brzmi, że ich nie kochasz.

— Nie czuję więzi, której oczekujesz z mojej strony. — Przechylił głowę, by na nią spojrzeć. — Nie oszukujmy się, Lauro. Więcej mają wspólnego z Templetonami niż z Ridgewayami. Więcej z ciebie niż ze mnie. Taka jest prawda.

— Tak nie musiało być — wyszeptęła. — Są takie śliczne. Cudowne. Tak bardzo żałuję, że nie możesz przyjąć tego, co mogą ci ofiarować.

— Moim zdaniem dla wszystkich będzie lepiej, jeśli poprzestaniemy na tym, co jest. Początkowo, kiedy nalegałaś na rozwód, byłem zły. Zły, ponieważ kosztowało mnie to utratę pozycji, jaką wyrobiłem sobie w sieci Templetonów. Jednakże w ciągu kilku ostatnich miesięcy doszedłem do wniosku, że to było nieuniknione. Cieszy mnie nowe wyzwanie prowadzenia własnego hotelu, a szczerze mówiąc Candy, jako kobieta, bardziej odpowiada moim potrzebom i mojemu temperamentowi.

— Mam więc nadzieję, że jesteś szczęśliwy. Prawdziwie szczęśliwy. —

Drżała w środku. — Czy istotnie zależy ci na obecności dziewczynek podczas ślubu? Czy chodzi tylko o formę, Peterze?

— Jeżeli nie zechcą wziąć udziału, wystarczy, że powiedzą coś na swoje usprawiedliwienie.

— W porządku. Porozmawiam z nimi, zostawmy im decyzję.

— Poczekam na odpowiedź do końca tygodnia. Jeśli już skończyliśmy mam za chwilę ważne spotkanie. — Rozejrzył się po ulicy. Teraz, kiedy już atmosfera między nimi znacznie się oczyściła, postanowił okazać wspaniałość. — Twój sklep jest naprawdę imponujący, Lauro. Mam nadzieję, że twój wysiłek zostanie uwieńczony sukcesem.

— Dziękuję, Peterze — odpowiedziała, kiedy odwrócił się z zamiarem odejścia. Wokół tłoczyli się ludzie. Ale to nie miało znaczenia. Przypomniała sobie magiczną noc — blask księżyca wpadający przez kratki altany i zapach kwiatów, a także obietnicę spełnienia marzeń. — Czy kiedykolwiek mnie kochałeś? Muszę to wiedzieć. Ja także muszę pomyśleć o swoim życiu.

Przyjrzał się jej. Za nią było morze, w jej włosach skrzyło się słońce, miała jasną, delikatną cerę. Nie zamierzał powiedzieć jej prawdy. Słowa padły niemal bezwiednie.

— Nie. Nie. Nie kochałem cię. Ale chciałem cię mieć.

Znowu mogło pęknąć jej serce. Skinęła głową i odwróciła się ku morzu. Mogło znowu pęknąć, znowu, znowu.

Gdy tylko pojawiła się w sklepie, doskoczyła do niej Kate.

— Na górę!

— Co? — Nieprzytomna ze zmęczenia, przybita, nie stawiała oporu, gdy Kate ciągnęła ją po krętych schodach.

— Na górę i do łóżka.

— Przecież sklep jest otwarty. Buduar...

— Będzie zamknięty do końca dnia. — W buduarze Kate położyła ją siłą na śliskiej atłasowej narzucie na wielkim łożu, uklękła, by ściągnąć jej pantofle. — Leż i wyłącz się, szybko. Masz o niczym nie myśleć. O niczym. A zwłaszcza o niczym, co powiedział ten obrzydliwiec.

Dziwne, zadumała się Laura, widzę szarość po bokach, jak na zwięzającym się ekranie.

— On nigdy ich nie kochał, Kate. Powiedział mi. Nigdy nie kochał moich dzieci. Nigdy mnie nie kochał.

— Nie myśl o tym. — Współczujące oczy Kate napełniły się łzami. — Nie przejmuj się. Zaśnij.

— Tak mi go żal. Tak mi żal nas wszystkich. Jestem taka zmęczona.

— Wiem. Wiem, kochanie. Leż spokojnie. — Zatroskana jak kwoka

nad chorym kurczątkiem, wygładziła na Laurze narzutę. — Spij. — Usiadła z boku na łóżku, wzięła ją za rękę.

— Miewałam sny o tym, jak będzie. Takie cudowne, takie wspaniałe. — Szsz... — szeptała jeszcze, gdy już głos Laury ucichł. — Śnij o czymś innym. Znajdź coś nowego.

— Odpadła? — zapytała Margo przez drzwi.

— Tak — pociągnęła nosem Kate, ocierając policzek. I pomyślała dziecku w niej. O ukochanym mężczyźnie, który już je rozpieszcza, podobnie jak ją. — Nienawidzę pieprzonego Petera Ridgewaya.

— Nie unós się. — Margo weszła do środka. Położyła rękę na ramieniu Kate. — Kiedy weszła, była... zdruzgotana. Mogłabym go zabić za to jej nieszczerne spojrzenie.

— Nie unós się — zawtórowała Kate. — Przyjdzie do siebie. Już się o to postaramy.

Po powrocie do domu Laura była nadal nieprzytomna ze zmęczenia. Marzyła jej się długa, gorąca kąpiel, chłodna, gładka pościel i oderwanie się od rzeczywistości. Ale najpierw chciała zobaczyć się z dziećmi. Potrzebowała ich, tak strasznie ich potrzebowała.

Tak jak przypuszczała, znalazła je w stajni. Pierwszy powitał ją Bongo. Przybiegł do niej z wywieszonym w uśmiechu językiem. Przywarł do jej stóp, przysiadł na ogonie i podał jej łapę.

— Coś takiego! — Zachwycona, pochyliła się i potrząsnęła psią łapę. — Co za postęp! Czego jeszcze nauczył cię Michael? Potrafisz się położyć?

Natychmiast padł, przypadł do ziemi, czekając na pochwałę i na nagrodę.

— A potrafisz się turlać? Udawać nieżywego?

— Musimy jeszcze nad tym popracować. — Nadszedł Michael, który, ku radości Bonga, wręczył mu herbatnika. — Za przedstawienie trzeba płacić — powiedział do Laury.

— Dziewczynki muszą być zachwycone.

— Uczą go przewracać się na boki. Robi postępy. — Mówiąc, nie odrywał od Laury wzroku, przyglądał się jej podkrążonym oczom. — Dopiero wróciłaś?

Tak. Zaszłam, żeby zobaczyć się z dziewczynkami i rzucić okiem na żrebaka. Jak ona się miewa?

Wspaniale, czego nie mogę powiedzieć o tobie. — Narastające ciągu dnia frustracja i niepokój znalazły ujście w ostrych słowach. — Czyś ty oszalała, żeby po nieprzespanej nocy pracować przez cały dzień? Mogłaś zasnąć za kierownicą i rozbić się gdzieś o drzewo!

Miałam umówione spotkania.

— To bzdura, Lauro! Zwyczajna bzdura! O co tu tak naprawdę chodzi? Co to za brednie z pieniędzmi, które pozwoliłaś zabrać Ridgewayowi, po to żeby teraz pracować na dwóch etatach i spłacać rachunki?

— Uspokój się. — Obejrzała się niespokojnie za siebie. Odetchnęła z ulgą, że nie ma w pobliżu dzieci. — Nie mam pojęcia, kto ci ^a naopowiadał, ale to nie ich sprawa. I nie twoja. Nie chcę, żeby to dotarło do dziewczynek.

— A jednak to jest moja sprawa. Nie zmrzyłaś oka, pomagałaś mi przez całą noc, po czym zjawiasz się w takim stanie, że można by cię powalić jednym nieuważnym dmuchnięciem. — Pochylił się, by pomóc jej wstać. — Myślałem, że skoro już wyszłaś, przycupniesz gdzieś na zapleczu sklepu, zamarkujesz pracę w biurze i choć trochę odpoczniesz, zrelaksujesz się.

— No więc jesteś w błędzie. Ale to nadal nie zmienia faktu, że jest to wyłącznie moja sprawa, która nie dotyczy ani ciebie, ani kogokolwiek innego. Gdzie są dziewczynki?

Nie mogąc jej pomóc ani wpłynąć na jej postępowanie, poczuł bezsilną niemoc i wściekłość. Wzruszył ramionami i zawrócił na pięcie.

— Są na padoku.

— Same? — Wyobrażając sobie wszystko co najgorsze, pobiegła pędem w stronę stajni. Gdy je zobaczyła na padoku, osłupiała.

Radośnie i beztrudnie zataczały kółka na cierplich, ale rączych z natury koniach.

— Jeszcze nie zacząłem z nimi trenować skoków przez płonące obręcze ani szybkich obrotów na grzbiecie konia — powiedział Michael ze śmiertelną powagą. Pomyślał, że ta kobieta jest jak otwarta księga. — Zaczniemy w przyszłym tygodniu.

— Czyż nie są wspaniałe? — Chwyliła go za ramię i patrzyła. Złość i niepokój odeszły jak ręką odjął. — Ali jedzie kłusa. Jak ona dobrze angлізуje.

— Powiedziałem ci, że ma to we krwi. Kayla — zawołał — niżej pięty.

Jej małe buty do jazdy konnej od razu ustawiły się w prawidłowej pozycji. Rzuciła im dumne spojrzenie. Podobnie jak szczeniak, oczekiwała na pochwałę.

— Mamo! Zobacz, mam! Umiem już jeździć!

— Nie do wiary. — Zachwycona Laura podeszła do ogrodzenia, stawiając stopę na górnej poprzeczce. — Wyglądacie bajecznie!

Z wysoko uniesioną głową podjechała kłusa Ali, ściągnęła lejce i zręcznie się zatrzymała.

— To jest Tess. Ma trzy lata. Pan Fury powiedział, że jest świetnym skoczkiem i że nauczy mnie skakać.

— Jest śliczna, Ali. Wyglądasz na niej pięknie.

— Dlatego chciałabym ją mieć. Mogę ją kupić za własne pieniądze. oszczędności. — Patrzyła wyzywająco. — To są moje pieniądze.

Były, z przykrością pomyślała Laura. Peter je zabrał, podobnie i pieniądze z ich funduszu uczelnianego. A ona ledwo zaczęła go uzupełniać.

— Koń to duża odpowiedzialność, Ali. Problem polega nie tylko na nie ale także na zapewnieniu mu odpowiednich warunków.

- Mamy stajnie. — Przemysłała to, marzyła o tym od wielu dni. - Będę ją karmić, będę kupować siano z moich oszczędności.

Proszę, mamo.

Teraz do zmęczenia doszedł paskudny ból głowy.

— Ali, nie mogę teraz o tym myśleć. Poczekajmy i...

— Więc poproszę mojego ojca. — Uniosła podbródek. Drżały jej wargi. — Zadzwoń do niego i poproszę go.

— Oczywiście, że możesz do niego zadzwonić, ale on nie ma z tym nic wspólnego.

— Kiedy byłaś dziewczynką, miałaś konia. Miałaś wszystko, co chciałaś, a mnie każesz zawsze czekać. Nigdy nie rozumiesz, kiedy coś jest ważne. Nigdy nie rozumiesz.

— Dobrze. W porządku. Nie będę się teraz z tobą sprzeczać. — Jeszcze chwila, a rozsypie się, czuła zbliżające się symptomy. Odwróciła się pospiesznie i odeszła.

— Zejdz z konia, Ali. — Kiedy spojrzała na niego wzburzonym wzrokiem, Michael sięgał już po uźdę. — Schodź. Natychmiast!

— Jeszcze nie skończyłam lekcji.

— Skończyłaś. Teraz kolej na następną. — Gdy tylko dotknęła ziemi, okręcił lejce wokół poprzeczki ogrodzenia i podsadził na nie dziewczynkę. Ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. — Czy sądzisz, że możesz bezkarnie odzywać się do matki w ten sposób?

— Ona nie słucha...

— Nie, to ty nie słuchasz i nic nie widzisz. Ale ja słucham.. Może chciałaś się dowiedzieć, co usłyszałem? — Gdy opuściła podbródek, zadarł jej głowę do góry. — Usłyszałem zepsutego, niewdzięcznego bachora odzywającego się bezczelnie do matki.

Pełne łez oczy zrobiły się wielkie z oburzenia.

— Nie jestem bachorem.

- Przed chwilą dałaś cholernie dobrą próbkę. Wydaje ci się, że wystarczy pstryknąć palcami, żeby otrzymać wszystko, na co masz ochotę, urządzić piekło, jeżeli coś nie jest po twojej myśli. Albo jeżeli nie możesz tego osiągnąć natychmiast, tak jak byś sobie tego życzyła.

~ - To są moje pieniądze. — Była rozwścieczona. — Nie ma do nich

~ Mylisz się. Ma wszelkie prawa. Twoja mama wróciła właśnie

z pracy, zaharowana, żebyście miały ładny i miły dom i jedzenie na stole. Żebyście mogły chodzić na różne lekcje, a także do dobrej szkoły.

— Mieszkam tu od zawsze. Nie musi pracować. Po prostu ma ochotę wychodzić codziennie.

— Otwórz oczy. — Mógłby to samo powiedzieć do siebie. — Jesteś na tyle dorosła i mądra, by widzieć, co się wokół ciebie dzieje.

Znowu zaczęły się sączyć łzy.

— Rozwiodła się z nim. Przez nią odszedł.

— Można by pomyśleć, że zrobiła to tylko po to, żeby ciebie unieszczęśliwić.

— Nie rozumiesz. Nikt tego nie rozumie.

— Bzdura. Gdybym nie rozumiał, złożyłbym ci po prostu skórę. Ponieważ jednak rozumiem, nie sprąłem cię dotąd.

— Nie masz prawa mnie uderzyć.

Przysunął się bliżej.

— Chcesz się założyć?

Już sam pomyśl był tak szokujący, tak niewiarygodny, że zacisnęła wargi.

— Masz do wyboru — powiedział i pokiwał głową. — Ten koń nie jest na sprzedaż dla ciebie.

— Ale panie Fury...

— A dopóki nie przeprosisz mamy, możesz się tutaj nie pokazywać. I jeśli jeszcze choć raz zachowasz się wobec niej bezczelnie, złożę ci skórę.

Stojąc już na ziemi, Ali zacisnęła pięści.

— Nie może mi pan nic zrobić. Dzierżawi pan tylko teren.

— Owszem. — Oddalił się spokojnym krokiem do ogrodzenia, by zająć się czekającym koniem. — Ale na razie, panno Ridgeway, przebywasz na moim terenie.

— Nienawidzę cię. — Wydała z siebie zdławiony, choć pełen namiętności szloch. — Nienawidzę was wszystkich.

Podczas gdy Michael poklepywał klacz, przemknęła obok niego i pobiegła przed siebie.

— Taa, znam także i to uczucie.

— Krzyczał pan na nią.

Drgnął, rozejrzał się, dostrzegł siedzącą jeszcze na koniu Kaylę, jej ogromne i zafascynowane oczy. Zapomniał, że ma audytorium.

— Nikt na nią nigdy nie krzyczy. Mamie zdarzyło się parę razy, ale zaraz potem było jej przykro.

— Mnie nie jest przykro. Zasłużyła sobie.

— Czy pan by ją naprawdę sprął? — Spoglądała na niego szarymi, błyszczącymi oczami. — A mnie, gdybym była niegrzeczna?

W pytaniu zawarty był tak dojmujący smutek, że Michael poddał się natychmiast. Przyciskając ją mocno do siebie, zdjął dziewczynkę z siodła.

— Zbiłbym cię na kwaśne jabłko. — Dał jej w pupę lekkiego klapsa. — Przez tydzień nie mogłabyś usiąść.

Przytuliła się mocniej.

— Kocham cię, panie Fury.

Cóż takiego, u licha, zrobił?

— Ja ciebie też kocham. — Po czym, nieco rozbawiony, uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu wypowiada te słowa do osoby płci żeńskiej. — Byłem dla niej za surowy — powiedział półgłosem, mając przed oczami nieszczęśliwą buzię Ali. Poczul ukłucie winy w sercu.

— Wiem, dokąd poszła. Zawsze tam idzie, kiedy jest zła.

Powinienem zostawić złošnicę samą, pomyślał. Trzymać się od tego z daleka. Powinienem... Cholera jasna.

— Poszukajmy jej.

Rozdział jedenasty

Przepełniona gniewem i wstydem Ali pędziła przez trawnik, między krzewami rododendronów. Nikt jej nie rozumie, nikt o nią nie dba. Te smutne myśli dudniły w jej głowie, gdy w pośpiechu zbiegała po kamiennej drodze między klombami chińskiej róży i kwitnących jaśminów.

Ona też się nie przejmuje, niczym i nikim. Nie ma powodu, żeby się miała przejmować. Przedarła się przez tunel gałęzi, wpadła do pocętkowanej plamami słońca niszy z marmurowymi ławami i fontanną pośrodku w kształcie rozchylających się kielichów wodnych lilii.

Ślizgając się po ceglanej kostce, wyhamowała szaleńczy bieg. Stanęła jak wryta.

To było jej miejsce. To tutaj przychodziła, ilekroć chciała być sama. By pomyśleć, zaplanować, dać upust smutkom i złości. Nie wiedziała, że przychodzi tu również jej mama. Jej miejscem na specjalne okazje były klify. A jednak siedziała tu na marmurowej ławce. Płakała.

Ali nigdy nie widziała matki płaczącej, przynajmniej nie tak jak teraz. Z twarzą ukrytą w dłoniach, z opuszczonymi ramionami. Szlochała rozdzierająco i rozpaczliwie.

Wstrząśnięta i sparaliżowana widokiem dziewczynka spoglądała na kobietę, którą zawsze uważała za niezdolną do płaczu. A jednak łzy lały się tak, jakby studnia nieszczęścia miała nigdy nie wyschnąć.

To przeze mnie, pomyślała Ali, z trudem chwytając oddech. Przeze mnie.
— Mamo.

Laura błyskawicznie podniosła głowę. Poderwała się, próbując się opanować. Na próżno. Poddała się i ponownie opadła na ławę. Zbyt była zmęczona, zbyt obolała, zbyt rozbita, by walczyć.

— Nie wiem, co robić dalej. Po prostu nie wiem, co robić dalej. Już nie wytrzymuję.

Panika, wstyd, niezrozumiałe emocje eksplodowały z taką siłą, że zanim

Ali zdążyła pomyśleć, znalazła się przy matce, obejmując ją i przytulając się do niej.

— Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.

Przed wejściem, w tunelu gałęzi, Kayla ścisnęła rękę Michaela.

— Mama płacze. Tak strasznie płacze.

— Wiem. — Świadomość, że nie może powstrzymać jej płaczu, dobijała go. — Wszystko będzie dobrze, dziecinko. — Wziął ją na ręce, pozwolił, by wtuliła buzię w jego ramię. — Po prostu muszą przez to przejść, to wszystko. Zostawmy je same.

— Nie chcę, żeby płakała — pociągnęła żałośnie nosem Kayla, gdy się z nią oddalał.

— I ja nie chcę, ale to czasami pomaga.

Rozluźniła się, poczuła się bezpieczna w jego ramionach.

— Czy ty czasami płaczesz?

— Zamiast tego robię głupie rzeczy. Używam brzydkich słów, rozbijam przedmioty.

— Czy robi ci się od tego lepiej?

— Przeważnie.

— Czy moglibyśmy teraz coś rozbić?

Uśmiechnął się do niej szeroko. Boże, co za charakter.

— Oczywiście. Poszukajmy czegoś, co nadaje się do rozbicia. Ale będę musiał użyć wszystkich brzydkich słów.

W niszy Laura tuliła córkę, kołysała ją. Pocieszenie, jak zawsze, podnosiło na duchu.

— Wszystko w porządku, Ali. Wszystko w porządku.

— Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła.

— Nigdy nie mogłabym cię nienawidzić. Nigdy i za nic. — Otarła łzy z buzi swojej córki. Moje dziecko, pomyślała, pogrążone w miłości, w poczuciu winy i w smutku. Moja pierworodna. Mój skarb. — Kocham cię, Allison, tak bardzo cię kocham. I nic nigdy tego nie zmieni.

— Przestałaś kochać tatusia.

Serce Laury znowu zakołatało. Dlaczego to musi być aż tak trudne?

— Tak. Przestałam. Ale to co innego, Ali. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale to zupełnie co innego.

— Wiem, dlaczego odszedł. — Ali rozpaczliwie powstrzymywała drżenie podbródka. Sprawiała, że mama płacze. Stała się rzecz najgorsza, wiedziała o tym. — To moja wina.

— Nie. — Stanowczym ruchem ujęła w dłonie buzię córki. — Nie, to nie twoja wina.

— Moja. Nie lubił mnie. Staralam się być grzeczna. Chciałam być grzeczna. Chciałam, żeby został, żeby nas kochał, ale on mnie nie chciał i odszedł.

Dlaczego tego nie dostrzegłam? — zastanawiała się Laura. Dlaczego nikt tego nie dostrzegł?

— Ali, to nieprawda. Ludzie rozwodzą się, to jest smutne i żałosne, ale tak już jest. Twój ojciec i ja rozwiedliśmy się z naszych osobistych powodów. Przecież wiesz, że cię nie oszukuję, Ali.

— Oszukujesz mnie.

Poderwała się, wzburzona.

— Ali!

— Nie kłamiesz, w dosłownym znaczeniu, ale usprawiedliwiasz się i wymawiasz, a to jest to samo. — Przygryzła wargę, przerażona, że mama znowu zacznie płakać. Ale musiała to powiedzieć. — Zawsze go usprawiedliwiasz. Powiedziałaś, że chce przyjść na spektakl, ale że ma ważne spotkanie. Chce pójść z nami do kina albo do zoo, czy gdziekolwiek, ale musi pracować. A to nieprawda. On wcale nie chce. Nie chce iść ze mną.

Dobry Boże, jak to się stało, że próbując osłaniać córkę spowodowała aż takie spustoszenie?

— To nie przez ciebie. Nie przez ciebie, Ali, ani też przez Kaylę. Przysięgam ci, że nie.

— On mnie nie kocha.

Jak odpowiedzieć? Co jest słuszne? Modląc się, by użyć jak najlepszych, najbardziej zrozumiałych dla dziecka słów, dotknęła zwichrzonych włosów Ali.

— Może trudno ci to będzie zrozumieć, ale niektórzy ludzie nie są stworzeni na rodziców. Może by chcieli, może chcą, ale nie mogą. Twój ojciec nigdy cię nie chciał zranić, ani ciebie, ani Kayli.

Ali potrząsnęła z wolna głową.

— On mnie nie kocha — powiedziała spokojnym tonem. — Ani Kayli. Ani ciebie.

— Jeśli nie potrafi kochać w taki sposób, w jaki byś chciała, to nie twoja wina. Niczego nie zrobiłaś. To nie ma też żadnego związku z tym, jaka jesteś. To także nie jego wina, ponieważ...

— Znowu próbujesz tłumaczyć.

Laura wycofała się, zamknęła oczy.

— W porządku, Allison. Żadnych tłumaczeń.

— Czy żałujesz, że mnie masz?

Otworzyła szeroko oczy.

— Co? Żałuję? Och, Allison. — Przynajmniej ta część okazała się łatwa jak oddech. — Czy wiesz, że kiedy byłam dziewczynką, niewiele starszą od ciebie, marzyłam, że pewnego dnia zakocham się i wyjdę za męża. Będę miała dom, a w nim pełno dzieci. I będę patrzyła, jak rosną.

Posmutniała, gdy odgarniała włosy z wilgotnego policzka córki.

— Nie wszystkie z tych marzeń spełniły się tak, jak bym chciała, ale ich najlepsza część jest rzeczywistością. Najlepszą częścią marzenia i mojego życia jesteś ty i Kayla. I nie istnieje żadna inna prawda na świecie.

Ali wytarła piąstką łzę z policzka.

— Wcale nie myślę tego, co powiedziałam.

— Ja wiem.

— Powiedziałam to, bo wiem, że nigdy nie odejdziesz. Bez względu na to co powiem, nigdy nie odejdziesz.

— Masz rację. — Uśmiechając się, Laura dała Ali lekkiego prztyczka w policzek. — Jesteś na mnie skazana.

— Było mi źle i chciałam, żeby to była twoja wina. — Musiała przełknąć ślinę, nim zaczęła znowu mówić. — Czy on chodził do łóżka z inną kobietą?

Laurę aż poderwało. A zdawało się, że najtrudniejsze mają już za sobą!

— Gdzieś ty się takich rzeczy nasłuchiwała?

— W szkole. — Ali zaczerwieniła się, ale cały czas obserwowała matkę. — Niektóre starsze dziewczynki rozmawiają o tym.

— Ani ty, ani starsze dziewczynki nie powinny rozmawiać na takie tematy.

Ali zacisnęła usta.

— On to robił. — Pokiwała głową i wstała. — To było złe. Zranił cię, a ty postarałaś się, żeby odszedł.

— Było wiele powodów, dla których wystąpiłam o rozwód, Ali. — Poruszaj się ostrożnie, przestrzegła samą siebie Laura, choć na widok przedwcześnie dojrzałego wyrazu oczu córki pękało jej serce. — Żaden z nich nie jest odpowiednim tematem do rozmów dla ciebie ani dla twoich przyjaciółek.

— Rozmawiam z tobą, mamo. — Powiedziała to w tak naturalny sposób, że wytrąciła Laurze broń z ręki. — To nie była moja wina — ciągnęła. — Ani twoja. To jego wina.

— Nie, to nie twoja wina. Ale w małżeństwie jest dwoje ludzi, Ali. I oboje je rozbijają.

Nie, pomyślała Ali, przyglądając się bacznie matce. Nie zawsze.

— Czy chodziłaś do łóżka z innym mężczyzną?

— Nie, oczywiście, że nie... — urwała, zatrwożona, że rozmawia na temat swojego intymnego życia z dziesięcioletką. — Allison, to pytanie jest absolutnie nie na miejscu.

— Oszukiwanie jest również nie na miejscu.

Czując ponowny przypływ zmęczenia, Laura potarła czoło.

— Jesteś za młoda, żeby osądzać, Ali.

— Czy to znaczy, że wolno oszukiwać od czasu do czasu?

Była przyparta do muru. Przygwożdżona żelazną logiką, godną podziwu u dziesięcioletniej dziewczynki.

— No cóż, odpowiem ci. Nie, nie wolno.

— Zabrał również twoje pieniądze, prawda?

O Boże! — Wstała. — Plotkarstwo to okropna i bardzo nieestosowna rzecz.

Teraz Ali zrozumiała chichoty koleżanek, szeptane rozmowy dorosłych, wszystkie pełne ubolewania spojrzenia.

— Dlatego musisz tak ciężko pracować.
— Pieniądze nie są najistotniejszą sprawą. — Broniła się przed tym. — Poszłam do pracy, bo chciałam. Otworzyłam sklep, ponieważ tego chciałam. Hotele Templeton zawsze stanowiły część mojego życia. Podobnie jak dla Margo i dla Kate. Praca bywa ciężka, czasami wyczerpująca. Ale czuje się w niej dobrze, i jestem w tym dobra.

Zaczerpnęła powietrza, starała się nie zbaczać z obranego toru.

— Wiesz przecież, jaka bywasz zmęczona po długiej próbie przed występem? Ale kochasz to, i kiedy dobrze wypadasz, kiedy wiesz, że dobrze wypadłaś, czujesz się silna i szczęśliwa.

— Czy nie próbujesz znowu czegoś tłumaczyć?

— Nie. — Znowu się uśmiechnęła. — To nie jest tłumaczenie. Natomiast bardzo poważnie myślę o zażądaniu od szefa podwyżki w hotelu. Jestem naprawdę dobra.

— Dziadek by ci dał.

— Templetonowie nie korzystają z przywilejów.

— Czy będę mogła pójść z tobą któregoś dnia do hotelu i zobaczyć, jak pracujesz? Lubię chodzić do sklepu, ale nigdy nie byłam w twoim biurze.

— Sprawisz mi przyjemność. — Postąpiła naprzód, pogłaskała główkę Ali. — Nigdy nie jest za późno, by zacząć wychowywać następne pokolenie dla sieci Templetonów.

Dziewczynka usiadła. Położyła głowę na piersi matki.

— Kocham cię, mamo.

Tak długo czekała na te słowa. Są jak ptaki śpiewające w ogrodzie, pomyślała. A mała fontanna rozbrzmiewa jak muzyka. Powietrze jest łagodne, a ona trzyma w ramionach swoje dziecko.

Wszystko się ułoży.

— Kocham cię, Ali.

— Już nigdy nie będę się niegrzecznie odzywać, nie będę nieznośnym bachorem i nie będę cię doprowadzać do płaczu.

Oczywiście, że będziesz, pomyślała Laura. Dorastasz.

— A ja spróbuję przestać się tłumaczyć.

Uśmiechając się, Ali uniosła głowę.

— Ale nadal nie zamierzam polubić pani Litchfield, i nigdy, przenigdy nie nazwę jej mamą.

— Och, myślę, że jakoś to przeżyję. — Z figlarnym błyskiem w oczach Laura pochyliła się, jak kobieta plotkująca z inną kobietą. — Powiem ci coś, ale niech to pozostanie między nami. Ja też jej nie lubię. — Kiedy kąciki ust Ali uniosły się do góry, Laura przeciągnęła palcem po jej wargach. — Czy już się lepiej czujemy?

— Aha. Mamo, wszyscy mówią, że nasz dom jest rozbity, ale oni się mylą. Wcale nie jest rozbity.

Objęła córkę ramieniem i, ponad ogrodami, spojrzała na Templeton House.

— Nie jest. Podobnie jak i my. Mamy się świetnie, Ali.

Dla młodej dumnej dziewczyny podjęcie pierwszych kroków nie było łatwe. Choć ją to dręczyło, nie dawało spać, Ali nie powiedziała Laurze, co usłyszała od Michaela. Ani też jak się z tym czuła.

Nie była pewna reakcji matki, ale wiedziała, że kiedy się źle postąpiło, należy coś z tym zrobić.

Wstała wcześniej, ubrała się do szkoły, po czym, by uniknąć jakichkolwiek pytań, wymknęła się bocznymi drzwiami. Stary Joe pracował tego ranka, pomrukując coś do swoich azalii. Przezornie okrążyła tę część ogrodu i skierowała się wprost do stajni.

Przygotowała przemówienie i była z niego bardzo dumna. Uważała, że jest dojrzałe, godne i zręczne. Miała pewność, że gdy skończy, pan Fury pokiwa z uznaniem głową.

Zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć na konie, które wyprowadził na padok. Będzie więc czyścił boksy. Zrobiło jej się smutno na widok Tess, pomyślała o przyjemności, jaką była jazda na niej, czyszczenie i karmienie jabłkiem.

Mama może unikać rozmów na temat pieniędzy, ale Ali wiedziała, że kupienie i utrzymanie konia nadweryżyłoby ich budżet.

Poza tym, nie zamierza o nic prosić pana Fury.

Nakrzyczał na nią, skarcił, groził, że sprawi lanie. To było po prostu niedopuszczalne.

Z wysoko uniesioną głową weszła do stajni. Były tu wszystkie zapachy, które zdążyła pokochać. Siana i ziarna, koni i skóry. Przypomniała sobie, jak uczył ją zmiękczać i konserwować uprząż, jak czesać zgrzebłem Tess. Jak ją posadził po raz pierwszy na konia. I jak ją chwalił.

Zacisnęła wargi. Teraz to nie ma znaczenia. Obraził ją.

Usłyszała dźwięk szufl. Poszła do ostatniego rzędu, gdzie Michael ładował na taczki gnój.

— Przepraszam pana, panie Fury. — Jej głos miał królewskie brzmienie. Byłaby zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że jest echem głosu matki.

Obejrzał się, zobaczył drobną dziewczynkę w schludnej niebieskiej sukience i modnych włoskich sportowych butach.

Wcześniej wyszłaś. — Pochylił się zamyślony nad szuflą. — Nie idziesz dzisiaj do szkoły?

Jeszcze mam chwilę. — Zerknęła na zegarek, założyła ręce. Jej ruchy były tak podobne do ruchów Laury, że z trudem powstrzymał uśmiech.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

- Tak, proszę pana. Chcę przeprosić, że zachowałam się niegrzecznie prowokowałam rodzinną scenę w pańskiej obecności.

jej Małej Wysokości, pomyślał, drży podbródek.

Przyjmuję przeprosiny — powiedział z prostotą i pochylił się nad swoją pracą.

Teraz kolej na jego przeprosiny. W końcu to przecież najwłaściwszy sposób,

Położyć kres nieporozumieniu. Gdy tego nie uczynił, zmarszczyła brwi.

— Uważam, że pan też postąpił niegrzecznie.

— Nie sędzę. — Załadował ostatnią porcję, włożył w nią szufłę i chwycił rączki tacek. — Lepiej się odsuń. Pobrudzisz sukienkę.

— Podniósł pan na mnie głos, przezywał mnie pan. Zadarł głowę.

— O co ci chodzi?

— Uważam, że powinien mnie pan przeprosić.

Odstawił taczkę, wytarł dłonie w dzinsy.

— Nie mam za co. Zasłużyłaś sobie.

— Nie jestem bachorem. — Całe jej dostojeństwo rozbiło się w drobny mak, podobnie jak zmienił się wyraz jej twarzy. — Nie miałam na myśli tego, co powiedziałam. Nie chciałam, żeby przeze mnie płakała. Ona to rozumie i nie będzie mnie nienawidzić.

— Wiem, że rozumie. Bo cię kocha. Dzieciak, który ma taką matkę, ma wszystko. Odpychanie tego to czysta głupota.

— Nigdy więcej tego nie zrobię. Teraz już wiem. Teraz wiem dużo więcej rzeczy. — Otarła łzę piąstką. — Może mnie pan sprać, jeśli pan chce. Nic nie powiem. Nie chcę, żeby mnie pan nienawidził.

Michael przykucnął. Przyglądał się jej długo i uważnie.

— Podejdź tu.

Drżąca, przerażona wizją poniżenia i bólu, postąpiła naprzód. Kiedy ją złapał szybkim ruchem, stłumiła krzyk, a kiedy znalazła się w jego objęciach, oniemiała ze zdumienia.

— Jesteś równą dziewczuszką, Blondie.

Pachniał koźmi.

— Naprawdę?

— Wiem, jak piekielnie trudno jest przełknąć dumę. Zrobiłaś dobrą robotę.

Zdumiona i uszczęśliwiona, obejmowała go z całej mocy. Było tak, jak z dziadkiem albo z wujkiem Joshem, z wujkiem Byronem. Ale inaczej, odrobinę inaczej.

— Nie jesteś już na mnie wściekły?

— Nie. A ty na mnie?

Potrząsnęła głową. Popłynęły słowa.

— Chcę jeździć konno, proszę. Chcę wrócić i pomagać, i karmić je, i szczotkować. Powiedziałam mamie, że jest mi przykro i że już nie chcę się więcej brzydko do niej odzywać. Proszę mnie przyjąć z powrotem.

— Czy ty uważasz, że dałbym sobie radę bez ciebie? Poza tym Tess już się za tobą stęskniła.

Pociągnęła nosem, rozluźniła się.

— Naprawdę? Tęskni?

— Może jeszcze zdążysz przed szkołą powiedzieć jej cześć. Ale musisz się lepiej prezentować.

Wyjął chustę. Ali po raz pierwszy w życiu doświadczyła takich wzruszeń: mężczyzna osuszył jej łzy. Zakochała się więc po uszy..

- Czy nadal będziesz mi dawał lekcje jazdy i nauczysz mnie skakać?
- Liczę na to. — Wyciągnął rękę. — Zostajemy przyjaciółmi?
- Tak, proszę pana.
- Michael. Moi przyjaciele mówią do mnie Michael.

Michael nigdy nie odwiedził Templeton Monterey. Choć dorastał w pobliżu, nie było w tym nic dziwnego. Nigdy nie korzystał w tych okolicach z hotelu, a gdyby zaszła taka potrzeba, Templeton znajdował się poza jego zasięgiem.

Nie pasował tutaj. W końcu przecież pracowała tu jego matka. Wiedział więc, czego się może spodziewać. Ale z kolei, zadumał się, mijając portiera w liberii, dostaje się zwykle z Templeton więcej niż się oczekuje.

Hol był ogromny. Podzielony na części: służącą do rozmów, dla odpoczynku czy oczekiwania — oddzielono je palmami w donicach i zielenią, stwarzającymi przytulną, intymną atmosferę. Po kilku schodach można było wejść do przestronnego baru z wygodnymi fotelami i błyszczącymi stolikami.

Ci, którzy chcieli się odprężyć, mogli zamówić koktajl i przyglądać się wchodzącym i odchodzącym ludziom.

A było ich dużo, zauważył Michael.

Za długim mahoniowym kontuarem recepcji uwijało się sześć osób, podczas gdy inni dwoili się i troili wyznaczając pokoje. Dwie kelnerki obsługiwały oczekujący tłum gości, roznosząc szklanki z mineralną wodą.

Panował potworny zgiełk.

Wszyscy rozmawiali. Najwięcej było kobiet, jak zauważył. Niektóre przyjechały tu w sprawach służbowych, inne dla przyjemności. A wszystkie, jak stwierdził, obserwując sterty kart bagażowych, z tyłoma walizkami, jakby tu miały spędzić pół roku.

Uskoczył w porę przed sunącymi wprost na niego po lśniącej posadzce dwiema kobietami. Dobiegły do siebie wśród pisków, rzuciły się sobie w ramiona. Wiele pań lustrowało go wzrokiem. Zalotne spojrzenia nie robiły na nim szczególnego wrażenia. Ponieważ jednak był tu rodzyńkiem, uznał, lepiej się nie narażać i zastanawiał się nad możliwością odwrotu.

Wtedy zobaczył Laurę i wszystkie te kobiety przestały istnieć. Na wierzchu sterty dokumentów niosła notatnik ze sztywną podkładką. Miała podpisane do góry, zaczesane gładko włosy, fachowo zwinięte w węzeł. Ubrana w prosty biały kostiumik, który, co było widać gołym okiem, musiał kosztować krocie.

Dla samej radości patrzenia lustrował ją od stóp do głów. I był wdzięczny anonimowemu sadyście, że przekonał kobiety do noszenia butów na cienkich, wysokich obcasach.

Choć była pochłonięta rozmową z przewodniczącą zjazdu i w zawrotnym

tempie porządkowała w głowie najważniejsze szczegóły, poczuła zalewającą ją falę gorąca, mrowienie w plecach.

Wzdrygnęła się, próbując na siłę zignorować to uczucie, aż w końcu obejrzała się za siebie.

Pośrodku tych wszystkich kobiet — wiele z nich patrzyło pożądliwie na Michaela — z kciukami założonymi za kieszenie dżinsów, stał i uśmiechał się do niej.

— Panno Templeton? Lauro?

— Hmm? O tak, Melisso, natychmiast to sprawdzę.

Przewodnicząca zjazdu była równie zaafektowana jak ona. Ale kiedy się odwróciła, także z uwagą przyjrzała się Michaelowi.

— No, no, no. — Uśmiechnęła się szeroko, westchnęła. — Niezłych facetów hodujecie w Monterey!

— Jak widać! Przepraszam na chwilę. — Wsuwając notatnik pod pachę, pospieszyła ku Michaelowi. — Witaj w wariatkowie. Przyszedłeś zobaczyć się z Byronem?

— Nie miałem pojęcia, że ciało wykonawcze jest tak seksowne. — Wyciągnął rękę, dotknął błyszczącej broszki w kształcie serca w jej klapie. — Sprytne.

— Cały personel nosi takie same. To zjazd literatów piszących romanse.

— Nie żartujesz? — Zaintrygowany, rozejrzał się wokół, napotykając wiele równie zaintrygowanych par kobiecych oczu. — Te naładowane energią kobiety piszą takie książki?

— Romanse to ogromny przemysł, obejmujący ponad czterdzieści procent rynku wydawnictw kieszonkowych, dostarczający radości i rozrywki milionom, poszukującym miłości, zaangażowania i nadziei.

Sięgnęła ręką, by potrzeć kark.

— Uważaj, bo zrobię ci cały wykład. Czytywałam je, bo lubię dobrze skonstruowaną fabułę. A teraz stałam się ich orędowniczką. Byron jest w swoim biurze. Windy...

— Nie przyszedłem do Byrona, choć mogę i tam zajrzeć. Przyszedłem do ciebie.

— Och. — Spojrzała na zegarek. — Jestem potwornie zajęta. Czy to coś ważnego?

— Zajrzałem najpierw do twojego sklepu. Prawdziwe cacko! — Zrobił na nim wrażenie, tak jak hotel czarował go swoim stylem i wdziękiem. — Tam też jest tłok.

— Tak, nieźle nam idzie. — Spróbowała go sobie wyobrazić w „Pretenjonalnej Galerii”. Pomimo wszystko niezupełnie przypominał jej słonia w składzie porcelany. Raczej wilka pośród owiec. — Czy coś ci wpadło w oko?

— Suknia w głównej witrynie ma wiele zalet. — Objął ją spojrzeniem. — Byłaby jeszcze lepsza z kobietą w środku. Nie bardzo się znam na błyskotkach i starociach. Kate usilnie mnie namawiała na jakiegoś błękitnego konia.

— A, klacz z akwamaryny. Jest prześliczna.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, co miałbym, u licha, z tym robić, a poza tym, jak ona może mnie naciągać na trzysta doliczów za taką małą figurkę.

Laura zaśmiała się wesoło.

— Jest w tym dobra! Przykro mi, że zrobiłeś całą tę rundę, żeby mnie znaleźć. Ale teraz muszę...

— Lubię na ciebie patrzeć. — Nie krępując się, przysunął się do niej.

— Michael. — Cofnęła się, zderzając się z bezwstydnie nadstawiającą ucha uczestniczką zjazdu. — Muszę naprawdę wracać do biura.

— Świetnie. Idę z tobą.

— Nie, to tędy — zaczęła, gdy wzięła ją pod rękę. — Naprawdę nie mam czasu.

— A ja mam. Za parę godzin spotykam się z pewnym hodowcą koni. — Obok przeszklonych drzwi ujrzał biurko z napisem: „Kierownik Biura”.

— Czy tu zawsze jest taki tłok i harmider?

— Nie. Ale tak się dzieje, kiedy przybývają tłumy gości na zjazdy czy na sympozja.

Za kontuarem panowało nie mniejsze zamieszanie. Urywały się telefony, w przegódkach leżały sterty papierów i korespondencji, wrzało jak w ulu. Laura skierowała się do niewielkiego pomieszczenia, gdzie na biurku leżał stos równo ułożonych papierów. Szumiący fax wypluwał je stale w potężnych ilościach.

— Chryste, jak można pracować w takich warunkach? — Poczúł się nagle osaczony, skulił się w sobie. — Tu się nie da żyć!

— Słuszne spostrzeżenie. Trzeba mieć wprawę, żeby móc się poruszać na tak ograniczonej przestrzeni. Usiądź, jeśli chcesz. Przepraszam, ale muszę to skończyć.

Wystukała numer i wsunęła słuchawkę między policzek a ramię, by mieć wolne ręce.

— Karen, tak, właśnie dostałam. Nieźle wypadło. Muszą przesunąć rejestrację o godzinę wcześniej. Tak, wiem, ale musieli w biegu przestawiać i dopasowywać rezerwacje. Tak, wiem, że Mark się tym zajmuje, ale jego pager nie odpowiada. Nie, nie sądzę, żeby dał stąd nogę.

Chichocząc odeszła od faxu, chwyciła notatnik.

— Aha. Zapisałam to, nie martw się. Gdybyś tylko mogła... Życie za ciebie oddam. Nie, kiedy już będzie po wszystkim, kupię butelkę. Wielkie dzięki. Chcę... do diabła. Mam na linii jakiegoś rozmówcę. Sprawdzimy to później razem.

Michael usiadł na krześle, założył nogę na nogę i obserwował ją przy pracy. Kto by pomyślał, zastanawiał się, że ta chłodna, rozpieszczona księżniczka tkwi po łokcie w detalach. Przeskakuje od telefonu do komputera i z powrotem, jak doświadczony żołnierz, osaczający wroga.

W zależności od potrzeby mówiła ciepłym, ironicznym, opryskliwym lub pełnym perswazji tonem. I nigdy nie traciła kontenansu.

A jednak — ilekroć podnosiła wzrok i widziała go przed sobą — czuła

się lekko zbita z tropu. Czarne dżinsy i znoszone buty do konnej jazdy, i ciemne rozwiane na wietrze włosy. Oczy, które wszystko dostrzegały.

— Michael, nie powinieś...

Nim skończyła, nim zdążyła go grzecznie wyprosić, przez drzwi wsunął się nieśmiało uśmiechający się chudy mężczyzna.

— Mark, od godziny próbuję się z tobą połączyć.

— Wiem. Byłem unieruchomiony. Przysięgam. Załatwiam właśnie instalację urządzenia audiowizualnego na konferencję. Ale zaistniał drobny problem w Złotej Sali Balowej. Chcą z tobą rozmawiać.

— Już tam idę. — Wstała. — Michael, muszę zobaczyć, co tam się dzieje.

— Nie przeszkadzaj sobie.

— Czy nie masz nic do roboty? — Gdy nie odstępował jej w drodze do głównego holu, czuła się nieswojo.

— Bawi mnie, kiedy cię obserwuję. Od czasu do czasu człowiek ma prawo do chwili wytchnienia.

Gdy weszli na podest szerokich, wyłożonych dywanem schodów, rozejrzała się wokół.

— Nigdy tu nie byłem. Ale miejsce!

— Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Chętnie bym cię oprowadziła, ale... — Wzruszyła ramionami. — Możesz odbyć samotną wycieczkę, ale nie radzę korzystać z wind. Mamy dzisiaj ośmiuset nowo przybyłych gości, tak że windy będą zatłoczone.

— Tłoczyć się z kobietami piszącymi romanse? — Potrząsnęła głową. — To musi być straszne.

Miejsce zebrań na pierwszym piętrze było równie przestronne jak główny hol, równie elegancko urządzone i podobnie zatłoczone. Żarzyły się tam ogromne świeczniki, odbijały blask mosiądzu i srebra, oświetlały naczynia ze śnieżnobiałymi i krwistoczerwonymi begoniami. Przez ogromne okno rozpościerał się wspaniały widok na zatokę.

Laura skierowała się w stronę rzędu sześciorga drzwi, nad którymi, na ozdobnej mosiężnej tabliczce, widniał napis Złota Sala Balowa.

— Jestem pełen podziwu dla Templetonów.

— Co?

— Znają się na budowie hoteli.

Doceniła to stwierdzenie, zatrzymała się na chwilę.

— Jest wspaniały, prawda? To jeden z moich ulubionych, choć uważam, że każdy ma swój określony, specyficzny charakter. Ten w Rzymie wznosi się nad Hiszpańskimi Schodami. Widok z okien zapiera dech w piersi. Templeton w Nowym Jorku ma prześliczny wewnętrzny dziedziniec. Jest to coś nieoczekiwanego w samym centrum Manhattanu. Oddalas się o krok od Madison Avenue i znajdujesz się w zupełnie innym świecie. Bajkowe światła na drzewach, mała fontanna. A w Londynie... — Urwała, potrząsnęła głową. — Powinieś mnie powstrzymać. Mogłabym tak w nieskończoność.

— Zawsze sądziłem, że traktujesz swoją pracę instrumentalnie i że jest to coś raz na zawsze ustalonego. Same pomyłki — powiedział półgłosem, gdy ponownie wchodzili do sali balowej. — Jeszcze wielu rzeczy o tobie nie wiem.

— Templetonowie niczego nie traktują jako czegoś z góry i raz na zawsze ustalonego. — A ponieważ należała do nich, wkroczyła do sali balowej przygotowana na najgorsze.

Panował tam istny chaos. Połowa stołów, przy których wieczorem miano podpisywać książki, była przygotowana, połowa czekała na rozłożenie. Pod ścianami zalegały góry książek. Już sama myśl, ile czasu zajmie ich rozpakowywanie, znalezienie dla nich odpowiedniego miejsca, przyprawiła ją o zawrót głowy. Przynajmniej to nie należało do jej obowiązków.

— Lauro. — Pojawiła się Melissa w okularach w drucianej oprawce, spadających jej na nos, sadziła susami po dywanie, prosto w objęcia Laury. — Tak się cieszę, że tutaj jesteś. Dotąd nie udało się nam jeszcze zlokalizować przesyłki sześciu autorek, a cała przesyłka jednego z wydawców zagubiła się gdzieś w czeluściach hotelu.

— Nie martw się, wyśledzę ją.

— Tak, ale...

— Zejdę na dół i osobiście tego dopilnuję. — Jej uśmiech odebrany został jako oznaka gwarancji i bezpieczeństwa, nie zaś znużenia. — Jeśli będzie trzeba, sama się zanurzę w czeluściach i znajdę książki.

— Nie potrafisz ci powiedzieć, jakie to dla mnie ważne. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, gdy musisz podejść do autorki i powiedzieć jej, że nie będzie miała ani jednej książki do podpisania. Może się walić i palić, ich i tak nic to nie obchodzi.

— Staniemy więc na głowie i dostarczymy im je, nawet gdybyśmy musieli posłać kogoś i kazać mu oblecieć wszystkie księgarnie.

Melissa odgarnęła włosy z oczu.

— Obsługiwałam cztery ogólnokrajowe i sześć regionalnych konferencji. Nie zdarzyło mi się pracować z kimś takim jak ty. Jesteś najlepsza. I nie mówię tego dlatego, że moje życie jest w twoich rękach.

Odetchnęła z ulgą, przeniosła wzrok na Michaela, uśmiechnęła się ujmująco.

— Cześć, na co dzień, kiedy nie ogarnia mnie szaleństwo, jestem Melissa Manning.

— Michael. Jesteś pisarką?

— Tak, jestem, nawet, a może zwłaszcza wtedy, kiedy jestem szalona.

— Masz jakąś książkę, którą mógłbym kupić?

Zatrzepotała powiekami, za okularami ujrzała zachwycone oczy.

— Tak się składa, że mam jedną w teczce. Czy chcesz, żebym ci ją podpiisała?

— To by było wspaniale.

— To poczekaj chwilę.

— To bardzo miłe z twojej strony — szepnęła Laura, gdy Melissa oddaliła się w pośpiechu w poszukiwaniu teczki.

— Lubię czytać i mogę się czegoś nauczyć. — Przynął się, wziął ją pod rękę. — Co byś powiedziała o kolacji dzisiaj wieczorem, może o przejażdżce, a może o szalonym, nieokiełznanym seksie?

— Jak zwykle ciekawa propozycja. — Poczuła się poniżona tym, że musi odchrząknąć z wrazenia, ale nie miała wyboru. — Pracuję tutaj wieczorem.

— To jest dopiero szaleństwo. — Ubawiona Melissa wręczyła Michaelowi swoją książkę. — Jesteś silniejsza niż ja, Lauro. Żeby przedkładać pracę nad szalony, nieokiełznaną seks!?

Michael zaśmiał się od ucha do ucha.

— Jestem pewny, że spodoba mi się twoja książka.

— Liczę na to. Przepraszam was na chwilę.

Wziął Laurę w ramiona, zniżył głowę i pocałował ją, aż cała krew z głowy spłynęła jej do nóg i poczuła mrowienie. Rozluźniając uścisk, skubnął ją lekko w brodę.

— Pamiętaj o sprolongowanym zaproszeniu, skarbie. Miło mi było cię poznać, Melisso.

— Mnie również.

Patrząc za nim, Melissa położyła rękę na sercu.

— Stawiam na dobre rzemiosło — zaczęła. — Ale myślę, że jedyne, co mam teraz do powiedzenia, to uch — westchnęła głęboko.

— Taa. — Laura z trudem wracała do równowagi. Kręciło jej się w głowie. — Ja, hmm...

— W porządku. Odczekaj chwilę.

— Zaraz ci odnajdę te przesyłki.

Melissa wydeła językiem policzek.

— Będę ci wdzięczna.

Gdy Laura chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, Melissa westchnęła przeciągle:

— Boże, jak ja kocham ten zawód.

Rozdział dwunasty

Było już po dziesiątej, kiedy Laura skręciła na podjazd prowadzący do Templeton House. Po ciężkiej pracy i pokonaniu licznych trudności była porządnie zmęczona. Wiedziała, że prędko nie zaśnie. Takie zmęczenie nie skłania do snu.

Tymczasem od rana czekał ją kolejny, równie intensywny dzień pracy. Najlepiej więc, jeśli się najpierw odpręży, weźmie gorącą kąpiel, a następnie położy się do łóżka.

Zajrzała do pokojów dziewczynek. Spały kamiennym snem. Napuściła wannę, wsypując do wody dużą ilość pachnących soli, wypełniając ją pianiącymi się bąbelkami. I, z błogim westchnieniem, zanurzyła się w kąpeli.

Przez nieduży świetlik nad wanną widziała gwiazdy. Zapatrzyła się i rozmarzyła. Pomyślała, że jej życie powoli wraca do normy. Odzyskała córkę. Niewątpliwie na trasie pojawią się jeszcze różne wyboje, których nie będzie można zlekceważyć. Niemniej dzisiejszego ranka, w drodze do szkoły, wszystko zdawało się tak cudownie normalne.

Cała jej rodzina ma się dobrze. Rodzice cieszą się swym wypełnionym wrażeniami życiem i pracą, Josh i Margo pławią w rodzicielskim szczęściu, a Kate i Byron wypatrują swojego potomka.

Praca w hotelu spełniała jej oczekiwania, sprawiała, iż znowu czuła się częścią rodu Templetonów. A sklep... Uśmiechnęła się i strząsnęła z nogi pianę. Sklep był fascynującym, nieoczekiwanym kaprysem, dającym tak wiele radości, przynoszącym tyle niespodzianek. Nawet po tak pracowitym dniu brakowało jej tej krzątaniny, dźwięku wybijanych na maszynie rachunków, rozmów z klientkami. Obcowania z Kate i Margo.

Postara się wygospodarować parę godzin jutro po południu, jeśli, oczywiście, nie nastąpi żaden kataklizm. Ale zakładając nawet, że i tak nie obejdzie się bez jakichś drobnych nieszczęść, już z góry cieszyła się na nie.

Stanowiły swoiste wyzwanie, zmuszające ją do szukania słusznych i trafnych rozwiązań. Świadomość, że potrafi je znaleźć, sprawiała jej satysfakcję.

Pomyślała, że, tak jak w książce, otwiera się przed nią nowy rozdział. Zamierzała go dobrze wykorzystać.

Poczekala, aż spłynie woda, wyszła z głębokiej, przeogromnej wanny i bez pośpiechu zaczęła się wycierać. W marzycielskim zamyśleniu nasmarowała ciało kremem. Wyjęła z włosów spinki, włożyła je do srebrnego pudełeczka, wyszczotkowała włosy, aż stały się sprężyste i lśniące.

Dopiero gdy znowu się ubrała, przyłapała się na tym, iż wcale nie zamierza iść do łóżka. A przynajmniej nie sama.

Zbulwersowana odkryciem, przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Ujrzała w nim kobietę w prostych jedwabnych spodniach i bluzce. Uświadomiła sobie, że przygotowywała się na spotkanie z mężczyzną. Kąpiel, pachnidła. Przygotowywała się dla Michaela.

Jednak, po namyśle, nie była już taka pewna, czy zdobędzie się na ten krok.

Chciał jej, ale jej nie znał. Nie znał jej pragnień i potrzeb. Sama nie była ich pewna, cóż więc dopiero on? Nie wiedziała, jak ofiarować się mężczyźnie. Na jawie. Może łatwiej było w marzeniach, we śnie, gdzie wszystko odbywało się powoli i jakby we mgle. Ale w rzeczywistym półmroku, gdy wszystkie ruchy i ich następstwa stają się realne, nie, na tym gruncie nie czuła się pewna.

Raz, w innym życiu, ofiarowała się mężczyźnie. Jakby nie było tego dość. Powtórzyć to, ponieść kolejną porażkę, to by ją zniszczyło.

Tchórzostwo, pomyślała zamykając oczy. Dziś wieczór. Chciała, by nie dał jej dzisiaj szansy.

Żeby się nie rozmyślić, zbiegła szybko po schodach.

A noc była kusząca, wietrzna, przepełniona zapachem i dźwiękiem. Biegła podobnie, jak czyniły to kobiety od stuleci. Ku przeznaczeniu, ku mężczyźnie.

A gdy stanęła na progu schodów, zapodziała się gdzieś jej odwaga i pewność.

Palilo się u niego światło. Wystarczyło tylko pokonać ten krótki odcinek drewnianych schodów, zapukać do drzwi. Będzie wiedział, przyjmie ją. Za chwilę, przyrzekała sobie, krzyżując ręce na zbyt szybko bijącym sercu. Musi się tylko pozbierać, oprzytomnieć trochę.

Zamiast tego poszła do stajni. Szła między rzędami zaspanych koni. Uświadomiła sobie, że nie widziała źrebaka od dnia jego narodzin. Popatrz tylko na niego, pozachwyca się nim. Po czym pójdzie na górę i zapuka.

Zatrzymała się przy drzwiach przegrody, przyjrzała się matce i dziecku. Źrebak leżał na sianie, a klacz stała obok niego.

— Brak mi maleństwa potrzebującego mojej opieki — wyszeptła. — Takiego, które ufa bezgranicznie. Czyż nie jest to najbardziej niesamowite uczucie? Świadomość, że wyszło z ciebie?

Pofolgowała sobie jeszcze chwilę, pogłaskała wysunięty ku niej łeb klaczy. Następnie odwróciła się i stanęła oko w oko z nim. Cały w czerni, wyglądał jak zjawą, która w mgnieniu oka się zmaterializowała. Laura cofnęła się.

— Jestem... nie widziałam od tamtego czasu żrebaka... nie chciałam cię niepokoić.

— Nie robisz tego od długiego czasu. Dłużej niż się spodziewałem. — Nie spuszczać z niej wzroku postąpił naprzód. — Widziałem cię biegnącą przez trawnik. W świetle gwiazd. Wyglądałaś jak postać ze snu. Ale ja nie śnię, prawda?

— Nie. — Znowu się cofnęła. Była spłoszona. — Powinam już iść, ja... — Gdy podszedł bliżej i unieruchomił ją pod drzwiami boksu, nie mogła oderwać odeń wzroku. — Powinam już iść.

— Śliczna Laura Templeton — szeptał. — Zawsze taka świeża, lśniąca, taka doskonała. Nienaganna. — Przesunął palcem po miękkiej jedwabnej klapce jej bluzki, opuścił palec w trójkątne wycięcie i obserwował jej pociemniały wzrok. — Mężczyzna, taki jak ja, miałby ochotę cię rozszarpać, przebić się przez tę warstwę układności i przekonać się, jaka, do licha, jesteś naprawdę.

Zamknął dłonie na jej piersiach, stwardniałe dłonie na delikatnym, cienkim jedwabiu. Czuł, jak drży.

— Kim, u licha, jesteś, Lauro? Co tutaj robisz?

Pod jego dłonią serce biło tak gwałtownie, że pomyślała przez chwilę, czy nie wyskoczy i nie wyląduje w jego ręku.

— Przyszłam zobaczyć żrebaka.

— Kłamczucha. — Przyparł ją do drzwi, a kiedy puściły, przewróciłyby się, gdyby jej nie przytrzymał. — Założę się, że nigdy cię nie potargał, nie zachował się niepoprawnie? Zawsze nieskazitelny, zawsze dżentelmeński. Nie spodziewaj się tego po mnie.

— Ja... — Była w panice, przerażona, drżąca. Gdy siano zachrzęściło pod jej stopami, na moment oderwała od niego oczy. Boks był pusty. Jakby przeznaczony dla nich. Była z nim sam na sam. Bez wyjścia. — Nie wiem, co robić.

— Ja wiem. Mogę cię zatrzymać albo pozwolić ci uciec. Zastanawiam się, co wybrać. Ale przyszłaś do mnie, więc decyzja należy do mnie.

Chwycił ją i jednym zdecydowanym ruchem rozerwał jej bluzkę.

— Zostań albo uciekaj.

Wpatrywała się w niego pociemniałym, niepewnym wzrokiem. Poczowała chłód na nagiej skórze.

— Jeśli zostaniesz, będziesz moja. Tak jak zechcę. Zostań albo uciekaj. — Chwycił ją za włosy, odchylił jej głowę do tyłu, patrzył na nią i czekał.

— Zostań — wyszeptał, po czym przywarł do niej mocno wargami i zatopił się w rozkosznym pocałunku.

Pośpiech i pragnienie nagliły Laurę, kiedy pociągnął ją na dół, na siano,

i całował namiętnie wargi, szyję, piersi. Wydała okrzyk, gdy zamknął wargami jej usta. Napełniając Laurę od piersi po lędźwie podnieceniem, aż ogarnęły jej ciało rozedrgane, wibrujące zmysłowe doznania.

Wiedziała, że nie czas na wyjaśnienia. Wybór został dokonany. Teraz będzie ją brał, tak jak to czynił, gdy widziała go w snach. Szorstko, pospiesznie i bezwzględnie.

Chciała tego: bolesnego, niekontrolowanego zbliżenia, ciężkich, szorstkich, niecierpliwych rąk drażniących jej skórę, łaknących, nienasyconych, niemal brutalnych ust.

Odnalazła jego ciało — gorące i gładkie. Kłujące siano ocierało jej skórę, dostarczając dodatkowych oszałamiających podniet. Odgłos rozdieranego ubrania, kiedy podekscytowany zrywał je z Laury niecierpliwymi rękami, które ścisnęły ją gorączkowo, sięgały po nią, zdobywały, zdawał się nieracjonalnie erotyczny.

Słyszała swoje krzyki, urywane, gardłowe, każde zachłyśnięcie się kolejnym doznaniem, każdy odgłos przyjemności. Bezbronna, jak tratwa na rozszalałym morzu, chwiała się, próbowała walczyć i zdawała się na los.

Ilekoć dotykała jego ciała i wpijała się paznokciami w jego skórę, szybciej krążyła w nim krew. Ilekoć krzyknęła, zajęczała, tym żywiej bił jego puls. Gdy po raz pierwszy ciałem Laury wstrząsnął spazm, a z ust, niczym szloch, wydobyło się jego imię, tym silniejszy czuł zawrót głowy.

Widział każde nowe doznanie w błyszczących, szarych, zamglonych oczach, słyszał narastające gardłowe pomruki. Nikt jej tego nie dał. To było pewne. Nikt nie powiódł jej tam, dokąd on ją zabrał. Ze wszystkich rzeczy, jakimi została obdarowana, ze wszystkich miejsc, jakie odwiedziła w swoim uprzywilejowanym życiu, ta była nowa. Choć w głębi jakaś jego część czuła się zraniona, iż nic więcej nie może jej ofiarować, tej nocy poprowadzi ją w nieznaną.

Tej nocy, dopóki to będzie trwało, stanie się dla niej tym, kim nikt nigdy nie był.

Wyczuwał każdy niuans nowej rozkoszy rozbrzmiewającej w jej ciele i eksplodującej w nim samym. Słyszał jej drżący oddech. Mógł brać więcej, jeszcze więcej, sprawić, by w namiętnym upojeniu oddawała mu się sama. Podniecała go • delikatna, porcelanowa skóra, tak gładka, tak pachnąca, zroszona czystym potem beztroskiego seksu.

Jego ręce, tak silne, szybkie i wszechmogące tuliły ją, kaleczyły, unicestwiały. Zatopiła dłonie we włosach Michaela, przyciągając go do siebie, by móc odpowiedzieć na jego żywiołowy, mocny pocałunek.

Jego ciało było tak prężne, tak niesłychanie męskie; czuła pod ręką wypukłość mięśni, ślady starych blizn, po których prześlizgiwały się jej żadne poznanie palce. Gdy w uniesieniu ugryzła go w ramię, poczuła, że jego skóra jest gorąca, rozpalona i zroszona potem.

Powietrze było ciężkie, i miało jego smak, ilekoć chwytła oddech. Cokolwiek z nią robił, wychodziła mu radośnie naprzeciw, czegokolwiek chciał, dawała.

Podniósł jej biodra, pochłonał ją wzrokiem. Jednym gwałtownym ruchem wszedł w nią, zagłębił się do dna. Ręce, którymi przywierała do niego, opadły miękko na siano, jej ciało zaś eksplodowało.

— Dotrzymaj mi kroku, Lauro. — Zaczął się rytmicznie poruszać. — Dotrzymaj mi kroku.

Czy miała wybór? Zamknął ją, usidlił, zanurzył się w niej. Oddychała teraz powoli, płytko, utraciła ostrość widzenia, ale poruszała się z nim. W jednym rytmie.

Zadrżał, gdy osiągnęła szczyt, i toczył ze sobą zawziętą walkę, by nie pójść za nią. Jeszcze nie. Chciał więcej. Nawet gdy w głowie, niczym morze, szumiała mu krew, pragnął więcej.

Kochał ją, aż ogarnęło ich wspólne szaleństwo, aż jej głowa opadła na jego ramię.

Wtedy, dopiero wtedy, zanurzył twarz w jej włosach i zatracił się do końca.

Przygniótł ją swoim ciężarem do ziemi. Jakie to dziwne, działające jak narkotyk doznanie, znowu czuć na sobie ciężar mężczyzny. Natomiast fakt, że jest on niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, że jest równie oszołomiony i zaspokojony jak ona, miał dla niej posmak triumfu.

Wiedziała, co Michael czuje. Nie miała wątpliwości. Widziała jego oczy, czuła ręce, słyszała ochryple nieartykułowane dźwięki. Był pokonany od chwili, gdy tracąc kontrolę nad sobą, wszedł w nią.

A teraz, w ciemnej, pachnącej sianem i końmi stajni, pośród strzępów ubrania i wartko krążącej w jej żyłach krwi, czuła się znowu kobietą. Nie matką, przyjaciółką, odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa, ale kobietą.

Nie chciała się zastanawiać, roztrząsać banalnych prawd. Ze jeszcze nigdy przedtem tak nie było, że nie wiedziała, iż tak można. Pomyślała, że stanie się lepiej dla obojga, jeżeli podejdzie do tego lekko.

Uśmiechnęła się więc, znalazła siły, by unieść rękę i zmierzić mu włosy.

— Wygląda na to, że wykorzystałam zaległe zaproszenie.

Jego zdławiony śmiech sprawił, iż poczuła łaskotanie w gardle.

— Muszę się jeszcze o tym przekonać, skarbie.

Resztkami sił przekreślił się na plecy, pociągając ją i kładąc na sobie. Uśmiechała się zadowolona i senna. We włosach miała siano.

— Boże, jakaś ty śliczna. Takie śliczne maleństwo. Laura Templeton we własnej osobie, o zadziwiającym, cudownie sprawnym silniku w ciele. Kto by pomyślał?

Z pewnością nie ona. Spojrzała na niego filuternie.

— Nie wiem, czy to jest właściwe ujęcie sprawy. — Wykrzywiła zabawnie usta. — Ale mi się podoba.

— Skoro jesteś w tak dobrym humorze, to może byś mi powiedziała, co cię skłoniło, by tu dzisiaj przyjść.

— Chęć zobaczenia żrebaka. — Z chytrą miną wyjęła siano z włosów, po czym ponownie spojrzała na niego. — W drodze do ciebie. Wiedziałaś, że
151

— Liczyłem na to. Gdybyś nie przyszła, musiałbym staranować zamkowe mury. Nie wiem, jak długo wytrzymałbym jeszcze bez ciebie.

— Michael. — Wzruszona, położyła dłoń na jego policzku. — Czy porwałbyś mnie?

— Skarbie, j u ż cię porwałem.

— Jesteś pierwszym, który to zrobił. — Odczekała chwilę, obserwując swój palec przesuwający się po jego szyi. — Mam nadzieję, że nie poprzestaniesz na tym.

— Nie szukałem jednej szybkiej przygody na sianie.

Zadowolona z odpowiedzi, skinęła głową i znowu pogłaskała go po głowie.

— Wobec tego wróć. — Pochyliła się, pocałowała go w usta. — Teraz muszę już iść.

Lekko tylko zmieniając pozycję, zamknął ją w ramionach.

— Lauro, czy naprawdę przypuszczasz, że tak łatwo cię stąd wypuszczę?

Być wziętą siłą — poczuła nagły przypływ rozkoszy.

— A może nie?

— Nie. — Przesunął do góry szorstką dłoń, zamknął ją na piersi Laury, po czym zaczął całować i pieścić jej szyję.

Wygięła się pod nim, zadrzała.

— O Boże — jęknęła.

Nadal nie zamierzała tu zostać do rana. Nie zamierzała zapaść w półsen na stercie siana, zwinięta wokół niego. Nie wyobrażała sobie, że może się obudzić w pełni wypoczęta, podniecona jego wargami i jego rękami... jego rękami.

— Michael — wyszeptła. Kiedy mrużąc powieki, otwierała oczy, zatopił się w niej powoli i głęboko. Poruszał się w niej długimi, niespiesznymi ruchami, w których sen mieszał się z jawą.

Patrzył na twarz Laury, na śliczny rumieniec, który od snu i seksu rozgrzał jej policzki. Na przydymioną szarość zadziwionych oczu. Podziwiał nabrzmiałe, drżące przy każdym oddechu wargi.

Mogli się sobie przyglądać w świetle, obserwować ogarniający ich wspólny łagodny rytm.

Drobiny siana drżały w delikatnym świetle poranka, tańczyły w niczym nie zmaconym powietrzu. Nocne ptaki ustąpiły miejsca skowronkowi. W stajniach zaczynały się ruszać konie, w promieniach słońca przeżyły się koty.

A jej ręce sięgały po niego. Ujęła twarz Michaela i jeszcze raz, muskając delikatnie jego wargi, zaczęła go całować.

— Michael — powiedziała znowu.

— Nie mogę przy tobie utrzymać spokojnie rąk.

— Wcale cię o to nie proszę.

Kiedy spała, dostrzegł na jej delikatnej skórze sine ślady i zadrapania.

— Obszedłem się z tobą brutalnie tej nocy.
— Czyżbym zapomniała za to podziękować?
Podniósł głowę, uśmiechnął się szeroko.
— Sądzę, że to, iż wykrzyczałaś moje imię dziesięć czy dwanaście razy, jest wystarczającym podziękowaniem.
— A zatem w porządku. — Zgarnęła z twarzy włosy, odsłaniając przytomne i trzeźwe oczy. — Nie pragnę, by mnie traktowano jak kruche szkło.
— A zatem, jeżeli nagle zechcę okładać cię pięściami i smagać biczem, pozostaniesz w grze?
Zaszokowana, otworzyła usta. Nie była w stanie wymówić słowa.
— Ja... ja...
— Żartuję. — Chryste, ale egzemplarz, pomyślał, zanosząc się śmiechem. I to wszystko należy do niego! W przypływie szczęścia i zachwytu wstał i wzięła ją na ręce. — Przynajmniej dopóki nie nabierzemy do siebie zaufania.
— Nie, naprawdę... nie sądzą, żebym chciała, ani żeby to mi się mogło podobać. — Kiedy roześmiał się tak, że o mało jej nie upuścił, spoważniała. — Nie zamierzam nadstawiać tyłka do bicia, nawet jeżeli to są tylko twoje głupie żarty.
— Nie są wcale takie głupie, a poza tym, skarbie, masz pierwszorzędną tyłkę. — Cmoknął ją głośno w usta. — A ponieważ nie przypuszczam, byś miała zamiar wdrować do domu z gołym tyłkiem, musimy ci wykombinować jakieś ubranie.
— Będę ci bardzo wdzięczna, jeżeli... Co ty robisz? — Nie zdążyła nawet pisać, gdy wyniósł ją na rękach z boksu.
— Zabieram cię na górę, musisz coś włożyć na siebie.
— Nie możesz mnie wynieść w tym stanie na dwór. Jestem goła. Oboje jesteśmy goli. Michael, mówię to... O mój Boże. — Gdy wyszedł ze stajni, uderzyły ją promienie słońca i chłód poranka.
— Jest wcześniej — powiedział spokojnie. — Naokoło nie ma żywej duszy.
— Jesteśmy nadzy. — To było wszystko, co potrafiła powiedzieć, gdy zaczął się wspinać po schodach. — Jesteśmy na dworze i jesteśmy nadzy.
— Zapowiada się równie wspaniały dzień. Czy masz jakieś plany na wieczór?
— Ja... — Czy on nie rozumie, że stoją na ganku w pełnym świetle dnia i paradują nago? — Wnieś mnie do środka.
— Zimno ci? Robię, co w mojej mocy. — Przełożył ją sobie na drugie ramię i zaczął manipulować przy gałce drzwi.
To zniewaga, wściekała się. Kompletny brak wrażliwości. Okropieństwo.
— Postaw mnie.
— Oczywiście. — Spełnił jej życzenie i czekał na dalszy ciąg przedstawienia. Nie zawiódł się ani trochę.
— Czyś ty oszalał? A gdyby któraś z dziewczynek wyjrzała przez okno i zobaczyła nas?

— Jeszcze nie ma szóstej. Czy mają zwyczaj wyglądać o świcie przez okno i patrzeć przez lornetkę?

Oczywiście że nie.

— Nie o to chodzi. Nie mam zamiaru pokazywać się w takim stanie, tylko dlatego, że ty, w swojej zdeprawowanej głowie, uznałeś to za świetny kawał. A teraz daj mi koszulę.

Przyglądał się jej z uwagą. Nawet z sianem we włosach, zaczerwieniona od stóp do głów z zakłopotania i ze złości, starała się zachowywać godnie. To było... fascynujące.

— Skarbie, podniecasz mnie znowu, a nie mamy już chyba czasu na całą rundę.

— Ty...

— Wieśniaku, barbarzyńco?

Powstrzymała się od komentarza. W takich okolicznościach trudno było o rozsądny argument.

— Chciałabym pożyczyć jakieś ubranie, proszę.

— Tam do licha. To nie zajmie więcej niż kilka minut.

— Michael. — Odskokczyła do tyłu, oniemiała, widząc po jego oczach, co się święci. — Michael. Nie zgadzam się...

Dać się powalić na ziemię, pozwolić się całować w bezsensownym posłuszeństwie, dać się doprowadzić do rozdzierającego do bólu orgazmu.

— O Boże. — Uchwyciła się rękoma dywanu i dała się ponieść.

Droga do domu zajęła jej więcej niż pięć minut. Skradała się niczym złodziej. Gdyby tak można się dostać od razu na górę, pomyślała, otworzyć bezszelestnie boczne drzwi i przemknąć się do salonu. A potem już do swojego pokoju.

Lada chwila obudzą się dzieci. Jej dzieci. Z butami w rękę, na palcach, wsunęła się do holu. Czuła się idiotycznie. Czyżby postradała zmysły? Gdyby ją ktoś przytąpał, jakie znalazłaby wytłumaczenie?

— Panna Laura!

Już nic gorszego nie mogło się stać, pomyślała Laura, zdając się na nieuchronny los. Odwróciła się, by spojrzeć śmiało w oczy zbulwersowanej Ann Sullivan.

— Annie, właśnie, hmm... wyszłam... wcześniej. Spacerowałam.

Ann powoli schodziła ze schodów. Od przeszło dwudziestu pięciu lat była wdową, ale jeszcze umiała rozpoznać kobietę po nocy spędzonej w ramionach mężczyzny.

— Masz na sobie męską koszulę — wycodziła. — I siano we włosach.

— Ach tak. — Chrząkając z zażenowaniem, Laura sięgnęła do głowy i wyciągnęła pogięte źdźbło. — Tak, to prawda. Wychodziłam... tak jak już powiedziałam, i...

— Nigdy nie umiałeś kłamać w żywe oczy, wolałaś zawsze czyste wyjścia. — Ann zatrzymała się u stóp schodów. Spoglądała na swoją zdobycz

bardziej jak matka zamierzająca zbesztać niesforne dziecko niż gospodyni. Z mieszaniną rozbawienia i skruchy osoby przyłapanej na gorącym uczynku, Laura potraktowała to jako dobry znak.

— Annie...

— Poszłaś do stajni i tarzałaś się na sianie z tym dziwkarzem.

— Tak, byłam w stajni — odparła Laura, przywdziewając szatę dostojstwa. — Tak, byłam z Michaeliem. Jestem dorosłą kobietą.

— Z kurzym mózdzkiem. Co też ci przyszło do głowy — ciągnęła, wygrażając palcem. — Żeby taka kobieta tarzała się na sianie z kimś takim jak on!

Ponieważ miłość jest cierpliwa, Laura zachowała spokój.

— Wydaje mi się, że nie muszę ci tłumaczyć, co mi przyszło do głowy. Cokolwiek o nim sądzisz, czy też o moim braku rozsądku, faktem jest, że mam trzydzieści lat, Annie. Chciał mnie. I ją jego chciałam. I w ciągu całego mojego życia, całutkiego, nikt nigdy nie sprawił, żebym poczuła się tak jak dzisiejszej nocy.

— Za chwilę przyjemności...

— Chwila przyjemności. — Laura skinęła głową. Jeśli nawet to się tylko do tego sprowadza, przysięga, że odejdzie z tego świata przepełniona wdzięcznością. — Byłam mężatką przez dziesięć lat i nigdy nie wiedziałam, co to znaczy czuć rozkosz czy, mam nadzieję, że się nie mylę, dawać ją w taki sposób mężczyźnie. Przykro mi, że tego nie pochwalasz.

— Nie mnie o tym sądzić — odpowiedziała Ann z kamienną twarzą.

— Ojej, przestań grać rolę dostojnej gospodyni stojącej na straży obyczajów, Annie. To już nie te czasy. — Westchnęła i położyła rękę na sztywnej dłoni Ann, trzymającej się poręczy. — Wiem, ile wkładasz w to serca, wiem, że wszystko co mówisz jest przejawem twojej troski i miłości. Ale to i tak nie ma wpływu na to, co czuję. Ani na to, czego pragnę.

— A ty uważasz, że pragniesz Michaela Fury?

— Nie. Ja o tym wiem. Jeszcze nie postanowiłam, co zrobię ani jak się do tego odniosę, ale wiem na pewno, że pragnę jeszcze wielu chwil rozkoszy.

— Bez względu na konsekwencje?

— Tak. Chciałabym choć raz w życiu nie myśleć o konsekwencjach. Muszę wziąć prysznic. — Ruszyła po schodach, zatrzymała się, odwróciła. — Wolałabym, żebyś nie stawiała w niezręcznej sytuacji Michaela, Annie. To nie twoja sprawa. Ani kogokolwiek bądź.

Ann pochyliła głowę, podniosła ją dopiero, gdy Laura znalazła się z drugiej strony drzwi. Może to i nie jej sprawa rozmawiać z Michaeliem Fury. Ale znała swoją powinność.

Bez chwili wahania zeszła do holu. Ruszyła do biblioteki. Połączenie z Francją nie zajmie dużo czasu. A wtedy zobaczą, pomyślała, patrząc w zamyśleniu przez okno. Jeszcze zobaczą.

— Chciałabym mówić z panem lub z panią Templeton. Tu Ann Sullivan, gospodyni Templeton House.

— W stajni. Na sianie. Przez całą noc? — W kuchence na pierwszym piętrze „Pretensjonalnej Galerii” Kate obracała sztuce w rękę i patrzyła z otwartymi ustami. Dziesięciminutowa popołudniowa przerwa okazała się znacznie bardziej interesująca niż przypuszczała. — Ty?

— Co w tym takiego oburzającego? — Nie zwracając uwagi na herbatę, Laura bębniła palcami o blat stołu. — Jestem chyba żywym człowiekiem? Nie jakaś nadmuchiwana lalka!

— Dziewczyno, wygląda mi na to, że coś nareszcie do ciebie dotarło. Bynajmniej nie jestem tym oburzona. Wydawało mi się po prostu, że barszkowanie na sianie nie jest w twoim stylu. Ale niech będzie i siano! — Uśmiechnęła się szeroko i skosztowała jedno z ciastek, które Laura przyniosła z cukierni. — Założę się, że było wspaniale.

Udobruchana Laura także wzięła ciastko.

— Zachowywałam się jak zwierzę — powiedziała z zadowoloną miną. Krztusząc się, Kate uniosła do góry rękę Laury.

— Przyszłość przed tobą. A teraz poproszę o szczegóły.

— Nie mogę. A właściwie, może. Nie. — Obu aż świeciły się oczy. — Nie.

— Daj spokój, chociaż tylko jeden szczegół. Jeden szczegół z Szalonej Nocy Laury.

Roześmiała się, potrząsnęła głową, przygryzła wargę. Wiadomo przecież, że Kate czy Margo mogła wszystko opowiedzieć. A już od tak dawna nie było niczego tak wspaniałego i wariackiego, czym mogłaby się z nimi podzielić.

Dystygowanym ruchem strzepnęła okruszki ze stołu.

— Porwał na mnie ubranie.

— Dosłownie czy w przenośni?

— Dosłownie. Po prostu podarł je na strzępy... Po prostu... — Złapała się za żołądek. — O Boże.

— O Boże — zawtórowała Kate, wachlując twarz.

— To jest to. — Laura poderwała się ze stołka i wylała zimną herbatę do zlewu. — Nie mogę. To brzmi po pensjonarsku.

— Dziecinko, ukończyłaś studia, a twój strój akademicki jest już w strzępach. Moje gratulacje. — Podczas gdy Laura płukała filizankę, Kate szelmowsko zadarła głowę. Znała nie gorzej niż siebie tę tak starannie zmywającą porcelanowy kubek kobietę. — Zakochałaś się w nim?

Laura zapatrzyła się na lejącą się i spływającą wodę.

— Nie wiem. Miłość, ten rodzaj miłości, nie jest tak prosty, jak ten, który sobie kiedyś wyobrażałam. Obawiam się, że mogę być zakochana, a nie chcę wszystkiego komplikować.

— Kiedyś mi powiedziałaś, że miłość po prostu przytrafia się, że nie można jej zaplanować — zauważyła Kate. — Przekonałam się, że miałaś rację.

Laura starannie odstawiła filizankę do wyschnięcia. Wiele myślała na ten temat, wiedziała, że prędzej czy później zostanie on poruszony przez tych, którzy troszczą się o nią najbardziej.

— Jeśli się tak zdarzy, poradzę sobie. Jest w nim dużo więcej niż przypuszczałam. A za każdym razem, gdy odkrywam jakąś jego nową stronę, jestem bardziej zaangażowana.

Wytarła ręce, ponownie się odwróciła.

— Tym razem nie zamierzam bujać w obłokach, ani pragnąć więcej niż ktoś jest mi w stanie dać. Po prostu zamierzam korzystać.

— Czy w twoim przypadku to zda egzamin?

— Sądząc po samopoczuciu, zdaje wspaniale. — Wyciągnęła wysoko ręce. — Absolutnie wspaniale.

— Cieszę się, że obie macie się tak świetnie. — W drzwiach pojawiła się Margo, spojrzała na nie wilkiem. — Jedna z was miała mnie zluzować, zapomnieliście? W przeciwieństwie do moich nieodpowiedzialnych partnerek, nie miałam przerwy od czterech godzin.

— Przepraszam. — Laura załamała ręce. — Już idę.

— Nie, ja pójdę. — Kate zeskoczyła ze stołka. — Będziesz miała okazję oświecić Margo.

— Oświecić? Na jaki temat?

— Tej nocy, w końskim boksie Michael wydmuchał z Laury cały jej intelekt.

Margo wdzięcznym ruchem odrzuciła włosy na plecy, gdy tymczasem Laura oblała się rumieńcem.

— Czy to możliwe?

— Podarł na niej ubranie — dorzuciła Kate zbiegając na dół. — Zostawiam Laurę, żeby uchyliła rąbka tajemnicy.

Podśpiewując pod nosem, Margo rozsiadła się na jednym z obitych na kremowo krzesel, krzyżując swoje długie, zgrabne nogi.

— Nalej mi herbaty, Lauro. Jestem skonana.

Nalała machinalnie filiżankę, postawiła ją na stole.

— Może ciastko?

— Chyba mi nie zaszkodzi. — Przyglądała się przez chwilę, po czym wybrała jedno, ugryzła. — A teraz posadź swój tyłek i uchylaj tego rąbka tajemnicy. I nie staraj się być zanadto oryginalna.

Rozdział trzynasty

Michael gwizdnał przez zęby, dając Zipowi sygnał do szybkiego galopu. Wypadli spośród drzew na rozgrzaną słońcem otwartą przestrzeń. Mknęli jak burza. Ten mały czort potrafi biegać, pomyślał Michael. Pozbywał się go z zalem, ale oferta, którą otrzymał dzisiaj rano, kładła kres dalszym rozważaniom.

To kwestia godzin, kiedy rączy, nieduży wzrostem trzylatek pojedzie do Utah. — Będziesz się tam zabawiał z panienkami. Dochowasz się championów.

Osiągnięta kwota pozwoli zakończyć negocjacje w sprawie wyjątkowo ładnej klaczy palomino i jej żrebaka o sarnim spojreniu.

Klacz jest narowista, pomyślał. Podczas oględzin dwukrotnie próbowała go kopnąć. To oraz fakt, że urodziła tak zgrabnego żrebaczka, sprawiło, iż tym bardziej mu się spodobała. W myślach przeznaczył już żrebaka do dalszej hodowli.

Za kilka lat, pomyślał, młokos pokryje dwadzieścia klaczy, a w ciągu czterech całą sześćdziesiątkę.

Razem odwalą dobrą robotę. Ta niesforna klacz palomino i mały sprężysty gniadosz, którego urodziła, pomogą mu rozpocząć nowy etap jego przedsięwzięcia.

Planował, iż w ciągu dwóch lat Rancho Fury stanie się czymś znaczącym — czymś więcej niż sposobem na życie i przetrwanie. Będzie znaczyło jakość. A to jest coś, pomyślał Michael, gdy Zip rwał do stajni, bez czego żył przez większą część swojego życia.

Nie potrafiłby, czułby się zażenowany, gdyby musiał komuś wyjaśniać, jaką wagę przywiązywał zawsze do jakości. I nie chodziło mu o to, co miał, co stworzył, ale o to, kim był. Zawsze pragnął pochodzić skądś. Być kimś.

A pochodził znikąd. Tego zaś nie dało się zmienić. Podobnie jak faktu, iż pozostawiło to w nim bolesny ślad, którego, tak naprawdę, nigdy nie zdołał się pozbyć.

Powtarzał sobie łatami, że ani pochodzenie rodziców, ani warunki w jakich się wychowywał, czy sposób, w jaki żył, nie mają znaczenia. Ale to nieprawda, to miało znaczenie, zwłaszcza teraz. W jego życiu pojawiła się kobieta, do której nie pasował.

Nie miał złudzeń, że prędzej czy później sama do tego dojdzie.

Ta nieuchronność losu sprawiła, że pognął jeszcze szybciej konia. Ani przez chwilę nie dopuszczał myśli, że pędzi raczej do tyłu niż naprzód. Podobnie jak nie dopuszczał myśli, iż od wczoraj, odkąd wszedł do stajni i ją tam zastał, jego emocje uległy poważnemu zakłóceniu.

Tak jakby chciała tam być, z nim. Dla niego. Tak jakby mógł wziąć i zatrzymać, a może nawet zasłużyć na kogoś tak prześlicznego i doskonałego, i pełnego wigoru jak Laura. I być dla niej tym, kim ona mogłaby stać się dla niego.

Do licha, powiedział sobie, mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, podczas gdy koń płynął nad ziemią. Nie zamierza nawet próbować snuć uroczych miłych marzeń o wspólnym życiu z Laurą. Jest realistą, przynajmniej ten fakt nie budził jego wątpliwości. Ich czas jest policzony, a na okres trwania związku da z siebie wszystko, co potrafi.

Przeszedł teraz w kłus. Właśnie koń złożył się do skoku, gdy Michael dostrzegł postać kręcącą się po padoku. Pożegnowali nad ogrodzeniem, wzniciając kurz i błoto.

— To szatan, nie koń — zawołał Byron, gdy koń i jeździec podjeżdżali do niego truchtem.

— Nie da się ukryć. — Michael pochylił się, poklepał Zipa po karku, a następnie zeskoczył z konia. — Sprzedałem go dzisiaj. Facetowi w Utah. — Odpiął siodło, przewiesił je przez ogrodzenie. — Chce go przysposabiać do biegów.

— Będzie miał z niego pożytek. — Byron przechylił się przez ogrodzenie i pogłaskał lśniąca szyję konia. — Nawet nie widać po nim zmęczenia.

— Nie. Pędzej wykończy jeźdźca.

— Dziwię się, że nie zatrzymasz go dla siebie. Jest pierwszorzędnym.

— Taa, jest pierwsza klasa. Muszę zacząć od bardziej podstawowych spraw, nim powiększę hodowlę. — Jeszcze parę lat, pomyślał, przywołując ponownie na pamięć obraz żrebaka, i będą obaj gotowi. — Obecnie muszę się skoncentrować na sprzedawaniu koni i gromadzeniu środków na całe przedsięwzięcie.

— Dobrze zacząłeś. Na przykład ten Walker. — Byron wskazał głową. — Ile za niego chcesz?

— Max? — Michael rozejrzał się, podczas gdy koń machnął ogonem. — Pędzej sprzedałbym własną matkę. — Wyciągnął rękę, a Max ruszył ku niemu. — Cieszysz się, że mnie widzisz, Max?

Max odstłonił zęby i zarżał radośnie.

— No to nas pocałuj.

Max z uczuciem trącił Michaela w brodę, a będąc mądrym koniem z natury obwąchał jego kieszenie.

— Prawdziwa miłość nigdy nie ma dość. Chcesz?

— Pocałunku twojego konia czy marchewkę?

— Co wolisz.

— Obejdzie się, dzięki. — Ale gdy koń chrupał swój przysmak, Byro z przyjemnością pogłaskał grzywę Maxa. — Masz tu niezły towar.

— Rozglądasz się za czymś?

— Obiecałem sobie, że nie, zwłaszcza teraz, gdy spodziewamy się dziecka. — Spojrzał tęsknym wzrokiem na klacz karmiącą źrebaka. — Cholera, znowu mnie to bierze.

Michael wyjął piękną szczotkę i zaczął oporządzać Zipa.

— Jak byś go obstawił w wyścigu? Dwa do dziesięciu?

— Do dwunastu — odparł automatycznie Byron. — Dwa do dwunastu.

— Ten kasztanowy wałach w skarpetkach na przednich nogach? Będzie cię niósł.

Byron przyjrzał się z uwagą kasztanowi, docenił jego linię, połyskującą białą gwiazdkę na czole.

— Przystojny skurczybyk, nie ma co.

— Dobry pod siodło, nieźle ułożony, ale nie potulny. Potrzebuje twardej ręki. Odpowiedniej ręki. — Michael wypchnął językiem policzek i nie przerywał pracy. — Zrobisz dobry interes, zważywszy, iż jesteś skoligacony z Joshem i ożeniony z osobą, którą lubię.

— Nie przyszedłem tu w tym celu.

— Nie? — Ze spokojem Michael pochylił się obok Zipa, by wyłuskać mu z kopyt kamyki. — A więc w jakim?

— Byłem w sąsiedztwie i pomyślałem, czybyś nie zajrzał do nas w sobotę wieczorem. Na pokera.

— Zwykle rwę się do gry. — Przerwał, zmrzył oczy. — Mam nadzieję, że to nie będzie jeden z tych kulturalnych wieczorów z udziałem kobiet, które będą pytać, czy strit jest wyższy od koloru.

— Za ten komentarz dostałbyś kopa w tyłek od Kate — uśmiechnął się szeroko Byron. — Nie, sami mężczyźni.

— Więc wchodzę.

— Może wygram od ciebie tego kasztana.

— Nie rozmarzaj się, De Witt.

— Potężna klatka piersiowa — mruknął.

Michael stłumił uśmiech, nadal czyścił kopyta.

— Właśnie skończył cztery lata. Jego ojcem jest Walker, a matka ciemnooka nierządnica z Baton Rouge.

— Cholera. — Brało go to. — Trzymasz go tu w stajni?

— Taa. Na razie. Później, kiedy skończę budowę, przeniosę się do siebie. Powinienem zacząć stawiać fundamenty za jakieś p tygodni.

- Przyjrzyjmy się z bliska. — W garniturze od Savile Row i w butach od Magli'ego Byron przesadził ogrodzenie i wszedł na padok.

- Słyszałem, że wy, chłopaki z południa, jesteście szulerami i konio-kradami - podsumował Michael, towarzysząc Byronowi w drodze do watacha.

- Dobrze słyszałeś.

Jak długo każe mi na siebie czekać? Michael przemierzał długimi krokami pokój, przyrzucał się stojącej na stole butelce wina. Na jej widok podrapał się w głowę. W rzeczy samej, wyszedł z domu i pojechał kupić wino. To nie było w jego stylu, ale też seks w końskim boksie również chyba nie był w stylu Laury. Przynajmniej będzie jej mógł zaoferować cywilizowany napój. Na wstępie, zanim się znowu do niej nie dorwie.

Co właśnie pragnął uczynić.

Gdyby tutaj była.

Oczywiście, że przyjdzie. Powtarzał to sobie dziesiątki razy w ciągu ostatniej godziny. Po tym, co zdarzyło się między nimi tej nocy, powinna się rwać do powtórzenia spektaklu. Powinna o nim myśleć w ciągu dnia niezliczoną ilość razy, w taki sposób, w jaki on myślał o niej.

Jak kłął, gdy czuł jej zapach przy każdym oddechu. Jak łąpał się na tym, że popada w jakiś bezsensowny trans, ponieważ oczyma duszy widzi jej twarz lub słyszy głos, albo...

Chce jej. Po prostu jej chce.

Czy kiedykolwiek chciał czegoś w podobny sposób? Raz zapragnął uciec, i udało się. Marzył o ryzyku, niebezpieczeństwach i brawurowej przygodzie. To także się udało. A kiedy zapragnął spokoju, życia, na które mógłby spojrzeć z pewnym poczuciem dumy, rzucił wszystko i również mu się udało.

Ale czy miał Laurę? Czy prześlizgnie się miękko między jego palcami, nim ją mocno uchwyci, zanim wymyśli, co, u licha, z nią zrobić. Co dla niej zrobić.

Nie należała do jego drużyny. Olewał to. Był coraz bardziej przekonany, że musi ją sprowadzić do równego poziomu. Tym wyrównującym elementem jest seks. Tutaj ją ma. Na razie.

Wściekły, że marnuje czas na coś, co nie powinno stanowić problemu, sobie kieliszek wina. Powąchał, wzdrygnął się, wychylił go.

Kiedy wchodzisz między wrony, Fury...

Odstawił jednak kieliszek na bok i zaczął znowu przemierzać pokój, chodząc tam i z powrotem i wzdłuż, jak polujący na zdobycz kot w klatce.

Kiedy po południu doglądał spraw związanych ze sprzedażą konia, dostrzegł wzrok Ann. Z gromów, jakie ciskała, wywnioskował, że Laurze nie udało się wyminąć jej tego ranka.

Uśmiechnął się na myśl, jak to elegancka dama zakrada się o świcie do

własnego domu w za dużej bluzie i dżinsach, przyłapaną przez wszędobylską, surową gospodynię.

Może pani Sullivan zamknęła Laurę. Kiedy ta myśl na dobre usadowiła się w jego głowie, przestał się uśmiechać. Może zastawiła na Laurę jakieś sidła i zabroniła jej wyjść z domu. Może...

A może powinien przejąć sprawę w swoje ręce.

Do diabła. Dopadł drzwi. Musi ją odbić.

Kiedy szarpnął drzwi, Laura odskoczyła za siebie, chwytając się za gardło.

— Przeraziłeś mnie śmiertelnie.

— Przepraszam. Właśnie zamierzałem odbić cię z zamkowej wieży.

— O? — Uśmiechnęła się zaskoczona. — Czyżby?

— Ale widzę, że sama sobie poradziłaś.

— Nie mogłam przyjść wcześniej. Mieliśmy drobne zamieszanie. Rodzice postanowili wpaść z krótką wizytą. Będą tu za parę dni, a dziewczynki są tak podekscytowane, że z trudem udało mi się zapędzić je do łóżka. A potem musieliśmy...

— Nie musisz się tłumaczyć. Wchodź. — Przycisnął ją do siebie i jednym niewybrednym pocałunkiem uwolnił część tłumionego pragnienia. Właczając ją w futrynę drzwi, zacisnął pięści w jej włosach i bardziej sobie pofolgował.

To jest to, pomyślała, przytulając się do niego. Ten sam żar, ten sam gorączkowy pośpiech, to samo pragnienie. Kiedy ponownie złapała oddech, wpijała się kurczowo palcami w jego koszulę.

— Pomyślałam...

— Co?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nic takiego. — Uśmiechając się, uniosła dłonie i ujęła jego twarz. — Witaj, Michael.

— Witaj, Lauro. — Otoczył ją ramionami, zatrzasnął nogą drzwi. — Chciałem ci zaproponować odrobinę wina.

— Och, dziękuję. Z przyjemnością.

— Ale musimy z tym jeszcze zaczekać. — Wziął ją na rękę.

— Och. Jeszcze lepiej.

Gdy podawał jej kieliszek, siedziała w pomiętej pościeli przykrywając gołe ciało jego koszulą. Nie dzielając jej wstydu, który uważał za rodzaj fałszywej skromności, rozsiadł się obok niej, nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

— Musimy coś oblać — powiedział, trącając się z nią kieliszkiem.

Czuła się odprężona i rozleniwiona. Najchętniej wsunęłaby się pod prześcieradło i wyciągnęła na łóżku.

— Cóż to za okazja?

— Sprzedałem dzisiaj dwa konie. Jednego twojemu szwagrowi.

— Byronowi? — Była zaskoczona. Upiła łyk wina, rozpoznała bogaty smak dobrego templetonowskiego chardonnaya. — To dziwne. Kate ani razu nie wspomniała, że kupują konia.

— Przypuszczam, że jeszcze jej nie powiedział.

— O!... hmm.

— Czy Kate ma jakiś problem z koniami?

— Nie, ale to kwestia porozumienia. Dziwię się, że najpierw tego nie przedyskutowali. Jestem pewna, że będzie zaskoczona.

— Sądzę, że sobie z nią poradzi.

— Nie o to chodzi. Małżeństwo to partnerski związek, a podejmowanie decyzji wymaga omówienia i obopólnej zgody. Z czego się śmiejesz?

— Zabawnie wyglądasz, kiedy tak siedzisz potargana, z lekko błędnym wzrokiem, i wygłaszasz przemówienie na temat etyki partnerskiej.

— Nie wygłaszam przemówienia. — Wypiła łyżeczek chłodnego wina. — Po prostu stwierdzam. Nie wierzysz w istnienie etyki partnerskiej?

— Taa. — Jego ręka wędrowała po udzie Laury. — Ale uważam, że jak w każdym partnerskim układzie, podejmuje się czasami decyzję na własną rękę, a etyka powinna być elastyczna, w granicach rozsądku. Lubię to twoje malutkie znamię. — Przesunął palce w górę jej uda, dotykając niedużego półokrągłego śladu. — Przypomina księżyc. Seksowniejszy niż tatuaż.

— Rozpraszasz mnie.

— Nie muszę się specjalnie wysilać. — Opuścił jednak palec, zatrzymał go na jej kolanie. — Nie chcę, żeby facet dostał po łbie od żony. Spodobał mu się koń, aja może go tylko trochę zachęciłem. — Wzruszył ramionami. — Ale jeśli Kate nie zechce, możemy odstąpić od umowy.

Laura wysunęła do przodu szyję.

— A wtedy uznasz Kate za sekutnicę, a Byrona za mięczaka.

— Myślałem właśnie o czymś zupełnie innym. — Podochocony, wyprostował jej nogę, uniosł kolano i pocałował je. — Czy zawsze w uprzejmy i kulturalny sposób omawiałaś każdą sprawę z Ridgewayem?

— Nie, i na tym, między innymi, polegał problem. Byłam posłuszną, bezwolną żoną. Uważałam, że tak trzeba, że to mój obowiązek.

— Przepraszam. — Poczuł się zakłopotany tym wdzieraniem się w jej prywatne życie. — Niewłaściwe pytanie.

— Nie, wręcz przeciwnie. — Poprawiła się lekko, oparła o poduszki leżące u metalowego wezgłowania. — To mnie wiele nauczyło. Postanowiłam, że nie będę już nigdy bezwolna ani słaba i nie zamierzam cierpieć w milczeniu.

Zastukała palcami w kieliszek. Cieszyła się, że może wypowiedzieć to, co jej leży na sercu.

— Nie protestowałam przeciwko jego postępowaniu, a zatem wina leży po obu stronach. Żałuję tylko, że dopiero gdy zastałam go w łóżku z inną kobietą, zwróciłam uwagę na własne życie.

— Czy jesteś szczęśliwa?
— Tak, i wdzięczna. — Ponownie się uśmiechnęła. — Tobie także jestem wdzięczna.

Pieścił kciukiem wewnętrzną stronę jej kolana.

— Dzięki tobie zdałam sobie sprawę, że lubię seks.

Doceniając jej szczerość, pochylił się, przyłgął do niej wargami, odstawiając na bok kieliszek.

— Miałaś z tym problemy?

— Teraz ich nie mam.

— Może powinienem to sprawdzić, upewnić się? — Ale zanim zdążyła go objąć, wymknął się jej. — Chyba zacznę od dołu — wyszeptał, unosząc do góry jej nogi.

— Chyba nie zamierzasz... Och! — Przy pierwszym dotknięciu jego zębów i języka opadła na plecy. — W modnych ośrodkach terapeutycznych stosują refleksologię — szeptała, podczas gdy on, na rozmaite sposoby, drażnił jej stopy. — Ale daleko im do tego.

— Tylko nie zacznij fantazjować, że jestem Victorem, masażystą, dobrze? Zaśmiała się, jęknęła, zadrżała.

— Nie. Rzeczywistość jest po prostu... Jezu! — Wino wypadło jej z ręki, zachlapując ją oraz pościel. — Och, przepraszam. Pozwól, że...

— Nie, nie pozwalam. — Popchnął ją lekko. Znowu opadła na poduszki. — Zostań tam gdzie jesteś, dopóki nie skończę. — Musnął zębami jej kostkę. — Poprzednio było trochę za ostro. Sądzę, że odkryłem niektóre czulsze punkty.

Uniósł jej biodra.

— Proponuje, skarbie, żebyś się mocno trzymała. Mam zamiar zabrać cię w daleką, uciążliwą drogę.

To było tak, jakby się zostało zaatakowanym ze wszystkich stron. Od środka i z zewnątrz, fizycznie i duchowo. Mogła tylko przyjmować, reagować, doświadczać. Stopniował swoje możliwości, jakby była pokarmem, którym należy się delektować, danie po daniu.

Zapalone światła raziły ją w oczy. Nawet gdy je zamykała. Wpadające przez otwarte okno powietrze zgęstniało nagle, sprawiając, że każdy jej oddech zamieniał się w łapczywe chwyty tchu. Jej rozgrzana skóra pulsowała w rytmie uderzającej krwi, w rytmie przesuńniętych się po niej rąk i ust.

W miarę natężających się pieszczot drżały jej mięśnie ud, pod zaciskającymi się rękoma szeleściła pościel.

Nikt jej tak nie smakował, nie dotykał. Jakby była najbardziej upragniona na świecie.

Jego usta zniewoliły Laurę. Zapamiętała, w przypływie pożądania, skoncentrowały się na tym gorącym jądrze wilgoci, dopóki nie przeszyła ją rozkosz jak strzała o ostrym grocie.

Szalał teraz, jak nieprzytomny wypatrywał chwili, kiedy sama zacznie

się wspinać na szczyt ekstazy. Jej głowa opadła do tyłu, miała nieprzytomne spojrzenie, ręce zaciskały się kurczowo wokół żelaznych podpór łóżka, jak gdyby ten desperacki chwyt stanowił jedyne zakotwiczenie.

Chciał ją powieźć jeszcze dalej.

Pieścił ją rękami, dopóki nie zaczęła poruszać się w oszalałym, błagalnym rytmie. Patrzył na nią, patrzył, dopóki nie wyszlochała jego imienia, dopóki jej ręce nie rozluźniły chwytu, dopóki jej ciało nie wygięło się jak wosk.

Leżała nieruchoma, jakby wyrzucona na brzeg, zdolna jedynie do pomruku.

— Jesteś piękna, Lauro Templeton. Złota. — Dotknął jej włosów. — Różowa. — Musnął piersi. Zadrżała pod jego dotykiem.

— Michael. — Podniosła ociężałe powieki. Pokój zawirował. — Nie mogę.

— Nie możesz? — Opuścił głowę i, już delikatnie, dotykał językiem jej sutków. — Przekonajmy się.

— Ja wiem, że... że nie miałeś... — Sięgnęła po niego, wiedziała, że będzie twardy, w stanie gotowości. — Pozwól, że ja...

— Innym razem. — Uśmiechnął się, choć, gdy palce Laury zamknęły się wokół niego, w Michaelu zawrzała krew. — Trzymam cię za słowo. Przekonajmy się teraz, czy możemy to skończyć w tradycyjny, wypróbowany sposób.

Tym razem skubał wargami jej piersi, przywołując bolesne echo rozkoszy.

— Co ty ze mną robisz? — Znowu straciła oddech. Porwała ją kolejna fala pożądania. Aż do bólu, do drżenia. — Nawet nie wiesz, co ze mną robisz.

Wszystko powróciło ze zwielokrotnioną siłą. Mogłaby szlochać. Rozkoszował się jej piersiami, dotykał językiem, łapczywie chwycił zębami, pochłaniał jej subtelny, kwiatowy zapach i smak, którego łaknął. Ujął dłonie Laury, zacisnął na ramie łóżka.

Pomyślała jak przez mgłę, że oboje są zamknięci, oboje usidleni, oboje są więźniami tego szaleństwa.

Przywarła do niego wargami, wyszła naprzeciw mocnym, zaciekłym pchnięciom.

A potem już tylko było nieprzytomne tempo, żar, łapczywe chwywanie powietrza i zwierzęca pieśń dwóch ciał. Mocniej, głębiej, aż zapomniał się w niej. Aż do chwili, gdy ciagle złączeni — spłynęli oboje.

Później, gdy ostygła krew i zapanowała cisza, Laura zmieniła pozycję. Otoczył ją ramieniem, przytrzymał.

— Myślałam, że śpisz — wyszeptwała.

— Spałam.

— Muszę iść. Nie mogę każdego ranka skradać się do domu o świcie z butami w ręku.

— Jeszcze tylko chwilę. — Był w półśnie, mówił niewyraźnie, ochryple. — Chcę cię potrzymać.

Wzruszyła się. Delikatnie odgarnęła mu z twarzy włosy. Dzikie, niesforne włosy, pomyślała. Szatańskie włosy, czarne i uwodzicielskie.

— Ale tylko chwileczkę.

Położyła głowę na jego ramieniu, a rękę na sercu. Ale już spał. Leżała więc, wsłuchując się w bicie jego serca.

Pani Williamson podsunęła Michaelowi pod nos porcję naleśników. Trzeba było tylko zjeść. Przyglądała się z założonymi na piersiach rękami, jak odgryza pierwszy kęs.

— Są najlepsze jakie znam — powiedział. — Kiedy się odbuduję, będzie mi brakowało zakradania się do ciebie i twoich poczęstunków. Jesteś pewna, że nie chcesz wyjść za mnie i wyjechać razem?

— Proś dalej, może cię jeszcze zadziwię. — Dołała mu kawy. Chłopak miał zawsze dziki apetyt, stwierdziła. Na wiele różnych rzeczy. — Wykończyłeś już rondel, który ci posłałam?

— Zjadłem wszystko, razem z talerzem i sztucami. — Machinalnie schylił się, by podrapać małego kota, który z nadzieją ocierał się o niego. — A szarlotka, a te ciasteczka. — Chwycił jej rękę, przytrzymał ją, kiedy się zachnęła. — Gdybyś mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób zabierasz się do przyrządzania jednego z tych czekoladowych ciast! Tego z kremem i z wiśniami!

— Black Forest. Ulubione ciasto panny Laury.

— Naprawdę? — Okazuje się, że łączy ich ten sam gust nie tylko w łóżku. — Tego też pewnie nie omieszka zjeść?

— Przekonamy się o tym. — Zgarnęła ręką jego włosy, pociągnęła lekko za koński ogon. — Przydałoby ci się porządne strzyżenie. Mężczyzna w twoim wieku, z włosami jak hippis!

— Ostatni hippis wyemigrował na Grenlandię w 1979 roku. Istnieje tam jeszcze nieduża komuna, w której nadal robią te swoje koraliki.

— Och, nie mądrzyj się tak. Jedz śniadanie. Muszę zadbać, żeby te dzieci nie wyszły na czczo do szkoły. Tak samo panna Laura — ciągnęła, maszerując szybko w stronę piecyka. — Je tyle, co wróbel. Nigdy nie ma czasu, żeby usiąść wygodnie i zacząć dzień od porządnego posiłku. — „Tylko kawę”, powtarza w kółko. Przecież nie napędzisz ciała samą kawą.

Ciało Laury miało, według niego, doskonały napęd, ale nie uważał, by było mądrze o tym głośno wspominać. Pani Williamson co prawda go lubi, ale nie wyobrażał sobie, aby zaaprobowała go w charakterze uwodziciela pani domu, zachęcającego ją do upojnego, gorącego seksu.

— Jeszcze się wpędzi w jakąś chorobę, jak panna Kate w zeszłym roku. Ocknął się z marzeń, podniósł głowę.

— Kate była chora?

— Wrzód. — Już sama myśl o tym była gorsząca. Pani Williamson przestała przewracać naleśniki. — Możesz to sobie wyobrazić? Przepracowana, zagłodzona, zatroskana, aż zrobiła się płaska jak deska. No cóż, musieliśmy się przy niej nieźle nachodzić.

— Ale teraz jest w porządku? Świetnie wygląda.

— Zgrabnie i ładnie. No i spodziewa się dziecka.

— Kate jest w ciąży? — Uśmiechnął się od ucha do ucha. — Nie pieprzysz? — Skrzywił się, gdy spojrzała na niego kosym okiem. Przypomniał sobie, że nie lubi brzydkich słów. — Przepraszam.

— Tym razem będziemy jej doglądać. Teraz jest zdrowa i szczęśliwa, nasza Kate. Mężczyzna, za którego wyszła, nie pozwoli jej na takie głupoty. To rozsądny człowiek, z tych co to wiedzą, jak się troszczyć o kobietę.

— Ładna z nich para. — Z klasą, pomyślał Michael, obrzucając ponurym spojrzeniem talerz. W końcu Byron dorastał w dobrobycie Południa, Kate zaś była w każdym calu podobna do Templetonów. — Pasują do siebie — dorzucił.

— Tak, pasują. Miło jest patrzeć na szczęście panny Kate, a także na urodę i ustatkowanie się panny Margo. A co ma dla siebie panna Laura, poza wychowywaniem tych dwóch aniołków? — Machnęła łopatką, zrobiła krótką przerwę na oddech. — To dobrze, że jej rodzice wracają na jakiś czas. Nie ma na świecie mocniej związanych ze sobą ludzi niż pan i pani T.

Kiedy otworzyły się drzwi, zamilkła. Nie chciała być posądzana o plotkarstwo.

— Pani Williamson, poproszę... o, cześć, Michael.

W eleganckim bladeżółtym kostiumiku Laura wyglądała tak świeżo jak pączek róży. Nie przypominała kobiety, która poprzedniej nocy szlochała jego imię. Chyba żeby przyjrzeć się lepiej jej oczom.

— Cześć, Lauro. Pani Williamson ulitowała się nad konającym z głodu człowiekiem.

— Naleśniki z czarnymi jagodami. Dziewczynki będą wniebowzięte.

— Proszę usiąść, panno Lauro, i nałożyć sobie na talerz.

— Nie, nie mogę. Proszę tylko kawę. Szukałam Annie. — Wzięta od pani Williamson filiżankę. — Muszę wcześniej wyjść. W biurze mają jakiś problem. — Spojrzała na zegarek. — Powinam już być w samochodzie. Nie mogę znaleźć Annie, a muszę się upewnić, że zawiezie dzieci do szkoły.

— Ona wyszła. Zawsze w ten dzień chodzi na targ.

— Och. — Laura zakryła oczy palcami. — Zapomniałam. Będę więc musiała...

— Odwiozę je.

Zajęta przedstawianiem w pośpiechu planu dnia spojrzała na niego zdziwiona.

— Co?

— Odwiozę je do szkoły.
— Nie chciałam się wyręczać, ale...
— Nie ma sprawy, lepiej nie marnuj czasu na spieranie się ze mną. Sądzę, że potrafię dowieźć do szkoły dwie dziewczynki bez poważnych uszkodzeń.

— Nie miałam na myśli... — Ma rację, przyznała, kolejny raz rzucając okiem na zegarek. Nie ma czasu, żeby się spierać. — Jestem ci wdzięczna. Dziękuję. To jest Akademia Hornbecker. Jeśli pojedziesz szosą numer jeden...

— Wiem, gdzie to jest — przerwał jej. — Tam gdzie ty chodziłaś.

— Tak. — Nie miała pojęcia, że wie, gdzie chodziła do szkoły, a już tym bardziej, że to zapamiętał. — Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna, Michael. Jestem już bardzo spóźniona. — Odstawiła na bok kawę. Zarumieniła się, gdy wziął ją za rękę.

— Zrelaksuj się. Jeśli się spóźnisz na spotkanie, hotel nie zawali się z tego powodu.

— Nie, ale mój dział może. Ali musi dzisiaj oddać wypracowanie z angielskiego. Przygotowała je, sprawdziłam. Ale nie zawadzi, jeśli jej przypomnisz. A Kayla niech powtórzy ortografię w drodze do szkoły. Ma klasówkę. Ali może jej pomóc.

— Powiedziałem, że sobie poradzę.

— Tak, ale sprawdź jeszcze, żeby wzięły parasolki. Postawiłam je na widocznym miejscu. Może padać.

— No już. — Wstał i zapominając o widowni ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. — Zmiataj.

— Ja... — Zwróciła się w stronę pochłoniętej, jak się zdawało, przygotowaniem naleśników pani Williamson. — Wychodzę. Ale trzeba im przypomnieć, żeby nakarmiły psa. Czasami...

— Już cię nie ma. — Ponieważ wyglądało na to, że nie obejdzie się bez ponaglenia, popchnął ją w stronę drzwi. — Idź zawracać głowę komuś innemu.

Kiedy ponownie otworzyła usta, klepnął ją przyjaźnie w tyłek i wypchnął na dobre.

— Żeby w taki sposób rozpocząć dzień! — wyraził zdziwienie, po czym się odwrócił. Natknął się na surowy wzrok pani Williamson.

Zaklął. Był jednak na tyle przezorny, że zrobił to w duchu.

— Czy tak jest codziennie?

Zignorowała jego pytanie, postąpiła naprzód, obeszła go dookoła. Już sobie wyobrażał, co ona sobie o tym myśli. Człowiek zakradający się tylnymi drzwiami, ponieważ nie należy do tych, których się wpuszcza od frontu.

Zatrzymała się, przyglądała mu się, ściągnęła wargi.

— Zastanawiam się, czy nie przypadło ci tutaj do gustu coś jeszcze innego niż moje gotowanie.

Potrafiła go wprawić w zakłopotanie! Najchętniej wzięłby nogi za pas. Włożył ręce do kieszeni.

— I co?

— I nic, dobrze. — Poklepała go dziarsko po policzku, ubawiona jego zaskoczoną miną. Pomyślała, że chłopak nigdy nie miał poczucia własnej wartości. — Dobrze dla was obojga i w porę, powiedziałabym. Po raz pierwszy w życiu ta dziewczyna ma prawdziwego mężczyznę.

Odebrało mu mowę, potrząsnął tylko głową. Kiedy odzyskał głos, wziął ją za rękę.

— Pani Williamson, pani mnie dobija.

— Zrobię to, jeśli złamiesz jej serce. Ale zanim to nastąpi, bądźcie dla siebie dobrzy. A teraz siadaj i skończ śniadanie, póki jeszcze ciepłe. Jeśli masz sobie dzisiaj poradzić z dziewczynkami, musisz się wzmocnić.

— Kocham panią. Naprawdę kocham.

Jej twarz pofałdowała się w szczerym uśmiechu.

— Wiem o tym, chłopcze. Z wzajemnością. A teraz siadaj i jedz. Będą tu za minutę i rozszechbioczą się jak sroczki.

Rozdział czternasty

Michael Fury wyskakiwał z budynków, przedzierał się przez dżungle, przeżył na morzu tajfun, ścigał się z zawrotną prędkością samochodami i w różnych okresach życia wielokrotnie łamał kości.

Bił się w nocnych barach, spędził noc w celi, której artystyczna produkcja ścienna stanowiła swoistą wariację na temat wyolbrzymionych anatomicznych narządów kobiecych. Zabijał ludzi i kochał kobiety.

Dozedeł do wniosku, że prowadził spokojne, bezpieczne życie.

Nigdy dotąd nie był wystawiony na niebezpieczeństwa i kłopoty, jakie łączyły się z przewiezieniem z domu do szkoły dwóch dziewczynek.

— Co to znaczy, że nie możesz włożyć tych butów?

— Nie pasują do reszty.

Mrużąc oczy obejrzał dokładnie kwiecistą spódniczkę i różowy sweterek Ali. Czy aby przed chwilą nie miała na sobie czegoś zielonego?

— To samo mówiłaś poprzednio. A mnie się tak podoba. Te buty są w sam raz.

Jak każda kobieta, od czasu, gdy Ewa przewiązała się liściem figowym, Ali zrobiła kwaśną, zniecierpliwioną minę.

— Te buty są złe. Muszę je zmienić.

— Więc pośpiesz się na Boga — mruknął, gdy kolejny raz pomknęła na górę. Został z Kaylą, która szarpała go za rękę.

— Zapomniałam jak się pisze dom wariatów.

— A l l i s o n.

Zachichotała.

— Nie, naprawdę. Przez „i”, czy przez „j”?

— „I”. — Takie miał wrażenie. Ortografia nie była jego silną stroną w szkole. Ale jeśli za chwilę nie ruszą, spóźni się na spotkanie z przedsiębiorcą budowlanym. Już i tak uzyskanie zezwolenia na budowę oddaliło rozpoczęcie prac. A teraz Allison i te jej buty... — Allison, wychodzę z domu za dziesięć sekund, możesz dołączyć albo nie.

— Czasami mama mówi to samo — poinformowała go Kayla. — Ale nigdy tego nie robi.

— Ale ja zrobię. Idziemy. — Pociągnął ją za rękę do drzwi.

— Nie możesz jechać bez niej. — Nie wierząc własnym oczom, podreptała obok niego do samochodu. — Jeśli to zrobisz, mama będzie wściekła.

— Idziemy do samochodu. Wsiadaj.

— A jak Ali dostanie się do szkoły?

— Pójdzie na piechotę — powiedział surowym tonem. — W takich butach, jakie sobie znajdziesz.

Zażegnał kryzys złamanej klamerki do włosów Kayli, prawda? Teraz, jak mu się zdaje, wyglądają dobrze: ściągnięte do tyłu, umocowane elastyczną przepaską, którą zdjął ze swoich włosów. Nie wpadł w panikę, kiedy Ali upierała się, że przełożono gdzieś jej tornister, ale znalazł go pod stołem kuchennym, gdzie go wcisnęła podczas śniadania.

Wystąpił w roli spokojnego mediatora, kiedy dziewczynki wdały się w kłótnię, spierając się, na którą z nich wypada dzisiaj kolej karmienia zwierząt. Nie załamał się nawet wtedy, gdy Bongo, zrozpaczony, że jego młodsze panie go opuszczają, nasusiał w holu.

Nie, trzymałem się mocno przez cały czas, pomyślał Michael, uruchamiając silnik. Natomiast dobrze wiem, kiedy jestem robiony w konia, ale ten numer nie przejdzie.

Irytacja przeszła w samozadowolenie, kiedy spostrzegł wybiegającą z domu Ali. Gdy otwierała drzwi samochodu, płonęła z oburzenia.

— Odjechalibyście beze mnie!?

— Zgadza się, Blondie. Wsiadaj.

Aby — biorąc pod uwagę okoliczności — nie dać poznać, że podoba się jej to zdrobnienie, odwróciła głowę.

— Są tylko dwa miejsca. Gdzie mam usiąść?

— Obok siostry.

— Ale...

— Do środka. I to już.

Po tym krótkim, przywołującym do porządku rozkazie, ruszyła się z wawo i wcisnęła obok Kayli. Kiedy Michael sięgnął, by zapiąć im pas, odęła się teatralnie.

— Nie wydaje mi się, żeby to było zgodne z prawem.

Wypowiedziała to najlepszym tonem pani na zamku, uświadomił sobie Michael. Tonem swojej matki.

— Wezwij gliny — mruknął i ruszył w dół podjazdu.

Przez następne piętnaście minut raczony był serią narzekania: „Ona się pcha”. „Ona zajmuje całe miejsce”, „Siedzi na mojej spódnicy”.

Poczuł tik powiek. Czy ktoś, ktokolwiek bądź, jest w stanie znieść to każdego ranka?

— Muszę powtórzyć słówka — jęczała Kayla. — Mam sprawdzian. Michael, Ali znowu wbija mi łokieć w żebra.

— Ali, trzymaj się uchwytu. — Zdmuchnął włosy, które, dzięki temu, że sprawił prezent Kayli, tańczyły na wietrze i wpadały mu prosto w oczy.

— Tu jest za mało miejsca — poinformowała go wyniośle Ali. — Ona zajmuje całe siedzenie.

— Wcale nie.

— A właśnie, że tak.

— Ale ja...

Warkot, jaki wydobył się z siedzącego obok nich mężczyzny, osadził na miejscu obie dziewczynki. Na chwilę zapanowało milczenie.

Usatysfakcjonowany Michael odetchnął głęboko.

— Jakie to słówka?

— Nie mogę sobie przypomnieć. Zapisalam je w notesie. — W jej głosie znowu pojawił się jęk. — Jeśli nie dostanę stu punktów, nie będę się mogła bawić na komputerze podczas przerwy.

— Więc wyjmij notes.

Zgodnie z oczekiwaniem sprowokowało to kolejną lawinę narzekań.

— Depczesz mi po butach. Brudzisz mi je. Kayla, bo pożałujesz...

— Nie chcę więcej słyszeć o tych butach, Blondie. — Wrócił tik, ze zdwojoną siłą. — Ani słowa o butach.

— Mam słówka. — Kayla radośnie pomachała notesem, w ferworze uderzając nim Michaela w głowę.

— No więc przerabiasz je.

— Nie, Ali będzie je czytać, a ja będę sylabizować. Muszę z każdym ułożyć zdanie.

— Nie chcę ich czytać.

Michael obrzucił Ali krótkim spojrzeniem.

— A chcesz iść pieszo?

— Och, już dobrze. — W niewybredny sposób wyrwała notes. — To słówka dla niemowląt.

— Wcale nie. Jesteś po prostu złośliwa, bo Tod woli Marcie bardziej niż ciebie.

— Wcale jej nie woli. A poza tym mało mnie to obchodzi. A ty nie nauczyłaś się słówek, ponieważ byłaś za bardzo zajęta rysowaniem głupich obrazków.

— One nie są głupie. Ty jesteś głupia, bo...

— Milczcie! I to już! Bo zatrzymam samochód... — Zatrwożony, zamilkł. Czy właśnie wypowiedział to, co miał na myśli? Dobry Jezu. Zmusił się do wielu uspokajających oddechów. — Allison, proszę, czytaj te słówka.

— Właśnie mam zamiar. — Czując co się święci, pochyliła się nad starannie wypisaną listą. — P r z e k a z a n y . — Kayla jak papuga przeliterowała wyraz, po czym zasepiła się, szukając odpowiedniego zdania. Spojrzała z nadzieją na Michaela.

— Michael Fury, Bogu ducha winny ochotnik, który się zgodził dowieźć do szkoły dwie dziewczynki, został przekazany do instytucji dla nieuleczalnie chorych umysłowo.

Rozśmieszył tym Ali.

— Był po prostu niemądry.

— Nie byłbym tego taki pewny, dziecko. — Wysilił umysł, by zaproponować inne zdanie do wyboru. — Mężczyzna, który dokonał przestępstwa, został przekazany policji. A jak to?

— W porządku.

Przerobili resztę. Gdy dojechali pod bramę szkoły, Michael miał już prawie zeza. Stanął swoim starym porsche obok błyszczących mercedesów, statecznych lincolnów i innych superpojazdów.

— Zjeżdżajcie — powiedział, odczepiając pasy. — Jestem spóźniony.

— Masz nam życzyć dobrego dnia — przypomniała mu Kayla.

— Taa? Więc wam życzę. Do zobaczenia.

— Michael. — Upomniała go wzrokiem. — A teraz nas pocałuj na do widzenia. — Ułożyła buzię w ryjek i sama go cmoknęła.

Rzucił wesołe spojrzenie w stronę Ali.

— Ali mnie nie chce pocałować. Jeszcze jest na mnie wściekła.

— Nie jestem — prychnęła dumnie, po czym z wdziękiem nachyliła się nad Kaylę i dotknęła wargami jego policzka. — Dziękuję za podwiezienie nas do szkoły.

— Otrzymałem... niezłą lekcję — odparł, a następnie przyglądał się im, jak wbiegają po granitowych stopniach wraz z tłumem innych dzieci.

— Jezus, Lauro. — Oparł obolałą głowę na kierownicy. — Jak ty to znosisz każdego dnia, że też nie popadłaś jeszcze w ciężki alkoholizm?

Mogłaby mu odpowiedzieć, że wszystko jest kwestią dyscypliny, planowania i priorytetów. I modłów o cierpliwość. Pod koniec tego szczególnego dnia, ponieważ pierwsze trzy zasady wymknęły się spod jej kontroli, modliła się ze zdwojoną siłą.

Czy mogła przewidzieć, że dwie rywalizujące ze sobą w czasopismach kobiety zaczną się okładać pięściami w holu? Nie, nie pomyślała o tym. Czy mogła się spodziewać, że dwóch jej chłopców na posyłki usiłujących powstrzymać je od ciągania się za włosy, kąsania i obrzucania wywiskami, trzeba będzie zszywać? Chyba raczej nie. Natomiast po takim wydarzeniu mogła się spodziewać przybycia prasy, kamer, gradu pytań i konieczności odpowiadania na nie. Ale nie miała obowiązku czuć się z tego powodu zadowolona.

Także w „Pretensjonalnej Galerii”, gdzie zjawiła się z lekkim opóźnieniem, sprawy nie układały się gładko. Oburzona Kate krzyczała na Margo,

że ta ośmieliła się grzebać w jej świętych, nietykalnych kolumnach liczb w komputerze.

Pojawiła się także klientka, która, nie bacząc na trójkę swoich dzieci, zapomniała o bożym świecie w dziale z ubraniami, podczas gdy one ganiały jak oszalałe.

Rezultatem tego był stłuczony wazon, pobrudzone palcami gabloty i stargane nerwy. Na grzeczną prośbę, by zajęła się dziećmi i pokryła straty, kobieta rozgniewała się i z urażoną miną opuściła sklep.

Życie nie stało się bynajmniej prostsze, kiedy, bliska rozpaczy, wróciła do domu i została postawiona wobec konieczności przygotowania na najbliższy termin projektu doświadczenia z przyrody, dobrowolnego udziału w charakterze opiekunki w szkolnej wycieczce do akwarium i odwiecznej zmyry rodziców — dzielenia ułamków.

Kiedy odkryła, że Bongo, pragnąc zademonstrować swoje dla niej uwielbienie, zakradł się do jej szafy i pogryzł trzy pantofle — każdy z innej pary — nie odzyskała bynajmniej humoru.

A następnego dnia przyjeżdżali rodzice.

W porządku. Przebrała się w spodnie, usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Przetrzywała i to. Lekcje zostały odrobione, Bongo ukarany, a procesowanie się z powodu dwóch kobiet, które o mało się nie staranowały i wyrządziły szkody, byłoby niezgodne z tradycją sieci Templetonów.

Potrzebowała trochę świeżego powietrza. Przy okazji zobaczy, co stary Joe zdziałał w ogrodzie, czy zgrabił dróżki. A ponieważ zapomniała zapytać Ann, czy basen został oczyszczony i przygotowany na przyjazd matki, postanowiła sama to sprawdzić.

Podwijając po drodze rękawy, mijała pokój Ali. Przystanęła na chwilę, uśmiechnęła się do siebie. Dobiegły ją stamtąd rozszczebiotane głosy obu córek, rozprawiające zżywieniem o ostatnim bożyszczu kina, który nie jest jeszcze aż tak stary, by musiał się golić. Dziewczynki chichotały.

Gdy jej córkom dopisywał humor, świat stawał się bezpieczny i przyjazny.

Wymknęła się bocznymi drzwiami, wiedząc, że Ann nie omieszka jej pouczyć, iż prace w ogrodzie i przy basenie należą do starego Joe i jego wnuka. A przecież Laura wiedziała, że młody Joe wkuwa właśnie ostro do egzaminów do college'u. Cała jałowa dyskusja musiałaby im zająć co najmniej dziesięć, jeśli nie dwadzieścia minut. Poza tym odpowiadało jej nie absorbujące umysłu ręczne wypompowywanie basenu.

Była to również okazja, by pomarzyć w ogrodzie, który, co stwierdziła z przyjemnością, zakwitł przepięknie. Pewnie zapalenie torebki stawowej dawało się mniej we znaki staremu Joe. Porobił nowe kłomby jednorocznych roślin, dosadził między nimi różnobarwne byliny o wyszukanych formach.

Starannie oczyścił dróżki, spryskał wodą i równiutko wygładził grabiami.

— Wygląda na to, że mamy robotę — odezwała się do szczeniaka, który biegł obok niej. Był tak bardzo zawstydzony i z taką skruczą obliżał jej twarz, iż musiała mu wybaczyć incydent z butami. — A teraz siadaj i zachowuj się przyzwoicie.

Pragnąc się zrehabilitować, Bongo klapnął na krawędzi basenu i znad swych brudnych łap spoglądał na nią rozmiłowanym wzrokiem.

Oczywiście, rozmyślała Laura, gdybym nie zapomniała pojechać po nowy filtr, można by automatycznie oczyścić basen. Wystarczy, żebym to sobie zapisała po powrocie do domu. W przeciwnym razie złamię się i kupię jeden z tych elektronicznych notatników, jakie stale nosi w kieszeni Kate.

Ale rozwinięcie i podłączenie gumowych węży nie stanowiło problemu. Robiła to machinalnie, oddając się marzeniom na jawie. Ułoży dzieci do snu. To wielka radość widzieć uśmiechniętą Ali i móc ją przytulić na dobranoc.

Być może Ali rozczarowała się do ojca, ale czuła się już znacznie lepiej. A to najważniejsze.

Przejrzy razem z Annie rachunki domowe. Pomyślała, że od tej strony wszystko się jakoś nieźle układa. Jej podwójne dochody oraz zyski z inwestycji, jakie poczyniła za nią Kate, pozwalały się utrzymać na powierzchni. Z obliczeń Laury wynikało zaś, że w ciągu najbliższych sześciu miesięcy uda im się może przepłynąć kilka długości.

Jeśli więc nie zaistnieje jakaś wyjątkowa potrzeba, nie będzie już sprzedawała swojej biżuterii. Przystanie dawać wymijające odpowiedzi rodzicom i Joshowi.

A może, choć to tylko hipoteza, zdoła sprytnie wygospodarować środki na kupno konia dla Ali. Później dokładnie rozejrzy się w rachunkach. Albo jutro, zadumała się, myśląc o Michaelu.

Chciała pójść do niego tego wieczoru, zapomnieć o wszystkim oprócz nich samych. Zrobił to dla niej, sprawił, iż gdy się z nią kochał, czuła się centrum wszechświata.

Zawsze marzyła, by trzymający ją w ramionach mężczyzna myślał wyłącznie o niej. By tak się w niej zatracił, jak ona w nim. Potrzebowała świadomości, że gdy jej dotyka, jest nią tak zaabsorbowany, iż ani w jego głowie, ani w sercu nie istnieje nic innego.

Och, jak bardzo pragnęła poznać jego serce.

To mój problem, przyznała, oczyszczając bosakami wodę w basenie. Znowu pragnęła tej szaleńczej, romantycznej miłości, o jakiej marzyła będąc dziewczynką.

Miłości Seraphiny, pomyślała, śmiejąc się po cichu. Miłości, dla której kobieta gotowa jest umrzeć.

No cóż, nie stać jej na lekkomyślność, by rzucić się dla kogokolwiek ze skał. Musi wychowywać dzieci, prowadzić dom i dbać o pracę — jakże ciekawą, o dziwo, pracę.

— To wyłącznie kwestia doświadczenia i cierpliwości.

— No cóż, nie mam chwilowo czasu, by nabywać doświadczenia. — Kłęcząca już nad ocalałymi roślinami. — I brak mi cierpliwości. Stary Joe zabije mnie za to.

— Lauro. — Przykucnął obok niej. Sprawa jest aż nadto oczywista, pomyślał, może jakoś uda mi się to jej wytłumaczyć. — On pracuje dla ciebie.

— Co ty tam wiesz — mruknęła, gorączkowo wygładzając gołymi rękami zrytą ziemię. — Wystarczy, że powącham jakąś nie wskazaną przez niego różę w jego ogrodzie, on od razu... Nie siedź tak. Pomóż mi.

— Myślałem, że nie potrzebujesz pomocy.

— Zamknij się, Michael. — Potarła ręką policzek, niosząc nań ziemię. — Po prostu zamknij się i ratuj te bratki, zanim mnie z Bongiem nie zamkną w pudle.

— Skoro tak ładnie prosisz. — Wdusił je mocno korzeniami do ziemi. Wydała bolesny, przeciągły jęk.

— Nie tak. Na miłość boską, przecież to nie są krzaki sekwoi. Odrobinę delikatności.

— Przepraszam, to mój pierwszy dzień w tym zawodzie. — Pokiwał głową, gdy przysunęła się i uklękła w taki sposób, że było więcej niż pewne, iż jej nieskazitelnie czyste, pastelowe spodnie wyładują na śmietniku. A wszystko po to, pomyślał, by nie urazić wrażliwości starego ogrodnika.

— Czy przed resztą służby również wpadasz w paniczny popłoch?

— Tak, do cholery. Większość z nich jest tutaj dłużej niż ja. To powinno wystarczyć. — Jej czarne od ziemi ręce wygładzały i przyklepywały ziemię. — Kiedy skończę, nie pozna, gdzie to było. Ale kogo ja oszukuję? Wystarczy, że się wyrwie choćby źdźbło ozdobnej trawy — od razu pozna.

— Dla mnie to wygląda ślicznie.

— Można by pomyśleć, że potrafisz odróżnić bratek od geranium — mruknęła.

— Starasz się mi dokuczyć. Coś tutaj masz... Jakby od niechcenia przejechał ręką po jej policzku, dokładając świeżą warstwę brudu. — Tutaj. I tutaj. Czegoś mi brakowało w twoim wyglądzie.

— Zdaje się, że cię to cholernie bawi! — Starając się zachować godnie, przeciągnęła ręką po twarzy, pogarszając jedynie sytuację.

— Nie. — Sięgnął po garść wilgotnego igliwia sosnowego i rzucił jej na głowę. — To po prostu jest zabawne.

— Żałuję bardzo, że nie podzielam twojego rubasznego poczucia humoru. Spróbuję się jednak dostosować. — Wytarła brudne ręce w jego koszulę. — O tak. Po prostu konam ze śmiechu.

Przyjrzał się koszuli. Dopiero co wyprał to cholerstwo.

— A więc dobrze — powiedział z maksymalnym spokojem.

Po tonie jego głosu poznała, że już nie pora na to, by się wycofać, usprawiedliwiać się, czy coś wyjaśniać. Trzeba wiać. Puściła się pędem, przyprowadzając psa o szalęńcze, radosne ujadanie. Przebiegła sprintem dwadzieścia metrów, kiedy złapała ją wół i podniósł do góry.

— Sam zacząłeś — próbowała się bronić, krztusząc się ze śmiechu.

— Właśnie. Muszę więc skończyć.

— Wypiorę ci koszulę. Ojej, uważaj! — Gdy przerzucił ją sobie przez ramię, ujrzała świat do góry nogami. — Panie Fury, niech pan nie będzie taki... władczy, jesteś taki silny, taki — co ty wyprawiasz? — Wesołość ustąpiła miejsca panice. Wystarczył jeden rzut oka, by przejrzeć jego zamiary. — Michael, to wcale nie jest śmieszne.

— Kolejny przypływ mojego rubasznego humoru — odparł, zmierzając ku basenowi.

— Proszę cię, nie. Mówię poważnie, Michael. — Broniąc się, uczepliła się jego szyi. — Jestem brudna, jest chłodno, dopiero co oczyściłam basen.

— Będziesz się mogła przekonać, jaki jest przejrzysty. — Kontrolując jej dzikie szarpanie się, zdjął buty. — Tak pięknie wygląda w półmroku, prawda?

— Zapłacisz mi za to — odgrażała się. — Przysięgam, słono zapłacisz, tylko spróbuj...

— Wstrzymaj oddech — poradził jej i wskoczył do środka.

Kiedy wylądowała w wodzie, napiła się jej i zakrztusiła, śmiał się do rozpuku.

— Ty idioto. Bałwanie. Ty... — Napiła się jeszcze więcej, gdy zanurzył jej głowę.

Nie wziął jednak pod uwagę, że Laura Templeton była kapitanem pływackiej drużyny, że miała całą szufladę medali i że niejednokrotnie wychodziła zwycięsko z potyczek wodnych ze starszym bratem.

Kiedy, zaśmiewając się, odbijał się od głębokiego dna, dała zrećźnie nurka między jego nogi i zaatakowała ręką najczulsze miejsce mężczyzny. Wzmacniała ucisk, aż dotarło do niej stłumione echo jego skowytu. Uśmiechnęła się złowieszczo i silnym ruchem odbiła się do tyłu.

Oddaliła się szybko, wynurzyła na powierzchnię i z zadowoloną miną obserwowała go, jak z trudem łapie powietrze i młóćąc rękami dopływa do brzegu..

— To dopiero było śmieszne — powiedziała, zgarniając do tyłu ociekające włosy.

Złapała już prawie oddech. Przyglądał się jej mrużąc oczy.

— Lubisz nieczystą walkę, skarbie?

— To mój żywioł, Michael. Uważaj, żebyś się nie przeliczył.

— Tak sądzisz? — Robił w życiu wiele sztuczek w wodzie. Odbił się od brzegu i zaczął się ścigać.

Była szybsza, niż przypuszczał, i zwinniej szał. Robiła go w konia. Z łatwością się wymykała robiąc przewrót do tyłu, sprytnie zmieniała kierunek, kiedy się tego nie spodziewał.

— Cóż za uroczne imię! — Z założonymi ramionami Susan cofnęła się o kilka kroków. Przystanąła, wahała się, gotowa w każdej chwili do skoku.

— Udało ci się, nie ma co! — Mocną ręką chwycił go za uźdę, ściągnął na dół jego łeb, dopóki ich oczy nie znalazły się na tej samej wysokości. — Wyszedłem przez ciebie na dumnia, kolego, uważaj, bo jeszcze pomyłę twój łeb z piłką do baseballu. Dotarło do ciebie?

Koń parsknął, po czym, gdy Michael poluzował mu wodze, szarpnął mocno łbem. Michael zacisnął dłoń na bacie, a następnie podniósł go do góry. Po pełnej napięcia próbie sił koń stanął dęba, bijąc w powietrzu kopytami.

— Do góry! — Nie bacząc na uderzające kopyta, Michael przeszedł pod nimi. — Do góry, Bękartcie. Nikt nie będzie cię karmić, jeżeli mnie zabijesz. — Przełożył bat, chwycił pełną garścią za grzywę i z rozpędem wskoczył na nieomal pionowy grzbiet.

Szybkość i lekkość tego pełnego gracji ruchu, płynność, z jaką mężczyzna i koń stopili się w jedno, wprawiły Susan w zachwyt. A także to, jak Michael wykonał na koniu pół obrotu.

Uścisk kolan zmusił konia, aby się poddał.

— Proszę zostać z tyłu — nakazał Susan, nie oglądając się za siebie. — Z tą częścią programu również mamy kłopoty.

Sprawił, że Bękart ponownie stanął dęba, zsunął się z niego i przeszedł pod roztańczonymi kopytami.

— Nie zdepzcz mnie — mruknął, czując jak drży ziemia. — Nie zdepzcz mnie, ty sukin... O cholera!

Oberwał kopytem w biodro. Lekko, ale to już się stało regułą. Pozbierał się szybko. Zajrzał koniowi głęboko w oczy.

— Zrobiłeś to umyślnie. Będziemy powtarzali ćwiczenie, dopóki go nie wykonasz poprawnie.

Utykając lekko, Michael podniósł z ziemi porzucony bat i jeszcze raz przerobił całą lekcję. A potem jeszcze raz.

Kiedy już obu brakowało tchu i kiedy wreszcie udało się bez szwanku zakończyć musztrę, utykając trochę bardziej, Michael podszedł do zawieszono-
nego na ogrodzeniu worka i wyjął z niego jabłko.

Gniadosz poszedł za nim i szturchnął go łbem w plecy.

— Nie próbuj mnie udobruchać. Daję ci to tylko dlatego, że nie wylądowałem w szpitalu.

Koń tracił go ponownie, po czym zaczął się dobierać do włosów Michaela.

— Odgryź je. Całujesz jak dupek żołądny! No masz. — Podane jabłko zostało przyjęte żarłocznie i z entuzjazmem. — A do tego masz ohydne maniery — dodał na widok wypadających mu z pyska drobnych kawałków jabłka.

— Winna ci jestem przeprosiny.

Michael przestał pocierać stłuczone biodro i błyskawicznie przeniósł wzrok na Susan. W tym zamieszaniu i koncentracji zapomniał o jej obecności.

— Nie ma sprawy. Niewykluczone, że zastanawiałem się, czyby mu raz nie przyłożyć.

— Nie, nie zastanawiałeś się. — Podeszła bliżej, pogłaskała gładką szyję konia. — Jesteś w nim zakochany.

— Nienawidzę drania. Nie rozumiem nawet, dlaczego go wziąłem.

Uśmiechnęła się, mimowolnie otrzepała kurz z rękawa koszuli Michaela.

— Z pewnością dlatego, że był źle utrzymany, źle traktowany i źle odżywiany.

Zakłopotany Michael wzruszył ramionami.

— Po prostu zainwestowałem w niego. Dobry cyrkowy popisujący się sztuczkami koń, to dobry dochód.

— Z pewnością. — Ponieważ wolała o tym nie słuchać, skierowała rozmowę na intrygujące ją pytania. — Jak ty go tego nauczyłeś, do licha? Co robisz, żeby cię nie stratował? Nie boisz się? Od kiedy z nim pracujesz?

Kuląc obolałe ramiona, Michael skoncentrował się na ostatnim pytaniu.

— Nie tak długo. Jest bystry, ale ma kanciasty sposób bycia. — Uśmiechnął się szeroko. — Przeraziła mnie pani śmiertelnie, pani Templeton. Już widziałem, jak wyrывa mi pani bat i ćwiczy mnie na oczach tego draba.

— Niewiele brakowało. — Pogłaskała konia. — Nie znoszę, kiedy ktoś się nad kimś znęca.

— Nie powiem, żebym i ja to lubił. Jakiś czas temu spotkałem na planie pewnego kowboja. Miał fantastycznego konia, łagodnego z natury, wielkodusznego. Ale kowboj nigdy nie wydawał się zadowolony, zawsze mu było mało, wyciskał z tego konia ostatnie poty, nie dając niczego w zamian. Przukro było patrzeć, jak łamie jego serce i ducha, a co dopiero, gdy sięgał po bat i nie żałował pięści ani niczego, co mu wpadło w rękę.

Michael zamilkł, by zgarnąć włosy z oczu.

— Miał mocno zaszarganą reputację. Nikt nie chciał go zatrudnić, nikt nie chciał z nim więcej pracować. Wszyscy uważali, że to się cholernie źle składa, bo koń był naprawdę niezrównany.

— Dlaczego nikt nie interweniował?

— To takie politykierstwo, układy, kowboj pracował w branży od dawna. Ja byłem w tym całkiem świeży i nie za bardzo interesowałem się politykierstwem. Przekonałem go, żeby sprzedał mi tego konia. Dogadaliśmy się w bardzo przyzwoity sposób.

— Przekonałeś kowboja, żeby ci go sprzedał?

Michael odwrócił się za siebie i spojrzał na nią.

— Coś w tym rodzaju.

— Użyłeś bata, czy tylko pięści?

— Nie lubię batów. A Max Walker, którego kupiłem, po prostu nie znosi ich widoku. — Odsunął od gniadosza worek, nim ten zdążył zapoznać się z całą jego zawartością. — Wyszła pani na przechadzkę, pani Templeton?

— Mogłabym posłużyć się tym argumentem jako pretekstem. Oboje jednak chyba wiemy, że chciałam z tobą porozmawiać.

— Taa, przypuszczałem, że albo pani, albo pani mąż zechcecie tu

przyjść. — I był na to przygotowany. — Musimy odbyć tę rozmowę podczas mojej pracy. Cały ten inwentarz potrzebuje trochę ćwiczeń.

— Zgoda. — Opuściła z nim padok i weszła do stajni. — Laura mówiła, że udzielasz dziewczynkom lekcji konnej jazdy.

— Tylko trochę podstaw. Mam parę spokojnych kucyków pod siodło.

— Wysłuchałam całego wykładu o panu Furrym i o jego koniach podczas dzisiejszego śniadania. Wywarłeś nieliczne wrażenie na moich wnuczkach. Pomogę ci — powiedziała, biorąc za uzdę jednego z koni, którego miał właśnie wprowadzić. — Wywarłeś również wrażenie na mojej córce.

— Jest piękną kobietą.

— Tak, jest piękna. I przeszła piekło. Stała się dzięki temu silniejsza. Ale łatwo ją zranić, Michael, i jest bardziej podatna na ciosy, niż możemy sądzić.

— Chce pani, żebym obiecał, że jej nie zranię. — Cofnął się o krok, kiedy konie wpadły kłusem na padok. — Nie mogę tego zrobić.

— Nie, nie zrobiłbyś tego. Jeśli dobrze pamiętam, jako mały chłopiec też wolałeś niczego nie obiecywać.

— Kto nie obiecuje, nie oszukuje — odparł zwyczajnie i zawrócił do stajni.

— Miałeś trudne dzieciństwo — zaczęła, po czym, kiedy gwałtownie odwrócił głowę, urwała, unosząc brwi.

— Nie lubię zwałać odpowiedzialności na przeszłość. Wyobrażam sobie, że miała pani dzieciństwo na medal. Czy wyłącznie dzięki temu jest pani teraz tym, kim jest?

Po chwili wahania pokiwała głową. Michael wyprowadzał kolejne konie.

— Słuszna uwaga — stwierdziła. — Nie, nie powiedziałabym tego, ale dało mi ono solidne podstawy, na których mogłam się oprzeć.

— Moje są kruche. — Choć za wszelką cenę nie chciał do tego dopuścić, ogarnęła go gorycz. — Nie musi mi pani przypominać, skąd pochodzę, pani Templeton. Dobrze wiem.

Zatrzymała go. Zamknęła rękę na jego dłoni.

— To nie była krytyka. Nie jestem ślepa, nie uważam się też za ograniczoną, Michael. Widzę przecież, czego tu dokonujesz. Wiem także, że musiałeś rozpocząć dorosłe życie znacznie wcześniej niż inni.

Nic na to nie odpowiedział. Uśmiechnęła się i puściła go.

— Wiem, co się dzieje w moim domu, Michael, i wiem, jak żyją przyjaciele moich dzieci. Jeżeli się złościsz, ponieważ współczułam tamtemu chłopcu, niech tak będzie. Było mi ciebie żal.

— Pani żal był daremny.

— Nie sądzę, ale, jak sam powiedziałeś, co było, minęło. Wróćmy do terażniejszości. Maraton macierzyństwa nie ma nigdy końca. Nigdy nie mija się linii mety, nie ma też rundy honorowej. Laura jest dorosłą kobietą, żyje własnym życiem i sama podejmuje decyzje. Ale to nie oznacza, że mogę się przestać o nią troszczyć czy nie mieć nadziei, że dokona dobrego wyboru.

Wiedział, co chce mu powiedzieć, czego po nim oczekuje.

— A biorąc pod uwagę okoliczności, zastanawia się pani, czy tym razem dokonuje dobrego wyboru.

Skinęła powoli głową.

— Tak. Nie uważam, by seks był czymś nietrwałym. Przeciwnie, wszystko zależy od szczęścia. Ale sam seks to za mało.

Spodziewał się, że zostanie przywołany do porządku, ale nie sądził, że zostanie przyparty do muru.

— Jeśli pani przyszła mnie prosić, żebym się trzymał z daleka od niej, traci pani czas. Nie zrobię tego.

Zmierzyła go wzrokiem.

— Byłabym zawiedziona i rozczarowana, gdybyś tak postąpił. Proszę cię tylko o to, żebyś był dobry.

— Chce pani obietnicy. Mogę jedno obiecać. Nigdy nie potraktuję jej tak, jak to zrobił Ridgeway. Nie oszukam jej, nie okłamię, nie wezmę też od niej niczego, czego sama nie zechce mi ofiarować. I nie zostawię jej z poczuciem klęski.

Jej spojrzenie znowu stało się surowe. Przyglądała mu się uważnie. To są słowa, tak, ale kryło się za nimi więcej powstrzymanego z trudem gniewu, niż przypuszczała.

— Rozumiesz więc lepiej, niż sądziłam.

— Doskonale rozumiem, czym jest porażka. — Wiedział także, że może taka kobieta, jak Susan Templeton, nie uważa go za człowieka, który poniósł porażkę, ale też nie jest według niej uosobieniem sukcesu. — Jeśli to wszystko, to chciałbym się zająć pracą.

— Michael. — Pamiętała, że zawsze łatwo się unosił i był drażliwy. Ujęła go mocno za rękę, przetrzymała wzrokiem jego wzburzone spojrzenie. — To miło, że znowu jesteś w Templeton House. A teraz może pokażesz mi konia, o którym opowiadałeś? Czy to ten Walker, który tak na ciebie spogląda, jakby był skłonny umrzeć, gdybyś go o to tylko poprosił?

Michael odetchnął z ulgą, zastanawiając się, czy jest taki mężczyzna, który był w stanie zrozumieć którąkolwiek z templetonowskich kobiet.

— Taa, to jest Max. Liczy właśnie na poczęstunek.

— Dlaczego mi go nie przedstawisz?

— I wyobraźcie sobie, że jej powiedziałam, że z nim sypiam — oświadczyła ściszym głosem Laura, porządkując ubrania na wieszakach. — Nie mogę wprost uwierzyć, że stałam tak i opowiadałam własnej matce, że mam stosunek z Michałem.

— Niewykłuczone, że sama by się domyśliła. — Margo ustawiała porozrzucane pantofle w przegródkach. — I może nie byłaby tym wstrząśnięta. Prawdopodobnie wie, że miałaś przedtem stosunki seksualne. Wystarczy, że spojrzysz na twoje dzieci.

— Wiesz dobrze, o czym mówię — burknęła Laura. — To się w głowie nie mieści.

— Jak ona to przyjęła?

— Całkiem niezłe. Biedny papcio krąży wokół tematu na palcach, tak jakby się bał go poruszyć i rozpętać orgię.

— No cóż, trudno jest udawać, że nic się nie stało, po tym jak pani T. przytąpała ciebie i Michaela udającego ratownika w basenie. — Zachichotała, poprawiła w lustrze włosy. — Boże, że też mnie przy tym nie było!

— Jestem pewna, że obrazek był pouczający dla obydwu stron. Zupełnie jak kiedyś, gdy Annie przytąpała nas na ściskaniu się z Biffem i Markiem na klifach. Klify!! — wykrzyknęła, nie dopuszczając Margo do głosu. — Boże Przenajświętszy, mam dzisiaj pustkę w głowie. Zaczekajcie.

Wybiegła, omal nie zderzyła się z klientką, ściągając na siebie zdziwione spojrzenie Kate. Na tyłach, w biurze, wyciągnęła z szuflady portmonetkę, a z niej, z zamkniętej na zamek przegródki, monetę.

— O co chodzi? — zapytała Kate, wsuwając się do środka. — Czyżby Margo znowu zapomniała zamówić pudełka? Nie wystarczy nam do poniedziałku, jeżeli ona... co tu masz?

— Klify. — Laura przycisnęła rękę do serca. — Wczoraj wieczorem. Zapomniałam.

— Znalazłaś jedną. — Kate doskoczyła i wyrwała Laurze monetę z ręki. Ogarnęło ją podniecenie, uczucie triumfu przepełniało jej serce. — Znalazłaś jeszcze jedną. Posag Seraphiny. I zapomniałaś nam o tym powiedzieć?!

— Dzisiaj rano było takie zamieszanie. Nie wiem, czy w ogóle dotarłabym do pracy, gdyby tatuś nie uparł się, że zastąpi mnie w hotelu, później Kayla i Ali błagały, żeby im pozwolić zostać w domu i spędzić czas z mamą, a... och, co tam — zakończyła machnięciem ręki. — Tak, zapomniałam.

W drzwiach ukazała się Margo.

— Co wy sobie wyobrażacie? Może byście zabrały się do pracy? Mamy klientów, którzy... co tam macie?

— Laura to znalazła. I zapomniała.

— Gdzie? — Zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, Margo wzięła monetę od Kate. — Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. Na klifach. W tym występie, na którym lubimy czasami przysiąść. Właśnie tam siedziałam, rozmyślałam, a kiedy zabierałam się do odejścia, zobaczyłam ją. Właściwie poczułam — poprawiła się Laura. — Położyłam na niej rękę. Siedziałam tuż obok niej.

— Tak jak poprzednio — wyszeptła Margo. — Jedna czekała w taki sposób na mnie, a jedna na Kate. To znak. To coś znaczy.

— Znowu ona! — Kate wywróciła oczami i oparła się biodrem o biurko.

— No a jak byś to mogła inaczej określić? — zachnęła się Margo. — Szukamy jak maniaczki, robimy to bezustannie od dzieciństwa. I nic. Jeszcze tylko nie spenetrowałyśmy tych klifów pincetkami. I nic — powtórzyła,

gestykulując żywo. — Po czym każda z nas tam idzie, w jakimś zwrotnym punkcie swojego życia, i jest. Moneta. Jedna dla każdej. To znaczy...

Urwała, spojrzała znad pobłyskującej monety i wpatrzyła się w Laurę.

— To znaczy — cedziła słowa — że jesteś zakochana w Michaelu Fury.

— Jaki to ma, do licha, związek? — By zyskać na czasie, Laura odebrała monetę. Położyła ją na biurku, na środku suszki.

— W dniu, w którym przyszedłam, i znalazłam swoją, myślałam o Joshu i o tym, co począć z faktem, że jestem w nim zakochana. A Kate... — Spojrzała na przyjaciółkę, która pograżyła się w myślach. — Przyszła, rozmyślając o Byronie. Byłaś w nim zakochana, prawda?

— Taa, ale... — Kate urwała. — Wiesz co? To mi za bardzo pachnie przeznaczeniem.

— Żebyś choć na chwilę przestała rozumować jak księgowa. — Zniecierpliwiona Margo zwróciła się ku Laurze, chwyciła ją za ramiona. — Czy jesteś zakochana w Michaelu?

— To nie jest...

— Postawiłam jasno pytanie, Lauro, niech ci się nie wydaje, że nie wiem, kiedy kłamiesz.

— Już dobrze, tak, ale to nie jest...

— Kwestia miłości — dopowiedziała Margo. — Dla nas jest. I o to chodzi. — Wypuściła Laurę i sięgnęła do kieszeni, gdzie zwykle nosiła swoją monetę. — To coś znaczy. — Położyła ją obok monety Laury, spojrzała na Kate, która podniosła się i wyjęła swoją z portmonetki.

— To coś znaczy — zgodziła się Kate, gdy trzy monety znalazły się obok siebie. — Nawet w tym jesteśmy razem. Powiedziałaś Mickowi, Lauro?

— Nie. I nie wiem, czy to zrobię, ani jak sobie z tym poradzę. Nie potrafię drobiazgowo planować spraw jak ty, Kate, ani zdać się na instynkt, tak jak ty, Margo. Muszę wszystko zrobić po swojemu. A to oznacza, jak sądzę, że będę podtrzymywała złudzenia i czekała, co się wydarzy. Jestem odpowiedzialna za swoje emocje.

Następnie uśmiechnęła się, przesunęła koniuszkiem palca po wszystkich trzech monetach.

— Znak od Seraphiny. No cóż, niewykluczone. Może chce mi powiedzieć, żebym tym razem nie wkładała wszystkich marzeń w ręce jednego mężczyzny.

— A może chce ci powiedzieć, że znajdziesz to marzenie, jeśli będziesz wiedziała, gdzie go szukać. — Margo objęła ją ramieniem. — Tak czy owak, nie możesz przestać szukać. To tak, jakby się rzucić z klifu.

— Nie przestałam szukać. — Nim sięgnęła po swoją monetę, poklepała rękę Margo. — I uważam, że należy to uczcić. Spotkajmy się wieczorem i otworzymy butelkę szampana!

— Już mnie przekonałaś. — Kate włożyła monetę do kieszeni. — I tak miałam zamiar przyjść. Nocny poker u De Witta.

— Świetnie. — Laura uśmiechnęła się szeroko. — Tatuś już zaciera ręce. A co ty na to, Margo?

— Pojawię się. — Margo zgarnęła swoją monetę, ale zatrzymała ją w rękę. Miała nadzieję, że Laura nie schowa swojej ani swoich marzeń nazbyt pospiesznie. — Może upijemy lekko mamę i panią T. i same zagramy w pokera.

— Możecie na mnie liczyć. A może byśmy... — Gdy rozległo się energiczne pukanie do drzwi, Kate urwała. Klientka, która wsunęła do środka głowę, była najwyraźniej zirytowana i zniecierpliwiona.

— Przepraszam, ale czy ktoś tutaj pracuje?

— Jest nam bardzo przykro. — Rozpływając się w pojednawczych uśmiechach Laura wyszła do niej. — Miałyśmy drobny problem. W czym mogę pani pomóc?

Jeszcze nigdy nie jechał na pokera limuzyną z szoferem. Nie był do końca pewien, co o tym sądzić. Jeździł już czymś takim. W końcu, jak by nie było, pracował przez pięć lat w Hollywoodzie.

Ale na pokera? To mu za bardzo zalatywało pretensjonalnością.

Co więcej — jak powiedział Josh, gdy przyszedł do stajni, żeby go ściągnąć na karty — nikt nie będzie się musiał przejmować ilością obalonego piwa.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Michael stwierdził, że wielka limuzyna, opera i poker nie pasują do siebie, i już zaczynał żałować, po jakiego licha dał się w to wrobić.

— Czuję, że mi szczęście dopisze. — Thomas zaczepnie poruszył brwiami. — Mam nadzieję, chłopcy, że wzięliście dość pieniędzy.

To uświadomiło Michaelowi, że jego wyobrażenie o dużej ilości pieniędzy i wyobrażenie Thomasa Templetona pasują do siebie jak pięść do nosa.

Chryste, mógł stracić koszulę i własne ego w jeden rozrywkowy wieczór.

— Moja żona zakochała się w Tennessee Walkerze, którego masz w stajni, Michael. — Thomas skrzyżował w kostkach nogi i postanowił się przekonać, jak dalece uda mu się sprowokować młodego Michaela Fury. — Może, zanim skończymy ten wieczór, wygram go od ciebie.

— Nie zakładam się o moje konie — odparł z lekkością Michael — ani o moich przyjaciół. Ładny zegarek, panie Templeton. — Rzucił okiem na niewielkiego złotego rolexa Thomasa. — Przydałby mi się nowy zegarek.

Thomas parsknął śmiechem i klepnął Michaela w kolano.

— Każdy lubi sobie pomarzyć. Czy opowiadałem ci o czasach, kiedy grałem w siedmiokartowego stud pokera przez trzydzieści sześć godzin? To było w Chicago w 1955 roku. No więc...

— Błagam, tylko nie tę trzydziestosześciodziną historyjkę z Chicago — jęknął Josh.

— Zamknij się, Harvard. — Czując się nieomal na luzie, Michael wyciągnął przed siebie nogi. — Niektórzy z nas jej nie słyszeli.

Uradowany Thomas uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Więc ci opowiem, może to cię odstraszy!

Jazda nie okazała się wcale taka najgorsza. A sprawy poprawiły się zdecydowanie, gdy zatrzymali się na podjeździe wielopoziomowego domu przy siedemnastomilowej trasie turystycznej, a zsofer w uniformie wyładował z bagażnika limuzyny dwie skrzynki piwa blue moose z browaru Templetonów.

— To jest dopiero piwo — orzekł Michael, po czym, z założonymi za kieszenie kciukami, zaczął się przyglądać drewnu, szkłu, poszczególnym poziomom i ogrodom domostwa De Wittów. — Dom też niełychy.

— Mają stąd także łatwy dostęp do plaży — dodał Josh. — Kate poleciła Byronowi tę posiadłość, nim jeszcze się zesзли.

— Miała nosa. To do niej podobne — orzekł Michael. — Bezbłędne w linii, z klasą, niepowtarzalne. Rany, no nie! Mustang z 65 roku. Czerwony, **jak** trzeba. Podszedł do samochodu, czułym gestem pogłaskał osłonę. — Ale cacko. A ta corvetta! Pierwszy opływowy sting ray. Mmm, ślicznotko, niech no cię poklepię po masce.

— Będziemy grać w pokera, czy kochać się przez całą noc z nieożywionymi przedmiotami?

Michael spiorunował Josha wzrokiem.

— Nieożywiony przedmiot! Ty pało! Takie cudenka, jak to, mają więcej osobowości i sex appealu niż połowa kobiet, z którymi umawiałeś się na randki.

— To znaczy, że nie widziałeś kobiet, z którymi się umawiałem.

— Z niektórymi z nich sam się umawiałem. — Michael ruszył w stronę frontowych drzwi, oglądając się przez ramię na samochody, a następnie na Josha. — Nie wyłączając twojej żony.

Uśmiech Josha stracił na pewności, podobnie jak jego nogi.

— Nigdy nie umawiałeś się z Margo na randki.

— Czyżby? — Śmiejąc się w duchu, Michael wspiał się po kilku drewnianych schodach. — Coś mi się zdaje, że przypominam sobie kilka interesujących wieczorów we Francji.

— Próbujesz mnie zwyczajnie wytrącić z równowagi.

A więc to zdaje egzamin.

— Zapytaj sam — powiedział dobrotliwie Michael.

Niech go kule biją, jeśli tego nie zrobi. Odpędzając przetaczające się przez głowę obrazy, Josh sięgnął przez ramię Michaela i otworzył drzwi. Dwa wielkie żółte psy rzuciły się ku nowo przybyłym.

— Nip, Tuck, siad! — wydał rozkaz Byron, ukazując się w drzwiach przestronnej bawialni. Psy usiadły, zad w zad, choć nie przestały drzeć z emocji. — Piwo można zanieść do kuchni, dziękuję. — Wskazał kierowcy kierunek. — Myślicie, że to wystarczy?

— Spieszylimy się — odparł Josh. — Posłaliśmy po więcej. Masz żarcie?

— Upichciłem coś w biegu.

Nie mogąc się oprzeć dwóm wywalonym jezorom i dwóm parom wpatrzonych z uwielbieniem oczu, Michael ukucnął i zaprzyjaźnił się z psami.

— Ty gotujesz?

— A czy miał inny sposób, żeby mnie skłonić do małżeństwa? — Kate przeszła szybkim krokiem, uśmiechnęła się lekko.

— Jeszcze tu jesteś? — Josh wyciągnął rękę i szarpnął ją za włosy. — Dołącz do swojej grupy.

Odepchnęła go łokciem.

— Właśnie wychodzę. Ale chcę powiedzieć, że pomysł męskiego pokera jest prehistoryczną praktyką, którą uważam za obraźliwą, zwłaszcza gdy odbywa się w moim własnym domu.

Jako rozsądny człowiek, Byron nie skomentował uwagi, tylko zrobił pobłażliwą minę za plecami Kate. Ale Michael nie musiał przebywać z nią na co dzień pod jednym dachem, więc postanowił sobie pofolgować, wyprostował się, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dobra, dobra, powiedz to Glorii Steinham i zwiewaj.

— Nie mam najmniejszego zamiaru zostać i przysłuchiwać się bandzie przeklinających, opryskliwych kretynów, opowiadających kłamstwa na temat kobiet, które mieli. — Z dumnie podniesioną głową porwała torebkę z krzeselka.

— A ja miałem zamiar opowiedzieć Byronowi wszystko o tamtej nocy, kiedy cię poderwałem na Nabrzeżu Rybaków, i kiedy...

— Zamknij się, Mick — Zmarszczyła brwi, zaczerwieniła się. — Wychodzę.

— Zaczekaj chwilę. — Byron próbował ją złapać, nie udało mu się. — Jaka znowu noc?

— Nie ma o czym mówić. — Gdyby mogła, zasztyletowałaby Michaela wzrokiem. — Nie ma o czym mówić!

— A fe, skarbie! — mruknął Michael. — Teraz to już ranisz moje uczucia.

— Mężczyźni to świny — rzuciła przez ramię, zatraskując za sobą drzwi.

— W porządku, pozbyliśmy się jej — orzekł Michael. — Gdzie karty?

— Margo i Kate? — Zastanawiał się Josh, mrużąc oczy.

— Musisz chyba przyznać, że mam dobry gust, prawda? — Michael włożył ręce do kieszeni. — No więc, gdzie są karty?

— Mężczyznom należą się ich drobne przyjemności. — Susan wyciągnęła się na długim oparciu wneki. — Podobnie jak nam potrzebne są nasze.

— Jestem innego zdania. — Oparta o górę poduszek Margo sięgnęła do miseczki z prażoną kukurydzą. — Kate doprowadza to do szału.

— Gdzie jest Kate? — Laura wyjrzała przez okno. — Powinna już być.

— Och, pewnie chciała jeszcze przed wyjściem wstrząsnąć ich sumieniem. — Margo wzruszyła ramionami, sięgnęła po szampan. — Wkrótce tu będzie. O ileż to lepsze niż poker, piwo i kłęby dymu z cygara, ale ona nie byłaby sobą, gdyby nie wyraziła swojej opinii. Mamo, kieliszeczek?

Ann odłożyła przeznaczone na dzisiejszy maraton kasety wideo.

— No cóż... może odrobinę.

Był szampan, prażona kukurydza, surowe jarzyny i patera świeżych owoców. Do wyboru trzy rodzaje sosów do zamaczania, w tym z białej czekolady, i stos taśm. Niemowlę spało w pokoju dziecięcym, a jej ulubienice były tutaj. Margo uznała to za idealną panięńską noc.

— Pomaluję ci paznokcie.

— Nie chcę robić zamieszania.

Margo uśmiechnęła się do matki.

— To jest zabawa, mam. Mam doskonały dla ciebie odcień — Czerwień Namiętej Kochanki.

Ann parsknęła w kieliszek.

— W życiu nie użyłabym czegoś takiego. Tak jakbyś mi kiedykolwiek małowala paznokcie!

— Mężczyźni za tym szaleją. — Żeby się podrażnić, Margo przysunęła się bliżej. — A rzeźnik Bob od lat ma na ciebie oko.

— Nic podobnego. — Z rumieńcem na twarzy Ann zaczęła grzebać w stercie taśm. — To nonsens. Utrzymujemy dobre sąsiedzkie stosunki. Nic poza tym.

— Dla panny Annie odkłada najlepsze kawałki. — Margo zatrzepotała rękami i roześmiała się. — Powinnaś go potraktować czulej któregoś dnia. Och, Lauro, przestań się martwić o Kate. Zaraz tu będzie.

— Nie martwię się, po prostu wyglądam. — I myślę o Michaelu, przyznała się przed sobą. Co teraz robi, dlaczego ich drogi nie skrzyżowały się od ubiegłej nocy. Odeszła jednak od okna, nalała sobie kieliszek. — Co obejrzymy najpierw? Jestem za „Mieć i nie mieć”.

— „Potrafisz gwizdać, prawda, Steve?” — Susan westchnęła, zanurzyła wilgotną czerwoną truskawkę w białej czekoladzie o konsystencji kremu. — Mistrzowskie powłóczyście spojrzenie.

— Najlepsze na świecie spławienie — powiedziała Margo, kontynuując temat. — Bette Davis. „Pragnęłabym cię pocałować, ale właśnie umyłam włosy”.

— Najlepsze rozdzierające pożegnanie — powiedziała Laura, przybierając odpowiednią pozę. — Kiedy Bogart mówi do Ingrid Bergman: „Zawsze nam pozostanie Paryż”.

Kiedy dziesięć minut później przyszła Kate, debatowały gorączkowo nad dziesięcioma najbardziej niebezpiecznymi i uwodzicielskimi aktorami w historii kina.

— Newman — upierała się Margo. — Te jego oczy. Namiętne i chłodne, i niewiarygodnie niebieskie. Wystarczy obejrzyć „Długie, gorące lato”.

— Grant. — By być bardziej przekonującą, Susan podniosła się z miejsca. — Niebezpieczny, ponieważ nieprzewidywalny. Jego wdzięk rozbraja kobiety i dlatego je zdobywa.

— Bogart — upierała się Laura. — Pod każdym względem. Szorstki, groźny bohater wbrew własnej chęci.

— Nie do wiary, że dyskutujecie o mężczyznach. — Zdegustowana Kate klapnęła ciężko. — Dopiero co opuściłam cztery nadełe pawiany. Czy to biała czekolada? — Poderwała się i zanurzyła palec. — I kiedy już się nadełi — ciągnęła, oblizując czekoladę — okazywali swoją wyższość i sarkazm. Najgorszy był Mick. Nie mogę wprost zrozumieć, po co wspomniał o tym, jak wpadłam na niego na nabrzeżu i jak później...

— Później? — Laura nadstawiła uszu. — Co później?

— Nic. — Muszę coś wrzucić na ząb, postanowiła Kate i zabrała się do jedzenia. — Nic nie było. Przyjechał do domu na przepustkę, sprawiał wrażenie... zainteresowanego. Pojechaliśmy na przejażdżkę, to wszystko.

— Pojechałaś na przejażdżkę? — powtórzyła Laura. — Z Michaelem? I to wszystko?

— No już dobrze, taa, prawie wszystko. — Teraz to się wrobiłam, pomyślała Kate, gdy wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. — Dobra, w porządku, może i poeksperymentowałam odrobinę, przez chwilę. Kto się zajmuje magnetowidem?

Zanim zdążyła się podnieść, by się tym sama zająć, Laura przygwozdziła ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

— Określ precyzyjniej ten eksperyment.

— Pozwoliłam mu się pocałować... kilka razy. To wszystko. Nic więcej. Czy mamy „Drapieżne malarstwo”? Mogłabym się jednocześnie oswoić ze śmiechem.

— Migdaliliście się z Michaelem w jego samochodzie?

— Niezupełnie. Nie nazwałabym tego migdaleniem się. Margo. — Wzywała przyjaciółkę na pomoc.

— Nie, kilka pocałunków to jeszcze nie jest migdalenie się. Robiłam to z nim, więc wiem, co mówię.

— Ty... — Wstrząśnięta Laura złapała butelkę szampana. — Ty...

— Daję mu dziesiątkę zarówno za technikę, jak i za styl. A ponieważ miało to miejsce wiele lat temu, mogę tylko przypuszczać, że jeszcze poprawił klasę. — Roześmiała się, podniosła z miejsca, by puścić dla siebie film. — Teraz pani T. zastanawia się, czy powinna to skomentować, i czy w ogóle coś na ten temat powiedzieć, a mama aż kipi z oburzenia, że ten niegodziwiec Michael Fury wbijał się swoimi niezwykle ponętnymi wargami w jej wszystkie trzy dziewczynki.

— Ty już się chyba nigdy nie nauczysz lepszych manier — zachnęła się Ann.

— Bo nie lubię cię rozczarowywać. A więc on jest jednym z najmniejbezpieczniejszych mężczyzn. — Przechyliła się, poklepała matkę czule po kolanie. — Dzięki Ci Boże za nich.

Rozdział siedemnasty

Nie czuł się szczególnie zagrożony, mimo że dostał w kolejnym rozdaniu same śmiecie. Trzymał się nieźle w pierwszej godzinie gry, stawiając raczej bezpiecznie, a nawet przezornie, obserwując jednocześnie sposób zachowania każdego z przeciwników.

Trzeba przyznać, że byli dobrzy, wszyscy trzej. To nie była gra na jelenia. Mogli sobie być wysokiej klasy graczami, uprawiającymi zwykle hazard w pałacach, ale on nabrał wprawy na pokładzie statku, gdzie nuda mogła skłonić człowieka do postawienia całej miesięcznej pensji, byle tylko przerwać monotonię.

Michael wiedział, że przy stoliku karcianym, jakimkolwiek stoliku karcianym, mądry człowiek obserwuje swój łup i przeciwników.

Gdy Josh miał pewną kartę, pstrykał kciukiem w brodę, a kiedy blefował, jego oczy stawały się nieobecne i chłodne. Kiedy De Witt był pewny wygranej, miał zwyczaj sięgać po piwo. Templeton zaś, no cóż, z Templetona był szczwany lis, ale już w drugiej godzinie gry Michael zauważył, że kiedy facet szykuje się do zgarnięcia puli, zaciaga się mocniej cygarem.

Po namyśle Michael wymienił karty, zatrzymując nędzną parę trójek. Wybór należał do niego, rozważył realne szanse, doszedł do wniosku, że pora wkroczyć do akcji.

— Twoich dziesięć — powiedział do Joshua, dokładając swoje żetony. — Przebijam o dziesięć.

— Daję dwadzieścia. — Byron machinalnie podrapał jednego z psów. Znak, że nic nie ma, pomyślał z zadowoleniem Michael. — Wchodzę.

— Dwadzieścia. I jeszcze dziesięć — podbił pulę Thomas.

— Beze mnie. — Josh rzucił karty i wstał, by wzmocnić się przy bufecie ogromnym sandwiczem.

— Dokładam i podnoszę o dwadzieścia.

— Zdaje się, że możesz tak w nieskończoność. — Byron wrócił do poprzedniej pozycji, wypił duży haust piwa.

Chłopak podnosi pulę od początku rozdania, rozważał Thomas, oglądając śliczną trójeczkę dam w ręku. No cóż, trzeba będzie sprawdzić, z czym się czai.

— Twoich dwadzieścia i jeszcze pięćdziesiąt.

Spotkali się wzrokiem nad kartami. Michael przetrzymał spojrzenie i dodał do puli żetony.

— Pięćdziesiąt. I w odpowiedzi jeszcze pięćdziesiąt. Sprawdzasz czy nie?

Thomas bacznie przyglądał się przeciwnikowi, po czym gwizdnął przez zęby.

— Poddaję się tym razem — zdecydował i rzucił karty. — No więc? — zapytał, gdy Michael zgarniał żetony. — Co miałeś?

Kiedy Michael skwitował to uśmiechem i zaczął układać na kupkę żetony, Thomas kolejny raz gwizdnął.

— Błefowałeś. Widzę to. Miałeś gówna w karcie.

— Żeby zobaczyć, trzeba płacić, panie Templeton.

Mrużąc oczy Thomas przechylił się do tyłu.

— Tommy — powiedział. — Kiedy facet blefuje z zimną krwią, powinien mówić do mnie po imieniu.

— Moje rozdanie. — Michael zgarnął karty, potasował je. — Stud poker. Siedem kart. — Uśmiechnął się od ucha do ucha. — Wchodzisz, Tommy?

— Wchodzę i pozostanę w grze, kiedy ty będziesz się wił na podłodze i prosił mnie o litość.

Michael wszedł do gry.

— Każdy lubi sobie pomarzyć.

Thomas parsknął śmiechem, po czym sięgnął do kieszeni.

— Niech mnie kule biją, dasz się lubić, Fury. Masz cygaro. Prawdziwe, nie jakiś tam damski dymek, którym zaciąga się Byron.

— Dzięki, ale przestałem. — Nadal jednak tęsknie wdychał opary dymu. — Cokolwiek by mówić, to te kubańskie za bardzo przypominają kutasa.

Josh zakrztusił się dymem, wyjął cygaro z ust.

— Dzięki, Mick, naprawdę czuję, że zaczynam się bawić.

Zanosząc się śmiechem, Thomas uderzył ręką w stół.

— Rozdawaj, i przygotuj się, że stracisz koszulę.

W trakcie trzeciej godziny Michael zrobił przerwę i poszedł się przejść. W towarzystwie psów oglądał zatapiającą się w morzu noc.

— Niesamowite miejsce, prawda?

Michael spojrzął przez ramię w stronę zbliżającego się Byrona.

— Trudno o lepsze.

— Myślałem, czy nie zbudować małej stajni tam, na skraju cyprysowego gaju. Coś prostego, z dwiema przegrodami.

— Dwiema?

— Sądzę, że życie w pojedynkę jest smutne, nawet dla konia. Bardzo mi się spodobała łąciata klacz.

— Ona jest słodka. — Wetknął język w policzek. — Czy rozważyłeś to z żoną?

Oczy Byrona były łagodne i wesołe.

— Znam wiele sposobów, by podejść Kate. Niewykluczone, że i ty je znasz po tym, jak poderwałeś ją na Nabrzeżu Rybaków.

— To była tylko próba wrzucenia kamyka do jej ogródka. I do twojego. — Podniósł do góry ręce. — Nigdy jej nie tknąłem. Prawie.

Byron zachichotał, potrząsnął głową.

— Spuśćmy zasłonę na tę trudną sprawę, ale jeśli chcesz się przejechać po Joshu w związku z Margo, uważam, że to może być całkiem interesujące.

— Wolę się z nim nie bić. Jest twardszy niż wygląda. Straciłem trzy zęby, kiedy byliśmy dwunastolatkami. — Michael dotknął językiem miejsca po wybitych zębach. — A jego staruszek gotów jest jeszcze włączyć się i przyjąć zakłady.

— To cały Templeton. Stawiają w każdej sytuacji. Wystarczy spojrzeć, jak Kate, Margo i Laura postawiły na sklep.

— Zamierzam kiedyś jeszcze tam pójść. Nie z powodu damskich fatałaszków, ale jestem ciekaw, jak Laura sobie radzi z papierkową robotą.

— Byłbyś zdumiony i pod wrażeniem. Bo ja byłem. Dało im to także coś trwałego i specjalnego.

— Utrzymanie.

— Nie tylko. To także więź, wspólny cel, i miłość. — Czy to piwo, czy rozmowa o kobietach wprawiły go w sentymentalny nastrój, dość, że Byron kontynuował swój wątek. — Nie było mnie przy tym, kiedy wpadły na ten pomysł, zorganizowały się i podjęły ryzyko. Margo wyprzedziła prawie wszystko, co miała, moja przezorna księgowa włożyła do wspólnej kasy swój rozsądnie ulokowany kapitał, a Laura sprzedała obrączkę.

— Sprzedała obrączkę na ten sklep?

— Taa. To było tuż po tym, kiedy się okazało, że Ridgeway wyczyścił do dna ich wspólne konta. Nie wzięłyby na to pieniędzy Templetonów, zastawiła więc obrączkę i pierścionek zaręczynowy, żeby zadatkować budynek. Co za kobiety!

— Taa — skrzywił się Michael w stronę morza. — Światowa dama, modelka i księgowa.

— Naharowały się przy tym. Szorowały, szlifowały i malowały. I kombinowały, co zrobić, żeby to zagrało. Zatyka mnie, ilekroć tam wchodzę i widzę je razem, zawsze i we wszystkim razem. Można je spotkać na klifach, kopiące w skałach, ryjące w śmieciach w poszukiwaniu posagu Seraphiny. Wciąż razem, przez te wszystkie lata. Kate była dzisiaj taka poruszona, kiedy opowiadała, że Laura znalazła kolejną monetę.

Próbował to wszystko ogarnąć, poukładać w głowie poszczególne elementy. Ocknął się nagle.

— Laura? Znalazła monetę? Kiedy?

— Ostatniej nocy. Poszła na spacer na klify. Kate mówi, że zdarza się jej od czasu do czasu tam chodzić, zwłaszcza gdy chce sobie coś przemyśleć lub побыć samotnie. Znalazła. Starą złotą monetę, taką samą jak Margo i Kate. Cholernie dziwna sprawa. Każda z nich znajduje monetę, w dużych odstępach czasu, i to przypadkowo. Ich polowania na skarb spełzają na niczym, a potem nagle buch! I któraś z nich podnosi, jak gdyby nic, monetę z ziemi, jakby tam od zawsze leżała. To zastanawiające!

Boczne drzwi otworzyły się z hukiem. Rozległ się gromki głos Thomasa.

— Czy to poker, do licha, czy jakieś zgromadzenie kościelne? Karty stygną!

— Rozdaj je więc — odrzyknął Byron. — Idziemy? — zapytał Michaela.

— Taa. Laura spaceruje wieczorami po klifach?

— Od czasu do czasu. — Byron ruszył przed siebie, opędzając się od psów, które radośnie zataczały wokół niego koła.

— I wybrała się tam ostatniej nocy, i znalazła złotą monetę?

— Hiszpańską, z 1844 roku.

— A niech to! To niesamowite!

— Powiedziałbym, że wyjątkowo niesamowite. Zaczynam wierzyć, że znajdują cały skarb. Bo są jedynymi osobami, które tego chcą.

— Nigdy nie wierzyłem w jego istnienie.

— Poproś Laurę, żeby ci pokazała monetę — zasugerował Byron. — Może zmienisz zdanie.

— Niewykluczone — powiedział półgłosem Michael, powracając na pole bitewne.

Kiedy o trzeciej nad ranem wdrapał się na schody, miał nadal swoją koszulę, konie i ego. Mógł się z tego powodu uważać za szczęśliwca. Fakt, iż wzbogacił się o ponad osiemset dolarów, stanowił dodatkową osłodę.

Pomyślał, że może je przeznaczyć na kupno ślicznego jednolatka, którego miał na oku.

Przekroczył próg frontowych drzwi i potknął się o rozciągnięty tam cieply tobołek.

— Chryste Panie! — Gdy walnął o podłogę, pies zaskomlał, otrząsnął się, po czym z pokorą zaczął obliżywać mu twarz. — Bongo. Co ty tu, do licha... Chryste, nie dobieraj mi się jęzorem do ust! — Michael otarł twarz, przesunął się i na koniec wyładował z rozradowanym psem na kolanach. — No tak, tak, przepraszasz. Skąd się tu, do licha, wzięłeś? Nauczyłeś się już rozwalać zamki?

— Przyszedł ze mną. — Laura wyszła z sypialni. — Kocha mnie. Nie chce spać sam w moim łóżku. Podobnie jak ja.

Może to było piwo, a może skutek nieoczekiwanego zderzenia się z podłogą, ale wydawało się, że gdzieś po drodze stracił głos.

Stała w świetle lampy, uśmiechała się do niego. Nie miała na sobie nic, oprócz jego koszuli. Zmierzwione włosy, zaróżowiona skóra. A kiedy już przystosował wzrok, dostrzegł, że błyszczą jej oczy, a nawet trochę błędzą.

Mówiąc jaśniej — była piękna, seksowna i pijana.

— Czy przyszłaś po czynsz?

Jej śmiech był niski i perlisty.

— Już jest po godzinach pracy. Przyszłam do ciebie. Myślałam, że już nigdy nie wrócisz. Jak wypadł poker?

— Korzystnie. A maraton filmowy?

— Pouczająco. Czyś się kiedyś przyjrzał, uważnie przyjrzał, jak ludzie się całują na białoczarnych filmach? To jest... — Westchnęła, przeciągnęła ręką po piersiach, aż przełknęła ślinkę. — Cudowne — stwierdziła. — Po prostu cudowne. Chodź, pocałuj mnie, Michael. W białoczarnym kolorze.

— Skarbie... — Przestrzegał niewiele zasad, ale o tej jednej, choć z trudem, starał się nie zapominać. Odstawił psa na bok i wstał z podłogi. — Urznęłaś się.

— Zaiste. — Odrzuciła włosy do tyłu, dla utrzymania równowagi oparła się o framugę drzwi. — Czy wiesz, Michael, nigdy w życiu nie byłam pijana. Bywałam na lekkim rauszu, przy różnych okazjach, nie przeczę. Ale nigdy pijana, nigdy. Tego się nie robi, nie akceptuje u kobiety z moją pozycją społeczną.

— Możesz być spokojna, nie zdradzę twojej tajemnicy. Odprowadzimy cię z Bongiem do domu.

— Nie idę do domu. — Wyprostowała się, złapała równowagę, zachwycona sposobem, w jaki pokój przechylał się, gdy podchodziła do Michaela. — Dopóki cię nie dostanę. A potem możesz mi powiedzieć, czy całuję równie dobrze, jak Kate i Margo.

— Cholera — mruknął pod nosem. — Wiadomości szybko krążą.

— Możesz nawet poszarpać znowu moje ubranie. — Oplotła go ramionami za szyję. — Poza tym to twoja koszula. Lubię mieć na sobie twoje ubranie. To prawie tak, jakbyś dotykał mnie rękami. Dotkniesz mnie, Michael?

— Zastanawiam się.

— Powiem ci coś w tajemnicy. — Przyłgnęła do niego, przywarła wargami do jego ucha. — Chcesz poznać mój sekret?

Gdy nastanie ranek, będzie żałowała, ale... wsunął ręce pod koszulę... pal sześć!

— Taak, powiedz mi, jaki to sekret.

— Śniłeś mi się. Przedtem też mi się śniłeś. Dawno temu, kiedy spotykaliście się z Joshem, śniłeś mi się. Ale nigdy o tym nikomu nie mówiłam, ponieważ...

— Byłoby to niestosowne w przypadku kobiety o twojej pozycji.

Wydała zduszony śmiech, skubnęła zębami płatek jego ucha. Zalała go fala gorąca.

- Właśnie tak. A wiesz, jak mi się śniłeś? Znajdowałeś mnie. Mogłam

być na klifach albo w swoim pokoju, albo w lesie, a ty mnie znajdowałeś. I moje serce zaczynało walić, tak mocno, tak szybko.

Wzięła jego rękę, przyłożyła do serca, by mu pokazać.

— Nie mogłam oddychać, ani nawet myśleć — ciągnęła, przyciskając mocniej jego rękę do piersi. — Szedłeś ku mnie, nic nie mówiąc, tylko patrząc na mnie, patrząc tak długo, aż słabły mi kolana, aż krew uderzała mi do głowy. Całowałeś mnie, tak szorstko, tak namiętnie. W taki sposób, w jaki nikt tego nie robił. Nikt inny nie śmiałby mnie dotykać w taki sposób, w jaki mnie dotykałeś.

— Nie. — To było jak zatapianie się. Patrząc na te głęboko osadzone szare oczy czułam, jakby się zatapiał. — Nikt inny.

— Rozrywałeś moje ubranie, zdierałeś je, i brałeś mnie, gdziekolwiek byliśmy. W taki sam sposób, jak tamtej nocy, jak w moich snach. Chyba musiałam zawsze wiedzieć, że stanie się to któregoś dnia.

Zakręciła się z uniesionymi rękami, jak tancerka na puentach, podczas gdy on stał w miejscu cierpiąc katusze, potworne katusze.

— To mój sekret. Śniłam o tobie. Och, wiruje mi w głowie. — Zaśmiała się, przycisnęła do niej dłoń. — W tym stanie czuję się tak, jakbym miała ciebie na sobie, w sobie, jestem wypełniona tobą. Boże, o Boże, kocham cię.

Zgarnęła palcami włosy do tyłu, uśmiechała się szeroko do niego.

— Spójrz na siebie. Stoisz tu, przyglądasz mi się. Nie spodziewałeś się nigdy, że usłyszysz takie słowa od Laury Templeton, prawda?

Stojąc tak, przyglądając się jej, wiedział, że gdyby nawet konał z pragnienia, żebrałby raczej o nią niż o jeden łyk wody.

— Prawda. Ale jeśli zapomnisz o tym do rana, będzie mi cholernie przykro.

— Jestem dziś pełna niespodzianek. — Podniosła ramiona, wygięła je za siebie i wyciągnęła się. — Obejrzałam te wszystkie filmy, wypłam to całe wino. Zjadłam czekoladę i śmiałam się. I płakałam, i wdychałam. Robiłam wszystko, co robią kobiety na babskich spotkaniach.

Opuściła znowu ramiona, zakręciła wolnego, płynnego pirueta, po czym uniosła koszulę, zdjęła ją.

— Obserwowałam Margo namawiając Annie do pomalowania paznokci, i Kate zasypiającą z głową na kolanach mojej matki. Margo niańcząca dziecko, gdy się budziło. Tak bardzo mi się to wszystko podobało, tak dobrze mi było z nimi. Moim życiem są one i moje dzieci, ale pośród tego wszystkiego, w moich najskrytszych myślach, byłeś ty. Gdzie jest Michael. Czy nadal mnie pragnie? I pomyślałam — przekonajmy się. Będę tam, gdy wróci do domu, i przekonamy się, czy pragnie. Czy sprawię, by mnie pragnał? Odpowiedz.

Nie odezwał się, nie mógł. Podeszedł tylko do niej, przyciągnął do siebie i sięgnął po swoje. Radość, pragnienie i przyjemność uderzyły w nią jak rozżarzona kula. Gdy pociągnął ją na podłogę, jej śmiech stał się równie mglisty, jak jej oczy.

— Nie, nie. — Rozochociona i ośmielona, przetoczyła się na niego. — Pozwól mi. Tym razem. Chcę zobaczyć, czy potrafię.

Bliski eksplozji, ponownie pociągnął ją na podłogę.

— Lauro, na litość boską...

— Ja. — Przerzuciła się z powrotem, potrząsnęła zamroczoną głową. — Chcę z tobą robić takie rzeczy, które mogą uchodzić za niestosowne w przypadku kobiety o mojej pozycji.

Kiedy usiadła na nim okrakiem, z największym trudem powstrzymała naglące pragnienie.

— Chcesz mnie wykorzystać, prawda?

Ściągnęła wargi na widok jego błyszczących oczu.

— Ano właśnie. Popatrz, przestraszyliśmy Bonga. Zaszył się biedak w kącie.

— Da sobie radę. Co zamierzasz ze mną robić?

— Muszę to sobie obmyślić. — Bawiąc się guzikami jego koszuli westchnęła głęboko. — Moja kolejna tajemnica.

— Jeśli będzie zbliżona do poprzedniej, może mnie zabić.

— To nie jest dobry pomysł. — Zrobiła kwaśną minę. — No cóż, a może jednak, skoro tak się mają sprawy. Peter nigdy nie podarł na mnie ubrania.

— Na Boga. Tylko nie to, a poza tym zapomnij o nim.

Ale gdy sięgnął ku niej, uchyliła się.

— Chcę ci powiedzieć, chcę, żebyś wiedział. To kawał komicznej rzeczywistości. Nasz seks był zawsze bardzo poprawny. Nie tak jak z tobą. — Nakreśliła palcem literę „v” w wycięciu jego koszuli. — Zawsze poprawny seks wieczorem, poza tym w ostatnim roku naszego małżeństwa seksu w ogóle nie było. I wiesz co? — Ułożyła ręce po obu stronach jego głowy i pochyliła się. Wzrok miała bardziej ociężały niż podgazowana kobieta.

— Co?

Wydała zdławiony dźwięk, kiedy przykrył rękami jej piersi.

— Nie krępuj się — szepnęła. — Nie mam nic przeciwko temu. Ale, jak powiedziałam, mieliśmy system. Nie, to on miał system, ja tylko brałam w tym udział. Włączał klasyczną muzykę. Szopena, zawsze tę samą sonatę. Dotąd miewam tik w oku, gdy ją słyszę. Zamykał drzwi, na klucz, żeby nie gorszyć przypadkowo zabłąkanej służącej, tak jakby personel nie miał niczego lepszego do roboty za piętnaście jedenasta wieczorem. Ponieważ, na ogół, odbywało się to za piętnaście jedenasta.

— Był więc niewolnikiem przyzwyczajęń. — Szybkim ruchem rozpiął guzik, poczuł jej ciało.

— Mmm. Nie, przestań. — Usiadła ponownie. — Rozpraszasz mnie. Wyłączał światło, kładł się do łóżka. Całował mnie trzy razy. Nie dwa, nie cztery, trzy razy, po czym...

— Nie sądzę, żebyś akurat chciał odtwarzać igraszki w wyrze w stylu Ridgeway.

— Wypraszam sobie — w małżeńskim łóżu. No więc przejdźmy od razu dalej, ponieważ to i tak jest mało interesujące. Pięć po jedenastej życzył mi dobrej nocy i zasypiał.

— Dwudziestominutowy numer, ho, ho!?

— Co do minuty. Można było według tego nastawiać zegarek. Och Michael. — Wyciągnęła do góry ramiona, kusząc gładkimi, białymi wypukłościami. — Sądziłam, że to ja. Sądziłam, że tak to się robi, że tak ma być. Ale tak nie jest, nie było, nie ma być.

Ujęła w dłonie swoje piersi, zamknęła oczy.

— Z tobą niczego nie można przewidzieć. Nigdy nie wiem, co zrobisz kiedy mnie dotkniesz, ani jak. I nigdy to nie jest stosowne, jest tak cudownie niestosowne! To, co robisz ze mną rękoma, ustami... — Położyła dłonie na jego piersi. — Czy zdajesz sobie sprawę, czym jest odkrycie, w wieku trzydziestu lat, że masz popęd płciowy?

— Nie. — Nie mógł się oprzeć, by nie uśmiechnąć się do niej. Była taka cudownie pijana. — Odkryłem go u siebie mając szesnaście lat i nigdy nie spuściłem z oczu.

Roześmiała się, odrzuciła głowę. Powstrzymał się od ugryzienia tej smukłej białej szyi, aż rozbolały go zęby.

— Och, ale to jest lepsze. Powinno być. To jak szukanie posagu Seraphiny. Wiesz, że jest, że gdzieś musi być, masz nadzieję, że jest. A gdy go znajdziesz, po długim czasie, po tym całym niedowierzaniu, jest ci tak cudownie.

— Ponieważ znalazłaś ten nieuchwytny popęd płciowy. — Przesunęła dłonie w górę jej tułowia. — Czy nie moglibyśmy zrobić z niego użytku?

— Sprawie, że będziesz sphywał potem. — Znowu się pochyliła, drasnęła go zębami w brodę. — Może nawet zaczniesz mnie błagać?

— Stajesz się zarozumiała.

— Traktuję to jako wyzwanie. — By to udowodnić, podwinęła rękawy, które natychmiast opadły. — Czy jesteś na tyle prawdziwym mężczyzną, byś zgodził się mnie nie dotykać, dopóki nie powiem, że możesz?

Uniósł brew, zastanawiając się, co też tej damie chodzi po głowie.

— Twoja strata, skarbie.

— Nie tak zupełnie. Żadnych rąk — mruknęła i położyła się obok niego. — Z wyjątkiem moich.

Zbliżyła usta do jego warg, muskała je, pieściła, skubała.

— Margo powiedziała, że masz bardzo ponętne wargi. — Uśmiechnęła się, gdy się zachnął. — Miała rację. Sądzę, że przez jakiś czas skoncentruję się na nich.

Zatrzymała się przy jego ustach, zmieniając kąt pocałunku, jego głębokość, napięcie. Chwilami całowała delikatnie, następnie ogniście i nagłaço, potem namiętnie, gorąco.

Palcami, aż do bólu, wpijał się w dywan.

— Nieźle, jak na początkującą. — Jego głos stał się chrapliwy z pożądania.

— Prędko się uczę. Wali ci serce, Michael. — Przywarła do pulsującej szyi, powędrowała po zroszonej potem skórze. Następnie chwyciła jego koszulę przy ramieniu i pociągnęła. Gdy szew nie puścił, zaśmiał się cicho, rozbawiony, ale i zawiedziony

— Może ci pomóc?

— Poradzę sobie. — Odchyliła się lekko i, patrząc mu w oczy, szarpnęła mocniej. Spod pękniętego szwu wyrzwał muskuł i skóra. Wpiła się w nią, jak zgłodniały kot. — Och, twoje ciało — szepnęła, następnie skrzyżowanymi dłońmi ujęła jego koszulę i rozdarła materiał, syjąc guzikami na boki. — Masz takie ciało. Twarde, pokiereszowane i silne. Pragnę go.

Przemknęła ustami po jego ramieniu, do klatki piersiowej. Szybkim, chciwym kąsaniem i ssaniem, uskrzydłonymi pocałunkami i śmignięciami języka. A gdy uchwycił jej biodra, pozbyła się jego rąk jednym słowem.

— Ja.

Nie wiedział, że może go tak unicestwiać. Powoli i nieuchronnie. Nie wiedział, że może go brać w taki sposób. Chciwie i zdecydowanie. Zaparło mu dech, chwycił powietrze, jęczał, gdy zapuszczała się językiem niżej, aż do brzucha. Drżał mu każdy mięsień, był napięty do granic wytrzymałości.

Myśli tak błyskawicznie napływały i odpływały, że nie mógł ich zatrzymać. Za jednym doznaniem natychmiast pojawiało się kolejne, jak dwie zwierające się w walce pięści. Jej zapach, królewsko wytworny, połysk skóry, lśniącej jak skropiona wodą róża, i dotyk rąk, gorączkowy jak pożądanie.

Ośmielona własną mocą, pociągnęła i rozpięła guzik jego dżinsów, poczuła jego napięte jak u biegacza na starcie ciało. Zniżyła usta, dotykając nimi miejsca, w którym materiał spotyka się z ciałem. I usłyszała jak zduszonym głosem wymawia jej imię.

Doprowadziłam go do tego, pomyślała, pieszcząc go językiem. Mogę spowodować desperację i słabość, to gwałtowne pragnienie u silnego, pełnego witalnych sił mężczyzny. Mogę sprawić, by pożałował mnie do szaleństwa, mogę też wziąć od niego wszystko, czego pragnę.

Zsunęła materiał łokciem, zwarła zęby ponad jego biodrem. Słyszała jego rozsadzający płuca oddech. Był bezradny, zagubiony w niej. Mogła mu także sprawiać ból.

Wzięła go do ust, zamknęła go w wilgotnym, aksamitnym imadle, i świat mu zawirował.

Uchwycił rękami jej włosy, a jego ciało podrygiwało pod nią. Kiedy jej usta ponownie pozęglowały ku jego brzuchowi, ponad rozedrgany mięsień, gotów byłby zabijać, by ją mieć.

Wczepiony we włosy Laury, pociągnął jej głowę w tył, uniósł się. Drgnęła gwałtownie na widok jego rozgorączkowanych oczu. Po chwili ich usta się zwarły.

— Nie powiedziałam, że już możesz mnie dotykać — wyrzuciła z siebie, Podczas gdy jego wargi odciskały ślady na jej szyi, ramionach, na piersiach. — Nie błagałeś mnie.

Znowu wypłynęli na powierzchnię. Mierzyli się wzrokiem znad rozkołysanej wody.

— Mokre dżinsy ograniczają ruchy...

Spojrzała zadziornie.

— Jeśli koniecznie potrzebujesz usprawiedliwienia. — Wyłowiła jeden ze swoich pantofli. — Cztery pary w ciągu dnia to chyba rekord — westchnęła. Potraktowała sprawę filozoficznie, znalazła nogami grunt, stanęła.

Ociekała wodą, cienka bluzka kleiła się do jej wysokich, wyraźnie zarysowanych piersi, do szczupłego torsu i delikatnej linii bioder. W świetle zapadającego zmroku mokre włosy wiły się i połykiwały, jak skropione wodą złoto.

— Teraz to już grasz nieczysto — wyszeptał.

Wylewając wodę z buta, rzuciła szybkie spojrzenie. Znieruchomiła z ręką podniesioną do góry i, nie spuszczać zeń oczu, obserwowała, jak błyskawicznie podpływa do niej. Kiedy stanął, przesunął powoli dłońmi po jej udach, biodrach, bokach, aż sięgnął do piersi.

— Michael. — Pantofel wypadł Laurze z ręki i plusnął w wodzie. — Nie możemy.

— Mam właśnie zamiar cię pocałować. — Jego mokre ręce prześliznęły się po jej plecach, następnie objęły pośladki. Nie puszczał Laury, aż zaczęli unosić się na wodzie. — I dotykać cię. I pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa.

— Och. — Gdy chwycił zębami jej wargę i szarpnął lekko, Laurze zakreśliło się w głowie. — Niech będzie, jeśli to wszystko...

Oplotła go sobą, dała mu się ponieść przez zimną wodę. Jej usta stawały się coraz bardziej złaknione, bardziej chciwe, szukały jego warg, całowały je, ich splecione języki sięgały głębiej, tamując oddech.

Narastające gwałtownie pragnienie rozsadzało go niczym uderzenia obucha. Unicestwiała go. Przyłgnęła do niego całą siłą swych nóg, dopóki jej zwarte, drobne ciało nie stopiło się z nim. Przywarła do jego łona, poruszała kusielsko biodrami, ocierała swoją kobiecością.

— Lauro...

Odpowiedziała zdławionym, niecierpliwym jękiem, wsunęła dłonie w jego włosy, zaatakowała namiętnie szyję Michaela. Jego lędźwie pulsowały niczym rana.

— Powstrzymaj się na chwilę.

— Pragnę cię. — Miała ochrypyły głos, a jej gorący oddech palił mu skórę. — Pragnę cię. Pragnę cię.

— Nie możemy tu tego zrobić. — Czyż nie? Gdy znowu zamknęła mu usta wargami, przestał myśleć. Zanurzył się z nią, otoczyła ich woda, w której, jak przyglądającej się im z dna basenu syrenie, rozpląnęły się Laurze włosy.

Pragnał się zapadać, zapadać, jak teraz, zwarty z nią wargami. Zapaść się w świecie, w którym powietrze nic nie znaczy, w którym światło także nic

nie znaczy. W świecie, w którym nie istnieje nikt poza nią i tym nabrzmiałym, rozkosznym pragnieniem.

Odruchowo odbił się od dna, pragnąc utrzymać ich na powierzchni, a kiedy wypłynęli, potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć.

— Nie. — Nie oczekiwał, że w takiej chwili powie to słowo kobiecie. Zabrzmiało słabo i nieprzekonująco, gdy tulił jej głowę do ramienia. — Daj odsapnąć.

Unosiła się z nim, oszołomiona pragnieniem, ogłuszona zwycięstwem.

— Uwiodłam cię.

— Skarbie,omal mnie nie zabiłaś.

Odrzuciła do tyłu głowę, roześmiała się.

— Uwiodłam cię — powtórzyła z promienną twarzą. — Nie wiedziałam, że potrafisz. To jest... wyzwolenie.

— Przyjdź do mnie w nocy, a doznasz takiego wyzwolenia, jakiego zapragniesz. A teraz trzymaj ode mnie ręce z daleka.

Zarzuciła mu je na szyję, odsunęła go lekko, chcąc widzieć jego twarz w gasnącym świetle.

— Chciałeś jeszcze raz zedrzeć ze mnie ubranie.

— Nadal o tym myślę, więc uważaj, co robisz.

— Ja też chciałam zedrzeć twoje. Zastanawiam się, co by było, gdybym je z ciebie zerwała i... ugryzła cię. Czasami mam ochotę zanurzyć w tobie zęby...

— Zamilcz! — Bezbronny, ujął jej głowę. Położył ją sobie na ramieniu. — Mam wrażenie, że powołałem do życia potwora.

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale jestem pewna, że uruchomiłeś właściwy przełącznik. Lubię to. — Znowu się roześmiała, odgięta do tyłu, kołysząc się na wodzie od pasa po włosy. — Wrócimy tutaj, kiedy wszyscy zasną, popływamy nago i będziemy się kochali w wodzie. A później pójdziemy na spacer na klify i też będziemy się kochali, tak jak Seraphina i Felipe.

Wyprostowała się znowu. Ociekała wodą.

— Zrobimy coś szalonego.

Już teraz był gotów na każde szaleństwo, kiedy nagle pochwycił dźwięk kroków na ścieżce. Niezauważalnie, jak mu się wydało, rozluźnił uścisk, w nadziei, iż nie trzyma córki tego domu za niestosowną część ciała.

— Laura? — Brwi Susan Templeton uniosły się gwałtownie i zniknęły pod bujną grzywką. Nie uważała siebie za kobietę, którą można łatwo zaskoczyć, ale z całą pewnością wstrząsnął nią widok córki klejącej się w basenie do mężczyzny. Na twarzy Laury widać było, że nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z miłosnego upojenia.

— Mama? — Najpierw doznała szoku, po czym, zakłopotana, oblała się rumieńcem. Próbowała się uwolnić, ale Michael trzymał ją mocno. I żadne z nich nie wiedziało, czy to kwestia upor, czy przyzwyczajenia. — Przyjechałaś!

— Tak. Przyjechałam.

— Spodziewaliśmy się was jutro.

— Udało się nam zakończyć nasze sprawy trochę wcześniej. — Mówiła gładkim, miłym tonem. Była bowiem miłą, zrównoważoną kobietą. Drobną, o delikatnej budowie, podobnie jak córka, wyglądała młodo i szykownie w podróżnym kostiumie od Valentino, a ładnie ostrzyżone ciemnoblonde włosy nadawały jej bystrej, interesującej twarzy dziewczęcego uroku.

— Pomyśleliśmy — powiedziała z lekkim odcieniem rozbawienia — że zrobimy ci niespodziankę.

— O tak. Ja właśnie... my... Jaka mieliście podróż? — nieporadnie dokończyła Laura.

— Znakomitą. — Nienagannie wychowana Susan podeszła bliżej, uśmiechnęła się. — To Michael, prawda? Michael Fury?

— Taa. — Szybkim ruchem głowy odrzucił do tyłu mokre włosy. — Miło mi panią znowu widzieć, pani Templeton.

Rozdział piętnasty

Gdybym wiedziała, że przyjedziecie, zaczekałabym z kolacją, zwołałabym resztę rodziny. — Laura, już pozbierana i wysuszona, usiadła w saloniku obok ojca.

— Jedliśmy w samolocie. — Thomas poklepał ją po ręce. Dzięki dyskrecji żony pozostał w błogiej nieświadomości tego, co jego córka wyczyniała w basenie przed godziną. — A jutro z wszystkimi się zobaczymy. Daję głowę, że te pannice urosły co najmniej po trzydzieści centymetrów od ostatniego Bożego Narodzenia.

— Na to wygląda. — Laura wypita łyżeczek brandy. Matka była na górze. Postanowiła sama ułożyć dziewczynki do snu. To oddala na jakiś czas kłopotliwe pytania. Ale nie eliminuje ich, pomyślała Laura. — Są takie podniecone waszą obecnością. Nie sądziliśmy, że wróćcie przed latem.

— Przyjechaliśmy zobaczyć córeczkę naszej Kate — odparł. To tylko jeden z powodów, zadumał się. Ale dostatecznie dobry. — Wyobrażasz sobie, nasza mała Kate ma dziecko!

— Promieniuje szczęściem. Wiem, że to banał, ale tak jest naprawdę. Oboje z Byronem są rozanieleni. Ale zczekaj, póki nie zobaczysz J.T. Och, tatku, cóż to za doskonałość! Śmieje się bez przerwy. Takim cudownym, rozbijającym szczerym śmiechem. Chciałoby się go zjeść. — Podwinęła pod siebie stopy, przyjrzała mu się znad brzegu kieliszka. — A co u ciebie?

— Cały i zdrowy.

Nie było w tym przesady. Był przystojnym mężczyzną, jednym z tych, którzy nie uważają, że zdrowie jest im dane raz na zawsze, lecz podtrzymują je ćwiczeniami i aktywnym życiem. Nigdy też nie traktował swojego zawodu i sukcesów, jakie odnosił, jako coś pewnego, raz na zawsze przesądzonego, lecz dbał i doglądał ich z uwagą i wnikliwie. Podobnie jak nie uważał, że rodzina została mu dana raz na zawsze. Troszczył się o nią i kochał.

Efektom tego było silne, zwarte ciało, wciąż szczupłe pomimo prze-

kroczonej już dobrze pięćdziesiątki, zadbana twarz, przyjmująca z wdzięcznością zmarszczki i bruzdy wyłobione przez czas. Miał przydymione jak jego córka oczy, a bujne, srebrzyste włosy połyskiwały w świetle lampy.

— Nie wyglądasz cało i zdrowo — powiedziała i uśmiechnęła się, widząc jak marszczy brwi. — Wyglądasz bombowo.

— A ty wyglądasz na szczęśliwą.

Sprawiło mu to ulgę, choć martwiła go przyczyna. Czy był to tylko przejściowy stan, który zawdzięcza Michaelowi Fury, o czym w czarnych barwach opowiadała Annie? Czy też jego dziewczynka odnalazła wreszcie grunt pod nogami?

— Poświęcasz sobie trochę czasu jak dawniej?

— Cieszę się z życia. — Właściwie nie odpowiedziała na jego pytanie, ale powiedziała prawdę. — Doszliśmy z Ali do porozumienia w pewnych ważnych sprawach. Jest szczęśliwsza, więc i ja jestem szczęśliwsza. Kocham moją pracę. Moje siostry dbają o to, by dostarczać mi nowych dzieci do bawienia. — Westchnąwszy, oparła głowę na jego ramieniu. — Od dawna nie czułam się taka zadowolona i pokrzepiona na duchu.

— Martwimy się z mamą o ciebie.

— Wiem. I nie będę próbowała was przekonywać, że nie ma powodu, powiem natomiast, że mam się wspaniale. Nawet lepiej niż wspaniale.

— Słyszeliśmy, że Peter ponownie się żeni. — Poruszył niecierpliwie szczękami. — Z Candace Litchfield.

— Wieści szybko się rozchodzą — mruknęła Laura.

— Ludzie uwielbiają przekazywać tego typu wiadomości. Jak się z tym czujesz?

— Początkowo byłam wytracona z równowagi — przyznała, przypominając sobie bolesny cios, kiedy tamtego wieczoru w klubie ogłosili nowinę. — Typowa reakcja odruchowa. Głównie na myśl o tym, że Candy zostanie macochą moich dzieci, i jak dziewczynki to zniosą.

— A teraz? — zapytał łagodnie, kładąc rękę na jej dłoniach.

— Teraz wszystko się ułożyło, po prostu przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Odwróciła dłoń, pogłaskała go. — Naprawdę straciło znaczenie. Dziewczynki się z tym pogodziły. Pojadą w maju na wesele, bo tak należy. Nie przepadają szczególnie za Candy, ale zachowują się grzecznie. Później wrócą do domu — dodała — i będziemy dalej wieść nasze życie.

— To dobre dziewczynki — przyznał Thomas. — Dobre, bystre dziewczynki. Wiem, że nie jest im łatwo, ale mają ciebie. I dlatego właśnie niepokoję się o ciebie.

— Nie ma powodu. Doszłam do wniosku, że Peter i Candy świetnie do siebie pasują. Wypada mi tylko życzyć im szczęścia.

Odczekał chwilę, przeciągnął językiem po zębach.

— To zakrawa na złośliwość.

— Tak. — Roześmiała się z całej duszy. — Tak jest. I bardzo mi z tym dobrze.

— Moja krew!
— Porozmawiajmy teraz o czymś bardziej interesującym. — Usiadła znowu, uśmiechając się szeroko. — Opowiem ci o zaimprovizowanych dzisiaj w kularach hotelu rozgrywkach bokserskich.

Gdy Susan wyszła od dziewczynek, usłyszała zarykującego się ze śmiechu męża i niski szept córki. Przystanęła na chwilę, napawając się tą sceną. Mogła policzyć wszystkie tygodnie, wszystkie miesiące, kiedy po raz ostatni słyszała tak beztrosko śmiejącą się swoją córeczkę.

Przygryzła wargi. Zastanawiała się. Jeśli Michael Fury ma w tym swój udział, jest mu wdzięczna. Bez względu na to, co sobie myśli Annie. Jako kobieta rozumiała i uznawała potrzebę innej kobiety, by choć raz, na krótko, zetknąć się w życiu z niebezpiecznym mężczyzną.

A jako matka... no cóż, to jeszcze się okaże.

— Tommy, twoje wnuczki chcą całusa na dobranoc.

Poderwał się na równe nogi.

— A więc dostaną po jednym.

— I nie więcej niż jeszcze jedną bajkę — zagroziła mu, gdy ją mijał. — Bez względu na to, jak bardzo chciałyby się pobawić.

Uszczypnął ją w policzek, zrobił do niej oko i ruszył dalej.

— Ma zajęcie na godzinę. — Susan podeszła do barku, nalała sobie brandy. — A ty zdążysz mi opowiedzieć o Michaelu Fury.

Mama rzadko ucieka się do wybiegów, woli jasne sytuacje, pomyślała Laura.

— Na pewno słyszałaś od Josha o lawinie błotnej i o tym, że podczas tej katastrofy Michael stracił dom.

— Tak, znam okoliczności, Lauro. — Moja córka wymyka się po mistrzowsku, pomyślała Susan. — Hoduje teraz konie i na jakiś czas wynajął stajnie.

— Ma wspaniałe konie. — Laura skwapliwie omijała zasadzkę. — Musisz je koniecznie zobaczyć. Kilka trenuje się do występów. To fantastyczne. Uczy dziewczynki jazdy. Szaleją za nim.

— A ty, szalejesz za nim?

— To dobrze, że mają w pobliżu mężczyznę, który się nimi zajmuje i troszczy się o nie.

Czekając cierpliwie na dalszy ciąg, Susan pochyliła się, by popieścić Bonga. To tylko jedna ze zmian, zamyśliła się, gdy pies radośnie przewracał się pod jej ręką.

— Pytałam o ciebie, Lauro. Co do niego czujesz.

— Bardzo go lubię. Jest uczynny i uprzejmy. Czy naprawdę nie przygotować wam nic do jedzenia? Owoców, serów?

— Nie, nie chcę owoców ani serów. — Susan pochyliła się, by uspokoić drżącą rękę córki. — Zakochałaś się w nim?

— Nie wiem. — Laura uspokoiła oddech, spojrzała matce w oczy. — Śpię z nim. Przykro mi, jeśli tego nie pochwalasz.

— Nie mam prawa potępiać czegoś tak osobistego na obecnym etapie twojego życia. — Niemniej w jej głosie pobrzmiwał niepokój. — Czy mnie słuchasz?

— Oczywiście.

— On jest bardzo atrakcyjny.

— To prawda.

— I zupełnie inny niż Peter.

— Tak — przytaknęła Laura. — Zupełnie inny niż Peter.

— Czy to cię w nim pociąga? To, że jest całkowitym przeciwieństwem twojego dawnego męża?

— Nie przykładam do ludzi miary Petera. — Podniosła się niespokojna. — Może tak robiłam, do pewnego stopnia. Trudno jest nie porównywać, jeśli miało się tylko dwóch mężczyzn. Nie sypiam z Michaeliem, żeby coś komuś udowodnić, ale dlatego, że z nim... Pragnę go. I on mnie pragnie.

— Czy to ci wystarczy, Lauro?

— Nie wiem. Na razie tak. — Odwróciła się, podeszła do kominka, który tego wieczoru żarzył się łagodnie, pogwizdując delikatnie. — Za pierwszym razem poniosłam klęskę. Chciałam, by wszystko było doskonałe. Sama chciałam stać się doskonałą. Może chciałam dorównać tobie.

— Och, skarbie.

— To nie twoja wina — pospieszyła z wyjaśnieniem Laura, gdy matka podniosła się z miejsca. — Proszę, nie sądz, że tak uważam. Chodzi o to, że dorastając zapatrzyłam się na ciebie. Przyglądałam się, jaka byłeś, jaka jesteś. Taka niezawodna, mądra i bez skazy.

— Nie jestem bez skazy, Lauro. Nikt nie jest.

— Dla mnie byłeś. I jesteś. Nigdy się nie zachwiałeś, nie popełniłeś błędu, nigdy mnie nie zawiodłeś.

— Popełniałam błędy. — Przemierzyła pokój, ujęła rękę córki. — Niezliczoną ilość razy. Ale był przy mnie twój ojciec. Dzięki niemu mogłam zachować równowagę.

— A ty pomagałaś jemu. Zawsze tego pragnęłam, marzyłam o tym. O takim małżeństwie, życiu i rodzinie, jakie stworzyliście. Nie jestem aż taka naiwna, by sądzić, że nie wymagało to wysiłku, że obywatło się bez błędów, a nawet drobnych porażek, że nie kosztowało czasami nieprzespanych nocy. Ale wam się udało. Mnie nie.

— Denerwujesz mnie tym oskarżaniem siebie.

Laura potrząsnęła głową.

— Tak nie jest, niezupełnie. Ale wiem również, że nie jestem bez winy. Ustawiłam za wysoko poprzeczkę. Ilekroć musiałam ją obniżyć, było mi coraz trudniej. Nie chcę, żeby to się kiedykolwiek miało powtórzyć.

— Ustawiając poprzeczkę zbyt nisko, można bardzo wiele stracić.

— Możliwe. Ale ja nie chcę mieć więcej niż mam. Częstka mnie zawsze

będzie pragnęła życia takiego jak wasze: twoje i taty. Nie tylko dla siebie, ale dla moich dzieci. Skoro jednak nie jest mi to sądzone, przestanę wylewać łzy. Na miarę własnych możliwości pragnę im stworzyć najlepsze życie, chcę także jak najlepiej przeżyć swoje. Obecnie Michael stanowi jego ważną część.

— A czy on wie, jak ważną?

Laura wzruszyła ramionami.

— Często trudno jest odgadnąć, jak dużo Michael wie. Ale Peter mnie nie kochał, nigdy.

— Lauro...

— Nie, taka jest prawda, i potrafię z nią żyć. — Zresztą okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałam, pomyślała Laura. — Ale ja go kochałam, wysłałam za niego, przeżyłam z nim dziesięć lat. Dla nas obojga, a zwłaszcza dla dzieci, byłoby lepiej, gdybym za wszelką cenę nie starała się, żeby wszystko grało. Gdybym po prostu się poddała i pogodziła z przegraną.

— Uważam, że jesteś w błędzie — powiedziała spokojnym głosem Susan. — Dzięki temu, co zrobiłaś, by utrzymać małżeństwo i nie dopuścić do rozbicia rodziny, możesz z czystym sumieniem spojrzeć wstecz, mając świadomość, że niczego nie zaniedbałaś, że zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy.

— Możliwe. — Niewykluczone, iż pewnego dnia zapragnie spojrzeć wstecz. — Przy Michaelu nie muszę dźwigać ciężaru odpowiedzialności za to, żeby wszystko grało, ani też żyć złudzeniem, że mam mężczyznę, który mnie kocha i pragnie tego samego, co ja. Nie pamiętam kiedy ostatnio czułam się szczęśliwsza.

— A więc i ja jestem szczęśliwa za ciebie. — I chwilowo powstrzymam się od wyrażenia mojej opinii, pomyślała Susan. — Pospieszmy z odsieczą twojemu ojcu — powiedziała, biorąc Laurę pod ramię. — Zanim dziewczynki nie owiną go sobie tak ciasno wokół palców, że trzeba go będzie odrywać.

Dobudowanie do Templeton House wieży z apartamentem stanowiło innowację, jaką wprowadził Thomas Templeton w roku, w którym poślubił Susan Conroy. Niemal każde pokolenie rodziny dodawało do pierwotnej, wzniesionej przed stu laty budowli jakiś nowy element, rozbudowując ją bądź też uzupełniając wystrój.

Wznosząc wieżę Thomas kierował się fantazją i romantycznymi ciagotami. W jej okrągłych murach kochali się z żoną niezliczoną ilość razy, w ogromnym rokokowym łożu spółdzili dwójkę swoich dzieci, choć Susan niejednokrotnie twierdziła, że Josh został poczęty na perskim dywanie obok kominka.

W takich sprawach nigdy się z nią nie sprzeczał.

Teraz, przy migocącym w stylowym kominku ogniu, z mrozącą się w srebrnym wiaderku butelką templetonowskiego szampana, przy roziskrzo-

nych światłem księżycy wysokich oknach, ułożył się ze swoją od trzydziestu sześciu lat żoną na tym samym dywanie.

— Mam wrażenie, że próbujesz mnie uwieść.

Podał jej kieliszek z szampanem.

— Jesteś taką inteligentną kobietą, Susie.

— I na tyle bystrą, by ci na to pozwolić. — Uśmiechnęła się, dotykając jego twarzy. — Tommy. Czy to możliwe, że już tyle lat upłynęło?

— Nic się nie zmieniłaś. — Przyłgął wargami do jej dłoni. — Jesteś tak samo śliczna, tak samo świeża.

— Tyle że podtrzymywanie złudzeń zabiera mi wiele godzin.

— To nie jest złudzenie. — Położył jej głowę na swoim ramieniu, zapatrzył się na wesoło trzaskający ogień. — Czy pamiętasz naszą pierwszą noc tutaj?

— Wniosłeś mnie na rękach. Na samą górę. A kiedy otworzyłeś drzwi, czekały na mnie kwiaty, morze kwiatów, prawdziwy ogród, łóżko zasypane było różami. Chłodził się szampan, paliły świece.

— Rozpłakałaś się.

— Byłam oszołomiona. Często wprawiałeś mnie w zachwyt i nadal to robisz. — Podniosła twarz, musnęła wargami jego usta. — Wiem, że mając ciebie, byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Sposób, w jaki mnie kochałeś, w jaki mnie pragnąłeś... Och, Tommy! — Zamknęła oczy, wtuliła twarz w jego szyję.

— Powiedz, czym się martwisz. Chodzi o Laure, prawda?

— Nie mogę pogodzić się z myślą, że ktoś mógłby ją znowu zranić. Zniosę wszystko, tylko nie to. I choć wiem, że dzieci muszą iść własną drogą, przeżywać własne zwycięstwa i klęski, serce mi się kraje. Pamiętam dzień, w którym przyszła na świat, jak się tuliła w moich ramionach. Taka malutka i ukochana.

— I myślisz, że Michael Fury może jej złamać serce?

— Nie wiem. Gdybym to mogła wiedzieć! — Wstała, podeszła do okna z widokiem na klify. Te tak często, od dzieciństwa, odwiedzone przez Laure klify. — Przecież już raz przeżyła tragedię. Rozmawiałam z nią, gdy byłaś na górze z dziewczynkami. I na podstawie tego, co mówiła, zdałam sobie sprawę, że choć z takim trudem i samozaparciem odbudowywała swoje życie, nadal jest podatna na zranienie, taka nieodporną. Taka... odsłonięta. Jest przekonana, że poniosła fiasko, że zawiodła, Tommy.

— Gówno prawda. — Wściekły, poderwał się na równe nogi. — To Peter Ridgeway nawalił i zawiódł na całej linii.

— A my, czy nie zawiedliśmy, nie próbując temu zapobiec?

— Czy bylibyśmy w stanie ją powstrzymać? — W ciągu ostatnich lat dziesiątki razy zadawał sobie to pytanie. Czy bylibyśmy w stanie?

— Nie — odparła Susan po namyśle. — Mogliśmy się starać to odwlec, przekonać ją, żeby poczekała. Parę miesięcy, rok. Ale była zakochana.

Pragnęła takiej rodziny jak nasza. To właśnie mi powiedziała dzisiaj wieczorem, Tommy.

Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, uchwyciła ją z całej siły.

— Wzdrygam się na myśl, że nie mogła tego mieć. Że nie dane jej było zaznać poczucia bezpieczeństwa i całego piękna takiego związku. Teraz przestała wierzyć, że może jeszcze tego doświadczyć.

— Jest młodą kobietą, Susie. Śliczną, młodą kobietą. Znowu się zakocha.

— Już jest zakochana. W Michaelu Fury, Tommy. Jeszcze sama przed sobą nie przyznaje się do tego, i chroni się, uważając, że to tylko seks.

— Proszę cię. — Skrzywił się boleśnie. — Trudno jest mi myśleć o mojej małej dziewczynce w ten sposób.

Rozśmieszył ją. Odwróciła się ku niemu.

— Twoja mała dziewczynka jest w trakcie namiętnego romansu ze zbuntowanym przyjacielem z młodości Josha.

— Czy mam sięgnąć po broń?

Znowu się roześmiała, objęła go.

— Och, Tommy, znaleźliśmy się w sytuacji, w której znowu mamy związane ręce. Możemy tylko czekać i żywić nadzieję.

— Mógłbym... odbyć z nim krótką rozmowę.

— Mógłbyś. Ja bym mogła. Ale bez względu na to, co powiemy, nie zmieni to postanowienia Laury, ani jej uczucia. On jest wspaniały.

Zaintrygowany Thomas wyzwolił się z jej uścisku, zajął jej podejrzliwie w oczy.

— A więc to tak?

— Absolutnie niewalający, niebezpiecznie wspaniały. Zmysłowy jak grzech. — Gdy przyglądał się jej jeszcze podejrzliwiej, drżały jej kąciki warg. — Ma takie demoniczne spojrzenie, które sprawia, że każda kobieta, która nie padła jeszcze z wrażenia, uważa, że jest jedyną na świecie osobą mogącą się nim zająć.

— Czy to ty tak uważasz?

Schlebiało jej to, pogłaskała go po policzku.

— Podziwiam jej gust, a jako kobieta — jej szczęście. Natomiast jako matkę, on mnie przeraża.

— Będę jednak musiał z nim pogadać. Niebawem. — Westchnął. — A niech to, Susie, zawsze lubiłem chłopaka.

— Ja też. Miał w sobie zawsze coś rzetelnego. A bez względu na to, co sądzi Annie, nie był i nie jest łobuzem. Jeśli już, to powiedziałabym raczej, że jest nieokrzesany.

— A czy my chcemy, żeby nasza córka zadawała się z nieokrzesanym mężczyzną, który w wieku osiemnastu lat ucieka na morze i wyczynia masę rzeczy, o których nie rozmawia się w kulturalnym towarzystwie?

Skrzywiła się, gdy taka sama myśl przeszła jej przez głowę.

— To brzmi tak snobistycznie.

— Raczej jak rodzicielski niepokój. Nieważne, ile ona ma lat — trzy, czy trzydzieści — naszą sprawą jest troska o nią.

— A tacy mężczyźni jak Michael przychodzą i odchodzą według własnego widzimisię — mruknęła. — Dla nich nie liczą się korzenie. A Laura bez nich usycha. Z tego, co mi powiedziała, wynika, że dziewczynki przywiązały się do niego. Co będzie, jeśli następny mężczyzna odejdzie z ich życia? — Znowu się w niego wtuliła. — Nic innego nie możemy zrobić, jak tylko być tutaj przy nich.

— Tak też zrobimy. Widzieliśmy już, jak Margo i Kate znajdują wyjście ze swoich problemów. Laurze też się uda.

— I mają siebie. — Wspięła się na palcach, by razem z mężem spoglądać na klify. — Cała ich trójka była sobie zawsze oddana. Ten ich sklep zdziałał cuda. Cokolwiek się zdarzy, Laura nie jest sama, ponadto przepełnia ją uczucie dumy z tego, co wspólnie stworzyły. Ale dla mnie to za mało, Tommy.

Ujęła jego dłoń, położyła ją sobie na sercu.

— Pragnę, by spełniło się jej marzenie. Pragnę dla niej tego, co my mamy. Pragnę wierzyć, że będzie stała przy oknie w ramionach mężczyzny i patrzyła na morze. Kochającego ją mężczyzny, w którym znajdzie oparcie. Mężczyzny, który sprawi, że przeżyje to, co ja przy tobie.

Odwróciła się, ujęła w dłoń jego twarz.

— Pragnę w to wierzyć. A jeśli ma w sobie coś ze mnie, będzie walczyć o zrealizowanie swoich pragnień. W taki sposób, w jaki ja walczyłam o ciebie.

— Nie liczyłeś się ze mną — przypomniał jej. — Nie zostawiłeś mi chwili do namysłu.

Powoli uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— I co? Może to nie zdało egzaminu? Jeszcze jak! Pewnego dnia, nieprzypadkowy zbieg okoliczności sprawił, że mnie spotkałeś sama, w różnym ogrodzie w klubie. I pozwoliłam ci się pocałować, o tak. — Przyłgnęła do niego w namiętym, długim pocałunku. — A niepokonany Tommy Templeton był liczony na deskach.

— Zawsze wydawałaś mi się przebiegłą, Susie. — Wziął ją w ramiona i sprawił, że się roześmiała.

— I osiągnęłam dokładnie to, czego chciałam. Dokładnie w taki sam sposób, w jaki osiągnęłam to, czego teraz pragnę — wyszeptwała, gdy kładł ją na dywanie.

Idąc w stronę klifów, Laura widziała światło w pokoju na wieży. Przystanąła na chwilę, obserwując sylwetki obejmujących się rodziców. To był cudowny widok, który poruszył jej serce. I jej zazdrość.

Odwracając się w kierunku rozspiewanego morza, pomyślała, jak bardzo oboje do siebie pasują. Ten sam rytm, ten sam styl, te same cele i potrzeby.

Ciężko zapłacała za naukę, że to, co mają rodzice, to, co wspólnie

wypracowali i zachowali, nie zostało im dane, lecz stanowi rzadkość, do której należy się odnosić z najwyższym uznaniem.

Z tej nowej perspektywy mogła ich tylko jeszcze bardziej podziwiać.

Spacerowała po klifach samotnie. Nie robiła tego już od tygodni. Pragnęła Michaela. Towarzyszyło jej stałe, tłumione uczucie radosnego pożądania, ale nie zamierzała iść do niego tej nocy. Nie sądziła także, żeby jej oczekiwał.

Rozstali się niezręcznie. Czuła się nieswojo, przyłapaną przez własną matkę na oddawaniu się igraszkom w basenie. On z pewnością także był zakłopotany. Wydawało się jej, iż potrzebują oboje czasu, by się oswoić z nową sytuacją.

Światło było ostre, jaskrawe, porywisty zachodni wiatr przeganiał chmury, odsłaniając czyste niebo. Oswojona z klifami niczym z własnym salonem, poruszając się z łatwością wśród skał, ślizgając się na kamieniach, zeszła ścieżką aż do swojego ulubionego występu skalnego.

Usiadła tam. Wiatr smagał jej twarz, a morze dudniło w uszach. Tutaj, nadsłuchując szeptu duchów, rozmyślając o utraconej miłości, odzyskiwała spokój.

Ze swojego okna przyglądał się, jak w długim luźnym zakiecie, rozwiewającym się do tyłu niczym peleryna, schodzi ze zbocza. Romantyczna, tajemnicza. Przycisnął do szyby twarz, jakby w ten sposób mógł jej dotknąć. Cofnął się. Był zły na siebie.

Nie szła do niego. Nic dziwnego, pomyślał, wsuwając kciuki w kieszenie, obserwując, jak z wdziękiem łani zsuwa się po skałach. Wrócili jej rodzice, a wraz z nimi, jak sądził, świadomość różnicy ich pozycji.

Laura Templeton może zarabiać na życie, może szorować niejedną wannę, ale nadal jest Laurą Templeton. A on nadal Michaeliem Fury, z gorszej strony wzgórza.

Przypuszczał, że musi być teraz zajęta. Podejmowaniem, sporządzaniem harmonogramu wieczornych przyjęć na czas pobytu rodziców. Znow w Templeton House zaczną zbierać się goście na tych wytwornych ekskluzywnych imprezach.

Lunch w klubie, krótkie rundki tenisa, mądre rozmowy przy kawie i brandy.

Cały ten rytuał był mu bardziej obcy niż greka.

I nie pragnął go.

Jeśli więc zamierza się go pozbyć, co za różnica!? Wzruszył ramionami, odwrócił się od okna i zdjął koszulę. Jeżeli zechce, zwabi ją jeszcze do wyra raz czy dwa. Seks nie jest niczym innym jak tylko słabością. Wykorzystując jej słabość zaspokoi własną.

Rzucił na bok koszulę, rozczarowany, że nie jest czymś twardym i łamliwym. Do licha, pragnął jej. Teraz. Tutaj. Przy sobie.

Za kogo ona się uważa, do diabła?

Za kogo jego uważa, do diabła?

Z ponurą miną ściągnął buty, walnął nimi o ścianę. Usatysfakcjonował go ich głuchy dźwięk.

Dobrze wie, kim jest, i ona też wie, pomyślał. Laura Templeton nieźle się natrudzi, żeby się go pozbyć. Najpierw on musi do tego dojrzeć, być gotów. Jeszcze z nią nie skończył, co to to nie.

Może bez obawy zdjąć sobie wieczorem swoje dzinsy, pomyślał. Może się czuć spokojna i bezpieczna tej nocy. Ponieważ następne noce nie będą ani spokojne, ani bezpieczne.

Rzucił się goły na łóżko. Zapatrzył się złym wzrokiem w sufit. I będzie ją miał z powrotem, kiedy tylko zechce. Do diabła z jej rodzicami, jej zwykownymi przyjaciółmi i z jej doskonałym rodowodem.

Wzięła sobie kundla. Będzie więc miała z nim do czynienia.

Siedząc w swojej niszy skalnej, wyciągnęła do góry ramiona. Szerokie rękawy zakietu zsunęły się za łokcie. Chłodne, wilgotne powietrze pieściło jej skórę. Pomyślała o Michaelu, o jego pieszczotach — chwilami szorstkich, domagających się, a już po chwili zadziwiająco delikatnych, obezwładniająco czułych.

Ulegał tylu nastrojom, rozmyślała, tylu pragnieniom. W tak krótkim czasie obudził tyle nastrojów i pragnień w niej. Nie, nie jestem Śpiącą Królową, stwierdziła po namyśle, czując jednak, jakby przespała dziesiątki lat. Czekając, aż on ją odnajdzie.

I tak się stało. Odnaleźli siebie nawzajem. Dlaczego więc siedzi tutaj samotnie, kombinując, jak zmienić swój rozkład zajęć na jutro i na jeszcze kolejny dzień? Jutro i tak nadejdzie. Mogłaby być z nim teraz. Mogłaby do niego pójść. Zacisnęła oczy, wymówiła w myślach życzenie. Jeśli wstanie i odwróci się i zobaczy, że nadal pali się u niego światło, pójdzie do niego. I odnajdzie go wyczekującego, spragnionego. Podniosła się, wstrzymała oddech, odwróciła się szybko. Powietrze z niej uleciało. Poza ciemnością nocy i majaczącymi w oddali sylwetkami zabudowań nie ujrzała niczego.

Nie czekał na nią.

Otrząsnęła chłód z ramion, pomawiając się o głupotę. To nie jest odrzucenie. To tylko oznacza, że był zmęczony i położył się spać. Powinna zrobić to samo. Czekają ją jutro mnóstwo spraw. Jeśli porządnie się wyśpi, łatwiej się z nimi upora.

Nie zostało powiedziane, że będą spędzać wszystkie noce razem. Niczego sobie nie obiecywali. Nic z tych rzeczy, pomyślała, wściekając się jednocześnie, że pieką ją oczy, gdy spogląda na morze. Żadnych obietnic, żadnych planów, żadnych czułych słówek.

Czy to jest to, czego nadal chce? Czy nie powinna już tego wiedzieć? Czy to jakaś słabość sprawia, że tak pragnie tych słów, tych obietnic, tych

planów? Czy nie mogłaby się zadowolić tym, co jest, zamiast wciąż marzyć o tym, co by mogło być?

Zdając sobie sprawę, że wszystko, co sobie wmawia, nie ma znaczenia, usiadła ponownie. Nic z tego, co powiedziała matce, Margo, Kate, czy Michaelowi. Wszystko to są kłamstwa. Ona, znana z żałosnych, nieudolnych kłamstewek, ten jeden jedyny raz z taką maestrią wyprowadziła ich w pole!

Jest w nim zakochana. Jest w nim beznadziejnie zakochana, i nikt na to nie wpadł. Część jej już widziała ich razem, jutro, za rok od jutra, za dziesięć lat. Jako kochanków, partnerów, rodzinę. Następne dzieci w ich domu. Wizja na całe życie i na co dzień.

Okłamywała go, okłamywała wszystkich, także siebie. I, jak to bywa z kłamstwami, będzie w nich brnąć, żyć z nimi, trzymać się pierwszego z nich.

To nieuczciwe wobec niego. Ponieważ on nie kłamał. Pragnął jej i, wiedziała to na pewno, troszczył się o nią. Troszczył się o jej dzieci, był gotów podać pomocną dłoń. Dał jej swoje ciało, przebudził ją, ofiarował przyjaźń, którą ceniła.

A ona wciąż jest nieusatysfakcjonowana.

Egoizm, czy zwykła głupota? — zastanawiała się. Jakie to ma znaczenie?! Stworzyła sobie iluzję, musi więc ją kontynuować. Albo go straci.

Kiedy to się skończy, nieważne kiedy, nie będzie żałować ani pomstować Bogu. Będzie żyć, ponieważ życie jest długie i drogocenne, i zasługuje, by je traktowała najlepiej jak może. Kiedy nadejdzie czas i nie będzie miała wyboru, spróbuje bez niego żyć, wspomni, co to znaczy czuć znowu, i kochać. I będzie wdzięczna losowi.

Uspokoili się nieco, oparła o ziemię, chcąc się podnieść. Jej palce zacisnęły się na krążku. Jakby wiedziały, że tam jest, że czeka na nią. Z sercem bijącym niczym wzburzone na dole fale podniosła go, obróciła ku światłu księżycy.

Zajaśniała szczerozłota moneta. Nietknięta, nie oglądana od stu pięćdziesięciu lat. Od czasu, kiedy młoda, zdesperowana dziewczyna ukryła ją tutaj, by przechować dla ukochanego. Laurę przeszył dreszcz. I właśnie ten symbol marzenia, obietnicy i utraty leżał teraz pośrodku jej dłoni.

— Seraphino — wyszeptła. A kiedy zamykała palce na monecie, kiedy poczuła przemożną, gwałtowną potrzebę nierozważnej młodej dziewczyny, wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Wysoko, ponad rozszałnymi falami, Laura zwinęła się w kłębek we wnęce. I zapłakała.

Rozdział szesnasty

Gniady trzylatek był bystry, śliczny i uparty jak muł. Michael ciężko nad nim pracował, by dowieść, że sam jest bardziej uparty.

— Jak Boga kocham, zrobisz to, ty mały gnojku. Wiesz, jak to się robi.

Jakby chcąc dać do zrozumienia, że to żadna sztuka, koń podrzucił głową, potoczył oczami w kierunku Michaela i twardo się nie ruszał. Targowali się tak ze sobą od ponad sześciu miesięcy, i każdy z nich chciał być górą.

— Może ci się wydaje, że mieszkasz w tych luksusowych apartamentach i masz do dyspozycji tę całą przestrzeń po to tylko, żeby tak sobie stać i pozować? — Gdy Michael strzelił z bata, gniadosz zastrzygł uszami. — Nie waż się kombinować, że mógłbyś mnie znowu kopnąć. Uprzedzam cię, że będziesz gryźć ziemię.

Postąpił naprzód, koń odskoczył do tyłu. Michael zmrużył groźnie oczy.

— Stój w miejscu!

Rozedrgany koń posłuchał. Gdy Michael się zbliżał, grzebał ostrzegawczo nogą.

— Ty i ja — powiedział Michael i chwycił mocno za uzdę, gdy koń zaczął szukać dogodnej pozycji, by kopnąć go tylnym kopytem — zrobimy sobie rundkę.

— Nie waż się uderzyć tego zwierzęcia!

Zarówno Michael jak i koń rzucili niecierpliwie spojrzenie w kierunku, skąd padł surowy rozkaz. Od bramy padoku zbliżała się wymuskana postać.

— Powinieneś się wstydzić — wybuchnęła gniewem Susan. Schwyciła konia za uzdę i wkroczyła między gniadosza a bat. — Nie obchodzi mnie, czy on należy do ciebie, czy nie. Na moim terenie nie maltretuje się zwierząt.

Jakby świadomy tego, że sympatia jest po jego stronie, trzylatek spuścił łeb i zaczął obwąchiwać ramię Susan.

— Lizus — mruknął Michael. — Proszę posłuchać, pani Templeton, ja...

— Czy w ten sposób traktujesz swoje konie? Okładając je batem, gdy nie zachowują się tak, jak byś chciał? Jesteś brutalnym. — Rumieńce wystąpiły na jej policzki, przypominając Michaelowi Laurę. — Jeśli ośmielisz się podnieść rękę na jedno z tych zwierząt, osobiście dam ci kopa w tyłek. Wyładujesz daleko stąd, w połowie drogi do piekła.

To zupełnie możliwe. Kiedy Laurę ogarniał szal, dostrzegał u niej podobne, złowieszcze błyski. Mógłby również przysiąc, że koń nabija się z niego.

— Pani Templeton...

— Następnie każę cię aresztować — bombardowała go. — Istnieją ustawy prawne zakazujące znęcania się nad zwierzętami. Przepisy wymierzone przeciwko takim bezwzględnie brutalnym jak ty. A jeśli ośmielisz się skrzywdzić tego dobrego, łagodnego konia...

— Ten koń nie ma w sobie ani krzty łagodności — przerwał Michael, powstrzymując się, by nie potrzebować krwawiącego jeszcze po brutalnym zetknięciu się z końskim kopytem uda. — A ja nie zamierzałem tego użyć, choć przyznam, że mnie kusi, by wlać trochę oleju do tego zakutego łba.

Widziała wyraz jego oczu i bat w rękę. Zadarła wyzywająco podbródek.

— A zatem chciałeś z nim pograć w baseball.

— Nie, proszę pani. — Może spróbowałby przed laty, kiedy nie był aż tak obolały. — W nic tutaj nie gramy. A gdyby zechciała się pani dokładniej przyjrzeć, zobaczyłaby pani, że jedynym pokiereszowanym na tym padoku jestem ja.

Przyjrzała się, odnotowała, że choć koń na sierści miał grubą warstwę potu, nie nosił żadnych śladów obrażeń. Prawdę mówiąc był wspaniały. A w jego oczach nie dostrzegła strachu. Zobaczyła natomiast, jeśli to w ogóle możliwe, wesołość.

Z kolei Michael był pobrudzony, a na nogawce dżinsów miał wiele mówiący ślad kopyta.

— Jeśli zabierasz się do niego z batem, jego jedyną deską ratunku jest kopnięcie. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś...

— Pani Templeton. — Tracił cierpliwość, czuł, że jeszcze chwila, a puszcza mu nerwy. — Czy według pani ten bałwan wygląda na zstraszonego? Jedyne, co w tej chwili robi, to chytrze łypie ślipiami.

— To wytłumacz mi, dlaczego...

— Gdyby tylko zechciała go pani puścić, nim stanie się świadkiem, jak obrywam po łbie od kobiety ważącej o połowę mniej ode mnie, i jak całkowicie tracę autorytet, a wraz z nią sześć miesięcy pracy, byłbym pani bardzo wdzięczny.

Wprawdzie ostrożnie, ale rozluźniła uścisk.

— Uprzedzam cię, Michael, jeśli się ośmielisz go skrzywdzić, oberwiesz nie tylko po łbie.

— Nie wątpię — mruknął Michael, podczas gdy ona odsunęła zaledwie o krok. — Czy nie zechciałaby się pani cofnąć pod ogrodzenie? Bękart ma nadal problemy i wciąż nie wie, kto tutaj sprawuje władzę.

— Pragnę cię. — Pieścił ją ręką, doprowadził do szczytu, przed którym sam się jeszcze wstrzymywał. — Teraz. Do licha! Weź mnie!

Triumfująca, odrzuciła za siebie głowę, a jej śmiech był niepohamowany i dziki. Oplatając go w pasie nogami, wychyliła się do tyłu.

— Tak. — Gdy wchodził w nią, wygięła się jak łuk.

Wydała okrzyk. Nie ze zdziwienia, lecz z konwulsyjnego drżenia wywołanego prędkością i gwałtownością orgazmu. Znowu się poderwała zamknięta w jego ciele, poruszająca do góry i na dół biodrami.

— Jeszcze — prosiła, rozdzierając mu paznokciami plecy. — Michael. Jeszcze.

Nieprzytomna z pożądania, odchyliła się, trzymała się go kurczowo za biodra, i brała więcej.

Wstrząsany dreszczem rozkoszy, sięgający szczytu, widział ją. Wznoszącą się i opuszczającą nad nim, z przymkniętymi, rozpalonymi oczami, z odrzuconą bezwładnie do tyłu głową. Tkwiące w nim zwierzę parzyło się z jej zwierzęcością, aż przywiodła ich oboje do stanu kompletnego wyczerpania.

Półprzytomnym wzrokiem dostrzegł, jak miękko opada na niego. Poczł wstrząsające nią łagodne spazmy. Jego własne ciało było tak rozbite, odrętwiałe, w stanie nieważkości, iż nie zdawał sobie sprawy, że obejmuje ją tak silnie ramionami, jak człowiek, który kurczowo trzyma to wszystko, co dla niego najważniejsze.

— Powiedziałaś, że potrafię — wymruczała, sięgając wargami do jego szyi.

— Taa, dowiedziałś tego. — Przycisnął usta do jej włosów, zanurzył się w nich. — Lauro — wypowiedział cicho jej imię, jakby tylko do siebie. Następnie przymknął oczy i, dla ich wspólnego dobra, starał się nie słyszeć dalszego ciągu. Kocham cię. Kocham.

— Chciałeś mnie.

— Tak. Chciałem cię. — Jej włosy pachniały słońcem, czuł się ponownie całkowicie rozbrojony.

— Czy zrobisz coś dla mnie, Michael?

— Taa. — Wszystko. Cóż za przerażająca myśl. Wszystko.

— Czy zanieziesz mnie do łóżka? Jestem jeszcze pijana.

— Oczywiście, dziecinko. Złap się tylko dobrze. — Wstał z nią. Dokonał wyczynu, który przepełnił jej serce dumą.

— I jeszcze coś. — Jej głowa opadła bezwładnie na jego ramię, a kiedy wydała jęk, zaczął w panice szukać w myślach naczynia, które mógłby jej podstawić, nim zrobi się jej niedobrze.

— W porządku, nie martw się. Zajmę się tobą. Wszystko będzie dobrze.

— Zgoda. — Ciepła, miękka i ufną owinęła się wokół niego, po czym, w zetknięciu z ostrym światłem, zaczęła mrugać powiekami. — Co to? Co to? — Podniosła głowę. — Dlaczego jesteśmy w łazience?

— To najstosowniejsze miejsce, gdy ma się mdłości. Nie krępuj się i zwróć to wino, skarbie, od razu poczujesz się lepiej.

— Nie zamierzam zwracać doskonałego szampana. — Gdy próbował ją postawić na ziemi, objęła go mocniej ramionami. — Nie będę wymiotować. — Następnie opadła na niego całym ciężarem ciała, jak omdlała kobieta, i śmiała de aż śmiech odbił się echem od ścian. — Och, jakie to miłe. Chciałeś mi potrzytać głowę. Boże, Michael. — Znowu zmieniła pozycję, pocałowała go wzruszona. — Jesteś najmiłszy. Najmiłszy i najśłodszy. Mogłabym cię natychmiast zjeść. Mój bohater.

Zażenowany, zmrużył oczy.

— Może jednak potrzytam ci głowę? Jeśli nie chcesz zwrócić szampana i czekolady, to czego chcesz?

— Prosiłam cię, żebyś mnie zaniósł do łóżka. Myślałam, że to oczywiście. — Uśmiechając się, wędrowała palcem po jego piersi. — Chcę, żebyś mnie znowu pragnał. Jeśli nie będzie to nadużyciem.

Popatrzył na nią. Taka ciepła, zaróżowiona, naga samica. Jego samica.

— Sądzę, że jakoś dam sobie radę.

— Świetnie, a czy sądzisz, że będziesz mógł, no wiesz... — Pochyliła się, szepnęła mu coś do ucha, co sprawiło, że nagle cała krew powędrowała mu do łędźwi.

— To jest absolutnie niestosowne zachowanie, ale... — Ruszył natychmiast w stronę łóżka. — Biorąc jednak pod uwagę okoliczności...

Rozdział osiemnasty

Doświadczenie pierwszego kaca jest raczej niewiele podobne do frajdy doświadczenia pierwszego pijaństwa, stwierdziła Laura. W głowie w miejscu jasności, tryskającej fajerwerkami pomysłów, panował zgiełk, w rodzaju źle zgranego szkolnego big-bandu. Z wałą radośnie w jej lewą skroń perkusyjną sekcją.

Nie czuła się ani trochę wolna, nie szybowała już, lecz była zbrukana. Miała wrażenie, iż w jej ustach znajduje się tyle nieczystości, że wystarczyłoby ich na pół tuzina babek z błota.

Była wdzięczna Michaelowi, że zostawił ją samą, i nie stał się świadkiem jej upokorzenia.

Nie zastanawiała się nad faktem, że spędziła noc w jego łóżku i że będzie musiała wkroczyć niepewnym krokiem do domu, w którym zostanie obrzucona gradem badawczych spojrzeń rodziny i służby.

Próbowała pozbyć się pod prysznicem tych bezlitosnych doboszów, po czym, gdy sobie uświadomiła, że nowy dźwięk, który słyszy, to jej własny skowyt, ugryzła się w wargę.

W normalnych okolicznościach nie szukałaby nigdy w rzeczach Michaela, skończyło się jednak na szperaniu w szafce z lekarstwami i w szufladach w łazience. Kiedy wreszcie znalazła buteleczkę z aspiryną, omal się rozpłakała.

Wzięła cztery pigułki — kolejny wyłom w tradycji — następnie, uznając to za szczyt nachalstwa, posłużyła się jego szczoteczką do zębów.

Nie patrzyła do lustra, zanim się nie ubrała, ale i to okazało się błędem. Wyjrzała na nią śmiertelnie blada twarz, rozmazane i spuchnięte oczy. A ponieważ miała przy sobie tylko szminkę, nie było sposobu, by temu zaradzić.

Wiedząc, że nie ma wyjścia, wychyliła się na zewnątrz, jęknęła cicho, gdy małe, gorące igiełki promieni słonecznych uderzyły ją prosto w oczy. Jej głowa przestała być terenem treningowym maszerującej orkiestry. Stała się

szklaną bańką, zrobioną z bardzo cienkiego, kruchego szkła. I niepewnie kołysała się na szyi.

— Jak leci, skarbie?

Drgnęła, odskokczyła. Odpadła jej głowa, roztrzaskała się o schody u jej stóp. Dzięki Bogu, że miała jeszcze jedną. Odwróciła ją, zmusiła się do uśmiechu, gdy Michael ocierał brudne ręce o biodra i podchodził do niej.

— Dzień dobry. Przykro mi, że nie słyszałam, jak wstajesz.

— Patrząc, jak chrapałaś, sądziłem, że będziesz spać do południa.

Wobec takiej obelgi ustąpił ból głowy. Chrapała? Nie do pomyślenia! Podobne kłamstwo nie zasługuje nawet na komentarz.

— Za dwie godziny muszę być w sklepie.

— Pracujesz dzisiaj? — Nie wydawało mu się, by była do tego zdolna. — Opuść sobie, Lauro, i pakuj się z powrotem do łóżka.

— W piątki mamy największy ruch.

Wzruszył ramionami. Jej wybór.

— A jak głowa?

— Która? — Teraz uśmiechnęła się, troszeczkę. Taki człowiek jak Michael z pewnością rozumie, co to jest kac. — Źle, ale da się już wytrzymać.

— Przy następnej popijawie zatankuj dużo wody i połknij dwie aspiryny, zanim urwie ci się film. Na ogół to łagodzi poranne skutki.

— Nie będzie następnej popijawy, ale dzięki.

— To dopiero byłaby strata. — Przeciągnął palcem po wierzchu jej dłoni. — Upijasz się z fantazją. A jak tam pamięć?

Pozostała w niej chyba jeszcze odrobina krwi, skoro poczuła, że się czerwieni.

— W porządku. Nawet trochę za dobrze. Z pewnością nie powinnam... nie mogę uwierzyć, że ja... — Zamilkła, przymknęła oczy. — Możesz mnie zawsze powstrzymać, nim zrobię z siebie totalną idiotkę.

— Kiedy ja to lubię. Chodź. — Pociągnął ją ku sobie, ukołysał na ramieniu jej obolałą głowę. — Woda z lodem — powiedział cicho. — Zanurz twarz w naczyniu z lodem, spróbuj coś zjeść, potem uzbrój się w cierpliwość i czekaj aż to minie.

— W porządku. — Najchętniej siedziałaby tutaj do końca życia. — Muszę iść. Nie powinnam zostawać na noc. — Mając przyciśniętą do niego twarz, nie dostrzegła jego rozczarowania ani tego, że sprawia mu ból. — Wolę nawet nie myśleć, co oni sobie wyobrażają.

— W porządku. — Kiedy ją odsunął, miał znowu nieprzeniknione oczy. — Leć i napraw wyrządzone nazwisku Templetonów szkody.

— Nie to miałam na myśli.

— Nie ma sprawy. — Nie dopuści, by go to dotknęło. — Nie ma sprawy — powtórzył. — Może byś jutro wybrała ze mną na przejażdżkę?

— Jutro? — Zakryła palcami oczy. Jeżeli natychmiast nie zejdzie ze słońca, wpadną jej do środka i wybuchną. — Polujemy na skarb.

— Pojedziemy rano. Zdasz wrócić do swojej Seraphiny.

Przejażdżka. Od lat już nie jeździła konno. Po wzgórzach, przez las
— Zgoda. Strasznie się cieszę. Może koło ósmej? W ten sposób będą mogła...

— Oczywiście. O ósmej. — Nim odszedł, pogłaskał ją szybkim ruchem po policzku. — Nie zapomnij o lodzie.

— Nie zapomnę, chciałabym... — Ale on już zniknął za rogiem budynku Zbita z tropu jego nagłą zmianą nastroju, zastanawiała się, czy nie pójść za nim. Po czym spojrzała na zegarek i uznała, że obowiązki nie pozwalają jej rozwiązywać zagadki Michaela Furry.

Nikt jej o nic nie pytał, nie żądał wyjaśnień, nie wyraził też dezaprobaty. Kiedy wieczorem ułożyła dzieci do łóżek, uświadomiła sobie, że przebrnęła przez cały dzień nie pytana przez nikogo o powód nieobecności we własnym łóżku.

Och, wyczuwało się pewne prądy w powietrzu. Troska, ciekawość, ale od tego też się wykręciła. Przeżyła także kaca, a świat się od tego nie zawalił.

Być może, ale tylko być może, Laura Templeton wcale nie musi wydawać się doskonała.

Wyszła od dziewczynek, przeszła do swojego pokoju. Tutaj poprawiła na ustach szminkę, wyszczotkowała włosy. Musi zejść, dołączyć do rodziców i do starych przyjaciół, którzy przyszli na kolację. Musi się upewnić, że dobrze się bawią i że zostali odpowiednio podjęci.

I, och, musi się wyciągnąć na pięć minut. Tylko na pięć, przyrzekła sobie, kładąc się w poprzek łóżka. Króciutka drzemka postawi ją na nogi, pomoże jej przebrnąć przez resztę wieczoru.

W minutę po zamknięciu oczu, umarła dla świata.

— Coś z tym trzeba zrobić, pani T. — Trzymając się pod boki, Ann stała w gustownie urządzonej salonie Susan, w części wieżowej. — Trzeba coś zrobić.

— W porządku, Annie, usiądź, proszę. — To był długi wieczór i choć Susan z przyjemnością przyjęła starych przyjaciół, marzyła o kilku chwilach samotności przed udaniem się na spoczynek. Wyraz twarzy Ann najwyraźniej wskazywał, że trzeba będzie z tego zrezygnować. — A więc, o co chodzi?

— Pani wie, o co chodzi, pani T. — Nazbyt wzburzona, aby usiedzieć w spokoju, Ann krążyła po pokoju, robiąc coś przy zasłonach, ustawiając w jednej linii lichterze, przetrzepując poduszki. — Widziała pani, jaka błada i zmęczona była dzisiaj panna Laura. Nie mogła pani tego nie zauważyć.

— Tak, rzeczywiście. Sama byłam błada i zmęczona nazajutrz po przedawkowaniu szampana.

— Och, tak jakby tylko o to chodziło. Jest jeszcze coś, czego dotychczas również nigdy nie robiła.

A może powinna, pomyślała Susan, ale nie wypowiedziała tego głośno, tylko westchnęła.

— Annie, przestań porządkować pokój i usiądź.

— Spędziła z nim noc. Całą noc, u niego, nad stajnią.

By ukryć uśmiech, Susan spojrzała w dół, na swoje ręce, podczas gdy Ann usiadła naprzeciwko niej.

— Tak, Annie, jestem tego świadoma.

— No więc, tak dalej nie może być. — Koniec, kropka, pomyślała Ann.

— A w jaki sposób chcesz powstrzymać dorosłą kobietę przed robieniem tego, na co ma ochotę? Nie ulega wątpliwości, że Laura czuje wielką sympatię do Michaela, może nawet więcej niż sympatię. Była samotna i nieszczęśliwa, a teraz nie jest.

— On to wykorzystuje. On ma zły wpływ. Dlaczego nawet nie zeszła i nie przywitała się z gośćmi? Nigdy w ten sposób nie uchylała się od swoich obowiązków.

— Była zmęczona, Annie, a Greenbeltowie są moimi i Tommy'ego przyjaciółmi. To naprawdę jeszcze o niczym nie świadczy. Nie możesz tak się wszystkim zamartwiać.

— Pani jest jej matką, ale pani wie, jak ją kocham, podobnie zresztą jak pani kocha moją dziewczynę. Kiedy Margo miała kłopoty, też się pani o nią martwiła.

— Tak. — Rozumiejąc rozterkę Ann, Susan wzięła ją za rękę. — Są naszymi dziećmi, i zawsze tak było i będzie. Ale dzieci dorastają i idą swoimi drogami bez względu na to, jak bardzo się niepokoimy, i to jest prawda stara jak świat.

— Posłucha się pani, pani T. Przemyślałam to sobie. — Teraz posypały się słowa. Ann mówiła szybko i, w swoim mniemaniu, logicznie. — Panna Laura już od tak dawna nie wyjeżdżała nigdzie z dziećmi. Ciężko pracowała i nie miała wakacji. Zbliża się wiosenna przerwa w szkole. Mogłaby na jakiś czas wyjechać z Ali i z Kaylą. Dziewczynki uwielbiają Disneyland. Jeśli podsunie pani tę myśl pannie Laurze, zabierze je. Będzie miała czas, by się zastanowić. Z dystansu wyraźniej dostrzeże, co robi.

— Sądzę, że Laura i dziewczynki zasłużyły na odpoczynek, ale tydzień w Disneylandzie nie wpłynie na zmianę jej uczuć do Michaela, Annie.

— Jest teraz w potrzasku. Jeśli przez jakiś czas nie będzie mydlił jej oczu, może dostrzeże go takim, jaki jest.

W geście bezradności, Susan wyrzuciła w górę ręce, następnie, zniecierpliwiona, uderzyła nimi o poręcz fotela.

— Na miłość boską, Annie? A jaki on jest? Dlaczego go aż tak nie lubisz?

— To brutal, otóż to. Brutal i hulaka, niewykluczone, że również łowca Posagu. Może ją skrzywdzić na wiele sposobów, nie mam co do tego złudzeń... — Zacisnęła wargi. — Nie mam.

By ochłoniąć z wrażenia, Susan wzięła głęboki oddech.

— Wyjaśnij mi, co masz mu do zarzucenia.

— Doskonale pani pamięta, że mając nie więcej niż dwanaście lat kreci się wokół tego domu.

— Przyjaźnił się z Joshem.

— I podsuwał panu Joshowi kradzione papierosy, podjudzając go do najgorszych głupot.

— Dwunastoletni chłopcy robią dużo głupich rzeczy. Na Boga, Annie sama uczyłam palić moją najlepszą przyjaciółkę, gdy miałyśmy po czternaście lat. To nie było mądre, ale takie są dzieci.

— I może przez te dziecinady wyłudował w więzieniu?

— O czym ty mówisz? — Pobladła nieco. — Michael był w więzieniu? Skąd o tym wiesz?

— Potrafię słuchać. Został zamknięty za bójkę w barze. Och, przetrzymali go tylko przez noc, ale swoje odsiedział. Facet lubi używać pięści.

— Och, na miły Bóg, już myślałam, że obrabował bank lub kogoś zabił. Mogę nie pochwalać takiego zachowania, ale nie mogę potępiać człowieka za to, że przespał się w celi, ponieważ uderzył kogoś pięścią w barze. Nawet nie wiesz, kto zaczął, ani dlaczego, ani...

— Jak pani może go usprawiedliwiać? — Nie posiadając się z oburzenia, Ann poderwała się z miejsca. — Jak pani może? Ten człowiek spędza noce z pani córką. Równie dobrze może ich użyć na niej. Zrobi coś lub powie, a on użyje pięści, tak jak ich użył na własnej matce.

— Co ty opowiadasz? — Poczula skurcz żołądka.

— Człowiek, który uderza własną matkę, rozkwasza jej do krwi usta i podbija oko, nie zawaha się przed uderzeniem innej kobiety.

— Wierzysz, by Michael Fury bił własną matkę? — zapytała Susan, wyraźnie akcentując każde słowo.

— Sama mi to powiedziała. Przyszła go tu szukać, z posiniaczoną twarzą. Zabrałam ją do swojego pokoju, zajęłam się nią, jak mogłam, a ona mi powiedziała, że poprzedniej nocy Michael wrócił do domu pijany, uderzył ją, przepędził jej męża, po czym zostawił samą. Chciałam pójść na policję, ale mnie powstrzymała.

Zacietrzewiła się, poniosły ją emocje.

— Jego miejsce jest w celi. Jego miejsce jest w pudle. Gdyby pani widziała twarz biednej pani Fury. Jeśli ten człowiek podniesie palec na pannę Laurę, to ja...

— Annie, ja widziałam matkę Michaela. — Susan wstała. — Rozmawiałam z nią.

— Więc pani wie. Zaraz po tym uciekł na morze. Wolał uniknąć konfrontacji. Pani T, musimy się go stąd pozbyć. Nie możemy dopuścić, by człowiek zdolny do takich rzeczy przebywał w pobliżu panny Laury i jej dzieci.

— Powiem ci, Annie, co mi powiedziała po tym, jak na mnie nakrzyczała za ukrywanie tutaj Michaela po tamtej nocy.

— Tutaj? — Ann musiała przytrzymać ręką wzburzone serce. — Ten człowiek był tutaj? Pozwoliła mu pani przebywać w tym domu po tym...

— Spał w stajni do czasu zaokrętowania się. Nigdy nie tknął tej kobiety.

— Przecież ją pani widziała. Powiedziała mi...

— Zrzuciła winę na niego. Nie mogła jej wziąć na siebie, nie wtedy. Ale znam prawdę, od niej samej. To mąż ją pobił. Robił to i wcześniej. Zdarzało się, że przychodziła do pracy z pobitym okiem, ale nie przez Michaela.

— Ale przecież powiedziała...

— Nieważne, co powiedziała — krzyknęła Susan. Jeszcze gdy dzisiaj o tym wspominała, gotowała się w niej krew. Matka, obwiniająca dziecko za własne słabości! — Chłopiec wrócił do domu i zobaczył, że ojczym bije matkę. Bronił jej. A ona, własna matka, zamiast mu podziękować, że dołożył temu bydłakowi, który sobie na to zasłużył, wykopała go z domu, powiedziała mu, że nie ma prawa się wtrącać, i że to jego wina.

Przerwała na chwilę, próbując się opanować.

— A kiedy Michael odszedł, kiedy dotarło do niej, że go straciła, usiadła w tym właśnie pokoju i załamała się. Wszystko mi opowiedziała.

— Ale mnie powiedziała... Uwierzyłam jej... — Ann opadła na krzesło. — O słodki Boże!

— Błagała mnie, żeby jej pomóc go odnaleźć, żeby go nakłonić do powrotu. Była sama, rozumiesz, a matka Michaela nie należała do kobiet, które potrafią pozostać długo same. Pragnę wierzyć, że gdzieś w środku załowała tego, co zrobiła, tego, co mu powiedziała, i że kochała go. Ale widziałam przed sobą żalostną, egoistyczną kobietę, przerażoną perspektywą życia bez mężczyzny, nawet gdyby tym mężczyzną miał być syn, którego wypędziła.

— Och, pani T. — Przerażona Ann zasłoniła ręką usta. Łzy winy i współczucia napłynęły do jej oczu. — Czy jest pani tego pewna?

— Annie, zapomnij o tym, co ci naopowiadała, a nawet o tym, co usłyszałaś ode mnie, i powiedz uczciwie, co widzisz, kiedy na niego patrzysz? Tak jakbyś o nim nic nie wiedziała. Oprzyj się tylko na tym, co teraz widzisz.

— Ciężko pracuje. — Pociągnęła nosem, wyjęła chusteczkę z kieszeni. — Jest dobry dla dzieci i dla zwierząt. Umie do nich podejść. Ma diabła w oku i pojawia się w nim coś złowrogiego. Nie przebiera w słowach, nawet w obecności dzieci, i, jak sądzę... — Urwała, otarła oczy. — Jest dla nich dobry. I był dla nich dobry. Nie mogę temu zaprzeczyć. I jest mi wstyd.

— Nie ma się czego wstydzić, gdy w grę wchodzi troska o ludzi, których kochamy. Jest mi przykro, że żyłaś w strachu o Laurę, przekonana, że związała się takim człowiekiem, za jakiego go uważałaś.

— Odkąd przybył, nie mogłam prawie spać. Czatowałam na niego... Och, biedny chłopiec. Ile on przecierpiał! Ledwie dorósł, by się regularnie golić.

— Będziesz teraz lepiej spała — zażartowała Susan.

— Ale nadal nie spuszczę go z oczu. — Pozwoliła sobie na nikły uśmiech. — Mężczyzna z takim wyglądem jest groźny dla kobiety.

— Będziemy się o to obie martwiły. — Pogłaskała Ann po rękę. —

Znamy naszą Laurę, prawda? Potrzebuje domu, rodziny, miłości. Kiedy to ma, jest szczęśliwa. Nie wiem, czy Michael da jej to wszystko, nie wiem też jak przeżyje ewentualne niepowodzenie.

Znalazła coś zupełnie innego. Dreszczyk radości, jaki dało jej wspinanie się na wzgórze, jazda przez nisko kładącą się poranną mgłę, która opasywała ziemię jak rzeka, dźwięki tętniących kopyt i świadomość, iż silny, lśniący koń szukuje się pod nią do skoku.

Pożeglowała nad zwalonym pniem drzewa, wypadła na rozświetloną słońcem polanę.

— O Boże, jak tu cudownie. — Ściągnęła lejce i położyła się na szyi konia. — Już nie będę się mogła bez tego obejść. Sprytny z ciebie facet, Michaelu Fury. — Wyprostowała się i odwróciła, by przyrzeć się, z jaką lekkością siedzi na Maxie. — Czy jest jakiś sposób, żebym mogła kupić tego konia dla siebie, nie kupując tamtej klaczy dla Ali?

— Przy trzech ubijemy cholernie dobry interes. Mały gniady wałach pasuje Kayli jak ulał. Jeździsz jak szatan, Lauro. — Pochylił się i poklepał szyję klaczy pod Laurą. — A Fancy idealnie ci leży. Tak myślałem.

— Najwidoczniej znasz swoje konie i swoje kobiety.

Spojrzał na nią błyskawicznie. Jego kobieta. Chwilowo.

— Najwidoczniej. Jesteś... — Oszołamiająca, pełna wigoru. Wypoczęta.

— Spałam jak zabita ostatniej nocy. Prawie dziesięć godzin. — Próbuje flirtować, posłała mu zalotne spojrzenie spod rzęs. — Tęskniłeś za mną?

Sięgał po nią w nocy pół tuzina razy.

— Nie. — Na widok jej posmutniałej twarzy, roześmiał się, łapiąc ją za koszulę i przyciągnął dostatecznie blisko, by dotknąć jej warg. — A jak sądzisz? — Zsiadł z konia. — Pozwólmy im odpocząć. Ostro galopowały.

Gdy zsunęła się zwinnie na ziemię, przerzucił lejce przez gałąź.

— Znalazłaś wczoraj nową monetę?

— Nic. Nawet kapsla od butelki. Nie mogę... och, czyżbym ci nie mówiła? Poprzedniego wieczoru...

— Słyszałem. — Z niezrozumiałych przyczyn było mu przykro, że nie przybiegła do niego ze swoją monetą. — To fajnie.

— To przedziwna sprawa. — Rozprostowała nieprzywykłe do jazdy konnej mięśnie. — Położyłam na niej rękę. Dosłownie tak, jakbyś upuścił ćwierć dolara i schylił się po...

Zmrużyła oczy, zgubiła wątek. Stał tak, po prostu stał, w padającym od tyłu słońcu, i wpatrywał się w nią.

— O co chodzi?

— Powiedziałaś, że ci się śniłem. Teraz i przed laty. Na klifach, w twoim pokoju, w lesie. Odwracałaś się, a ja tam byłem.

— Tak. — Czyż to nie głupie, że serce podeszło jej do gardła? Że ze

strachu, jak i z przecucia tego, co będzie, czuje na skórze rozżarzone igiełki? — Michael.

— I dotykałem cię. — Poszybował dłonią ku jej piersi, poczuł, jak drży. Były w jej życiu sprawy, od których był odgradzony, były jego sprawy, których przed nią nie otworzył. Ale tutaj... Tutaj znajdowali się na równym gruncie. — I smakowałem cię. — Pocałował Laurę, poczuł żar. — I brałem cię. — Objął ją ramionami, poczuł ból. — I wezmę.

Leżała obok niego goła, w promieniach słońca, pośród rozśpiewanych na drzewach ptaków. Nie podarł jej ubrania. Ubawiła ją myśl, że gdyby nawet musiała wracać konno do Templeton House goła, jak Lady Godiva, nie powstrzymałaby go przed tym.

Był natomiast taki delikatny, taki czuły, że jeszcze teraz miała ochotę się rozplakać.

— Nigdy się nie kochałam na dworze — szepnęła. — Nie wiedziałam, że to może być takie cudowne. — Usiadła, wyprostowała się. — Tak wiele pierwszych razy. Nie sądzę, żebym ci miała do ofiarowania tyle pierwszych rzeczy. — Odwróciła głowę, uśmiechnęła się do niego. — Niedobry Michael Fury już wszystkie je robił.

— Albo jeszcze trochę — powiedział nie otwierając oczu.

— O tylu rzeczach mi nie mówisz. — Nie powstrzymała jej świadomość, iż wścibianie nosa w przeszłość mężczyzny przez zakochaną kobietę jest zjawiskiem aż nadto typowym. Przesunęła palcem w dół jego piersi. — Tyle tajemnic w środku.

— Ostatniej nocy zdradziłaś mi parę swoich. Coś za coś?

— Nie, oczywiście, że nie.

Otworzył oczy.

— Jeśli chcesz coś o mnie wiedzieć, pytaj.

Potrząsnęła głową, chciała się przesaść, ale ją złapał i unieruchomił.

— Boisz się odpowiedzi?

— Nie — odpowiedziała zdecydowanym głosem. — Nie boję się. I dziwię się, że tak myślisz.

— Świetnie. Pytaj.

— Ja... — Wciąż się wahała, wreszcie poddała się. — W porządku. Mówiłeś, że byłeś wcześniej żonaty, ale nigdy o niej nie wspomniałeś, ani o tym, co się stało.

— Nazywała się Yvonne, rozwiedliśmy się.

— W porządku. — Poirytowana tak lapidarną odpowiedzią, sięgnęła po koszulę. — Powinniśmy wracać

— Psiakrew. — Potarł twarz rękoma, usiadł, podczas gdy Laura wślizgnęła się w delikatną, miękką, pomiętą teraz koszulę. — Zgoda, chcesz wiedzieć. Spotkałem ją, kiedy uczestniczyłem w rajdach. Lubiła towarzystwo rajdowych kierowców.

— I zakochałeś się w niej?
— Chryste, ależ z ciebie dziecko! — Wstał, wciągnął dzinsy.-
Sypialismy. Lubilismy się, było nam dobrze w łóżku. A potem zaszła w ciążę.
— Och. — Podniosła się powoli, zatrzymując wzrok na jego spodniach,
które właśnie zapinał. — Mówiłeś, że nie masz dzieci. Przypuszczałam...
— Czy chcesz słuchać, czy nie?
Podniosła wzrok, zaskoczona goryczą w jego głosie.
— Pod warunkiem, że chcesz opowiedzieć.
— Gdybym nie chciał, nie robiłbym tego. — Ponownie zaklął, złapał ją
za ramię, kiedy się pochyliła, by sięgnąć po buty. — Siadaj. No siadaj, do
jasnej cholery. Nie rób takiej miny, jakby cię ktoś zranił.
Zakrył oczy dłońmi, starał się opanować. Kiedy już raz otworzył tę część
swojego życia, będzie musiał otworzyć następną. Zada mu więcej pytań, na
które jej odpowie.
Tu, pośród skapanych w słońcu drzew, czując jeszcze ciepło jej ciała,
godził się z faktem, iż jest to początek końca.
— Więc zaszła w ciążę. Dyskutowalismy na ten temat. Najlepszym
wyjściem dla wszystkich był zabieg. Jest, nie ma. Poczynilismy więc
odpowiednie kroki.
— Przykro mi. To trudna decyzja. Czy... Czy nie miałeś wątpliwości, że
jesteś tym, z którym...
— Z którym zaszła w ciążę? Yvonne nie była kłamczucha ani oszustką.
Powiedziała, że dziecko jest moje, i to wystarczyło. Bylismy przyjaciółmi,
Lauro.
— Przykro mi. To było ciężkie przeżycie dla was obojga.
— Wydawało się nam, że postępujemy słusznie. Próbowaliśmy wyrobić
sobie nazwisko na torze, a ona podjęła właśnie nową pracę. Na dziecko nie
było miejsca. Do licha, żadne z nas nie wiedziało nic na temat dzieci,
rodzicielstwa. Bylismy tym, kim bylismy. — Spojrzał jej w oczy. —
Nieudacznicy, wypatrujący lepszych czasów.
Zniżyła wzrok.
— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to było łatwe? Tyle, co wzruszenie
ramion? Raz, dwa, i po wszystkim?
— Nie. — Podniósł wzrok, patrzył na drzewa, na cienie. — Nie, to nie
było łatwe. Ale wydawało się rozsądne. Uznalismy to za najlepsze rozwiązanie.
Ale w noc poprzedzającą zabieg doszliśmy do innego wniosku. Oboje
chcieliśmy tego. Oboje zapragnęliśmy dziecka. To nie miało najmniejszego
sensu, nie wiedzieliśmy, co robimy, ale oboje zapragnęliśmy dziecka.
— Nie usunęła ciąży.
— Nie. Pobralismy się. Pomyśleliśmy sobie — pal sześć! Zrobmy to,
miejmy dziecko! Próbowaliśmy robić na drutach. — W kącikach jego ust pojawił
się uśmiech. — Była w tym wszystkim zielona. Czytaliśmy odpowiednie
książki. Przeszliśmy jakieś badanie USG. Chryste Panie, jakie to było... piękne.
Sprzeczałismy się o imiona i robilismy wszystko, co, jak sądzę, robią inni ludzie.

Uśmiech zniknął, podobnie jak i on zrobił się nieobecny, pomyślała patrząc mu w oczy.

— W środku nocy, była w czwartym miesiącu, zaczęła silnie krwawić. Cierpiała, była przerażona. Zabrałem ją do szpitala, ale za późno. Straciła dziecko.

— Tak mi przykro. — Znowu wstała, ale go nie dotknęła. — Okropnie roi przykro, Michael. Nie istnieje nic bardziej bolesnego, niż strata dziecka.

— Tak. Lekarz powiedział, że jest zdrowa i młoda, i że za jakiś czas możemy znowu spróbować. Udawaliśmy, że tego chcemy. Podtrzymywaliśmy się tym wzajemnie. Ale zaczęliśmy ze sobą walczyć, skakać sobie do gardła. Opuszczałem w pośpiechu dom. Ona także zostawiała mnie samego. Kiedy pewnej nocy wróciłem do domu, czekała na mnie. Doszła do tego szybciej niż ja. Była bystrą kobietą. Skończyła się nasza przyjaźń. Nasze małżeństwo mogło utrzymać tylko dziecko, a dziecko odeszło. Utknęliśmy w martwym punkcie, a nie powinniśmy. Miała rację. Postanowiliśmy więc stać się znów przyjaciółmi i przestać być małżeństwem. Koniec opowiadania.

Teraz dotknęła go, ujęła jego twarz w obie dłonie, czuła jego napięcie.

— Nie ma niczego, co mogłabym powiedzieć, by ulżyć tego rodzaju smutkowi, smutkowi, który niesie się z sobą przez całe życie.

Zamknął oczy, pochylił się i szukał ulgi, kładąc czoło na jej czole.

— Chciałem tego dziecka.

— Wiem. — Otoczyła go ramionami. — Pokochałeś już je. Rozumiem. Tak mi przykro, Michael. — Poklepała go delikatnie po plecach. — Jest mi przykro, że nakłoniłam cię do opowiedzenia mi tego.

— To było prawie dziesięć lat temu. Było, minęło. — Cofnął się, przeklinając łyżę na policzkach. — Nie rób tego. Do diabła, powinnaś zapytać mnie o coś innego. — Otarł niezręcznie łyżę. — Na przykład o to, jak dublowałem Mela Gibsona.

Pociągała nosem, z trudem zdobyła się na uśmiech, którego potrzebował.

— Ty? Naprawdę?

— Kobiety uwielbiają Mela. Powinnaś ze mną pojechać do Hollywoodu. Mógłbym ci go przedstawić. — Owinął ciemnoblonde włosy wokół palca. — Musimy tam jutro jechać z Maxem.

— Jutro? — Była zaskoczona. — Jedziesz do Los Angeles? Nic nie wspominasz.

— Telefonowano dopiero w piątek. — Wzruszył ramionami i usiadł, by wciągnąć buty. — Western przygodowy z twoim ulubieńcem Melem. Chce mnie i Maxa. Musimy więc odbyć parę spotkań, trochę próbnych ujęć. Przekonać się, czy potrafimy im dać to, czego potrzebują.

— To wspaniale. Spodziewałam się, że będziesz bardziej podekscytowany.

— To praca. Nie sądzę, żebyś była zainteresowana wspólną wyprawą.

— Bardzo bym chciała, ale nie mogę zostawić dziewczynek, ani pracy. Jak... — Jak długo cię nie będzie, chciała zapytać, ale urwała. — Będą pod wrażeniem, kiedy im to powiem.

— Załatwiłem chłopaka, będzie doglądał inwentarza podczas kilku dni mojej nieobecności. Powinienem wrócić w piątek.

— Och. — Tylko kilka dni. Znowu się uśmiechnęła. — Może zdążysz na ten wernisaż w piątek wieczorem.

— Jaki wernisaż?

— Wystawa ekspresjonistów w galerii sztuki.

Pohamował się, by nie parsknąć.

— Chcesz, żebym oglądał obrazy i wypowiadał całą masę idiotycznych komentarzy na temat pociągnięcia pędzla i ukrytego podtekstu? — Przechylił zadziornie głowę. — Czy wyglądam na faceta, który będzie sterczeć popijając espresso i rozwódzić się nad rozłożeniem barw na płótnie?

— Nie. — Siedział na pieńku, nagi do pasa, z lekko zaczerwienionymi zadrapaniami na żebrach. Miał nieuporządkowane, zmierzwione włosy. — Nie, nie wyglądasz.

Podobnie jak ty, pomyślał, nie wyglądasz na kobietę, która by odłożyła na bok obowiązki i uciekła do Los Angeles na tydzień z kochankiem.

Co ona tu ze mną robi, u licha? — zastanawiał się, podnosząc się z miejsca. Kim dla mnie jest? Kim będziemy dla siebie, jeżeli to dłużej potrwa?

— Wracajmy lepiej. — Włożył koszulę. — Chyba nie chcesz, żeby Seraphina czekała na ciebie.

— Michael. — Położyła mu rękę na piersi. — Będzie mi ciebie brak.

— W porządku. — Podsadził ją, usadowił w siodle.

Rozdział dziewiętnasty

Wyjechał nie na parę dni, lecz prawie na dwa tygodnie. Co wieczór powtarzała sobie, że nie ma obowiązku do niej telefonować i spowiadać się z przyczyny spóźnienia. Czy też, po prostu, odezwać się, by mogła usłyszeć jego głos.

Perswadowała sobie, że łączy ich dojrzały związek, w którym każda ze stron ma wolną wolę: może przyjść i odejść, kiedy zechce. Tłumaczyła sobie, że gryzie się, martwi, a nawet czuje urażona, ponieważ nigdy przedtem nie doświadczała niczego podobnego.

Nie narzekała oczywiście na brak zajęć. Otrzymała poza tym porządną nauzkę, by nie czynić mężczyzny odpowiedzialnym za spełnianie wszystkich swoich życiowych potrzeb. To było jej zadanie, którego już nigdy nie zlekceważy.

Życie między pracą, dziećmi, rodziną i przyjaciółkami zadowolało ją w pełni. Może i chciała je dzielić z Michaelem, stanowić część jego życia, ale nie była śmiertelnie zakochaną nastolatką, która wysiaduje godzinami przy telefonie, czekając, że zadzwoni.

Choć, prawdę mówiąc, pragnęła, by raz czy dwa zadzwonił.

W tej chwili telefon nie był najistotniejszą sprawą. Miała na głowie inne problemy. Za niecałe dwie godziny miał się odbyć wiosenny popis Ali. Nie tylko nie była gotowa, ale na domiar wszystkiego jeden z kotów zakrzuszył się i wypłuł kulkę śmieci na środku łóżka Kayli wywołując konsternację i obrzydzenie. Z kolei jeden z kotów stajennych wypuścił się na rekonesans, sprowokował Bonga do dzikiej gonitwy wśród ziół, po której pozostały spustoszone grządki z rumiankiem i wrotyczem, i rozorany do krwi nos Bonga.

Nie było siły, by zwabić impertynenta, nie pomagały żadne: „kici, kici”, by go nakłonić do zejścia z cyprysa, na którym się schronił. Bongo zaś skomlał żałośnie spod jej łóżka.

A niezależnie od tego najpoważniejszym problemem okazała się sama

Ali. Dziewczynka bez przerwy grymasiła i nic jej się nie podobało. Narzekał na okropną fryzurę, skarżyła się na ból brzucha. Nie chciała iść na swój popis. Nienawidziła ich. Wszystkiego nienawidziła.

Zdobywając się na maksymalną cierpliwość, po raz kolejny Laura próbowała wymodelować włosy Ali, kierując się wskazówkami dziecka.

— Kochanie, to, że denerwujesz się dzisiaj wieczorem, to zupełnie normalne. Wypadniesz wspaniale. Przecież zawsze jesteś wspaniała.

— Nie jestem zdenerwowana. — Ali zrobiła nadaśaną minkę do lustra. — Nigdy nie jestem zdenerwowana, kiedy mam tańczyć. Po prostu nie chcę tam iść.

— Wszyscy na ciebie liczą — goście, twoi instruktorzy, dziewczynki z grupy. Rodzina. Wiesz przecież, jak bardzo babcia i dziadek byli podnieceni kiedy wyjeżdżali po wujka Josha. Wszyscy się ogromnie cieszą na dzisiejsze przedstawienie.

— Na nikogo nie mogę liczyć! Tylko ja muszę dotrzymywać słowa, innych to nie obowiązuje.

Kółko się zamknęło, pomyślała Laura.

— Przykro mi, że czujesz się rozczarowana z powodu nieobecności ojca. On...

— On mnie nie obchodzi. — Szarpnęła się w przypiływie złości, wzruszyła ramionami, wyrwała się spod rąk matki. — I tak nigdy się nie pojawia. Jest mi to obojętne.

— Więc o co chodzi?

— O nic. Pojadę. Zrobię to, ponieważ dotrzymuję słowa. Moje włosy wyglądają już dużo lepiej — powiedziała wyniosłym tonem. — Dziękuję.

— Kochanie, jeśli tylko...

— Nie skończyłam się jeszcze ubierać. — Zacisnęła wargi; mała, śliczna dziewczynka, w trykotach i baletowej spódniczce. — To nie twoja wina, mamó. Nie chciałam być nieuprzejma. Nie jestem na ciebie zła.

— Więc o co chodzi?

— Mamó! — Na korytarzu rozległ się jęk Kayli. — Nie mogę znaleźć czerwonych bucików. Chcę je włożyć.

— Pomóż jej — powiedziała Ali, siłąc się na uśmiech. — Za minutę będę na dole. Dziękuję za poprawienie włosów.

— Nie ma za co. — Widząc smutek w jej oczach, pochyliła się i ucałowała ją w oba policzki. — Lubię się bawić twoimi włosami. Zastanawiam się, czy nie chciałabyś położyć trochę błyszczka na wargi, będzie ci ładnie.

— To znaczy, jeszcze przed wyjściem, nie tylko na scenę?

— Na dzisiejszy wieczór. — Leciutko poklepała palcami wargi Ali. — Nic nie poradzę, że dla mnie jesteś zawsze moją malutką córeczką.

— Maamaa, moje buty!

— Za to ona dorosłe! — mruknęła Laura. — Już idę. Równy za dziesięć minut spotykamy się na dole, Ali.

Znalazła buciki. Kto by się spodziewał, że znajdzie je akurat na półce z butami w szafie? Po przeczesaniu szczotką włosów, Laura zaczęła poganiać swoje stadko.

— No, ruszać się, do przodu. Ten pociąg odjeżdża za pięć minut. Zajmę się tym, Annie — zawołała, słysząc dzwonek u drzwi. — Czy mogłabyś przed naszym wyjściem sprawdzić, co robi Bongo? Jest pod moim łóżkiem, i...

Gdy otworzyła drzwi, zaniemówiła na widok Michaela.

— Michael. Wróciłeś.

— Na to wygląda.

Gdyby rzuciła mu się w ramiona, tutaj, we własnym domu, na oczach dzieci, pewnie nie wytrzymałaby w swojej decyzji. Ale tego nie uczyniła. Uśmiechnęła się tylko i wyciągnęła rękę.

Zrobiła to natomiast Kayla.

— Przywiozłeś Maxa z powrotem? — Z dziecięcą szczerością i prostotą opłotła go w pasie nogami i nadstawiła do pocałunku usta. — Też wrócił do domu?

— Jasne. Zawsze razem podróżujemy. Skąd masz czerwone buciki, dzieciaku? No, no, aż biją w oczy!

— Mama mi kupiła. To moje ulubione.

— Przyjechałeś.

Michael oderwał wzrok od czerwonych bucików Kayli. Przeniósł spojrzenie na Ali. Kiedy tak stoi, oniemiała ze zdziwienia, gdy tyle emocji kłębi się w jej oczach, tak bardzo jest podobna do matki, pomyślał.

— Powiedziałem, że będę.

— Myślałam, że zapomniałeś. Myślałam, że jesteś bardzo zajęty.

— Miałbym zapomnieć o zaproszeniu od pięknej baleriny na jej występ? — Potrząsnął głową, wyprostował się. — Rany, jak by to świadczyło o mojej pamięci! — Przekrzywił zawadiacko głowę i wręczył jej bukiet różowych miniaturowych różyczek. — Czy nie byliśmy umówieni? Chyba nie poprosiłaś innego chłopaka, by mnie zastąpił?

— Nie. To dla mnie? — Z otwartą buzią, zmieszana i uszczęśliwiona, wpatrywała się w róże. — Dla mnie?

— A dla kogóż by?

— Dla mnie. — Wzięła od niego kwiaty. Powąchała je. — Dziękuję. Mamo, Michael przyniósł mi kwiaty.

— Widzę. — Kłudy ją odrobinę w oczy. — Są prześliczne.

— Wstawię je do wazonu z Waterford*. — W holu, kilka kroków z tyłu, z założonymi rękami, stała Annie. Patrzyła prosto na Michaela. — Kiedy dziewczyna dostaje od mężczyzny pierwsze kwiaty, trzeba je potraktować w szczególny sposób.

— Chcę je sama wstawić.

* Miasto w południowej Irlandii, znane m. in. z produkcji szkła artystycznego — Przep. tłum.

- Czemu nie? To potrwa tylko chwilę, panno Lauro.
- W porządku. Dziękuję ci, Annie.
- Jej pierwsze kwiaty — szepnęła Laura.
- Na Boga, dlaczego kobiety zawsze się mażą na widok bukietu kwiatów?

To mu przypomniało, że nigdy nie dał kwiatów Laurze. Prawdziwych kwiatów, nie tych, wyrwanych niedbale z ziemi. Nigdy o tym nie pomyślał. Uświadomił sobie, że poza namiętnym, ostrym seksem nic jej nie dał.

— Kwiaty to symbol. — Przypomniała sobie śliczne dzikie kwiatki które jej wręczył. Takie słodkie, takie zwyczajne. Takie na miejscu.

— Dla kobiet wszystko jest symbolem.

— Pewnie masz rację. — Odwróciła się do niego rozpromieniona. — Jak to miło z twojej strony, że je przyniosłeś Ali. Że przyjechałeś. Nie wiedziałam, że cię o to prosiła. Nie miałam pojęcia, że liczyła na to.

— Poprosiła mnie parę tygodni temu. — Zanurzył ręce w kieszeni. Pamiętał, że i Laura go prosiła. Nie wspomniał o tym. — Przez trzydzieści cztery lata starałem się unikać baletu. Trzeba kiedyś zacząć.

— Mam nadzieję, że doświadczenie okaże się bezbolesne. — Podeszła teraz ku niemu, a on wyjął z kieszeni rękę i, uprzedzając jej ewentualny czulszy gest, ujął jej dłoń.

— Co u ciebie? — zapytał.

— Wspaniale. — Zastanawiała się, czy jest zmęczony, czy też rzeczywiście cie powiało od niego chłodem? — Jak poszło w Los Angeles?

— Poszło. Zaczynają zdjęcia za jakieś trzy tygodnie. Będzie przy tym parę miesięcy pracy. Może więcej.

— Pozostaniesz w Los Angeles podczas kręcenia — wykrztusiła, czując ciężar w sercu.

Wzruszył ramionami. Chwila nie była odpowiednia, by wdawać się w szczegóły. Z kłopotu wybawił go powrót Ali, niosącej, niczym trofeum, wazon ze swoimi różyczkami.

— Czyż nie są prześliczne, mamó? Annie postawi je w moim pokoju.

— Są doskonałe. Naprawdę musimy już jechać. Wykonawcy powinni być pół godziny przed podniesieniem kurtyny.

— Daj, zaniosę je, kochanie. — Annie wyjęła wazon z rąk Ali. — I przyjadę tam, żeby zobaczyć, jak tańczysz. — Przechyliła głowę ku Michaelowi w geście, który, gdyby go uczyniła inna osoba, uznalby za przyjazny uśmiech. — Wszyscy tam będziemy.

Mógłby na tych kilka godzin wyłączyć swoją świadomość. Dzieciak był taki uroczy. Pozostałe również. Trudno jednak siedzieć obok Laury, w otoczeniu tych wszystkich ludzi — rodzin, partnerów, par — i nie czuć się marnie.

Ale miał czas i wystarczający dystans, by spojrzeć trzeźwym wzrokiem na to, co się dzieje. Co się z nim dzieje. Zakochał się w niej, na całego.

Z tego nic nigdy nie wyjdzie.

Ujrzał siebie w obskurnym małym barze w Los Angeles, popijającego piwo i przerzucającego się z kowbojami opowiastkami. Wracającego do pokoju hotelowego po długim dniu pracy, spoconego, brudnego, przesiąkniętego zapachem koni. I ujrzał siebie dorastającego w domu pełnym przemocy, zaniedbania i ustawicznego napięcia.

Ujrzał siebie takim, jaki był: mężczyzna, który przez większą część życia gonił za wszystkim co najgorsze, który bezpośrednio w tym uczestniczył. Syn kelnerki i nicponia, cwaniaczek z klifów, który w odpowiednim czasie i przy pewnym wysiłku mógłby wieść uczciwe i przyzwoite życie.

I widział Laure, dziedziczkę Templetonów, popijającą herbatę w eleganckim Country Clubie, ubraną w wytworny kostium, prowadzącą gustowny butik, kroczącą po wielkim hotelu, który był jej własnością.

Nie wątpił, że coś jej dał. I że w innych okolicznościach mogliby sobie dać więcej. Ale to tylko kwestia czasu. Gdy opadnie z jej oczu mgła pożądania, przekona się, co robi. Miłosna przygoda z trenerem koni!

Oboje byli w lepszym położeniu, niż sądził na początku. Znając ją, wątpił, czy zdolna będzie zakończyć związek szybko i czysto. Jest zbyt miękka, zbyt dobra, by odejść bez poczucia winy. Co gorsza, właśnie z powodu tego solidnego poczucia obowiązku mogłaby ciągnąć ich związek nawet wówczas, gdy sobie uświadomi, że popełniła błąd.

Był dla niej nieodpowiedni. Wiedział to. Ludzie, którzy znali ich oboje, widzieli to. Sama by w końcu rozumiała. A to by go zabiło.

Być może, gdyby nie wpadł w Los Angeles na starego kumpla, robotnika portowego, z którym pływał w marynarce handlowej, gdyby z nim nie pił, nie wdał się w rozmowę! Jednego z tych facetów, który poszedł z nim wojować dla zysku, gdy morze przestało ich nęcić.

Alle wpadli na siebie. Wygrzebali stare historie, wspominali dawne dzieje. I doznał krótkiego, brutalnego objawienia; spojrzął na zgrzyliwą, zgorzkniałą, przedwcześnie postarzałą twarz mężczyzny przed sobą i zobaczył w nim siebie.

Nie chciał, by taki człowiek dotykał kiedykolwiek Laury, nie chciał, by kiedykolwiek poznała tego człowieka. Gdyby próbował jej dotknąć, poznać ją, cofnęłaby się przed nim przerażona.

Zanim więc którekolwiek z nich stanie wobec tego problemu, wyświadczy jej przysługę i zniknie z jej życia.

Podczas gdy na scenie Ali kręciła pirueta, Laura położyła dłoń na jego rękę i pogłaskała go. I rozdarła mu serce.

— Czyż nie wyglądają wspaniale? — szepnęła Margo.

Siedzący obok Josh wystukiwał bezwiednie nogą rytm muzyki i podziwiał siostrzenicę.

— Wszystkie są wspaniałe, lecz Ali najlepsza.

— Oczywiście. — Zachichotała cichutko, pochyliła się do jego ucha —. Ale ja mówię o Laurze i Michaelu.

— Hmm? — Wytracony z równowagi, przesunął się, rzucił okiem na siedzącą przed nimi parę. — Co Laura i Michael?

— Są wspaniali razem.

— Taa, sądzę... — Zamilkł, oniemiał. — Co chcesz powiedzieć przez to „razem”?

— Cśś — uspokajała go, tłumiąc kolejny chichot. — Razem, to razem. Jesteś ślepy?

Coś go chwyciło za gardło, poczuł suchość.

— Nie widują się. Nie umawiają się na spotkania.

— Spotkania. — Była zmuszona zakryć ręką usta. — Na miłość boską, Josh, śpiąją ze sobą od tygodni. Jak możesz tego nie wiedzieć?

— Śpiąją... — Szok, wściekłość, niedowierzanie zamknęły się w jednym zdaniu: — Skąd ty, do diabła, wiesz o tym?

— Od Laury — syknęła mu do ucha. — A nawet gdyby mi sama nie powiedziała, mam jeszcze oczy. Szs... — nakazała mu, gdy otwierał usta. — Przeszkadzasz ludziom. Teraz jest numer solowy Ali.

Zamknął usta, ale nie umysł. Miał wiele do przemyślenia! A już jego stary kumpel, Michael Fury, będzie mu musiał odpowiedzieć na wiele pytań.

Nie pozostawało mu nic innego tego wieczoru, jak wrócić do domu i wziąć w obroty żonę. Posprzeczać się z nią na temat zaistniałej sytuacji. Josh złożył jej postawę na karb kobiecych upodobałi. Kobiety uważają, że Michael jest romantyczny — na tym zawsze polegał jego fart, na tym też polegała istota obecnego problemu.

Spotkał się z nim na padoku; trenował jednolatka na lonży.

— Muszę z tobą pogadać, Fury.

Michael znał ten ton. Josh ma coś na wątrobie. Nie miał dobrego nastroju, nie teraz. Wciąż rozmyślał nad zmieszaną, urażoną twarzą Laury, kiedy wieczorem, na pożegnanie, poklepał ją pospiesznie po głowie, mówiąc, że jest skonany.

Innymi słowy — idę spać, skarbie, nie zapraszam cię.

Niemniej puścił wolno jednolatka i podszedł do ogrodzenia, przy którym czekał Josh.

— No więc mów.

— Czy śpisz z moją siostrą?

No tak, przyszła pora.

— Niewiele śpiamy — odparł na luzie. Zdażył napiąć mięśnie, gdy Josh błyskawicznym ruchem złapał go za koszulę. — No, no, uważaj, Harvard.

— Co ty sobie, do jasnej cholery, myślisz? Za kogo ty się, u licha, uważasz? Poprosiłem, żeby ci wynajęła to miejsce. Wyświadcza ci przysługę, a ty natychmiast wskakujesz do łóżka!

— Nie wskoczyłem sam. — A niech tam, jeśli oberwie za to pięścią! — jest duża dziewczyna, Josh, nie zwabiłem jej do stajni, obiecując lizaka. Nie zmuszałem jej.

Już sama myśl o tym zmroziła go. Po chwili się zawstydził.

— Nie powinieneś — odparował. — Zapominasz, do kogo ta mowa. Znam cię, Mick. Znam twój styl. Chryste, sporo sztuk przygruchaliśmy razem.

— Taa, niemało, — Nie spuszczać go z oczu, Michael odgiął palce Joshua ze swojej koszuli. — Ale kiedy we dwóch szliśmy na podryw, to było w porządku.

— Ona jest moją siostrą.

— Wiem, kim jest.

— Gdybyś wiedział, gdybyś miał pojęcie, co przeszła w ciągu ostatnich lat, jak łatwo jest ją zranić, trzymałbyś się od niej z daleka, do jasnej cholery! Kobiety, z którymi się zadawałeś, zawsze znały reguły gry, wchodziły w grę. Ale nie Laura.

— A ponieważ jest twoją siostrą, ponieważ nazywa się Templeton, nie ma prawa zabawiać się. — Wzbierała w nim gorycz. — A już na pewno nie ze mną.

— Zaufałem ci — szybko odparł Josh. — Zawsze ci ufałem. Jest ci obojętne, czy gruchasz z Kate, czy z Margo, ale niech mnie szlag trafi, jeśli będę stał z boku i przyglądał się, jak robisz to ze wszystkimi trzema po kolei.

Jego oczy stały się chłodne i zaciekle. Zacisnął pięść, a w wyobraźni widział, jak nią uderza, jak wali nią z całej siły. Potrzeba było wysiłku całej woli i wielu lat przyjaźni, by nie ulec pokusie.

— Odchrzań się ode mnie. I to już!

— Chcesz się zabawić, to się zabaw. Bawiliśmy się kiedyś.

Inaczej, pomyślał Michael, podczas gdy cała jego istota rwała się do walki. Teraz są mężczyznami, a w grę wchodzi wyższe stawki. Jeśli miał jakąś rodzinę, mającą dla niego znaczenie, to właśnie tę, Joshua, gotowego rozwalić mu kark.

— Dlaczego by nie spróbować innego wyjścia. Wynoszę się pod koniec tygodnia. Poczyłem już przygotowania.

Rozdarty między przyjaźnią i rodziną, Josh zmrugał oczu.

— Jakie przygotowania? Dopiero co położyłeś fundament pod nową budowę.

— Gdy urządzę się w Los Angeles, sprzedam to prawdopodobnie w tym stanie. Czy to wystarczająca odległość dla twojej siostry, Harvard? Czy mam iść aż do piekła?

— Kiedy to nastąpi?

— I to też mam z tobą uzgadniać? Spieprzaj, Josh, mam robotę, a ty już wyłożyłeś swoje racje.

— Nie jestem tego taki pewny. — Patrząc za odchodzącym najdawniejszym przyjacielem, Josh wcale nie był przekonany, czy miał racje.

Wiedział, że przyjdzie. Nie było sposobu, by tego uniknąć, ani by temu zapobiec. Nie byli razem od dwóch tygodni, na pewno się spodziewa, że jej pragnie. Oczywiście, że pragnie, rozpaczliwie pragnie.

Ale jej nie dotknie. Wszystko się pogorszyło. Już prawie wyperswadował sobie swoje wcześniejsze postanowienia, przekonywał siebie, że może znajdzie się sposób, by to jakoś ułożyć między nimi. Tymczasem wizyta Josha przywołała go do rzeczywistości.

A więc załatwi sprawę czysto i szybko.

Poczuje się zraniona, troszeczkę. Tego także się nie da uniknąć, nie da się temu zapobiec. Ale przebrnie przez to.

Choć wiedział, że przyjdzie, nie spodziewał się jej tak wcześnie, nie spodziewał się, że będzie aż tak nieprzygotowany, gdy stanie w drzwiach ze skapanymi w słońcu włosami, z tak czystymi, tak szarymi i gorącymi oczami.

— Urwałam się nieco wcześniej ze sklepu — zaczęła. Wiedziała, że mówi szybko, że targają nią nerwy. Coś jest nie tak. Nawet gdyby była głucha i ślepa, wyczułaby to. — Ponieważ rodzice zabrali dziewczynki do Carmel na kolację, pomyślałam, że może byśmy sobie coś upichcili.

— Takie kobiety, jak ty, nie gotują. Mają kucharzy.

— Zaskoczę cię. — Weszła, nie czekając na zaproszenie, i mijając go, udała się do kuchni. — Pani Williamson nauczyła nas podstaw, nie wyłączając Josha. Robię wyśmienite fetticini Alfredo. Nim przyniosę odpowiednie składniki, zobaczę, co masz w domu.

Jej widok — krzątającej się w kuchni, jakby robiła to zawsze, jakby mógł wrócić do domu po ciężkim dniu i zastać ją promienną, czekającą — był rozdzierający. Przybrał więc zimny, obojętny ton głosu.

— Nie jestem amatorem wymyślnych sosów, skarbie.

— No cóż, spróbujemy czegoś innego. — Dlaczego nie wymawia mojego imienia? — zastanawiała się, ogarnięta paniką. Ani razu od powrotu nie nazwał mnie po imieniu. Odwróciła się, nie wytrzymała, dała upust uczuciom. — Och, Michael, tęskniłam. Tak bardzo.

Była w połowie pokoju, podchodziła do niego. Czuł bez mała sposób, w jaki jej delikatne ramiona obejmują go za szyję. Cofnął się, podniósł ręce, by ją powstrzymać.

— Jestem brudny. Nie miałem okazji wskoczyć pod prysznic. Chyba nie chcesz pobrudzić jedwabnej bluzki.

Jakie to ma znaczenie? Już raz jedną na niej porwał. Nie trzymał jej w ramionach od wielu dni. Tymczasem stoi tak... czyżby w jego oczach malowało się znudzenie?

— O co chodzi, Michael? — Głos jej drżał i czuła skurcze żołądka. — Jesteś na mnie zły?

Zachnął się.

— Dlaczego to robisz? Dlaczego zawsze zakładasz, bez względu na to, co się dzieje, że wina lub odpowiedzialność spadają na ciebie? To twój poważny problem — dorzucił, wymijając ją w drodze do lodówki po piwo.

Zdjął kapsel, wypił duży łyk.

— Czy według ciebie wyglądam na szaleńca?

— Nie. — Założyła ręce, pozbierała się w sobie. — Nie, nie wyglądasz. Wyglądasz na trochę zakłopotanego, że wchodzę ci w drogę. Sądziłam, że chcesz, ażebym przyszła, i chcesz być dzisiaj ze mną.

— To miło z twojej strony, ale czy nie uważasz, że to dobiegło końca?

— To?

— Ty i ja, skarbie. Zaszliśmy tak daleko, jak było można. — Ponownie podniósł piwo do ust, następnie otarł je wierzchem dłoni. — Posłuchaj, jesteś bombową kobietą. Lubię cię. Lubię twój styl, nie tylko w łóżku. Ale przecież oboje wiemy, że nasze drogi muszą się rozjeść.

Mogę oddychać, powiedziała sobie. Jakkolwiek potężny był cios w serce, mogę oddychać, powoli i ostrożnie.

— Rozumiem, że właśnie postanowiłeś odejść.

— Podczas pobytu w Los Angeles zaszły pewne sprawy. Zmieniłem plany. Chcę być fair wobec kobiety, z którą spałem, pomyślałem więc, iż powinienem cię powiadomić, że wyprowadzam się w przyszłym tygodniu.

— Przenosisz się do Los Angeles? A twój dom?

— Nigdy nie miałem do niego sentymentu. — Wzruszył szybko ramionami. — To tylko miejsce. Jak każde inne.

Jak każde inne, pomyślała ogłuszona. Jakiś dom. Jakaś kobieta.

— Dlaczego w ogóle wróciłeś?

— Zostawiłem moje konie. — Zmusił się do uśmiechu.

— Przyjechałeś na wiosenny popis Ali. Przyniosłeś jej kwiaty.

— Obiecałem dzieciakowi, że przyjadę. Składałem niewiele obietnic, staram się więc przynajmniej dotrzymywać tych nielicznych. — Nareszcie, w tym przypadku nie musi improwizować. — Masz wspaniałe dzieciaki, Lauro. Cieszę się, że je poznałem. Nie mogłem jej wczoraj sprawić zawodu.

— Będą załamane, jeśli odejdziesz. Będą...

— Jakoś to będzie — odparł, a jego głos stał się szorstki. — Jestem tylko zwykłym przechodniem.

— Nie wierzysz w to. — Podeszła bliżej. — Nie wierzysz, że możesz dla nich tak niewiele znaczyć. Kochasz je, Michael, ja...

— Nie jestem ich ojcem. Nie uprawiaj ze mną tej gry w poczucie winy. Wystarczy, że będę się martwił o własne życie.

— No właśnie! — Wzięła kolejny oddech, który nie był już powolny i lekki. — Bo cała reszta to tylko żart, zabawa. Nic nie znaczyłyśmy dla ciebie.

— Co też ty opowiadasz. Posłuchaj, skarbie, życie jest długie. Dużo ludzi przechodzi przez to. Daliśmy sobie nawzajem wszystko, czego oczekiwaliśmy w konkretnym czasie.

— Po prostu seks.

— Fantastyczny seks. — Uśmiechnął się ponownie. Po czym, ponieważ miał dobry refleks, uchylił się o centymetry od butelki, którą złapała i cisnęła

w niego. Nim ochłonała z wrażenia, przeszła do rękoczynów. Waliła go tak silnie, że odepchnęła go o dobre dwa kroki. — Hej!

— Jak śmiesz. Jak śmiesz umniejszać to, co było, co czułam, i sprowadzać do zwierzęcych instynktów? Ty sukinsynu, wydaje ci się, że możesz mnie wykopać, jak jakiś zużyty stary śmieć, po czym odejść?

Potem przyszła kolej na lampę. Oniemiały, uchylał się błyskawicznie patrząc tylko, jak rzuca wszystkim, co jej wpadnie w rękę.

— Nie spodziewałeś się takiej sceny, prawda? — Złapała za koniec stołu, przewróciła go. — Błąd. Myślałeś, że skończysz ze mną, ot tak, po prostu. — Pstryknęła mu pod nosem palcami. — Że potulnie odejdę, wypłaczę się w poduszkę i nie powiem słowa?

Przytaknął.

— Coś w tym rodzaju. — A zatem to nie odbędzie się czysto i szybko, tylko w paskudny, niemiły sposób, pomyślał. Niemniej odbędzie się. — Rozwał wszystko, jeśli ma ci to poprawić humor. To twoja własność. Okazuje się, że nawet koronowane głowy miewają swoje napady wściekłości.

— Nie mów do mnie jak do jakiejś marionetki, która nagle wpadła w szal. Pojawiłeś się w moim życiu, wtargnąłeś w nie i wszystko zmieniłeś. A teraz po prostu odchodzisz?

— Daleko razem nie zajdziemy i oboje o tym wiemy. Tak się składa, że pierwszy to dostrzegłem.

Porwała wazę i rozwaliła ją o kuchenne drzwi. Może w innej sytuacji byłby pod wrażeniem jej siły i szybkości. I doskonałego oka. Ale w tej chwili mógł tylko cierpieć.

— Nie płacę za szkody, skarbie. I nigdy niczego nie obiecywałem, nie naopowiadałem żadnych kłamstw. Znasz siebie i wiedziałaś, co robisz, przychodząc tutaj. Chciałaś, żebym przejął inicjatywę. Chciałaś, żebym cię wziął, ale tak, żebyś tego nie musiała mówić. To jest fakt.

— Nie potrafiłam tego powiedzieć — spiorunowała go.

— No właśnie, więc to zrobiłem, i dobrze się stało, dla nas obojga. Niewiele miałaś do powiedzenia. Po prostu się stało.

Miała ciężki, urywany oddech. Złość, wiedziała, że jej odblokowana złość może być straszna. A jeszcze gorsza, gdy ją zablokuje.

— To okrutne i bezwzględne.

Podczas gdy złością nie osiągnęła celu, ciche spokojne słowa trafiły go prosto w serce.

— Takie jest życie.

— Więc to tak. — Połały się łyzy, ale to nie miało znaczenia. — Więc tak to się kończy. Po prostu mówisz, że koniec, i już. O ileż to mniej skomplikowane niż rozwód, który jest jedynym znanym mi sposobem zakończenia związku.

— Nie oszukiwałem cię. — Już sama myśl o tym wydawała się nieznośna. — Ani razu nie pomyślałem o innej kobiecie. To nie ma nic wspólnego z tobą, mam po prostu inne plany.

— Nic wspólnego ze mną! — Zamknęła oczy. Złość szybko minęła, jak zwykle. Wyczerpała ją do ostatnich granic. — Nigdy bym nie powiedziała, że jesteś głupim albo słabym mężczyzną, Michael. Ale skoro wygadujesz takie rzeczy, jesteś i jednym, i drugim.

Podniosła ręce, otarła łzy. Skoro to ostatni raz, chciała go widzieć wyraźnie. Jest szorstki, zły i ponury. I jest wszystkim, pomyślała.

— Przypuszczam, że nawet nie wiesz, co odrzucasz, co mogłabym ci dać. Co mógłbyś mieć ze mną, i z Ali i Kaylą.

— Są twoimi dziećmi. — To było kolejne bolesne miejsce, takie głębokie, takie krwawiące. — Należą do Templetonów. Nie dałabyś ich mnie.

— Mylisz się, beznadziejnie się mylisz. Już to zrobiłam. — Podeszła do drzwi, otworzyła je. — Postąpisz, jak uważasz, odejdziesz dokąd zechcesz. Ale nie waż się myśleć, że dla mnie to był seks. Kochałam cię. Tym bardziej żalony staje się fakt, że nawet teraz, kiedy mnie tak beztrząsko odepchnąłeś, nadal cię kocham.

Rozdział dwudziesty

Michael zrobił krok naprzód, zatrzymał się. Ona nie wie, co mówi. Nie może wiedzieć.

Chciał odejść od drzwi, lecz nie mógł, odwrócił się. Patrzył, jak odchodzi, jak przecina trawnik. Patrzył jeszcze, jak zmienia kierunek i zaczyna biec.

Idzie na klify, stwierdził. Jest zła i zraniona, pójdzie się tam wypłakać. A potem wszystko sobie przemyśli. Przez jakiś czas będzie zła i zraniona, znienawidzi go i w końcu sama się przekona, iż tak jest najlepiej.

Nie jest w nim zakochana. Potarł rękoma twarz. Była szorstka i wymięta. Może jej się wydaje, może sobie wmówiła? — uspokajał sumienie. Typowo kobiecy bezwarunkowy odruch, to wszystko. Pasuje do niej jak ulał — seks i miłość, pożądanie i uczucie. Nie ogarnia całości.

W przeciwieństwie do niego.

Mężczyzna z jego życiorysem nigdy nie znajdzie szczęścia u boku kobiety z jej klasą i wychowaniem. Prędzej czy później sama dojdzie do tego wniosku, znowu pociągnie ją życie w stylu Country Clubu. Niewykluczone, iż nigdy mu nie wybaczy, że dostrzegł to pierwszy, ale nie ma na to rady.

Byłoby zabójcze, gdyby z nią został i czekał. Ze świadomością, że kiedy wygaśnie namiętność, ona zostanie z nim. Będzie uprzejma. Nie potrafi inaczej. Ale on wiedziałby, iż stał się jej kolejnym obowiązkiem.

Odchodząc z jej życia, wyświadcza im obojgu przysługę.

Josh ma rację. Nikt nie zna go lepiej niż Josh.

Stał jednak nadal, spoglądał na klify i na stojącą tam samotną sylwetkę, wbijającą mu sztylet w serce. W końcu odwrócił się, opuścił równie roztrzaskany jak on sam pokój i zszedł do koni.

Nie wiedziała, że serce można aż tak kompletnie zdruzgotać. Sądziła, że wie. Kiedy skończyło się jej małżeństwo, była pewna, że już nigdy nie będzie cierpiała w podobny sposób.

Miałam rację, pomyślała teraz, przyciskając dłonie do zbolełego serca. Teraz jest inaczej. Jest gorzej.

Uczucie do Petera ulatywało powoli, przez lata, a kiedy wszystko się skończyło, pozostał po nim nikły ślad. Ale to... Zaciskała z całej siły powieki, a choć powietrze było ciepłe i nieruchome, drżała.

Nikogo nie kochała tak jak Michaela. Dziko, szaleńczo. Bez opamiętania. A wszystkie te odczucia były takie świeże. Takie żywe i nowe. Cenne jak skarb. Cenne, ponieważ dzięki nim dowiedziała się, że znowu czuje, uzmysłowiła sobie, że może pragnąć, być pożądana jako kobieta. Podziwiała go takim jaki jest, za to czego dokonał, i z równą mocą pokochała tego szorstkiego i niebezpiecznego mężczyznę, jak i tego dobrego i szlachetnego.

A teraz on chce wszystko skończyć, i nic na to nie może poradzić. Nie pomógł krzyk i płacz, a łzy już dawno wyschły. Nie pomogła furia i złość, było jej już nawet wstyd, że urządziła mu taką scenę. Może uważa teraz, że jest godna pożalowania, ale na to również nic nie może poradzić.

Podeszła do krawędzi, zobaczyć, jak fale biją o skały. Czuła się podobnie. Zasepiła się. Bombardowana siłami, które wymykały się spod jej kontroli, uwikłana w zawziętą, nieustanną walkę, bez możliwości wyboru i jakiegokolwiek ruchu.

Na nic się nie zda przekonywać samą siebie, że nie jest osamotniona. Że ma rodzinę, dzieci, dom i pracę. Albowiem czuła się osamotniona, kompletnie osamotniona, tutaj, na krawędzi świata, gdzie za jedyne towarzystwo miała grzmiące morze.

Nawet ptaki odfrunęły. Nie krzyczały dzisiaj mewy, nie szybowały ku błękitnemu niebu, nie spadały też ku spienionym falom. Miała przed sobą jedynie wzburzone po horyzont morze.

Czyż ma się pogodzić, że już nigdy nie będzie kochała w ten sposób? Czy sądzi, że ruszy z miejsca, że będzie robiła, co do niej należy, sama, zawsze sama? Czy zaakceptuje świadomość, że kiedy obróci się w nocy, nie odnajdzie już w łóżku nikogo, kto ją kocha?

Po co był jej przedsmak tego, co mogła mieć, czuć i pragnąć, skoro natychmiast wszystko zostało jej odebrane? I dlaczego jedyna rzecz, o jakiej marzyła przez całe życie, zawsze i zawsze, znajduje się poza jej zasięgiem?

Pomyślała, że tak właśnie musiała się czuć Seraphina, gdy stojąc w tym samym miejscu, przed tylu laty, opłakiwała utratę kochanka. Laura spojrzała w dół, wyobraziła sobie ten przyprawiający o zawrót głowy, w jakiś sposób wyzwalający skok w pustą przestrzeń i dumne, szalone serce, które ją popchnęło do tego.

Czy krzyczała, gdy w zawrotnym tempie zbliżała się do skał? Czy naprężała mięśnie przed spotkaniem z nimi?

Drżąc, zrobiła krok do tyłu. Seraphina wyszła na spotkanie końca, nic

więcej, pomyślała Laura. Jakże łatwy sposób pozbycia się bólu. Jej sposób nie będzie łatwy, ponieważ musiała żyć. Żyć bez Michaela. I wreszcie pogodzić się z faktem, że skazana jest na życie bez swoich marzeń.

Prawie nie usłyszała łoskotu, wzięła go początkowo za szum morza. Ziemia pod jej stopami zdawała się drżeć. Zbita na chwilę z tropu, spojrzała zdumiona w dół, ujrzała sypiące się kamienie. Gdy do jej uszu dotarł huk wiedziała już.

Ogarnięta paniką, rzuciła się do tyłu, byle dalej od krawędzi. Zakołysała ziemią. Tracąc równowagę, jak oszalała czepiała się skały. Porwała ją fala ziemi, która potężnym uderzeniem rzuciła ją na kraniec świata.

Pierwsze wyczuły to konie. W panice rzucały się po boksach, cichutko rżały. Michael próbował uspokoić klacz, którą oporządzał. On także to poczuł. Zadrzała pod nim ziemia. Gdy dźwięk narastał, a konie zaczęły wierzcąc, zaklął. Słyszał nad głową brzęk tłuczonego szkła, suchy trzask drzewa.

Ogłuszył go ryk towarowego pociągu, próbował utrzymać równowagę. Uprząż spadała ze ścian, dudniła na drżącej posadzce.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi przegrody, skoncentrował się na wypuszczeniu koni. W chwilowym szaleńczym zamieszaniu, niczym ostrzem włóczni przeszła go jedna myśl.

Laura. Dobry Boże. Laura.

Przedzierał się do przodu, wrywał ze szponów wciągającej go na powrót ziemi. Wydobywał ku jasnym promieniom słońca. Nie zważał na gwałtowne falowanie zielonego trawnika. Kiedy go powaliło, torował sobie drogę rękami, zsuwając się pospiesznie ze stoku. Nikt by go nie usłyszał, gdy biegnąc w stronę klifów, wykrzykiwał jej imię. Sam siebie nie słyszał.

To naprężenie i przesunięcie się ziemi nie trwało dłużej niż dwie minuty. Kiedy dotarł do klifów, panował spokój, nienaturalny spokój.

Poszła do domu, wmawiał sobie. Wróciła do domu, jest cała i bezpieczna. Odrobinę rozdygotana, ale prawdziwa kalifornijka nie wpada w panikę przy każdym trzęsieniu. Przekona się na własne oczy, gdy tylko... gdy tylko się upewni.

Kiedy wychylił się poza krawędź i zobaczył ją, ugięły się pod nim nogi. W załomie, cztery i pół metra niżej, i tylko kilka centymetrów od przepaści, leżała blada jak śmierć. Miała odrzucone za siebie jedno ramię, i z tej wąskiej platformy skalnej jej ręka opadała bezwładnie w próżnię.

Nie pamiętał, kiedy spuścił się do niej, nie pamiętał też tego niemiłosiernego wrzynania się skały w ręce, niewielkich, niebezpiecznych lawin ziemi i kamieni, gdy ześlizgiwały mu się nogi, piekącego bólu, gdy korzenie i skały podstępnie darły ubranie i ciało.

Gnał nim blady strach oraz instynkt. Każdy fałszywy krok, jeden nierozważny ruch, i poleciałby w dół. Zimny pot skapywał mu do oczu, spływał po ciele. Myślał, był pewny, że nie żyje.

Ale gdy już dotarł na miejsce, otrząsnął się z paniki i ze strachu. Drżącym palcem dotknął jej szyi. Wyczuł puls.

— Okay, okay. — Drżącymi wciąż rękami odgarnął z jej policzka włosy. — Wszystko w porządku, nic się nie stało. — Chciał ją wyciągnąć, przygarnąć do siebie, ukołysać, dopóki nie minie ta ohydna mdląca gorycz podchodząca do gardła.

Doskonale wiedział, że zamiast ruszać Laurę, nim podejmie ryzyko przesunięcia jej, musi — pomimo groźby drobnych wstrząsów następujących po trzęsieniu — zbadać rozmiar okaleczeń.

Wstrząs, złamane kości, wewnętrzne obrażenia. Chryste, paraliż. Nie mógł złapać tchu, na moment zamknął oczy, zacisnął je, zmusił się do wdechu i wydechu, dopóki nie odzyskał spokoju. Musi działać powoli i ostrożnie. Uniósł jej powieki, by sprawdzić źrenice, delikatnie obmacał głowę, zaciskając zęby na widok rozmazującej się na jego palcach krwi.

Podczas badania stwierdził przemieszczenie w ramieniu. Kiedy się ocknie, poczuje przeraźliwy ból. Dobry Boże, tak bardzo pragnął, by otworzyła oczy. Oddychała teraz szybko i chrapliwie. Żadnych złamań, dużo potłuczeń, parę paskudnych rozcięć i zadrapań, ale nic nie było złamane.

Pochylony nad jej plecami i karkiem, przeżywał tortury. Wiedział, że musi ją zostawić i wezwać karetkę. A myśl o pozostawieniu Laury samej, na tym występie, świadomość, że jeśli się obudzi, będzie przerażona i obolała, rozdzierała mu serce.

— Wszystko będzie dobrze. — Wziął ją za rękę i gładził. — Zaufaj mi. Wkrótce będę z powrotem.

Kiedy zgięła palce, poczuł nieopisaną ulgę.

— Lauro, czy słyszysz mnie? Nie ruszaj się, dziecinko. Jeśli mnie słyszysz, otwórz oczy, ale proszę cię, nie ruszaj się.

Jej świat był biały i gęsty, i zimny, tak zimny. Następnie pojawiły się cienie, przesuwane się, oddalające, szepczące głosy mieszały się z perlistym śmiechem. A potem była jego twarz, tuż obok niej, i pociemniałe, tak intensywnie płonące oczy.

— Michael?

— Taa. — Musiał przełknąć, ale nie mógł. Strach wysuszył mu gardło nie pozostawiając ani odrobiny śliny. — Taa. Wszystko będzie w porządku. Poleciałaś troszeczkę. Chcę cię...

— Michael — powtórzyła, po czym jej biały świat rozbłysnął czerwienią. Przeszył ją ból, jego długie, tnące ostrza sprawiły, że krzyknęła, próbowała dosięgnąć jego rąk.

— Nie ruszaj się. Wiem, że to boli, ale nie wiem dokładnie, co się stało. Musisz więc leżeć nieruchomo. Leż nieruchomo. — Ale sposób, w jaki się już przekreśliła, przeraził go. — Spójrz na mnie. Spójrz na mnie. Powiedz, czy to czujesz.

Położył rękę na jej udzie, ucisnął. Kiedy pokiwała głową, ucisnął z drugiej strony.

— Przesuń nogę w moją stronę, Lauro. W porządku, dobrze. — Kiedy się przekonał, że rusza obiema nogami, że je zgina, mógł znowu przełykać Trochę się pokiereszowałaś, to wszystko. — I jesteś w szoku, stwierdził obserwując jej źrenice. I cierpisz z bólu. — Wydostanę cię stąd.

— Moje ramię. — Próbowała do niego sięgnąć. Opanowała mdłości Ohydne, wzbierające mdłości. Ból był nie do opisania, nawet gdy oddychała zbierała się jej na wymioty. — Czy jest złamane?

— Nie, tylko wybite. — Miał wilgotne ręce, gdy zamykał je na jej dłoniach. Z kilkunastu rozcięć, których nawet nie czuł, sączyła się krew. Też miałem parę razy wybite. Boli jak cholera. Zaraz będę z powrotem, zgoda? Za kilka minut.

— Nie, nie... — Wstrząsnęła nią kolejna fala bólu. Chciała zmienić pozycję, uciec przed cierpieniem. Na jej twarzy perliły się krople potu, a oczy stały się szkliste.

— Okay, wytrzymaj jeszcze. — Nie mógł jej tak zostawić, w szoku i w bólu. Po prostu nie mógł jej tutaj zostawić cierpiącej. Choć myśl o tym, przez co oboje musieliby przejść, przyprawiła go o skurcz żołądka, pomyślał, że mógłby nastawić jej ramię. — Mogę sam spróbować. Sprawię ci ból, ale poczujesz ulgę. Byłoby jednak rozsądniej, gdyby to zrobił lekarz. Zdobądź się tylko na cierpliwość, dopóki go...

— Proszę. — Zamknęła oczy. Paroksyzm bólu jak lodowaty nóż przesywał mięsień i kość. — Nie mogę myśleć. Nie chcę o tym myśleć.

Zmienił pozycję, przywarł do niej. Otarł ręką jej usta, rozmazując na nich krew

— Nie myśl. Chcę, żebyś krzyczała. Wydawała długi, głośny krzyk.

— Co?

— Wrzeszcz, na Boga. — Podtrzymując ją jedną ręką, chwycił ją mocno za ramię, sycząc przez zęby: — Teraz.

Poczuła szarpnięcie, którego nieludzki dźwięk odbił się echem w jej żołądku. I znowu wszystko stało się białe, rozżarzone do bieli. A potem nie było już nic.

Od potu i krwi kleiły mu się ręce, były tak śliskie, że omal nie ześlizgnęły się z jej ramienia. Cierpiał męki, patrząc, jak przewraca oczami, czując, jak słabnie mu w rękach. Zaciskając zęby, błyskawicznym ruchem wstawił staw na miejsce. Odetchnął z ulgą i pochylił się nad nią.

— Dziecinko, tak mi przykro. Tak bardzo przykro. — Teraz ją unióś, wziął w ramiona, kołysząc się razem z nią. Zagubił się, dziesięć sekund, dziesięć minut, stracił poczucie czasu, dopóki nie poruszyła się znowu.

— Już po wszystkim, już po strachu. — Przycisnął wargi do jej włosów, zanurzył w nich twarz, po czym spróbował wziąć się w garść. — Już jest lepiej.

— Tak. — Unosiła się, pływała. Ból był wszędzie, teraz jednak nieco przytępiony, pulsował nieomal łagodnie we wszystkich członkach. — Jest lepiej. Nie mogę sobie przypomnieć... co się stało? Trzęsienie ziemi?

— Wyrzuciło cię, na występ. — Delikatnym ruchem zbadał jej głowę.

Przestała krwawić, ale obawiał się guza i uszkodzeń skóry. — Potłukłaś się trochę, to wszystko.

— Wyrzuciło mnie... O Boże. — Odwróciła się twarzą do jego piersi, drżała. Ze skały, prawie do morza, pomyślała, na leżące poniżej skały. Jak Seraphina. — Jakie straty? Co z domem... z końmi? Och, Michael, dziewczynki.

— W porządku. Wszystko jest w porządku. To nie było silne trzęsienie. Niepotrzebnie się martwisz. — Wystarczy, że on to robi za nich oboje.

Teraz, gdy się uspokoiło, musi zebrać myśli. Wstrząs przemieścił skałę i ziemię. Po ścieżce nie było śladu. Będzie musiał zostawić Laurę, wdrapać się na górę i wziąć liny.

— Niech ci się przyjrzę. — Obejrzał jej twarz. Zbyt błada, pomyślał, nadal poszerzone źrenice. — Jak wzrok? Zamglony?

— Nie, w porządku. Muszę zobaczyć, czy nic się nie stało dzievczynkom.

— Nic im nie jest. Zapomniałaś, że są z twoimi rodzicami? W Carmel. — Jest przytomna. Ma przyspieszony, ale mocny puls. — Ile widzisz palców?

— Dwa — odpowiedziała i schwyliła wyciągniętą rękę. — Annie, dom...

— Powiedziałem, że wszystko jest w porządku. Zaufaj mi.

— Zgoda. — Znowu zamknęła oczy i trochę odpłynęła. — Spadłam z klifu.

— Coś w tym rodzaju. — Przycisnął jej rękę do ust, trzymał ją tak długo, aż mógł znowu zacząć mówić. — Posłuchaj mnie teraz, muszę cię zostawić na parę minut. Następnie wrócę i wydostanę cię stąd.

— Musisz mnie zostawić?

— Nie możesz się wspinać. Chcę, żebyś leżała w tym miejscu, nieruchomo. Obiecuj mi. Lauro, otwórz oczy i spójrz na mnie. Obiecuj, że nie wykonasz żadnego ruchu do mojego powrotu.

Spojrzała na niego.

— Nie ruszę się do twojego powrotu. Zimno mi.

— Masz. — Zdjął dżinsową kurtkę, przykrył ją. — Trochę pomoże. A teraz zrelaksuj się, zrelaksuj się i czekaj na mnie.

— Będę na ciebie czekała — powiedziała półgłosem.

Powoli świat zdawał się wracać do normy. Patrzyła, jak Michael wstaje, odwraca się. Z mieszanym uczuciem obserwowała, jak wspina się po klifie, jak jego stopy i dłonie szukają oparcia, zrzucając na dół nieduże kaskady ziemi. Uśmiechnęła się marzycielsko. Wygląda jak bohater zdobywający mury zamku, pomyślała.

Czy uwalnia ją z więzy? Wspina się tak wysoko, by zbudzić ją pocałunkiem? Nie, nie, zostawia mnie, przypomniała sobie. Zostawia mnie, zasepiła się. Była zbyt ogłuszona doznany szokiem, by poczuć trwogę, gdy nagle obsunął się ze ściany klifu o całe półtora metra. Widziała jak sięga ręką, wbija się w szczelinę gołymi palcami i toruje sobie drogę do góry w tej chropowatej, nie znającej litości ścianie.

Odchodzi, pomyślała, ale wróci po mnie. Wróci, a potem znowu odejdziesz. Kiedy dotarł na szczyt, popatrzył na nią. Jego oczy wydały się znowu tak dziwnie bliskie, iż wystarczyłoby sięgnąć i dotknąć jego twarzy. Po czym odszedł i została sama.

Opuścił ją. Nie chciał być dłużej częścią jej życia. Ani pozwolić jej, by stała się częścią jego życia. Wróci, nie wątpi, że wróci i zrobi to, co obiecał. Ale ona nadal zostanie sama.

Przeżyję i to, pomyślała. Jak widać, nie ma wyboru. Nie rzuciła się z klifu, nie zlekceważyła życia. Popchnął ją wypadek, ale i to przeżyła. I będzie szła przez życie.

Biedna Seraphina. Odsuwając się lekko od krawędzi, Laura odwróciła głowę. Ona nie walczyła o życie, nie przeżyła, i utraciła swoje wszystkie marzenia.

Łza współczucia i smutku potoczyła się po jej policzku. Uniosła dłoń, by ją otrzeć. Jej wzrok padł na mały, ciemny otwór na powierzchni klifu.

Grota? — pomyślała. W tym występie nie było grotty. Uświadamiając sobie, że poruszyły się skały, jęknęła cichutko. Wszystko się poruszyło. Z nieprzytomnym wzrokiem, centymetr po centymetrze, torowała sobie drogę do otworu. Tajemne miejsce. Skrytka. Miejsce kochanków. Uśmiechała się próbując wstać, usiadła, poczuła nieśmiały powiew panieńskich perfum.

Gdy wsunęła do środka rękę i położyła ją na gładkiej powierzchni drewnianej kasetki, wyszeptała: — Seraphino. — Znalazłam cię. Biedna, tak dawno zaginiona Seraphino.

Nie przestawała mówić, a jeśli nawet słowa były niezborne, nikt jej przecież nie słyszał. Uklękła, odczekała, aż przestanie się jej kręcić w głowie i próbowała wyciągnąć kasetkę do światła.

— Do licha, Laura!

Rozpromieniona, z lekko nieprzytomnym spojrzeniem, podniosła głowę. Ujrzała go na szczycie klifu.

— Seraphina. Znaleźliśmy ją. Michael.

— Zostań na miejscu. Zostań tam, gdzie jesteś.

Pomyślał, że to omam. Błyskawicznie zaczął mocować linę do łąku siodła Maxa. Jest zdezorientowana, pomieszało się jej w głowie. Zamarł na myśl, że będzie próbowała wstać i spadnie, zanim do niej dotrze.

— Trzymaj mocno — poleciał Maxowi, po czym rzucił linę. Doszedł nad krawędź szybciej, niż nakazywał rozsądek, lina paliła poranione dłonie, a klif odbijał go, chcąc wziąć na nim odwet.

Gdy lądował, krwawiły mu kostki, z trudem łąpał oddech. Ale znów ją miał, tulił mocno do siebie. Całą i żywą.

— Obiecałaś się nie ruszać.

— Seraphina. W grocie. Nie mogę tego sama wyciągnąć. Za ciężkie. Potrzebuję Margo i Kate.

— Za chwilę. Najpierw ci to założymy. — Uwijając się, opasał ją liną. — Nic nie rób, tylko trzymaj się mnie mocno. Wyciągniemy cię z Maxem na górę.

— W porządku. — Nie kwestionowała tego. W końcu wszystko okazało się takie proste. — Czy możesz mi ją wyjąć? Stamtąd, do światła. Tak długo była w ciemnościach.

— Oczywiście. Teraz cię wciągnę na górę. Patrz na mnie, i nic więcej.

— Będę, ale kasetka.

— Jaka kasetka?

— W grocie.

— Nie przejmuj się nią. Ja... — Rzucił jednak okiem tam, gdzie mu wskazała. I ujrzał matowy połysk miedzi na tle drewna, a także zarys kształtu. — Chryste Panie!

— Posag Seraphiny. Czy mógłbyś wyciągnąć go do światła?

Było to nieduże, długie na nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów pudełko z wypukłym cedrowym wieczkiem umocowanym na mosiężnych zawiasach, ważące, według jego szacunku, niecałych dziesięć kilogramów. Zwykłe pudełko, bez ozdób, choć mógłby przysiąc, iż wyczuł coś pod palcami, kiedy po nie sięgał. Biło od niego ciepło, którego tam nie było, nieuchwytna wibracja, która poślaskotała czubki jego palców. Trwało to tylko chwilę, nie dłużej niż dwa uderzenia serca, potem znów stało się niedużym pudełkiem, zrobionym z gładkiego drewna i mosiądzu.

— Są w nim uwieszone jej wszystkie marzenia — powiedziała wzruszona Laura. — Uwieszone, ponieważ to jedyne, którego pragnęła, nie spełniło się nigdy.

— Wstrząs przesunął skały. — Marszcząc twarz, Michael badał starannie wyżłobioną w ścianie grotę. — Jak sądzę, inny, jakiś czas temu, zakrył ją.

— Chciała, żebyśmy to znalazły. Przez całe życie prowadziła nas ku niej.

— Teraz ją macie. — Jakkolwiek intrygujące było znalezisko, uznał, że są ważniejsze sprawy. — Chcę, żebyś objęła mnie za szyję i nie puszczała. Możesz to zrobić? Jak ramię?

— Boli, ale do wytrzymania. Jak zamierzasz stąd...

— Pozostaw to mnie. — Pomógł jej się podnieść, stając między nią a krawędzią. — Patrz tylko na mnie — mówił, ciągnąc ją za rękę, dopóki go nimi nie oplótła. — To dobra, mocna lina. Niczym się nie przejmuj.

— Czy wspinałeś się po klifie? Wydaje mi się, że widziałam, jak się wspinasz.

— Nie przejmuj się — odparł, zdając sobie sprawę, że jej umysł traci jasność. — Odpadłem też parę razy, podczas kręcenia filmu. — Nie przestając mówić, sprawdzał linę. — Teraz trzymaj się mocno, jedziemy w górę. Max! Ciągnij. Ciągnij! — Obejmując mocno jedną ręką Laurę w talii, Michael odbił się od ziemi i oddał się w ręce Walkera.

Skała raniła mu plecy. Pomagał sobie piętami podczas wspinaczki. Pot spływał mu po twarzy, a mięśnie ramion były napięte do granic wytrzymałości.

— Prawie dobijamy — odezwał się.

— Nie zabraliśmy Seraphiny. Musimy ją zabrać.

— Wróć po nią. Teraz tylko się trzymaj i patrz na mnie.

Wpatrzyła mu się w oczy.

— Wróciłeś po mnie.

— Oczywiście. Trzymaj się mocno. — Na moment zamarło mu serce. Byli zawieszeni między niebem i morzem. Od krawędzi dzieliły ich centymetry. Gdyby któreś z nich popełniło najmniejszą nieostrożność przegraliby. — Sięgnij do góry, na razie tylko jedną ręką. Wyciągnij się Lauro, i złap się mocno.

Zrobiła, co kazał. Widziała własną rękę chwytającą za krawędź skały, ześlizgującą się, ponownie chwytającą.

— Doskonale, podciągnij się.

Nie zwracając uwagi na odmawiające posłuszeństwa mięśnie, dźwignął ją do góry. Po chwili sam wydobył się na powierzchnię ziemi, następnie przywarł do niej, osłaniając ciałem Laurę, zanurzając w jej włosach twarz.

— Lauro. Boże. Lauro.

Poszukał jej ustami. Nagle odpłynęła cała zgroza. Na krótką chwilę zapomniał o wszystkim.

— Zabierzemy cię do domu. Zabierzemy cię teraz do domu. — Ocknął się. — Boli?

— Głowa. Ale to nic.

— Leż nieruchomo, zaopiekuję się tobą. — Odwinął linę, puścił ją luzem. Podniósł Laurę.

— A Max?

— Przyjdzie. Nie martw się, przyjdzie. — Oddalił się z nią od klifów, pokonał długie wzniesienie w stronę Templeton House. Za nimi spokojnie kroczył Max.

Po raz pierwszy zadrżały pod nim nogi, gdy przed frontowe drzwi wypadła Ann.

— O słodki Boże! Wszędzie jej szukam. Co się stało? Moja biedna owieczka.

— Upadła. — Nie zatrzymując się, minął rozbiegane, rozgorączkowane ręce Ann. — Trzeba ją wnieść do środka.

— Do saloniku. — Ann wyprzedziła ich, pognała po schodach. — Pani Williamson, Jenny! Znalazłam ją. Co jej jest? Zaraz wszyscy tu będą. Kiedy nie mogłam jej znaleźć, wezwałam ich. Połóż ją tutaj, na sofie, niech zobaczą. O mój skarbie, twoja głowa.

— Co tu w ogóle... — Nie mogąc złapać tchu, pani Williamson stanęła na progu drzwi.

— Upadła — warknęła Ann. — Potrzebna będzie gorąca woda, bandaże.

— Spadłam z klifu — powiedziała Laura, kładąc głowę na oparciu kanapy.

— O mój Boże. Gdzie cię boli? Niech cię obejrzą.

Przerwała, gdy usłyszała dźwięk hamujących ostro na podjeździe samochodów, zatraskiwanych drzwiczek.

— Już są. — Ann wycisnęła pocałunek na czole Laury. — Wszystko już będzie dobrze.

Pierwsza wpadła Susan. Zatrzymała się, wzięła się w karby, opanowała szybkie bicie serca.

— No więc — zdobyła się na względny spokój. — Co to wszystko znaczy?

— Spadłam z klifu — odparła Laura. — Michael mnie wy dostał. Uderzyłam się w głowę.

To było wszystko, co udało jej się powiedzieć. Po chwili pokój zapełnił się ludźmi, rękoma, które chciały dotykać, i paplającymi głosami, zadającymi pytania.

— Cisz. — Thomas ujął rękę córki, nakazując wszystkim milczenie. — Josh, zadzwoń do lekarza, powiedz mu, że przywieziemy Laurę za...

— Nie. — Laura uniosła się, usiadła, pogłaskała Kaylę, która przypadła do jej kolan. — Nie potrzebuję lekarza, uderzyłam się tylko w głowę.

— Ma tu paskudnego guza — mruknęła pani Williamson, nie przerywając obmywania krwi i ziemi z Laury głowy. — Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że trzeba coś tu szyć, dziecinko.

Michael nie widział skierowanych na siebie oczu. Mógł tylko wpatrywać się w Laurę.

— Nie wiem, jak długo tam leżała, może pięć, a może sześć minut — powiedział. — Ale była przytomna, widziała wyraźnie. Nie ma żadnego złamania. — Otarł usta ręką. — Miała zwichnięte ramię. Najprawdopodobniej upadła na lewy bok. Będzie ją bolało, ale dobrze nim porusza.

— Nie chcę iść do szpitala. Po trzęsieniu będzie pełno ludzi na pogotowiu. Nie chcę być jedną z nich. Muszę zostać w domu.

— Więc dobrze. — Margo przykucnęła obok niej. — Zajmiemy się tobą. Swoją drogą, najedliśmy się strachu.

— Nie mniej niż ja. — Szepcząc coś, objęła ramieniem Ali, która usadowiła się przy jej boku. — Czuję się świetnie. Trochę tylko guzów i potłuczeń. To była prawdziwa przygoda.

— Przed kolejną przygodą wypróbuj sprzęt podwodny. — Stojąca z tyłu sofy Kate położyła rękę na ramieniu Laury. — Moje serce tego nie wytrzyma.

— Znaleźliśmy posag Seraphiny.

— Co? — Kate zacisnęła palce. — Co?

— Jest tam, na występie, na który spadłam. Była tam grota, a w niej skarb. Prawda, Michael, że nie zmyślam?

— Jest tam. Przyniosę ci go.

— Niczego nie przyniesiesz — orzekła pani Williamson, przekrzykując kolejną lawinę pytań. — Usiądź, chłopcze, nim upadniesz, i pokaż mi swoje ręce. Nieźle się pokiereszowałeś.

— Na miły Bóg. — Odrywając po raz pierwszy wzrok od córki, Susan popatrzyła na nadgarstki Michaela. Miał zakrwawione, umazane ziemią ręce i pozdzierane kostki. — Poharatałeś je na kawałki. — Przyjrzała mu się, zaniemówiła. Kiedy sobie uświadomiła, czego dokonał, przepełniła ją wdzięczność. — Michael.

— Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. — Cofnął się gwałtownie. Nagle nie mógł złapać tchu, nie był pewien, jak długo utrzyma się jeszcze na nogach. — Muszę zajrzeć do koni.

Kiedy staniając się wyszedł, Susan ruszyła za nim.

— Mamo, pozwól mi, proszę — zatrzymał ją Josh, kładąc rękę na jej ramieniu.

— Sprowadź go z powrotem, Josh. On również wymaga opieki.

— Nie przyjdzie — powiedział do siebie Josh, udając się za przyjaciелеm. — Michael. — Przebiegł taras, podwórze, czując się jak głupiec polujący na człowieka, który szedł jak pijany obok człapiącego konia. — A niech cię, Michael, zaczekaj. — Złapał go za ramię, odwrócił przyjaciela do siebie, po czym natychmiast cofnął się spiorunowany wściekłym wzrokiem.

— Odczep się. Zrobiłem swoje.

— Ale ja nie. Posłuchaj...

— Tylko mi nie pieprz. — Nie zwracając uwagi na ból rąk, Michael odepchnął Josha. — Jestem w takim humorze, że mogę komuś zrobić krzywdę, równie dobrze to możesz być ty.

— Świetnie. Wal. Jesteś w takim stanie, że wystarczyłoby chuchnąć, żebyś się zważył. Ty idioto, ty dumny sukinsynu, dlaczego mi nie powiedziałaś, że ją kochasz?

— A jakaż to, do licha, różnica?

— Zasadnicza. Stałeś tu i pozwalałeś, żebym cię obrzucał błotem, i nie zareagowałeś. Wystarczyło otworzyć usta i powiedzieć. Myślałem, że ją wykorzystujesz.

— Wykorzystałem ją, może nie? Wykorzystałem, po czym wzgardziłem nią, tak jak powiedziałaś. Możesz ją zapytać.

— Wiem, co znaczy kochać kobietę i bać się do szpiku kości, że nic z tego nie będzie. Wiem także, że pragnąc tego tak bardzo, możesz wszystko rozchrzanić. Teraz wiem także, jak można unieszczęśliwić dwoje ludzi, na których mi zależy. I nie podoba mi się to.

— To nie ma nic wspólnego z tobą. Doszedłem do wniosku, że pora odejść, jeszcze przed rozmową z tobą. Mam inne plany, inne sprawy.

Zamilkł, odwrócił się, przywarł twarzą do gorącej szyi Maxa.

— Myślałem, że nie żyje. — Drżały mu ramiona. Nie miał ochoty czy sił, by zrzucić z siebie rękę Josha. — Spojrzałem w dół. Leżała tam. Myślałem, że nie żyje. Nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się przy niej. Pamiętam, że położyłem rękę na jej szyi. Wyczułem bijący puls.

— Wyjdzie z tego. Oboje wyjdziecie.

— To by się nie stało, gdybym jej nie powiedział, że między nami wszystko skończone. Gdybym jej tak nie zranił. — Cofnął się, potarł twarz rękami, rozmazując krew. — Na szczęście zatroszczą się o nią. Dla mnie nie ma tutaj miejsca.

— Mylisz się. Nikt, poza tobą samym, nie odwraca się od ciebie. Na Boga, Mick, jesteś w strasznym stanie. — Uważnie przyjrzał się jego

pokierszowanym rękom, podartemu, zakrwawionemu ubraniu. Wolał nie myśleć, nie teraz, jak bliscy byli śmierci jego siostra i przyjaciel. — Wracaj ze mną, pozwól, by pani Williamson zakrzętnęła się koło ciebie. Przydałby ci się także drink.

— Napiję się, kiedy skończę.

— Co skończysz?

— Obiecałem, że wydostanę tę cholerną skrzynkę, zapomniałeś? Więc ją wyciągnę.

Pozostawił Josha z szeroko otwartymi ustami. Argumenty okazały się bezowocne.

— Opamiętaj się. Wezmę Byrona. Zrobimy to razem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Godzinę później, brudni i trochę obolali, Josh i Byron wnieśli niedużą skrzynkę do salonu. Poczuli się parę razy nieswojo, kiedy podczas nawracających, słabych drgań ziemi we trzech kulili się w występie klifu, zastanawiając się, czy aby nie postradali zmysłów.

Ale to już minęło. Teraz zamknięta jeszcze skrzynka stała na stoliku przy sofie. Czekąca.

— Nie mogę w to uwierzyć — szepnęła Margo. Przetarła drewno koniuszkami palców. — Ona rzeczywiście istnieje. Po tak długim czasie. — Uśmiechnęła się znad niej do Laury. — Znalazaś ją.

— Myśmy ją znalazły — poprawiła ją. — Zawsze tego pragnęliśmy. — Kiedy chciała dotknąć ręki Kate, poczuła tępy ból w głowie. — Gdzie jest Michael?

— Nie mógł... — Josh zaklął pod nosem. — Musiał iść do koni.

— Mogę go tu dla ciebie sprowadzić — zaproponował Byron.

— Nie. — To jego wybór, przypomniła sobie. A jej życie musi się toczyć dalej. — Jaka ona mała, prawda? — zadumała się. — I taka zwyczajna. Podejrzewam, że wszystkie wyobrażałyśmy ją sobie jako coś wielkiego i ozdobnego, i wyjątkowego, a tymczasem to prosta, użytkowa skrzynka. Z tych, które mogą przetrwać lata. — Wzięła głęboki oddech. — Gotowe?

Mając u boku Margo i Kate, dotknęła zamka. Otworzył się bez trudu, bezszelestnie. Uniósł się zapach lawendy i cedru.

Wewnątrz znajdował się paniński skarb, i marzenia. Różaniec z lazurytu z ciężkim srebrnym krzyżem, broszka z granatów ze zwietrzałymi różowymi płatkami. A złoto? Tak, błysnęło złoto, gdy wytrząsały skórzaną sakiewkę.

Ale były tam także szmatki, skrupulatnie wyhaftowane i poskładane. Chusteczki wykończone poźółką koronką. Bursztynowy napastrzek, pierścionek wymodelowany na mały palec z niewielkimi rubinami połyskującymi jak świeża krew. Kilka sztuk ładnej biżuterii odpowiedniej dla niezamężnej

młodej kobiety, a także medalionik z zamkniętym w nim puklem ciemnych włosów, przewiązany złotą nitką.

A razem z nimi nieduży pamiętnik w skórzanej czerwonej okładce. W środku zaś zapiski. Było to staranne, nauczone w klasztornej szkole pismo panny z dobrego domu.

— „Spotkaliśmy się dzisiaj na klifach, wcześniej, gdy jeszcze była rosa na trawie, a słońce powoli podnosiło się z morza. Felipe powiedział mi, że mnie kocha, i moje serce stało się jaśniejsze niż świt” — przeczytała Laura i oparła głowę na ramieniu Margo. — Jej dziennik — wyszeptęła. — Włożyła swój dziennik razem ze skarbami, zabezpieczyła go. Biedna dziewczyna.

— Zawsze myślałam, że kiedy znajdziemy skarb, będę drżała z emocji. — Kate sięgnęła do pudełka, przesypała między palcami bursztynowe paciorki. — A jest mi po prostu smutno. Ukryła w tym niedużym pudełku wszystko, co miało dla niej znaczenie, i odeszła bez tego.

— Nie powinnaś być smutna. — Laura położyła otwarty pamiętnik na kolanach. — Chciała, żebyśmy to znalazły i ponownie otworzyły. Podoba mi się myśl, że czekało ono na nas aż do chwili, gdy staniemy twarzą wobec czegoś, co wydawało się nam niemożliwe. Udało się nam. Musiało się udać.

Wzięły się wszystkie za ręce.

— I możemy to wyłożyć w sklepie, w specjalnej skrzynecze.

— Nie możemy sprzedać skarbu Seraphiny — mruknęła Margo.

— Nie, nie żeby sprzedać. — Laura uśmiechnęła się do prostej skrzynki. — Żeby pozwolić innym ludziom marzyć.

Michael pozostawił rumowisko w nietkniętym stanie. Zamierzał wziąć długi prysznic, zagłuszyć pod nim ból i cierpienie. Potem zrobi sobie drinka. Prawdę mówiąc, skoro już o tym pomyślał, urznięcie się może się okazać najskuteczniejszym sposobem na uśmierzenie bólu.

Wyjął butelkę whisky. Nalał pół szklanki i postanowił zlekceważyć dobijanie się do drzwi.

— Spieprzać — mruknął, pociągając duży łyk. Nie poprawiło mu to na tyle humoru, by był gotów stawić czoło wchodzącej do środka Ann.

— No ładnie, widzę, że topisz już swoje smutki, i to w takim bałaganie. — Odstawiła pudełko i krzywiąc się oceniła stopień dewastacji. — Nie spodziewałam się, że można zrobić tyle szkód. W głównym domu rzadko coś się tłucze.

— Większość to dzieło Laury. — Uniósł ponownie szklankę, gdy Ann odęła wargi.

— Czyżby? Prawie się nie zdarza, by dawała upust złości, a już na pewno nie w ten sposób. No dobrze, już dobrze, siadaj, zajmujemy się tobą, nim uporządkujemy ten chlew.

— Nie mam zamiaru niczego sprzątać, nie proszę też o żadną opiekę. Proszę stąd wyjść.

Bez słowa sięgnęła do pudełka, wyjęła przykryty talerz.

— Pani Williamson przysyła ci jedzenie. Przysłałam tu zamiast niej poprosiłam ją o to. Bardzo się martwi o ciebie.

— Nie ma powodu. — Przyglądał się swoim rękom. — Bywało gorzej.

— Nie wątpię, niemniej siadaj i pozwól, że oczyszczę te rozcięcia. —

Ustawiła na stole miskę, buteleczki i opatrunki.

— Sam się sobą zajmę. — Podniósł ostentacyjnie szklanekę. — Właśnie zacząłem.

Ann energicznie i rzeczowo zabrała się do dzieła: obeszła stół i siłą popychała go w stronę krzesła.

— Siadaj, jak ci kazano.

— Cholera. — Gdy go pchała, potarł ramię. Paliło, jakby żywcem przypiekane.

— I wyrażaj się w cywilizowany sposób. — Uwijała się. Nalała gorącej wody do miski. — Na pewno wdała się już tam infekcja. Zobaczmy, co ty sobie narobił. — Chwyliła jego rękę i wzięła się do roboty.

— Jeśli już musi się pani zabawiać w siostrę miłosierdzia... a niech cię szlag! To boli!

— Wyobrażam sobie. Nie klnij na mnie, Michaelu Fury. — Nie dała po sobie poznać, jak bardzo poruszył ją widok jego pokiereszowanych rąk; wykonywała szybkie ruchy, nie okazując mu szczególnego współczucia. — Będzie trochę szczytać.

Nie pożałowała środka antyseptycznego. Polała nim otwarte rany. Piekło tak strasznie, że zrobił zeza i bluźnął stekiem przekleństw.

— Masz język jak nieokrzesany Irlandczyk. Przypominasz mi wujka Shamusa. Z jakich okolic pochodzi twoja rodzina?

— Z Galway. Nie byłoby, u licha, lepiej poleć tego płynem akumulatorem i załatwić sprawę raz na zawsze?

— Żeby taki silny mężczyzna mazał się przy odrobinie wody utlenionej i spirytusu! Napij się jeszcze drinka, bo nie mam przy sobie niczego, czym mogłabym ci zakneblować usta.

Trafiła go, uraziła jego dumę. I o to jej chodziło. Odsunął szklanekę. Popatrzył spode łba. Postanowił cierpieć bez słowa.

— Koniec? — zapytał, gdy zabandażowała mu rękę.

— Tak jakby. Tylko nie mocz opatrunków. Trzeba je regularnie zmieniać. Domyślam się, że w sprawie lekarza jesteś pewnie równie uparty jak panna Laura.

— Nie potrzebuję lekarza. — Wzruszył ramieniem, i natychmiast tego pożałował. Ból był przesywający. — Jej też nic nie będzie. Już i tak dość ludzi kręci się wokół niej.

— Wzbudza uczucia miłości i oddania, ponieważ sama nimi hojnie obdarza. — Ann wstała, wylała miskę, napełniła ją świeżą wodą. — Zdejmij z siebie te strzępy koszuli.

Uniósł figlarnie brew.

— No cóż, Annie, jestem trochę niedysponowany, ale gdybym wiedział, że tak się rwiesz... Auu! — Rozdziawił usta, zaniemówił, gdy targnęła go za ucho.

— Zachowujesz się jak pawian. Uważaj, bo cię wytargam nie tylko za ucho. Zdejmuj koszulę, chłopcze.

— Chryste. — Siedział i tarł piekące ucho. — O co chodzi?

— Masz pocięte nie tylko ręce. Zrzucaj to. Chcę zobaczyć, coś tam sobie narobił.

— Po licho pani się mną zajmuje? Mógłbym się wykrwawić na śmierć, i nawet by pani nie spojrzała. Zawsze mnie pani nienawidziła.

— Nie, zawsze się ciebie bałam, i to było głupie. Jesteś po prostu żalnym facetem, który nie umie znaleźć klucza do swojej wartości. Popełniłam błędy i żałuję tego, i stać mnie na to, żeby się przyznać. — Ponieważ nie wykazywał ochoty do współpracy, sama z niego zdarła poszarpany podkoszulek. — Myślałam, że biłeś swoją matkę.

— Co? Moją matkę?... Nigdy nawet...

— Wiem. Nie ruszaj się. O Jezu, chłopaku, aleś się poharatał. O biedaku! — zawodziła delikatnie oczyszczając rany na plecach Michaela. — Zabiłbyś się dla mnie, może nie?

Poczuł nagłe zmęczenie, nieznośne zmęczenie. Położył głowę na stole i zamknął oczy.

— Wyjdź. Zostaw mnie samego.

— Niedoczekanie twoje. Chyba że sam to zrobisz. A teraz się trzymaj, będzie bolało.

Syczał z bólu, gdy dezynfekowała rany.

— Chcę się upić.

— Upij się, jeżeli musisz — odparła spokojnie. — Ale mężczyzna, który nie przestraszył się trzęsienia ziemi, by dostać swoją kobietę, powinien być na tyle opanowany, by móc spojrzeć jej w oczy na trzeźwo. Na to stłuczenie zastosujemy maść. Ale najpierw obejrzymy resztę. Zdejmij spodnie.

— Na miłość boską, co to, to nie... Chryste! — zawył, gdy wytargała go za drugie ucho. — Dobrze, już dobrze, chce mnie pani nagiego, proszę bardzo!

Wstał, rozpiął podarte dżinsy, ściągnął je.

— Poszedłbym do szpitala, gdybym wiedział, co mnie tu czeka.

— Tę ranę na udzie powinno się zeszyć, ale zobaczymy, co się da zrobić. Był zły, ale odstawił na bok szklankę. Nie miał już zresztą ochoty.

— Jak ona się ma?

Uśmiech zagościł na ustach Ann, nie podniosła jednak głowy.

— Cierpi, nie tylko z jednego powodu. Potrzebuje ciebie.

— Nie, nie potrzebuje. Tylko jej tego brakowało. Wiesz przecież, kim jestem.

Podniosła teraz głowę. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Tak. Wiem, kim jesteś. Ale czy ty wiesz, Michaelu Fury? Czy ty sam wiesz, kim jesteś?

Dręczył się tym, jak umęczony bólem zęba mężczyzna. Jak mógł się skoncentrować na swoich potrzebach, skoro wciąż ją widział? Błądą i nieruchomą na występie klifu. Zranioną i wściekłą, kiedy zawróciła spod drzwi i powiedziała mu, że go kocha.

Na nic się zdały różne zajęcia. Posprzątała mieszkanie... ponieważ Ann kazała mu zwlec tyłek i powyrzucać rupiecie. Uspokoił konie, powiesił na miejsce swoje siodło, po czym je zdjął. Spakował.

I tak tu nie zostanie.

Na koniec skapitulował i ruszył przez trawnik w kierunku Templeton House. Rozsądek chyba nakazuje, żeby zobaczyć na własne oczy, jak ona się ma? — rozmawiał z samym sobą. Chyba powinna jednak pójść do szpitala. Nikt jej z rodziny do tego nie zmusi. Kiedy się uprze, nie ma na nią sposobu, przekonał się już o tym.

Sprawdzi tylko, a potem poszuka innej stajni dla koni, dopóki nie wytrzaśnie dodge'a.

Szedł przez ogród, kiedy Kayla i Ali wyskoczyły ze swej dziupli przy tarasie, gdzie grały w kamyki. Nim wylądowały przy nim, zdążył jeszcze pomyśleć, iż nie wie, że dzieci nadal grają w kamyki.

— Uratowałeś mamę z trzęsienia ziemi. — Gdy Kayla rzuciła mu się w ramiona, dały o sobie znać świeże rany.

— Niezupełnie — zaczął. — Po prostu...

— Właśnie, że uratowałeś. — Ali patrzyła na niego nabożnym wzrokiem. — Wszyscy to mówią. — Czując się niewygodnie w roli bohatera, zaczął wzruszać ramionami, ale wzięła go za rękę. Miała zatrwożone oczy. — Mówią, że z tego wyjdzie. Wszyscy mówią, że nic jej nie będzie. Czy to prawda?

Dlaczego go o to pyta? Cóż, u licha, takiego zrobił, że stał się autorytetem? Ukucnął jednak, nie mogąc się oprzeć jej drżącym wargom.

— Oczywiście, że tak. Nabiła sobie tylko parę guzów, to wszystko.

— W porządku. — Na buzi Ali pojawił się nikły uśmiech.

— Spadła z klifu — ciągnęła Kayla. — I znalazła posag Seraphiny, i potłukła się, ale pojawiliście się z Maxem i wyciągnęliście ją. Pani Williamson powiedziała, że Max zasłużył na cały gar marchwi.

Uśmiechnął się szeroko, zmierzwił jej włosy.

— A na co ja zasłużyłem?

— Powiedziała, że tobie także należy się nagroda. Co to jest?

— Nie wiem, o co pytasz.

— Też się potłukłeś. — Ze śmiertelną powagą Kayla podniosła po kolei jego zabandażowane ręce i pocałowała je. — Bołą cię? A teraz jest lepiej?

Zalała go fala uczuć, było to jak ukąszenie pszczoły, po którym pozostaje słodki ból. Nikt, nigdy, przez całe życie, nie całował jego ran.

— Pewnie, dużo lepiej. — Na chwilę przycisnął twarz do jej włosów. Stęskniony. Potrzebujący.

— Czy nie powinniśmy pójść odwiedzić Maxa? — Odruchowo Ali dotknęła włosów Michaela, chcąc go pocieszyć. — Żeby mu podziękować.

— Taa, będzie zadowolony. Aha, wasza mama...

— Jest w saloniku. Musimy się wszyscy cicho zachowywać, żeby mogła odpoczywać. Ale możesz tam wejść. — Ali spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem. — Chciałaby cię zobaczyć. A my z Kaylą będziemy wstawiały wcześniej przed szkołą i żeby czyścić stajnie, dopóki nie zagoją ci się ręce. Nie musisz się martwić.

— Ja... — Jestem tchórzem, pomyślał. Powiedz im, że tu nie zostajesz. Powiedz im, że wyjeżdżasz. Nie mógł. Po prostu nie mógł. — Dziękuję.

Kiedy się oddalały pędem, patrzył na nie; dwie śliczne dziewczynki, biegnące przez bajkowy ogród. Przeszedł obok porozrzucanych kamyków. Po trzykrotnej próbie udało mu się podnieść rękę i otworzyć tarasowe drzwi.

Nie leżała na sofie, jak się spodziewał, ale stała przy oknie, tyłem do pokoju, patrząc w stronę klifów.

Jest taka... mała, pomyślał, taka krucha, a tymczasem była najsilniejszą kobietą, jaką znał.

W tej chwili, ze ściągniętymi do tyłu włosami, w opływających jej ciało miękkich, lejących się fałdach białego szlafroka, wydawała się taka delikatna i eteryczna. Ale kiedy się odwróciła, a za jej plecami igrały na szybie ostatnie złociste promienie zachodzącego słońca, wydała się po prostu niezniszczalna.

— Miałam nadzieję, że przyjdiesz — mówiła spokojnym głosem, bowiem była spokojna. Otarcie się o śmierć uświadomiło jej, że może wszystko przeżyć. Nawet rozstanie z Michaeliem Furym. — Nie byłam przedtem w stanie podziękować ci ani dostrzec, jak bardzo się pokaleczyłeś.

— Jestem cały i zdrow. Jak twoja głowa?

Uśmiechnęła się.

— Tak, jakbym nią uderzyła o skałę. Napijesz się brandy? Ja jeszcze nie mogę. Moi liczni doradcy medyczni nie zalecają mi picia alkoholu przez najbliższą dobę.

— Nie, powstrzymam się. — Nie przetrawił jeszcze wcześniej wypitej whisky.

— Siadaj, proszę. — Kierując się dobrymi manierami, wskazała mu ręką krzesło. — To był dzień, prawda, Michael?

— Sądzę, że nie prędko o nim zapomnę. Twoje ramię...

— Dało mi się niezłe we znaki. Jest obolała. — Usiadła, wygładziła szlafrok. — Jestem cała obolała. Boli mnie głowa, a od czasu do czasu, kiedy pomyślę, jak to się mogło skończyć, czuję przykre skurcze żołądka. Co by było, gdybyś się nie zjawił i nie odnalazł mnie!

Uniosła brew, patrząc, jak krąży po pokoju. Poza tym pierwszym długim wejrzeniem, kiedy odwróciła się do niego od okna, prawie na nią nie patrzył. Pragnąc utrzymać nieruchomo ręce, splótła je na kolanach.

— Czy jest coś jeszcze, czym się martwisz, Michael, oprócz mojego stanu zdrowia?

— Chciałem tylko zobaczyć... — Urwał, włożył kciuki do kieszeni

i przemógł się, by na nią spojrzeć. — Posłuchaj, nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy wyjaśnić sobie tej sprawy.

— Jakiej sprawy?

— Ty nie jesteś we mnie zakochana.

Przysłuchując mu się z największą uwagą, przechyliła na bok głowę.

— Nie jestem?

— Nie, po prostu pomyliłaś wszystko z seksem, a teraz doszło do tego poczucie wdzięczności. To nie ma najmniejszego sensu.

— Już nic z tego nie rozumiem. Po prostu zgłupiałam.

— Nie gmatwaj spraw.

— Właśnie próbuję je rozwikłać. — Pochyliła się, by dotknąć nadal otwartej, stojącej na stoliku, skrzynki. — Nie widziałeś posagu Seraphiny. Nie jesteś ciekaw?

— To nie ma nic ze mną wspólnego. — Zajrzał jednak do środka, zobaczył połyskujące złoto, srebro i lśniące paciorki. — Niewiele tego, biorąc pod uwagę okoliczności.

— Mylisz się, jest tego całkiem dużo, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. — Powróciła do niego spojrzeniem. — Całkiem dużo. Dlaczego po to wróciłeś?

— Powiedziałem ci, że to zrobię.

— Mężczyzna dotrzymujący słowa — powiedziała półgłosem. — Byłam wtedy lekko ogłuszona, ale obecnie wszystko stało się bardziej klarowne. Pamiętam, jak tam leżałam i patrzyłam, jak wspinasz się po skale. Chwyając się ściany jak jaszczurka. Ręce ci krwawiły, ześlizgiwały się, gdy ściana nie chciała ustąpić. Mogłeś się zabić.

— Sądzę, że mogłem cię tam po prostu zostawić.

— Nie zrobiłbyś tego. Zeszedłbyś po każdego. Bo taki już jesteś. Wróciłeś także po to. — Dotknęła wieka skrzynki. — Ponieważ cię prosiłam.

— Robisz z tego większą sprawę, niż jest w istocie.

— Przyniosłeś mi coś, czego szukałam przez całe życie. — Patrzyła na niego wilgotnymi ze wzruszenia oczami. — Nie robię z tego większej sprawy, niż jest. Ile razy wspinałeś się i opuszczałeś dla mnie, Michael? — Nie odezwał się, odwrócił się tylko i znowu zaczął krążyć. Westchnęła. — Są pewne sytuacje, którym nie umiesz sprostać — takie jak wdzięczność, podziw, miłość.

— Nie jesteś we mnie zakochana.

— Nie mów za mnie.

Wypowiedziała to ostrym głosem. Odwrócił się zaniepokojony. Jeżeli znów zacznie rzucać przedmiotami, nie znajdzie w sobie chyba energii, by się uchylić.

— Nie waż się wmawiać mi, co czuję. Masz prawo nie odczuwać tego samego, masz prawo mnie nie kochać, ale nie masz prawa wmawiać mi, co ja czuję.

— Więc jesteś głupia — wybuchnął. — Nawet nie wiesz, kim jestem. Zabiłem dla pieniędzy.

Odczekała chwilę, następnie wstała i nalała sobie szklanek mineralnej wody.

— Wracasz do czasów, gdy byłeś najemnikiem.

— Nie ma znaczenia, jaki nadasz temu tytuł. Zabiłem, wziąłem za to pieniądze.

— Nie sądzę, byś wierzył w sprawę, o jaką walczyłeś.

Otworzył usta, zamknął je. Czy ona go słucha?

— Nie ma znaczenia, w co wierzyłem, a w co nie. Zabiłem dla zysku, spędziłem noc w celi, spałem z kobietami, których nie znałem.

Spokojnie popijała wodę.

— Czy kajasz się, czy przechwalasz, Michael?

— Panie Wszchemogący, nie wysilaj się na te wielkopańskie chwytły wspaniałomyślnej damy! Robiłem takie rzeczy, które są nie do wyobrażenia w tym twoim wyrafinowanym świecie.

Wypiła kolejny łyk wody.

— Wyrafinowanym? — powtórzyła półgłosem. — W porównaniu z brutalną rzeczywistością, w której ty żyjesz. Michaelu Fury, jesteś snobem.

— Jezus Maria!

— Bo to prawda. Żywisz przekonanie, że nie rozpaczam, nie pragnę, jestem poza zasięgiem grzechu, ponieważ pochodzę z zamożnej rodziny i utrzymuję określony społeczny status. Nie można po mnie oczekiwać zrozumienia dla takiego człowieka jak ty ani tym bardziej spodziewać się, że mogłabym się o niego troszczyć. Czy tak?

— Taa. — Bolało go wszystko. — Tak to mniej więcej z grubsza wygląda.

— Powiem ci coś, Michaelu. Widzę kogoś, kto uczynił pewne rzeczy po to, by przeżyć. I doskonale to rozumiem, choć żyję w moim nierealnym, wyrafinowanym świecie.

— Nie uważam...

— Kogoś, kto nie ustąpił, niezależnie od przeszkód na drodze. — Przerwała, mierzyła się z nim wzrokiem. — Widzę kogoś, kto postanowił nadać życiu nowy kierunek i komu to się udaje. Jest ambitny, uczciwy i odważny. I widzę mężczyznę, który wciąż boleje nad swoim straconym dzieciństwem.

Brała go za kogoś, kim nie był, odstraszała go nierealną wizją życia.

— Nie jestem tym, kogo szukasz.

— Jesteś tym, kogo znalazłam. To jest fakt, a kiedy odejdziesz, będę musiała z tym żyć.

— Wyświadczam ci przysługę — mruknął. — Nawet o tym nie wiesz. Przekonasz się wcześniej czy później. Już ci to zaczyna kiełkować w głowie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiesz dobrze, że nie pasujemy do siebie. To się nie może udać i ty o tym wiesz.

— Czyżby? Czy mógłbyś mi wyjaśnić, w jaki sposób doszedłeś do tego wniosku?

Były dziesiątki argumentów, wykręcił się tylko jednym.

— Cholernie uważasz, żeby mnie przypadkiem nie dotknąć, kiedy ktoś jest w pobliżu.

— Więc o to ci chodzi? — Odstawiła głośno szklanekę. — Zostań tam gdzie jesteś. — Wściekła, podeszła do drzwi i wyszła.

Powiedział za nią ponurym wzrokiem. Po lichu się w to wdałem? — zapytywał siebie. Po co z nią dyskutowałem? Czy nie mógłby jej po prostu dotknąć jeszcze jeden raz, potrzymać ją jeszcze jeden raz? I odejść?

Laura wkroczyła z powrotem, ciągnąc za sobą Thomasa.

— Miałeś odpoczywać — beształ ją ojciec. — O, cześć, Michael. Właśnie chciałem przejść się w kierunku stajni i...

— Później porozmawiacie — ucięła Laura, podchodząc wprost do Michaela.

— Hej. — To było wszystko, co zdążył powiedzieć, nim schwyciła go za włosy, szarpnęła za głowę i przywarła rozpalonymi ustami do jego warg. Podniósł ręce, opuścił je, w końcu się poddał i z całej mocy przygarnął ją do siebie. Jej ciało było napięte do ostatnich granic, drżące z wściekłości, ale usta tak miękkie i słodkie, że ugięły się pod nim kolana.

— Proszę. — Wyrwała się, odwróciła się w stronę zbitego z tropu, szczerzącego zęby w uśmiechu Thomasa. — Dziękuję, tатku. Czy mógłbyś nas teraz zostawić samych?

— Naturalnie, nie ma sprawy. Michael, przypuszczam, że będziemy sobie musieli uciąć krótką pogawędkę. — Wychodząc z pokoju, Thomas dyskretnie zamknął za sobą drzwi.

— Zadowolony? — zapytała Laura.

Niezupełnie. Poruszyła w nim wszystkie, już prawie pogrzebane, pragnienia. Bez słowa przyciągnął ją do siebie.

— Co, u licha, chciałeś przez to udowodnić? To nie zmienia...

Pękł, po prostu pękł. Drżący, wtulił głowę w jej włosy, próbował złapać oddech.

— Myślałem, że nie żyjesz — zaczął. — O Boże, Lauro, myślałem, że nie żyjesz.

— Och, Michael. — Waliła go po plecach, a z każdym uderzeniem ulatniała się jej złość. — To musiało być straszne. Tak mi przykro, tak przykro. Ale wszystko jest w porządku. Uratowałeś mnie.

Ujęła delikatnie jego twarz, przechyliła do tyłu, i bacznie przyjrzała się jego ciemnym, wzburzonym oczom.

— Uratowałeś mi życie — wyszeptwała i dotknęła wargami jego ust.

— Nie. — Wyrwał się. Był wstrząśnięty. Tak niewiele brakowało, a rzuciłaby go na kolana. — Nie tędy droga, nie zaczynamy mieszać różnych spraw.

Nie ruszając się z miejsca, obserwowała te wszystkie gwałtowne emocje

przelatujące po jego twarzy. I powoli, jej zbolące serce zaczęło pęcznieć i zdrowieć. Rozkwitła w uśmiechu.

— Dlaczego się mnie boisz? Chyba się nie mylę. Wszystkich nas się boisz. Okazuje się, że byłam głupia, sądząc, że tylko o mnie chodzi. Kochasz mnie, Michael, i to cię przeraża.

— Nie mów za mnie — zaczął i cofnął się o cały duży krok, gdy zbliżyła się do niego. — Przestań.

— Co by się stało, gdybym cię dotknęła? Teraz? — Biło od niej poczucie siły i przekonanie o tym, że ma rację. — Możesz się zamknąć przede mną. Twardy facet, dzielnie się trzyma. Mogę cię złamać, wystarczy, że zrobię to. — I położyła mu rękę na policzku.

— Popełniasz błąd. — Ścisnęła jej nadgarstek. Drżały mu palce. — Nie wiesz, co robisz. Nie mogę być tym, którego potrzebujesz.

— Dlaczego zatem nie powiesz mi, jako twoim zdaniem potrzebuję?

— Czy sądzisz, że nabiorę ogłady i zacznę grać w tenisa w klubie? Chodzić na otwarcia galerii? Że kupię sobie smoking? Nigdy! Nie zamierzam pijać brandy ani grywać w bilard, ani też przesiadywać w łaźni z kupą tych otłuszczonych bogatych facetów i rozmawiać o ostatnich sprawozdaniach giełdowych.

Zaczęła się śmiać, a od śmiechu rozboleła ją głowa. Zawirował jej świat, musiała usiąść na oparciu sofy, dopóki nie złapała oddechu.

— To dużo mi mówi.

— Myślisz, że to żart? To samo pomyślał wszyscy twoi wymuskani znajomi. Oto idzie Laura Templeton z tym kundlem, którego poderwała.

To ją natychmiast otrzeźwiło.

— Mogłabym cię spoliczkować. Mogłabym cię za to w tej chwili spoliczkować. — Istotnie, musiała kurczowo zaciskać ręce, by się przed tym powstrzymać. — To obelga, wobec mnie i tych, których uważam za przyjaciół. Czy sądzisz, że mnie to cokolwiek obchodzi? Czy naprawdę masz o mnie tak niskie wyobrażenie?

— Wyobrażam sobie wiele rzeczy na twój temat — powiedział, powstrzymując jej tyradę.

— Jeżeli to prawda, to dlaczego nie respektujesz tego, czego pragnę? Z drobnymi odmianami, potrzebuję tego samego, czego potrzebowałam przez całe życie. Potrzebuję mojej rodziny oraz mojej pracy. Mojego domu. Potrzebna jest mi świadomość, że otrzymuję tyle samo, ile wkładam. Pragnę, żeby moje dzieci były szczęśliwe i bezpieczne. I pragnę kogoś, kogo mogę kochać i kto mnie kocha, żebym mogła z nim wszystko dzielić, żeby był tutaj, dla mnie. Pragnę kogoś, kto mógłby na mnie polegać i na kim sama mogłabym polegać. Pragnę kogoś, kto mnie wysłucha i zrozumie, kto mnie dotknie, kiedy będę tego potrzebowała. Przy kim, kiedy na mnie spojrzysz, moje serce będzie biło prędzej. Spojrzyj tak, jak ty na mnie patrzysz, Michael. Tak jak na mnie teraz patrzysz.

— Nie masz zamiaru pozwolić mi odejść — powiedział spokojnie.

— Ależ tak, tak. Pozwolę. — Sięgnęła do skrzynki, wyjęła medalion. — Jeśli musisz odejść, coś sobie udowodnić, uciec przed czymś, co czujemy wżamennie do siebie, nie zatrzymam cię.

Delikatnie odłożyła na miejsce medalion.

— Ale nie powstrzymam się przed miłością, pragnieniem ciebie. Będę po prostu żyła bez ciebie. Będę po prostu pozbawiona tego życia, które moglibyśmy mieć, nie widząc, jak moje dzieci rozpromieniają się ze szczęścia, gdy wchodzisz do pokoju, a także innych dzieci, które moglibyśmy razem mieć.

Dostrzegła błysk w jego oku.

— Czy myślisz, że nie chciałabym mieć więcej dzieci? Że nie rozmarzałam się już na myśl o trzymaniu w ramionach maleństwa, które powołałibyśmy do życia?

— Nie, nie myślałam, że chcesz mieć więcej dzieci, ze mną. — Powolutku i skutecznie rozbrajała go. — Lauro...

Wstała, czekała, lecz on nie był w stanie wypowiedzieć słowa.

— Rodzina, Michaelu, jest wszystkim, o czym zawsze naprawdę marzyłam. Dzięki tobie zaszło we mnie bardzo wiele zmian, ale nie pod tym względem. Ofiarowałeś mi te wszystkie piękne pierwsze doznania, a ponieważ byłam nimi tak oszołomiona, tak zakochana w tobie, nie dostrzegłam, że mogę ci ofiarować coś w zamian. Ofiaruję ci rodzinę, Michaelu.

Zastanawiał się, czy będzie w stanie się odezwać, jak by się zachował jakikolwiek mężczyzna w obliczu daru, którego zawsze pragnął. W obliczu wymarzonego, znalezione go skarbu, na który stracił nadzieję.

— Jestem nieodpowiedni dla ciebie. Nie mogę być odpowiedni, i nigdy nie powinno do tego dojść między nami. Wzięłam cię, ponieważ mogłam, ponieważ pragnęłam cię bardziej niż kogokolwiek.

— Jesteś dla mnie odpowiedni — poprawiła go. — Musisz być dla mnie odpowiedni. I dlaczego nie powinno dojść do zbliżenia między nami, Michael? Co stoi temu na przeszkodzie?

— Plany. Przyszłość. — Zapatrzył się w otwartą skrzynkę. Na te wszystkie malusieńkie drogocenne skarby. — Dopiero zacząłem rozkręcać biznes, z największym wysiłkiem próbuję uporządkować życie. Nie mam ci nic do ofiarowania.

— Czy aby na pewno? Czy nie masz marzeń, Michael? Czy niektóre z nich nie są takie same jak moje? — Chciała go dotknąć, lecz tym razem poczeka: niech on wykona pierwszy ruch.

Zdawał sobie sprawę, że pozwoli mu odejść. Gdyby się odwrócił i wyszedł z pokoju, ich drogi by się rozeszły.

Czekała na niego. Chciała go takim, jaki jest. Niewykluczone, że przy niej mógłby w sobie znaleźć coś więcej, więcej niż ośmielał się marzyć.

— Zamierzam dać ci jeszcze jedną szansę, nim powiem to, co mam do powiedzenia. A czego nie zamierzałam mówić. I czego, jak sądzę, nie chciałbyś usłyszeć.

Ile można mieć szans? — zastanawiał się. He razy się żyje? Ile razy pada

propozycja otrzymania czegoś, co naprawdę się liczy? Postąpił krok naprzód, zatrzymał się.

— Kiedy to powiem, klamka zapadnie. Dla nas obojga. Rozumiesz?

Zadrżały jej usta.

— Rozumiesz?

— Zrozumiałem, gdy tylko tu wszedłem. — Pociemniały mu oczy, stały się groźne. — Zostań albo uciekaj, Lauro.

Zadarła głowę. Tym razem to powie.

— Zostaję.

— Więc będziesz musiała z tym żyć. I ze mną. — Wziął ją za rękę. Splótł swoje pokaleczone palce z jej palcami — nie delikatnie, nieśmiało, lecz władczo. — Nigdy nie kochałem, innej kobiety. Po raz pierwszy otrzymuję ten dar od ciebie.

Zamknęła oczy.

— Czuję się tak, jakbym całe życie czekała, że to od ciebie usłyszę.

— Jeszcze nie usłyszałaś. — Wolną ręką uniósł jej twarz. — Chcę, żebyś na mnie patrzyła, kiedy to powiem. Kocham cię, Lauro — oświadczył, kiedy otworzyła oczy. — Może zawsze cię kochałem. Tak, teraz wiem, że zawsze. Nigdy cię nie okłamię ani cię nie zostawię. Będę ojcem dla twoich dzieci. Dla wszystkich, będę je kochał, wszystkie. I nigdy nie będą musiały się zastanawiać, czy są kochane.

— Michael. — Poruszona do łez, zbliżyła wargi do jego rąk, ssała rany do rany goręcej niż Kayla. — Dajesz mi wszystko o czym marzyłam.

— Nie, to nie wszystko. — Poczekał, aż obeschną jej oczy, by móc w nie spojrzeć. — Jeżeli podejmiesz ryzyko, dam ci wszystko, co mam, co potrafię i czym się stanę.

Słowa były tuż-tuż, uświadomił sobie. Czekają tylko, by je wypowiedzieć. Sięgnął odruchowo i ze stojącego na stole wazonu wyjął tulipan. Wręczył go jej.

— Wyjdź za mnie. Bądź moją żoną.

Zamiast wziąć kwiat, zacisnęła dłoń na jego ręce wokół łodygi.

— Tak. — Dotknęła wargami jego policzka, westchnęła i położyła głowę na ramieniu Michaela. — Tak — powiedziała ponownie, czując głucho bicie jego serca. Zajrzała do prostego pudełka wypełnionego marzeniami.

— Znalazłam cię — wyszeptwała, podnosząc usta do warg Michaela. — Odnaleźliśmy się nawzajem. Nareszcie.

KONIEC